94

Wydawnictwo

2

na cele dobroczynne samborskie.

XIV. ROCZNIK.

NOWA SERJA ILLUSTROWANA,

wydawana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. KOHNA.

Cena 1 złr. 80 ct.

dla wszystkich prenumeratorów z wyjątkiem prenumeratorów stale w Samborze i Przemyślu zamieszkałych.

SAMBOR.

Z DRUKARNI SCHWARZA i TROJANA.

1891.



POGRZEB ADAMA MICKIEWICZA

w Krakowie, dnia 4 Lipca 1890 r.

POCZĄTEK POCHODU NA PLACU MATEJKI Z «HARMONIĄ» LWOWSKĄ NA CZELE.

Według zdjęcia Zakładu fotograficznego A. Szuberta.

Wydawnictwo

na cele dobroczynne samborskie.

XIV. ROCZNIK.

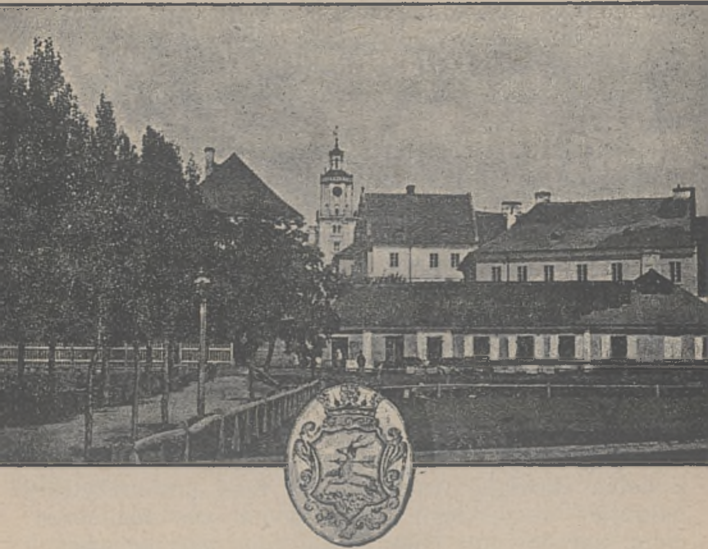
NOWA SERJA ILLUSTROWANA,

wydawana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. KOHNA.

SAMBOR.
Z DRUKARNI SCHWARZA i TROJANA.
1891.



UROCZYSTOŚĆ
POCHOWANIA ZWŁOK
WIESZCZA
na ojczystej ziemi.

(Z ryciną tytułową i 4-ma rycinkami w tekście.)

Dzień 4. Lipca r. 1890 na długi czas — jeśli w ludzkiem życiu w ogóle o wieczności mówić można — bodaj czy nie upamiętni się na wieki w dziejach narodu polskiego. W pamiętnym tym dniu bowiem na Wawelu wśród królów złożone zostały śmiertelne zwłoki tego, który duchem swoim królował nad duchami mniejszymi jako orzeł samotny na szczycie niedostępnej skały.

Dwa razy w przeciągu niedługim czasu grodowi Krakusa przypada zaszczyt grzebania w ziemi ojczy-

1*

stej dwóch wielkich mężów, dwóch mocarzy ducha, dwóch poetów — olbrzymów, których skalą zwyczajnych ludzi mierzyć nie wolno: jednego, który uczył współziomków czytać a drugiego, który ich uczył myślić po polsku. Mówimy o Kraszewskim i Mickiewiczu.

Kraków, który już nieraz urządzał uroczystości recepcyjne czy to na przyjęcie solenizantów żywych, czy też celem oddania hołdu ostatniego śmiertelnym ich zwłokom, ma już pewną wprawę w urządzaniu podobnych uroczystości. Słusznie też przed wszystkiemi innemi miastami jemu przypada zaszczyt zajmywania się uroczystością pogrzebową największego poety, jakiego Polska miała.

Jeśli się zważa, że niektóre sfery decydujące pod niejednym względem stawiały trudności — i tak np. koleje opóźnionem bardzo zniżeniem cen —, jeśli się dalej zważa, że przestrzeń miejsca i czasu same z siebie stawiają trudności, że rząd autokratyczny nakształt rosyjskiego nigdy podobnym demonstracjom narodowym chętnie się nie przypatrywał i z pewnością jeszcze utrudniał przybycie na tę uroczystość narodową braciom z pod zaboru moskiewskiego, to przyznamy, że uroczystość pochowania zwłok Wieszcza w ojczystej ziemi wypadła świetnie.

Już w dzień poprzód a mianowicie 3. Lipca r. 1890 ulice Krakowa roiły się gośćmi, zabudowania publiczne paradowały dekoracjami najrozmaitszemi, sklep prawie każdy mieścił w wystawie swojej pamiątki Mickiewiczowskie od najskromniejszych do najokazalszych, trybuny ustawiane na głównych placach Krakowa oznajmiały urbi et orbi, że nadszedł wreszcie dzień radosny, w którym śmiertelne zwłoki tego, który „kochał za miljony“, wróciwszy z długiej tułaczki, na ojczystej spoczną ziemi.

Przypomniały mi się słowa poety:
„Serce, co — zda się — świat rozjaśni,
O starej zapomniało waśni.
Kochajmy się jak bracia szczerze,
A radość rośnie, górę bierze,
I wdzięki kobiet w gwarnym dźwięku
Nowego użyczają wdzięku.“

Bo i przedstawicielek płci pięknej, które nam mistrzowskiem piórem swojem odtwarzał Wieszcz w postaciach bohaterskiej „Grażyny,“ naiwnej „Zosi,“ czułej „Marylli“, nie brakowało przy obchodzie, który naród polski nazwie jedną z największych, najszczytniejszych chwil w życiu swojem porozbiorowem. O ich bytności świadczą najwymowniej wieńce „Od Polek“. Tu znowu w wystawie sklepowej Fenza lśni się świeżą barwą swoją wieniec „Od Litwinów“ i ten zapewne najdroższym powinien być pamięci tego, co śpiewał: „Litwo, Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie!“

Przechadzamy się po głównych ulicach Krakowa. Co tu postaci, ile tu życia niemal na każdym kroku! Postać barczysta chłopa ociera się o sutanę księdza, o czamarę szlachcica, o nowomodną suknię panicza lub o niewykwintny ale czysty ubiór mieszczanina.

Wieczorem wszystkie główniejsze gmachy ozdobione już emblematami narodowemi, chorągwiami o barwach narodowych. Mówili „nasi najserdeczniejsi“: „Niechby sobie tam Polacy uczcili Mickiewicza; bo to ich największy poeta, Wieszcz używający sławy europejskiej; ale niech się wystrzegą, by uroczystość na cześć poety nie przybrała niedozwolonych rozmiarów, nie wyrodziła się w polityczną demonstrację.“

Próżne i niedorzeczne gadanie! Naród polski, sprowadzając zwłoki Wieszcza do ziemi ojczystej, urządza tem samem najwznioślejszą polityczną demonstrację, bo udowadnia, że żyje; życie to uznają nawet jego przeciwnicy, tak tłumnie przybywający na ceremonję pogrzebową a tem bardziej pobratymcy. Jeśli coś w dekoracji ulic ganić mi wypada, to chyba to, że wbrew wszelkim zastrzeżeniom pism a informacjom tychże o czysto-narodowym i radosnym charakterze uroczystości narodowej pochowania zwłok Wieszcza na ziemi ojczystej, przecież obok licznych biało-niebieskich i biało-czerwonych chorągwi widziałem gdzieniegdzie i czarne: była to nietaktowność na szczęście rzadko się powtarzająca.

W dniu następnym, t. j. 4. Lipca w piątek z rana już zaczynała się właściwa procesja pogrzebowa. Wyjeżdżamy o szóstej z rana tramwajem miejskim do miejscowości, przeznaczonej na początek obchodu uroczystego, ta część publiczności, która na piechoty na czas zdążyć by nie mogła na miejsce — zdąża do trybun rozmaitych, znajdujących się na placach główniejszych Krakowa, a ja za tłumem. Z trybun najgłówniejsza mieści się przy placu Matejki koło szkoły sztuk pięknych, gdzie zwłoki Wieszcza zniesione być mają na karawan (patrz na rycinę tytułową przedstawiającą pochód pogrzebowy wyruszający z placu Matejki z harmonją lwowską



Medal Mickiewiczowski Głowackiego (Strona główna.)

na czele), a trybuna zamkowa na Wawelu, gdzie się ceremonja pogrzebowa zwłok dopełnia. Po drodze i na samym placu ozdobionym również jak i przyległe ulice chorągwiami, wieńcami i pylonami, czyli obeliskami ozdobnemi, wszędzie roi się publicznością. Sklepy pozamykane, delegaci rozmaitych korporacyj zaopatrzeni odznakami swego urzędu snują się po ulicy, w rynku głównym ustanowiła się straż studencka, zaopatrzona w biało-niebieskie szarfy, popod trybuną, na której siedzę, przeciąga w tej chwili grono pań, ubranych w bieli z wieńcami w ręku.

A teraz wyprzedzeni wozami fiakierskimi, mieszczącymi wewnątrz głównych dygnitarzy kraju de-

filują popod okiem widza członkowie delegacyj rozmaitych, niosący wieńce na grób Wieszcza. Idą jak każdemu wypadło, to parami, to znowu w liczniejszych i większych grupach. Jacyś obcy delegaci jeżdżą parokonnymi wozami, w których olbrzymie mieszczą się wieńce. Straże miejska i ogniowa przy oddźwiękach muzyki narodowej, nosząc sztandary czerwono-białe, defilują w długim szeregu. Wspaniały zaiste widok! Ekwipażem ciągnionym sześciu końmi, majestatycznie i powoli posuwa się naprzód trumna królewska amarantem obita, mieszcząca zwłoki króla poetów. A tłum nieobliczony włościan i włościanek dąży za nią. Jest to hołd najwymowniejszy, oddany



Medal Mickiewiczowski Głowackiego (Str. odwrotna.)

czci wielkiego męża. W około trumny tego, który sam pochodząc z ludu, w lud ten tak się wżył, tak go pokochał, iż pragnął,

„Żeby też wzięły wieśniaczki do ręki
Te księgi, proste jako ich piosenki,“

straż honorową najodpowiedniejszą niech trzymają włościanie!

Zauważam między gośćmi także włościanina, jeżdżącego parokonnym wozem wśród kontuszowej szlachty a należącego widocznie do jakiejś deputacji, bo trzyma wieniec w ręku. Jako reprezentanci stanu mieszczańskiego rzeźnicy krakowscy, na ich czele Armółowicz noszą sztandary i wieńce, za nimi kroczą

rzemieślnicy innych cechów. Idą deputacje „Sokołów,“ zaopatrzone w rozmaite odznaki, deputacje studentów; chłopi w niezliczonym szeregu noszą wieńce z kłosów i zieleni. Każdy z tych wieńców zaopatrzony literą. Całość składa się ze słów: „Adamowi Mickiewiczowi wiejski lud polski.“ A zatem 36 wieńców. Bokiem do widza zwróceni obok budynku dyrekcyjnego kolei państwowej kroczą w poważnym pochodzie, ubrani w birety i togi profesorowie i rektor uniwersytetu krakowskiego.

Rodzina Wieszcza w czarnem galowem ubraniu zdąża parokonnym ekwipażem na miejsce obchodu narodowego. Rozróżniam w tej chwili na dachu czy strychu przeciwległego domu parterowego na Kleparzu, mieszczącego zajazd Kamińskiego, postacie



Medal Mickiewiczowski Wojciechowskiego (Str. główna).

ludzkie, przypatrujące się ciekawie obchodowi. Ekskursje podobne na dachy i strychy surowo zakazane i zabronione zostały obwieszczeniem magistrackiem, aby zapobiedz ewentualnym nieszczęśliwym wypadkom. Jeśli mimo tego zakazu znajdują się jeszcze osoby, przekraczające go, najlepszy to dowód wielkiej popularności, jakiej za życia i po śmierci zażywał autor „Wallenroda,“ „Dziadów“ i „Pana Tadeusza.“

Ósma godzina dobiega do kresu. Trybuna zaczyna się zaludniać napływającą ze wszystkich stron publicznością. Popod trybuną przechadzają się co chwila to ciekawi goście i przechodnie, to znowu handlarze pamiątek Mickiewiczowskich, ofiarowujący publiczności medale, prospekty, numera gazet, ogłoszenia

rozmaite, nawet pierniki do nabycia. Wtem dzwony kościelne Krakowa, rozbrzmiewając w powietrzu jednem wielkiem i rozległem echem, ogłaszają chwilę powrotu orszaku pogrzebowego. W chwili tej wdrapują się na płaski (zdaje się) dach dwupiętrowej kamienicy, przytykającej do zajazdu Kamińskiego chłopcy krakowscy, aby się przypatrywać obchodowi. Jest ich siedmiu.

Wraca wreszcie kondukt pogrzebowy, eskortowany dźwiękami muzyki. Kadzidła płoną z obelisków ustawianych na placu, którędy przeciąga kondukt. Długim pochodem znowuż te same postacie włościan, rękodzielników, mieszczan, stowarzyszeń z wieńcami i sztandarami defilują przed okiem widza. Wśród śpiewów kościelnych, asystowany ogromnym orszakiem



Medal Mickiewiczowski Wojciechowskiego (Str. odwrotna).

księży najrozmaitszych kategorij, zbliża się wreszcie karawan, na którym w wieniec z świeżej zieleni i kwiatów ubrana widnieje trumna ze zwłokami Wieszcza.

Pochód pogrzebowy pieszo zdąża ku zamkowi, którędy i my się udajemy. Przed zamkiem defiluje pochód cały z chorągwiami i wieńcami, a zatem naprzód deputacje wiejskie. W chwili, kiedy te wyrazy kreślę, godzina w pół do jedynastej. Pochód — choć olbrzymi — wbrew wszelkim oczekiwaniom, nie doznał opóźnienia, ale przybył znacznie prędzej na miejsce, niźli się spodziewano. Powoli w wojskowym porządku przeciągają korporacje i grupy z wieńcami: politechników lwowskich, stowarzyszeń, jakoto: wie-

deńskiego „Ogniska,“ studentów warszawszkich, drukarzy; młodzieży handlowej, kobiet polskich i t. d. Ochotnicze straże ogniowe wszystkich znaczniejszych miast galicyjskich z herbami i chorągwiami, górale, krakowska muzyka miejska, stowarzyszenie „Sokoła,“ artyści sceny lwowskiej dążą za nimi.

Ledwie się jedni uszykowali na miejscu, już za nimi postępują drudzy. Krakowscy izraelici w charakterystycznym długim surducie czy chałacie noszą wieniec zielony o olbrzymich rozmiarach. Z zamiejscowych stowarzyszeń polskich wymieniamy „Zgodę“ we Wiedniu i deputację Szlązaków. Druga deputacja, złożona z żydów i hucułów kołomyjskich i kosowskich nosi wieniec niepospolitej wielkości. Na wózku pod zamek zajeżdża prześliczny wieniec Towarzystwa asekuracyjnego krakowskiego, mający kształt liry. Na przemiany jedna za drugą kroczą deputacje miast i rad powiatowych Złoczowa, Gorlic, Mielca, Tarnowa i innych.

Pochód na Wawel tem się różni od pochodu na plac Matejki, że podczas gdy tam wszystko na miejscu się tłoczyło, tu korporacje idą w pewnych odstępach, łatwiej je więc rozróżnić, ale i tu zadanie sprawozdawcy wśród tłumu ludzi niepospolicie utrudnione.

W ostatnich prawie szeregach, odznaczających się numerami 180 do 200 kroczy deputacja wielicka. Dostojnicy kościoła, biskupi, arcybiskupi, księża rozmaitych zakonów, dostojnicy świeccy, jakoto: Namiestnik, Marszałek kraju i inni — wszyscy kroczą w długim, na setki się liczącym pochodzie na stok góry zamkowej zamykając pochód, przy którym na końcu widnieje i trumna Wieszcza, niesiona na barkach jego wielbicieli. Pogoda przepyszna od samego początku sprzyjała pochodowi pogrzebowemu, który się niezwykłą odznaczał okazałością. Pisma krakowskie twierdzą, że na obchodzie pogrzebowym, jakiego naród od dawna nie pamiętał, było ze stutysięcy uczestników. Liczba ta — jeśli się zważa ruch przechodniów, nawet na Kraków niezmierny — nie zdaje mi się być przesadnie oznaczoną.

Ale program uroczystości Mickiewiczowskich pogrzebem Wieszcza na Wawelu jeszcze nie wyczerpany, gdyż cały tydzień nosić będzie piętno geniusza, który wielkiem imieniem i potęgą swego słowa, swego ducha oddziaływał jak czarodziej na oziębłą zazwyczaj masę ludu.

W teatrze krakowskim dzień po dzień przedstawiają arcydzieła Mickiewicza; w ogrodach publicznych odbywają się produkcje muzykalne na tle myśli jego osnute a poświęcone oświacie ludowej, której Mickiewicz najpotężniejszym był filarem. Prasa polityczna przemienia się w panegiryk Wieszcza; jego chwałę pieją wydawnictwa literackie, pisma belletrystyczne, rozbiory jego dzieł, krytyki jego myśli. Tak jak przykład ducha silnego oddziaływa na słabszych, tak ten jeden duch olbrzymi oddziaływał na całe swoje otoczenie, wywołując literaturę specjalnie Mickiewiczowską. Nie możemy omówić tych wszystkich prac, między któremi niestety jest moc słabych i niegodnych jego imienia. Gdzie taka nawała pism równocześnie się okazuje, trudno tam od razu zgłębiać je i oceniać. Zwracam jednak uwagę czytelnika na wiersz w „Trybunie“ lwowskiej umieszczony a skreślony z takim zapałem i z taką siłą pięknego poetyckiego uczucia, że podobnych mu wierszów dawno już nie czytałem. Autor skrył się pod pseudonimem, nad czem ubolewać wypada. Drukarnia Koziańskiego wydała mały wierszyk, zaopatrzony u góry portretem Mickiewicza, więcej zapewne, aby naszych włościan zaznajomić z postacią największego, najpopularniejszego poety Polski, niż, aby się pochlubić arcydziełem poezji.

Z ozdobnych wydań na cześć Mickiewicza zasługują jeszcze na wzmiankę z powodu tak treści, jakoteż i powierzchowności swojej: „Mickiewicz na Wawelu,“ album artystyczno-literackie i „Świat,“ numer okazowy tegoż pisma, poświęcony pamięci Wieszcza, dalej z tanich ludowych wydawnictw Wysłouchowej broszurka o Mickiewiczu, wydana nakładem Towarzystwa przyjaciół oświaty, broszurka Feldmana: „Stosunek Mickiewicza do żydów“ i nadzwyczajnie ciekawa,

bo wyłącznie dla żydów w języku hebrajskim streszczona biografja Wieszcza przez Rubina Braudesa.

Malarze, artyści, fotografowie starali się również o to, aby pamięć o Wieszczu nie zbladła, reprodukując jego portret w najrozmaitszych pozycjach. Jubilerzy i złotnicy jak Głowacki i Wojciechowski, (których medale w wiernych reprodukcjach na stronicach 6—9 podajemy) — polecają swój wyrób artystyczny jako najstosowniejsze medale pamiątkowe, księgarnia Krzyżanowskiego poleca marsze żałobne, poświęcone cieniom Mickiewicza.

Oszołomiony wrażeniami dnia, zmęczony dzienną pracą, chronię się na chwilkę do cukierni Roszkowskiego, popijając kawę, skupiając myśli do nowej pracy i streszczając wrażenia chwili. Duszno mi i gorąco, bo też dzień lipcowy piękny był nad wyraz

Wychodzę na ulicę. Tu tłoczy się morze ludzi a morze płomieni bije z wszystkich okien. Obeliski płoną ku niebiosom już nie kadzidłem, ale potężnym płomieniem. To dusza poety zdaje się wzbić ku niebiosom w jednym potężnym uwielbienia hymnie, to dusza narodu wcieliła się w nieśmiertelne jego pienia.

Kraków, 4. Lipca 1890.

G. Kohn.

KIŁKA UWAG

NAD

„Modlitwą pielgrzyma“

i

„Litanią pielgrzymską“

ADAMA MICKIEWICZA.

SKREŚLIŁA

Janina Sedlaczkówna.

„Niech każdy składa talent swój Ojczyznie, jako dar w skarbonę, tajemnie i nie mówiąc, wiele włożył. Przyjdzie czas, że się skarbona napełni, a Pan Bóg zapisuje, ile każdy złożył.“

Adam Mickiewicz.

Mistrz nasz spełniwszy wielką świat cały bóstwem i cierpieniem swem obejmującą ofiarę, żegnając ziemię, po której lat trzydzieści i trzy stąpał, w każdym kroku o jedną łzę, jeden cierń, jeden ból więcej do ofiary dodając, zostawił nam spuściznę wieki trwającą bez końca. Zostawił nam miłość Swoją, którą u ołtarza ofiary bezkrwawej czerpać pozwolił. Zostawił nam modlitwę z samego siebie, z życia Swego, wedle której doskonalić się mamy, zostawił nam modlitwę, potęgą wiary i miłości z krzyża zaczerpniętej, porywającą dusze w świat ten, w który człowiek tylko duszą czystą spoglądać może. A ztamtąd w wieki później tchnął Bóg myśl wielką nad kołyską

śpiącego dziecięcia, myśl miłości przeczystej narodu dla Nieba i potęgę ducha, i stworzył geniusza. I łaska Boża dla wybranego ludu granic nie miała. Uczynił Wieszcza jednego, drugiego i trzeciego, tchnął w pierś ludzką męztwo nadziemskie i dał nam poświęcającego się za naród swój wodza i syna, kochającego gorąco Ojczyznę, a dał nie jednego ale więcej takich, którzy gorącą krew kochającego Ją serca, wierni posłannictwu swemu za nią oddali, w ostatniej chwili skonu ze słowami modlitwy mistrza i obrazem Jego boskiej ofiary w duszy. Ale wedle słów Zygmunta Krasińskiego:

„Kto w poświęceń zmarł godzinie,
Ten się w drugich przelał tylko!“

Adam Mickiewicz zostawił nam drogą spuściznę a tem cenniejszą, bo spuściznę ducha narodowego w formie natchnionej, proroczej, prawdę zwiastującej.

I ten, który tak ukochał Ojczyznę swoją, który w modłach i pieśni jej losy Bogu polecał, zostawił ziomkom swoim modlitwę, którą należałoby odmawiać obok najpiękniejszej modlitwy — Zbawiciela. Jest to „Modlitwa pielgrzyma“ i „Litania pielgrzymska.“

W modlitwie tej Wieszcz przejęty duchem swojej teraźniejszości, woła do Boga ustami nieszczęśliwych braci cierpiących za wolność i wiarę Ojców, „z głębi sybiryjskich kopalni“, „kamczackich śniegów, Algieru i obcej Francji.“ Wzywa Boga Jagiellonów, Boga Sobieskich, Boga Kościuszków, do zmiłowania się nad Ojczyzną, błagalną łącząc prośbę o własny ołtarz, broń, orły i chorągwie narodowe, o wolność modlitwy w kościołach miast, wiosek i na grobach Ojców.

Modlitwę swoją kończy poeta słowy Zbawiciela: „A wszakże niech się stanie nie nasza ale Twoja wola.“ Gorące uczucie i głęboka wiara, jaka kierowała umysłem Wieszcza, nie może nie obudzić w duszy tego uczucia, jakiem biło już w pierwszej chwili życia serce człowieka. O bo w najtwardszem i złamanem przygodami sercu, jeszcze bodaj w ostatniej chwili życia ozwie się ono jak zapomniana piosenka temi słowy, w których treść życia zawiera się: „Bóg,

Ojczyzna i Rodzina.“ I nie masz dewizy życia głębszej nad tę, bo w niej się mieści to wszystko, co kochać, wielbić, dla czego żyć mamy, w niej cel uświęcony miłością, a kto jedno z tych słów straci, zapomina ich znaczenia i doniosłości, ten zachwiał podwalinami życia własnego a gorzej może tych, którzy jego poleceni byli pieczy.

W litanii woła na wstępie Wieszcz do Boga, aby jak lud, który wywiódł z niewoli egipskiej i do ziemi świętej zawiódł, tak i nas do Ojczyzny naszej wrócił. Następnie modli się do Zbawcy, który ukrzyżowany zmartwychwstał, o zmartwychwstanie Ojczyzny naszej.

O tem jednem wiele powiedzieć by się dało. Prawda, cierpiała Polska i do wieńca męczeńskiej chwały dziś jeszcze kwiaty dorzuca, ale różnica zachodzi między męczeństwem Chrystusa a Polski; bo Bóg cierpiał niewinnie, za ludzkie winy, my zaś cierpimy z własnej. A jednak w głębokiej wierze wołajmy o zmartwychwstanie, bo jak boski mistrz, tak i matka nasza powstanie z grobu, w „który nieprzyjaciół złożyła ją ręka.“ My „błogosławić“ mamy „Ojców winie,“ bo wedle słów Krasińskiego z narodu polskiego:

„Wyjdzie ludów lud jedyny!“

Zatem przez męczeństwo polskiego narodu ma się spełnić idea ludzkości, obiecana przez Chrystusa samego, o którą modlić się rozkazał słowy: „Przyjdź Królestwo Twoje!“

Cudnie nam maluje w „Przedświcie“ Krasiński przyszłość Polski jako wcielonej idei ludzkości:

„Oto nagle tam ujrzeli,
Jak się Polska, Polska cała
Jednem widmem zmartwychwstałem
Archanielsko wielkiem, białem
Z dni przyszłości wychylała.
I na głębi dni tych stała
Jeszcze widna -- niby ciałem,
Lecz już w wieczność przebóstwiona,
Nieśmiertelna, nieskończona!“

Przyszłości nasza! Czyż nie warto cierpieć i umierać dla ciebie? Nie wartoż rzucać życia jednostek na szalę twoją, byś jak najrychlej ku nam się zbli-

żyła? Niech ci na to odpowiedzą dzieje i serca, które z takim zapałem garną się do pracy i wiedzy, aby ci z życiem w Bogu się oddać. Ojczyzno nasza! dla której miłość żadnemi przeciwnościami wykorzenić się z serca nie da, kieruj sercami naszemi, byśmy jak córki twoje żyły, jak córki umierały. A teraz, słowami Wieszcza naszego, modlić się za Ciebie do Boga będziemy.

Po dwu pierwszych prośbach Adam wzywa przyczynienia się Matki Boskiej i Świętych Patronów Polski, Litwy i Rusi za narodem. Prosi o wybawienie narodu od niewoli, przez męczeństwo wyrżniętych obywateli Pragi, młodzieńców Litwy, w kopalniach i na wygnaniu zabitych, przez męczeństwo Oszmianów w kościołach i domach wyrżniętych, żołnierzy zamordowanych przez Prusaków w Fischau, na koniec przez krew wszystkich żołnierzy za Wiarę i Wolność poległych, przez łzy i cierpienia wszystkich niewolników, wygnańców i pielgrzymów polskich.

Litania kończy się prośbą: „o wojnę powszechną za wolność ludów,“ o broń i orły narodowe, o śmierć szczęśliwą na polu bitwy, o grób dla kości naszych w naszej ziemi, o Niepodległość, Całość i Wolność Ojczyzny naszej!!

Mamy prawo i powinniśmy modlić się o to wszystko, bo: „prawem naszem Zmartwychwstanie!“

A jednak, dziwna rzecz! Dlaczego nikt, a może mało kto odmawia modlitwę poety? Czy może dlatego, iż pochodzenia modlitwy od apostołów i świętych się domagamy, czy dlatego, że nie mamy jej w modlitewniku, lub może i dlatego, co mi się najprawdopodobniejszem wydaje, że mało kto zastanowił się nad modlitwą Wieszcza, tak gorącą, narodową, historję męczeństwa zawierającą? Wszakże modlitwą tą wznoszą się wszystkie struny serca naszego, i prośbą i skargą i żalem i nadzieją zleją się ze słowami modlitwy narodowej. Mojem zdaniem modlitwa ta powinna być przez nas z taką pobożną gorliwością odmawianą, z jakim zapałem śpiewamy:

„Boże coś Polskę!“

Dlaczegóż więc nie mamy wydobywać ze skarbnicy narodowej, pamiątek, jakie w niej złożyli wieszcze i wodzowie nasi? —

Wydobyć je z niej śmiało a w sercach naszych w życiu niezmarnowanem, ale na wagę przyszłości położonem, oczyszczą się one i zabłysną jak dyamenty w słońcu i jak ono w zgonu chwili, zlane z modlitwą pańską, przed tron Boga prowadzić nas będą dzieje narodu, które życiem naszem rządziły, sprowadzą nas do mogiły, aby kiedyś... kiedyś obudzić się raz jeszcze i uczestniczyć w owym wielkim dniu, kiedy już przyjdzie Królestwo Boże i zostanie przeniesionem w świat inny, bliżej Boga, bliżej Aniołów Pańskich, którzy stróżami naszej ukochanej Ojczyzny byli i na skrzydłach ją kiedyś z grobu wynieść mają młodą, piękną, męczeństwem narodu uświęconą, zaklęciem miłości i pracy zbudzoną.

W kościele św. Szczepana,

sonet.

Byłem w kościele . . . Rzędem wspaniałe filary
Jak zastępy anielskie szarzały w półcieniu —
Tyle wieków już dźwiga w poważnem milczeniu
Ten przybytek miłości, nadziei i wiary . . .
I kunsztowne ozdoby mistrzowskiego dłuta
Pełne wrażeń tajemnych ku niebu strzeliły —
I kolumny wspaniałe umysł zadziwiły,
Posępne — jako dusza z nadziei wyzuta...
I zdumionym oglądał stare mistrzów dzieło
I czcią dziwną się serce w obec nich przejęło —
Lecz ponad tę świątynię, nad ten dziw światowy —
Z cudnej wspomnień osłony obraz się rozchylił
I rozdartej mej duszy tęsknotę umilił:
To — rodzinny mój, polski kościółek wioskowy.

Wiedeń, 22. Czerwca 1888.

Antoni Stanisław Chołoniewski.

NARYMOND,
WIELKI KSIĄŻĘ LITEWSKI.
Opowieść na tle historycznem.

I.

Szumią dęby wyniosłe ponad Niemnu falą,
Pieją pieśnie ojczyste, Niemnowi się żalą:
O! bo inne już czasy dla dębów nastały,
Odkąd krzyżackie rogi nad Preglą zagrały.
Stalne kniaziów ramiona jeszcze Litwy strzegą,
Wolne fale niemnowe do Bałtyku biegą,
Wolne dęby podnoszą ku niebu korony,
Smutną jednak wieść niosą zaniemnowe strony:
Któż wie?... krzyżak tu zamek niebawem postawi,
Miecz się we krwi litewskiej strumieniach opławi,
I w łańcuchach zadzwonią zerdzwiałe ogniwa
I w niewoli zajęczy kraina szczęśliwa?

O nie — nigdy! przenigdy! Bogi Litwy żyją,
Oni świętą tę ziemię swą pieczą okryją!

Zagrajcie trąby raźno! Litwa w pochód rusza!
Echa bory powtórzą. W pieśni żyje dusza,
W pieśni serce uderza, a więc graj, o pieśni —
Niech się sława rozchodzi: sławie nie żyć w cieśni!
Dzielny książę Narymond! mieczem świat owłada,
Zbił żelazne krzyżaki, Ruś przed nim upada,
A z Mazowsza czy słyszysz jęki, płacze, żale?
Żaden wróg się na Litwę nie porwie zuchwale:
Bo nad Litwą panuje książę jak stal twardy,
Jak wiekowy dąb — olbrzym wspaniały i hardy,

Jako błyski tak prędki, jak bogi potężny,
Jako orzeł polotny, a jako lew mężny!

Książę nie znał, co miękkie węzgłowie i puchy.
Jemu tarcza, hełm stalny, pancerz: to pieluchy —
Zą kolebkę miał konia jak orły lotnego,
Pieśń piastunki: to szumy dęba stuletniego.
Pierwszą kąpiel odebrał w krwi strugach czerwonych,
A odpoczął na łowach po harcach szalonych.

Dzisiaj z bitew powrócił, dziś na łowy jedzie —
Długi szereg łowiecki książę w puszczę wiedzie:
Pod nim wrony koń jego dumny i wspaniały,
Co znał pana swojego i jak on zuchwały,
Rwał się w boje, krwi szukał, jej wonią drażniony,
Piersią hufce rozbijał, rwał się jak szalony.

Koń i jeździec jednacy: krew w nich wrzała młoda,
Świat by chcieli przelecieć jak niemnowa woda!

Książę jedzie na łowy. Puszcza stuwiekowa
Szumi, huczy i śpiewa, a pieśń to nie nowa,
Bo z pradziadów na wnuki przechodzi w spuściznie
Miła dziecku, młodzieńcom, mężom i siwiznie.
Czarem pieśni tej zmierzchłe wieków żyją dzieje,
W pieśni tej zapał świeci i błogie nadzieje,
I wspomnienia dni sławnych, wspomnienia pokoju,
Wielkich ludzi i książąt — i krwawego boju!

Póki dębom i puszczy istnieć na tym świecie,
Póki łąkom hodować wonne zioła, kwiecie,
Póki wodom niemnowym do Bałtyku płynąć,
Póty Litwie i Żmujdzi wzmagać się i słynąć!
Puszcza wieki przetrwała i wieki trwać będzie —
I pieśń puszczy od wieków brzmi, rozbrzmiewa wszędzie.
Książę wstrzymał rumaka: ton pieśni mu znany,
Dzieckiem nią się zachwycał—w jej tony wsłuchany
Wyczekiwał aż słońce ze wschodu wyjrzało,
Aż go zimne powietrze z jeziora owiało —
On codziennie jej słuchał, a przecież mu miła,
Przecież codzień w nim serce i duszę budziła.

I dziś długą już chwilę szumów pieśni słucha,
Gdy mu echo przyniosło szczekanie do ucha:
Tam ogary śród puszczy padły na trop tura,
Ujadają i grają. Księcia twarz ponura
Wyjaśniała, dłoń oszczep ujęła potężnie:
Nieraz książę się z turem już potykał mężnie,
A dłoń wprawna nie umie chybiać swego celu.
Książę dłoń swą wyćwiczył na nieprzyjacielu,
W mnogich bojach i harcach lejąc krew obficie,
Walcząc wszędzie najpierwszy, nie dbając o życie.

Lecz się głosy ogarów daleko już szerzą,
Za jezioro snać pędzą za nową grabieżą.
Niecierpliwi książęcia na miejscu czekanie,
A więc konie popiera gdzie ogarów granie.
Widziałżeś puszczę czarną, widziałżeś jej dziwy?
Czyś wysłuchał, co szemrał dąb lub buk sędziwy?
Czyś doświadczył tych wzruszeń wchodząc pod [korony
Drzew, co swemi gałęźmi tworzą strop sklepiony?
Pod sklepieniem mrok szary widma jakieś snuje:
Tam w oddali ptak czarny górą przelatuje,
Tutaj jęknie złowrogo puszczyk albo sowa —
Znowu cisza, znów szumy, melodja znów nowa.
Ciemno w koło — dreszcz jakiś wstrząsa i przej- [muje:
W obec wielkiej natury człek małym się czuje.
I drży przed tą naturą, radby ujrzeć słońce,
Na przestworzu błękitów jak lampa płonące!

A jako promień złoty wędrowcom w tej chwili
Czarne mroki rozpędzi, wędrówkę umili —
Tak książęciu zabłysło zjawisko promienne:
Książę wstrzymał rumaka, gdzie wody bezdenne
Świętych jezior od wiatru marszczyły swe fale,
Gdzie dąb — olbrzym swą głowę wzniósł w niebo [wspaniale.
Książę ujrzał dziewicę na białym rumaku:
Wiatr jej pióra chybotał na krasnym kołpaku,
Z pod kołpaka się włosy krucze wymykały,
Usta jej koralowe rozkoszą się śmiały,
Oczy czarne jak gwiazdy gdy na niebie świecą.
W kogo spojrzą, wnet w sercu namiętność rozniecą.

Płec jak śniegi zimowe tak jasna i biała,
A pierś krągła pod szatą wznosiła się, drżała!

Książę wstrzymał rumaka i oczom nie wierzy:
On świat cały przejechał do krajnych rubieży,
On świat cały już widział, lecz takie zjawisko
Nawet we śnie mu nigdy nie zabłysło blisko...
Prawda — dwa lata temu — taż sama dziewica
Raz się była zjawiła jak jezior nocnica —
Książęciu dziewa lekko swą główką skinęła,
Konia w puszczę zwróciła i w puszczy zniknęła!
Tak i słońce w zachodzie gdy w ziemię się chyli,
Wyśle promień ostatni i gaśnie w tej chwili!

Próżno książę na koniu puszczę wszerz przebiega,
Próżno echo wołania brzmiało u wód brzega,
Próżno zmęczenie konia pianami okryło:
Zjawisko jak sen znikło, jakby go nie było!

Książę w róg swój bawoli potężnie uderza,
Głos przeciągły a grzmiący w puszczy się rozszerza:
A za głosem wnet jakby na wróżki wołanie,
Tysiąc w koło książęcia sług chętnych powstanie.

Książę nie rzekł i słowa, dłonią tylko skinął
I zawrócił rumaka, jezioro ominął,
A wyrwawszy się w pole, z wiatrem puścił konia:
Echo niosło tętenty przez lasy i błonia,
Wierna służba w ślad za nim pędem poleciała,
A puszcza cicha, smętna jak pierwej szumiała.

Już w oddali zamkowe Nowogródka mury
Ukazały się jeźdcom. Nad miastem lazury
Czystych niebios jaśniały, a słońce w zachodzie
Rozsiewało promieni złocistych powodzie
Tak, że zamek patrzącym zdał się w ogniu cały...
W środku ciemny, w około miał wieniec wspaniały
Z purpury i ze złota, a wysoko w górze
Na wieżycy tam sztandar rozwiał się w lazurze.
Jak wicher wpadli jeźdcy przez most opuszczony
Na zamkowe dziedzińce. Zamek jak uśpiony

Był przed chwilą milczący, cichy i ponury,
Teraz życie, gwar, tętent zapełniły mury.

II.

W pamięci ludzkiej stare dzieje się zatarły,
Wielkie rody rycerskie od wieków wymarły;
Dziś prawnuki zdrobniałe słuchając powieści
O olbrzymach swych przodkach, o sławie, o cześci,
O ich czynach i walkach, o harcie ich duszy:
Ach! kogoż z nich, ach! kogo powieść ta nie wzruszy?
Któż nie pragnąłby dążyć w ich ślady i czyny,
Wszakże to ojce nasi! a myż nie ich syny?
Lecz daremna! skarlałe plemię nie jest w stanie,
Dźwignąć ojców swych wielkie, wiekowe zadanie!
Aby w ślady ich wstąpić, trza wyróść w olbrzyma,
Trzeba zaprzeć się siebie, w niebie tkwić oczyma
I za gwiazdą przewodnią iść drogi takiemi,
Jakie ojce przebiegli żyjąc na tej ziemi!
Trzeba pierś swą uzbroić, w pot ustroić [skronie,
Trzeba w pracy i czynie hartować swe [dłonie,
Trzeba wierzyć jak ojce i dziady wierzyli:
Trzeba woli — a przyszłość jasna się wy-[chyli!

III.

A zamkową komnatę w pół mroku, w pół cieniu
Szerokiemi krokami Narymond rozmierza —
Słabe tylko światełko błyszczy na sklepieniu,
Drugie światło odbite pobłyska z pancerza,
To znów mignie na tarczy, na hełmie, na zbroi,
Myślisz że żywy rycerz w kącie sali stoi.
Czasem długi miecz jasno na ścianie zaświeci...
Znowu mroczno. Do światła ćma biała podleci.
Echem dzwonią posadzki, ściany echem wtórzą:
A pierś księcia się wznosi poruszana burzą.

U odrzwia stanął Ryngold, czeka na rozkazy,
Ale przerwać książęciu zadumy nie waży.

Spojrzał książę na druha walk krwawych i bojów,
Towarzysza wycieczek i wojennych znojów,
Co choć sługą był tylko, był więcej jak bratem,
Książę zaś dla Ryngolda był bożyszczem, światem!
Nieraz mu książę tajnie myśli swoich zdradza,
Niejedno Ryngold z księciem tajemnie uradza.
I dziś dłużej już książę myśl w sobie nie wstrzyma,
Chodząc ciągle po sali, tak mówić zaczyna:

„Dziwne to serce ludzkie — śni ono i marzy,
Czasem rwane uczuciem w oku ogniem żarzy,
Czasem ciche, uśpione niby nic nie czuje,
Albo tylko o sławie, o bojach myśl snuje —
Ale czasem gdy promień miłości tam wpadnie,
Wtedy miłość tem sercem rozrządza wszechwładnie;
Jedno jej to, czy serce sługi albo pana.....
A jak słońce dla obu codzień wschodzi z rana,
Tak i miłość zarówno obu serca poi,
A myśl wtedy czarowne sny marzenia roi!
Toż nie dziwno, że dzisiaj ja żelazny książę,
Ja, co w bitwach i walkach jak krwawy sęp krążę,
Ja, co nie znam spokoju — na koniu wyrosły,
Dzikością napojony i dumą wyniosły,
Dzisiaj pragnę spokoju. Wiesz, w Krewie panuje
Olszana, co rycerstwo wdziękami czaruje.
Idź i przywiedź ją dla mnie!“
„Księżniczkę Olszanę?
Znacież wy ją, mój książę?“
„Jak słońce wiośniane,
Tak dwa lata ją temu ujrzałem promienną,
I spojrzałem w jej oczy jak w przepaść bezdenną,
I w lica jej przecudne jak białe lilije,
Z rumieńcem jak u róży, gdy pączek rozwije!
Czyż to dziwne że książę, że rycerz szaleje,
Żywiąc w sercu i w duszy niebiańskie nadzieje?
I tak o niej wciąż marząc dwa lata walczyłem,
Krwi strumienie rozlałem, grody poburzyłem,
Ale większa mi burza w piersi mojej grała:
Myśl o dziewie spokoju i snu mi nie dała,
Bo wtedy nie wiedziałem o krewiańskiej księżnie —
Bo byłbym tam wnet zjechał rycersko, orężnie,

Byłbym się skłonił dziewie i o rękę prosił....
Lecz ze wschodu blask krwawy nową wojnę głosił:
Pojechałem, pomknąłem na harce, na boje,
Myślałem że zapomnę, że myśli ukoję....
Dziś po bojach powracam — przy świętem jeziorze
Znów spotykam ją piękną jak poranne zorze,
Znów jej oczy w mem sercu nowe żary niecą —
Ona moją być musi — myśli ku niej lecą,
Ona moją być musi! serce żąda, pragnie...
O! ona mi się odda.... ku mej woli nagnie!“

IV.

Do Kiernowa przez lasy, przez puszcze, przez wody
Jedzie książę Narymond po księżniczkę młody,
Strojny w pancerz, hełm stalny jakby szedł na boje.
Obok Dowmont brat księcia, za nim dzielne woje*),
A Ryngold między niemi pierwsze miejsce trzyma.
Czoło ma zachmurzone, po niebie oczyma
Szuka wróżby dla księcia — oj źle mu się wróży:
Dwa razy koń się potknął w początku podróży,
Z lewej strony wron stado krążąc przeleciało,
A słońce jasne z rana, mgłami się owiało.
Również Dowmont brat księcia chmurnie okiem toczy,
Zapatrzony w mgły białe na jezior przezroczy.
Lecz ponury wzrok jego nie dziwi nikogo:
Dowmont zawsze był chmurny, zawsze patrzał srogo,
Zawsze mu w oczach błyski jakieś dziwne tlały.
W bojach stawał najpierwszy i rwał się zuchwały —
Częściej jednak nocami ukradkiem napadał.
W zamku swoim surowo nad poddany władał,
A choć posłuch miał wielki — nie miał przyjaciela,
Nie miał druha jak Ryngold śród poddanych wiela.

V.

Błysły mury krewiańskie: cel drogi rycerzy —
Wnet Ryngold na znak księcia głośno w róg uderzy;
Rycerstwo się wstrzymało — zamku most spuszczono,
Bo po rogu poznano, jakie jedzie grono:

---

*) Licentia poetica za „dzielni wojacy.“ (Przyp. red.)

Poznano wielkiego kniazia o szerokiej sławie,
Co był wszystkich ziem Łotwy tarczą w każdej sprawie.
Lecz dziwią się, dlaczego po swoim zwyczaju
Nie jechał prosto w zamek, lecz stał przy ruczaju,
Tam namioty swe rozbił, na zamek słał posły:
Widno wielkie zdarzenia czasy im przyniosły.
Tak lud gwarzył u brony.
W zamkowe komnaty,
Gdzie księżniczka tka złotem jedwabiste szaty,
Wchodzi Dowmont i Ryngold. Księżniczka powstała
I one posły książęce uprzejmie witała.
Mowę począć miał Dowmont — gdy spojrzał w dzie-
[wicę,
Kiedy spojrzał w jej oczy, w lilijowe lice,
W ustach słowa zamarły — on patrzał zdumiony,
Bo wnet piękną księżniczkę pokochał — szalony!
I odtąd wciąż płomiennem okiem tkwiąc w Olszanie,
Uczucia prawdziwego ukryć nie był w stanie.

Więc tylko Ryngoldowi dłonią znaki daje,
Ryngold głową skinąwszy przed księżniczką staje,
Potem krok postąpiwszy, tak pomówił śmiało,
Jako posłu wielkiego książęcia przystało:
„Narymond władca Litwy u zamku podwoi
Prosząc was o gościnę, przy rumaku stoi
I przesełа wam liczne i bogate dary:
Jako każe powinność i obyczaj stary.
Jeśli księżna te dary przyjąć chętnie raczy,
Skłonnością serca książę to sobie tłumaczy.
Mówcież, czyli książęciu zaniosę nadzieje,
Czy nadziei promienie zimny wiatr rozwieje?“

Białe lica księżniczki rumieniec okrywa,
Nie wie co ma powiedzieć: widać że szczęśliwa,
Widać jak się jej łono uczuciem podnosi.
Dary wzięła do ręki: księcia w zamek prosi.

Ryngold rad że poselstwo swoje dobrze sprawił,
Nie długo u księżniczki na komnatach bawił:
Zbiegł do księcia — obwieszcza nowinę wesołą.
Na wieść dobrą kniaź jasne swe rozchmurzył czoło

I na zamek pospiesza, przed księżniczką staje,
Z oczu widać, że serce rycerskie w nim taje.

Otworem komnat dalszych szerokie podwoje:
Księżna prosi rycerzy, by złożyli zbroje
I po trudach spoczęli w jej zamku weseli,
Kazała służbie książąt zawieść do kąpieli,
Potem ucztę gotować, zwołać wajdeloty,
Sama poszła się stroić w wieniec i pas złoty.

VI.

Od strony kędy słońce w zachód chyli głowę,
Widać kurzu tumany wielkie sino-płowe:
Jacyś jeźdcy na koniach pędzą co sił staje.
Konie ich unurzone, bo szerokie kraje
Przebieżały nie znając spoczynku, ni wczasu.
Już minęli jezioro, ruczaj, krawędź lasu.
Przypadają do brony, o księcia pytają,
Jechać w zamek chcą skoro, choć z sił opadają.

Na zamku ucztę właśnie tylko rozpoczęli,
Gdy posłowie z daleka przed księciem stanęli:
„Potężny książę Litwy! — rzekł pierwszy od proga—
Krzyżak w Nadrawie broi — ratuj nas od wroga!
Twe ramię tylko dzielne jedno nas obroni —
Ratuj książę Nadrawę! Twej walecznej dłoni
Lud nasz ufa — i wierzy, że go zbawisz panie!“
A drugi poseł doda: „Także Suławianie
Wnoszą prośby błagalne! Hartman swe zagony*)
Szeroko w mojej ziemi rozlał na wsze strony!
Włości w ogniu, a w gruzy legły zamki nasze!
Potężny, wielki książę! tylko ramię wasze
Zdolny tarczą nas okryć! ratuj nas waleczny,
Niech od twego imienia pada wróg odwieczny!“

---

*) Ósmy mistrz krzyżacki Hartman hrabia z Heldringu obrany w r. 1275-m, umarł w Wenecji 1283, współczesny Narymondowi. Ruskie krainy: Nadrawę i Suławią podbił. Miasto Malborg za jego czasów zbudowane.

Książę posłów słuchając, na dłoni sparł głowę
I daleko słał przed się wejrzenie surowe;
Potem spojrzał w Olszanę, spojrzenie łagodzi;
Widać walka wewnętrzna w sercu mu się rodzi—
Nie wie czy ma pozostać, czy ruszać z pomocą —
Znowu podniósł swą głowę, czoło zmarszczki toczą,
Wreszcie spędza zadumę z szerokiego czoła:
„Ha, więc serce zaczeka, gdy powinność [woła!“
Rzekł książę i rozkazał zwołać dzielne woje
I gotować się wszystkim znów na ciężkie boje.

Potem z tęsknym uśmiechem przed Olszaną staje:
„Wybacz księżno, że rzucam gościnne te kraje,
Wybacz, wkrótce powrócę — odwieczny wróg Litwy
Zwalcza Prusy — do Niemna posuwa gonitwy.
Już krzyż, godło niemieckie w Pregli się odbija,
Jeśli nad Niemnem błyśnie, hańba będzie czyja?
O nie! dopóki tylko miecz mi dzierżyć w dłoni,
Póki stalny hełm jasny udźwignę na skroni,
Krzyżak Niemna nie dojdzie — hej dalej na boje!
A nadzieje i przyszłość składam w ręce twoje!“ —
„Jedźcie książę! — tak piękna Olszana odrzecze —
Jedźcie na walki krwawe, na groty, na miecze —
Jedźcie i gromcie wrogi, a gdy powrócicie,
Jasny miecz swój ze stali w me dłonie złożycie,
Rękami wam mojemi hełm podniosę z czoła
I pieśń na powitanie zabrzmi wam wesoła!“

Książę raz jeszcze spojrzał na oblubienicę,
Kłonił się jej rycersko, hełm spuścił na lice.

VII.

Z początków małych wielkie dzieła urastają —
A jako gdy śnieg topnie, strumienie wzbierają
I z gór wartko rwąc brzegi i głazy i skały
Pędzą przeszkód nieznając, by w Dunaj wspaniały
Rozlać się po równinach przed zdumionem okiem,
Tak i Litwy szczep mały z razu był potokiem —

Długo w puszczach swych czarnych narody jednoczył,
Zanim nagle swą świetność na wschodzie roztoczył.

Narymond od swych przodków dzielnych nieodrodny
Okazał, że Erdźwiłła i Mendoga godny —
On sztandar ich wzniósł w górę: za Erdźwiłła śladem
Zwalczał ruskich ziem ludy słynące bezładem
I rozszerzał swą Litwę do Dniepru, do Desny.
Z drugiej strony jak Mendog wielki i poczesny
Przeciw chciwym krzyżakom dniem i nocą stawał,
Walczył, gromił, zwyciężał — pomoc Prusom dawał,
Wiedział że jeśli zakon niemiecki nie [złamie,
To w własnym domu Niemców dosięże go [ramię.
Więc choć miłe mu były wczasy przy Olszanie,
Odkładał szczęście swoje, by spełnić zadanie.

Dowmont wszystkie wyprawy z Narymondem dzielił,
Ziemie bliskie Inflantom wraz do Litwy wcielił,
A tam gdzie Święta rzeka wody swe rozlewa,
Tam założył Uciany i zamczysko z drzewa.

Dzisiaj z Krewa z książęciem na krzyżaki jedzie,
Ale w sercu i w myślach bój ze sobą wiedzie:
„Czyż wszystko wielkie, piękne Narymond posiędzie?
Gdy powróci z wyprawy, te piersi łabędzie
Ukołyszą go do snu — mnie nic nie zostanie...
Nie dla mnie kołpak księcia, nie dla mnie kochanie!
Ach czemuż pierwej, przed nim, dawno jej nie znałem,
Czemuż w piersiach mi gore źniczowym upałem,
Jakby dziewic nie było kraśniejszych na świecie!
Precz myśli moje dziwne! gdzie wy mnie niesiecie?
Porwać jemu Olszanę! ha! niechaj się stanie...
Podziel przecie raz dobra bracie mój i panie!
Tobie kołpak a dla mnie Olszana zostanie!“

Dziwny uśmiech przeleciał po Dowmonta twarzy:
Kiedy działać rozpocznie, w myślach sobie waży.
Gdyby z drogi zawrócił, zdradę by wietrzono
I wnetby go strażami w koło otoczono —

Więc się w myślach zatopił, widno coś uradza,
Bo odtąd jego chmurna twarz się wypogadza:
„Czasu jeszcze mam dosyć — pojadę na boje,
A po bojach ujrzymy co moje, co twoje!“

VIII

A na Krewie Olszana wygląda i czeka,
Jakie wieści od księcia przywiozą z daleka.
Jeden miesiąc upłynął, drugi bliski końca —
Nocą widać płomienie na zachodzie słońca,
Widać łuny odległe: snać boje zażarte,
Bo nie łatwo ustąpi krzyżactwo uparte.

Potem łuny przygasły i już płyną wieści,
Już Olszana się myślą, nadziejami pieści,
Że po boju po krwawym zwycięzcę powita,
Że w oczach Narymonda wnet miłość wyczyta!

I wstał dzionek rumiany, piękny i wesoły.
Nad równiną mgły białe wzniosły się na poły,
Na poły przesłaniały łąkę, strumień, lasy.
Ptaszą chóry poczęły już swoje hałasy,
Mgły wiatr lekki pomuskał, że jak jezior fale
Chwiały się, podnosiły ku górze wspaniale:
Myślałbyś, że to wody zalały obszary,
A las mgłami owity: to jezior szuwary.
Ze wschodu płynie słońce na błękitne stropy
I przesuwa promieni swych, złociste snopy.

Z pośrodka mgieł tych widny rój świateł błyszczą-
[cych:
To słońce drży odbite w stalnych hełmach lśniących,
Bo tam hufiec rycerzy równinę przebiega —
Straż zamkowa Litwinów z wyprawy spostrzega:
Już poznaje Dowmonta, co biegł strażą przednią.
Wnet spuszczono most z zamku nad rowu bezednia,
A już Dowmont pospiesza z wieścią do Olszany,
Pewno dary posełа Narymond kochany
Wpierw, nim sam tu przyjedzie na weselne gody
Strojny świeżem zwycięztwem rycerski pan młody!

Dowmont wbiega w komnaty, przed Olszaną staje:
„Olszano, pani moja! przez szerokie kraje
Biegłem tutaj do ciebie — Olszano! bądź moją —
Ja cię kocham nad światy, jak kochankę swoją!
Gdybyś znała, jak w piersiach wrą mi ognie jasne —
Wnetbyś sercu mojemu dała serce własne.
Olszano! Zanim książę Narymond przybędzie,
My umknijmy! umknijmy! Konie w całym pędzie
Nas uniosą za lasy, za wzgórza, za rzeki
Hen do Ucian, do moich — hen aż w kraj daleki!“

Księżna słucha zdziwionem i sercem i twarzą,
A oczy się jej ciemne blaskiem ogni żarzą:
„Czyliżby książę Narymond?“.... „On ma dość wszy-
[stkiego —
Ma sławę, ma i kołpak książtwa litewskiego —
Przerwie Dowmont księżniczce — a mnie cóż zosta-
[nie?
Zostanie miłość moja przy pięknej Olszanie!“
Pojęła teraz słowa księcia i zachcenia,
Ale nie mogła jeszcze wynijść ze zdziwienia.
Cofa się a oczami obrony wygląda.
„Ha ha! -- śmiał się — więc Dowmont tak za
[wiele żąda?
Pewnie! lepiej być żoną księcia Litwy całej,
Niżli moją — i panią być krainy małej!“
Z dumą księżna odrzecze: „Ja nie dla zaszczytu
Pokochałam książęcia — bogactw do przesytu
Mam tu w zamku tym moim — lecz choćby naj-
[mniejszy
Był Narymond z rycerzy — byłby tem milejszy —
Jednak że on waleczny, że wielki, wspaniały:
Dumną jestem ja z tego — ty uchodź zuchwały!
Bo cię ramię książęcia dosięgnie za światem:
Brat twój mógłby zapomnieć, że jest twoim bratem!“

„Próżne strachy księżniczko! Narymond nie sięga
Tak daleko, do Ucian — tam moja potęga,
Tam ja ciebie uniosę, chcesz, czy nie chcesz sama:
Widzisz — zamku twojego otworzona brama,
Widzisz hufiec mych ludzi? trudna więc tu rada;
Dziś co Dowmont wymaga, to spełnić wypada!“

I poskoczył, pochwycił Olszanę w ramiona,
Zbiegł w dziedziniec i na koń skoczył bez strze-
[miona.
Dał znak rogiem: wnet hufiec otoczył go w koło —
A zamek ich tętenty odbił niewesoło.

IX.

Ledwie słońce na niebie południa dobiegło,
Tętnienie nowych jeźdców w zamku się rozległo —
To Narymond z wyprawy do Olszany wraca.
Lecz kędy zajrzy w zamku, pustka go otacza.
Służba strachem przejęta kędyś się pokryła
A zamek stoi cicho jak wielka mogiła.
I długo szukał książę, nim prawdy dopytał:
W oczach jego wnet każdy straszny gniew wyczytał —
On do konia poskoczył, w północ dłonią skinął,
A za nim hufiec zbrojny jak rzeka popłynął.

*
* *

Za górą, daleko między czarne bory
Ich dwoje na przedzie unosi koń skory:
„Cyt miła Olszano — tam zamek mój stoi,
Tak piękny i silny jak rycerz we zbroi.
Cyt luba, tam dla nas, tam szczęście jedynie —
Niech lęk twój i niechęć jak lód się rozpłynie,
Gdy promień słoneczny go muskać, grzać pocznie —
Olszano łzy otrzyj, uśmiechem kraś lica.
Tam stoi mój zamek, tam stoi naocznie
Szeroki, przestronny, warowny i jasny,
Jak miecz mój żelazny, jak moja zbroica.
Patrz w koło! I ziemia, i kraj mój ten własny —
Patrz, struga srebrzysta przecina tam błonia,
Patrz dalej tam bory, cieniste ustronia,
Szerokie jeziora, o luba, to twoje!
Weź wszystko, weź razem i serce weź moje!
Olszano, ty kochaj Dowmonta, on prosi,
On modłę do Ciebie jak Bogu zanosi:
Olszano miej litość!“ Tak Dowmont na koniu
Unosząc Olszanę do zamku swojego,
Mknąc pędem jak wicher na polu i błoniu,
Tak mówił i błagał. Ponury wzrok jego

W tej chwili tak jaśniał jak promień księżyca:
On blaskiem nadziei promienił swe lica —
Nadzieja daremna! Nie słowo miłości,
Nie słowo wynurzeń na ustach zagości
Olszany dziewicy, co dzisiaj porwana
Od boku lubego jej księcia i pana.
Lecz Dowmont umyka: „O pomnij Dowmoncie,
Że brat twój tej zdrady nie puści bezkarnie;
On piersią żelazną twój zamek roztrąci,
A szkodaby zamku, że pójdzie tak marnie!
Dowmoncie! ten zamek, Uciana twa będzie
Wnet z ziemią zrównana... Narymond pan srogi
Olszanę on znajdzie, dopędzi cię wszędzie —
I uciec nie zdołasz, nie stanie ci drogi!“
Lecz Dowmont szalony nie słucha przestrogi.

Wichr szumi i lasy — a ziemia aż jęczy,
Tak pędzi, tak goni on w okop Uciany —
Dziewicze drży serce śród piersi Olszany,
Łzy z oczu jej płyną, niepokój ją męczy
I trwoga i wstręty — ach gdzież jej kochany?
Czyż wspomni on na nią, czyż wyrwie z niewoli,
Czy kocha ją jeszcze, czy wierzy Olszanie?
Jej serce drży ptasie i serce ją boli
I krasa jej blednie jak gwiazdy w zaranie,
Aż główka się chyli — przez bogi! co znaczy?
Łzy z oczu nie płyną, Olszana nie płacze,
I uśmiech w jej licach jak promyk przepłynął
I smutne jej czoło weselem owinął?
Przez bogi! patrz! ona już główkę swą chyli
Na piersi Dowmonta!... o serce motyle,
O zdradna dziewico! jak łatwo ci zwodzić!....
O lepiej się było tak zdradnej nie rodzić!
Tak łatwo ci serce przemieniać dziewico:
Niegodnaś rycerza i kniazia wietrznico!
On pewno tam w drodze rozpaczy łzy leje,
A ona ach tutaj innemu się śmieje?
Lecz patrzaj — ten uśmiech jak błysk gdzieś za-
[ginął,
Splot włosów jej piersi i szyję owinął,
Źrenicę osłania spuszczona powieka,
Krew z twarzy, rumieniec z jej lica ucieka..

Patrz — pada już z konia — omdlała dziewica.
Lecz blisko już, blisko Dowmonta stolica.

Na ręce ją Dowmont uchwycił jak dziecię —
A słonko jak wówczas jaśniało we świecie,
Gdy porwał ją z zamku — czuł serca jej bicie —
Już dopadł, doleciał do wału, do brony,
Rozkazał most podnieść na fosie zwodzony,
Bo w dali już słychać tętenty, szczęk broni:
Z Nadrawy to pewno Narymond ich goni.
Już widzi tumany, co w górę tam lecą,
A w słońcu jak gwiazdy tak tarcze się świecą.
Już blisko, już blisko — przybyli za późno:
Olszana na zamku, a zamku lud strzeże
I fosa głęboka i wały i wieże,
Daremne starania, zabiegi napróżno —
Lecz słońce nim trzykroć za lasy się skryje,
Narymond Uciany rozburzy, rozbije!

„Przysięgam! — tak wołał kniaź Litwy potężny —
Przysięgam Dowmoncie, że odtąd nie bratem,
Lecz wrogiem mym jesteś — wyzywam gdyś mężny,
Wyzywam, byś stanął mi z bronią do sprawy
I walczył jak rycerz otwarcie przed światem!
Rozdzieli nas odtąd na wieki bój krwawy,
Boś zdrajca i podły — nad tobą zakraczą
Gawrony i kruki — a sowy zapłaczą:
Narymond nie rzecze napróżno ni słowa!
Pójdź podły ty zdrajco! mogiła gotowa,
Otwarta, szeroka na ciebie już czeka —
No, wychodź psie podły, niegodny człowieka
Imienia ni sławy — pójdź zginąć jak podły!“
Te słowa Dowmonta aż żywcem ubodły.
Więc wyszedł na wały drżąc z gniewu i złości:
„Przez bogi potężne! wiatr zwieje twe kości,
Rozsypie po świecie, niegodny padalcze!
Jam rycerz, jam nigdy nie uległ ci w walce!
Ha pójdźmy w zapasy — niech krew tu popłynie,
Niech jeden z nas padnie, niech jeden z nas zginie:

Świat ciasny nam obu — występuj na boje,
Wnet dzisiaj psy twoją krwią ciepłą napoję!"*)

I wyszedł za bramę i konia dosiada
I miecza dobywszy, na kniazia napada.

Jak orły dwa w górze na nieba błękicie,
Gdy skrzydła rozwiną i walczą o życie
I jeden w drugiego wciąż godzi skrzydłami:
Tak obaj rycerze walczyli mieczami.
Skry sypią się w koło, jak błyski miecz świeci,
To spada ku ziemi, to górą przeleci,
To znowu jak piorun ku piersi domierza,
To w tarczę z wściekłością zaciętą uderza.
Lecz równa ich siła i zręczność jednaka
I konie ich zwrotne jak chybki lot ptaka.

Wtem książę Dowmonta po mieczu uderza,
Wytrąca mu z dłoni, dosięga pancerza:
Ach chwila już tylko — brat brata zabije,
Dowmonta pierś mieczem Narymond przeszyje....
Lecz cóż to? czy bogi dłoń księcia wstrzymały,
Czy nie chce zabijać Narymond wspaniały?
Kniaź Litwy potężny sam walczy, zwycięża,
Lecz umie hamować zapędy oręża —
On nie chce zabójcą być brata rodnego:
Chce tylko ukarać — dość zemsty dla niego!

Przed Narymondem wnet się bramy otworzyły,
I wnet mosty zwodzone na rowy zniżyły:
Wszystek lud wybiegł z miasta świątecznie ubrany
I tak książę wszedł w miasto, przez wszystkich witany.
Naprzeciw Narymonda w strojnych dziewic wianku,
Bieży księżna Olszana. — Jak słońce w poranku,
Tak promienna weselem — bo jej książę luby
Przyszedł wyrwać z niewoli, obronić od zguby!

---

*) Podobne nieparlamentarne mowy przed zaczęciem walki były wówczas we zwyczaju. Pomnijmy jak Bolesław Chrobry był przez Ruś (1018) nad Bugiem wyzywany, nim rozjątrzony przebył rzekę wpław, gromiąc walnem zwycięztwem nieprzyjaciół.

A lud wkoło zawołał: „My innych nie chcemy
Panów, my Narymonda panem mieć pragniemy!
Panuj nam dzielny książę, waleczny, wspaniały,
Wyzwol nas z ręki brata, co walczył zuchwały
Przeciw tobie o panie! Nie chcemy tyrana —
Ciebie prosim, błagamy za ojca, za pana!“

Książę skinął, wnet Ryngold lud wszystek szykuje —
Książę chce odpowiedzieć — ciszę nakazuje:
„Znana wam wszystkim zdrada książęcia Dowmonda —
Rzekł Narymond do ludu — wina kary żąda —
Lecz Dowmonda krwi bratniej ja nie jestem chciwy:
Więc uchodź ztąd szalony, uchodź nieszczęśliwy!
Kraje te pod moc moją i rządy swe wcielam,
A ciebie jak złą gałąź od drzewa oddzielam:
Uchodź, szukaj ojczyzny za Desną, za Dźwiną —
Na wygnaniu tam lepsze myśli ci przypłyną!“

Dowmont słowa nie odrzekł, tylko okiem błyskał,
I uchodząc za miasto straszne klątwy ciskał,
A w myślach snuł już powrót i mściwy i krwawy*).
Umykając na północ — zniknął śród kurzawy.

X.

A w zamku, gdzie przed chwilą wygnaniec panował,
Wdzięczny lud onemu księciu ucztę nagotował.
Więc w komnacie ozdobnej zastawiono stoły
I w komnatę wiódł księcia lud szczęsny, wesoły.
Wnet przyszli wajdeloci z pieśniami staremi,
A jeden się do księcia ozwał słowy temi:

---

*) Po Narymondzie na Wielkie księztwo Litewskie i Żmudzkie, Trojden brat młodszy wstąpił. Dowmont, który był do Pskowian umknął, przez których za księcia obrany: „na Trojdena brata dla zazdrości że młodym będąc, Wielkiem księztwem Litewskiem rządził, trzech chłopów naprawił, którzy go z łaźni nieostrożnie idącego zabili.“ Poczem wpadł z wojskami do Litwy, lecz Rymont syn Trojdena pobiwszy go — na zjeździe w Kiernowie Witena Wielkim księciem ogłosił, a sam żywot zakonny sobie obrał.“ (Gwagnin.)

„Poczesny panie, godny następco Mendoga!
Przebiegłeś z mieczem kraje—sławna twoja droga—
Sławne twoje zwycięztwa po wszech krańcach ziemi:
Litwyś imię rozgłosił czynami szczytnemi.
Dzisiaj ludy twe proszą: daj im godło panie,
Daj im jeźdca na koniu, co podnosi ramię,
Aby gromić swych wrogów, bronić uciśnionych,
Do czynów lud wieźć świetnych, jak czasów minionych
Wiódł go Erdźwiłł, wiódł Mendog i ty wiodłeś książę,
Niech czyny wasze sławne jedno godło zwiąże!“

Powstał książę Narymond, dziwnym ogniem płonie—
Widać, wielkie uczucia wrą w tem wielkiem łonie.
On ukochał tę Litwę duszą swoją całą,
On tę Litwę chciał widzieć potężną, wspaniałą,
W długie wieki zwycięzką w rodzie Palemona*).
Lecz czy jego zamiarów następca dokona?
Czy potomki udźwigną tarcz jego stalową?
O nie lękaj się książę! Twa Litwa na nowo
Rozbrzmi sławą zwycięzką po wszech krańcach ziemi—
Zostaw tylko jej godło, a czyny sławnemi
Pójdzie Litwa w twe ślady! więc książę ogłasza:

„Za wolą ludu mego niech ta ziemia nasza
Po wsze wieki ma godło: rycerza na koniu,
Co zwycięzko harcuje po szerokiem błoniu,
Gromiąc dzikie krzyżactwo! Walkę tę w spu-
[ściznie
Zostawiam kniaziom Litwy i mojej oj-
[czyznie!
Niech przyszłe wieki patrząc w ojczystą Pogonię
Do czynów wspólnych łączą ochoczo swe dłonie —

---

*) Pierwsi książęta Litwy wywodzą ród swój od Palemona, wodza rzymskiego. Po Narymondzie panował Trojden, a po nim Rymont Witena z rodu Kitawrów Wielkim księciem Litwy ogłosił. Witen został potem 1300 przez Gedymina zabity, a Gedymin ogłosił się Wielkim księciem.

Bo tylko jedność, wola i wspólne działanie
Sławę ojczyzny naszej rozgłosić są w stanie!" *)

Skończył książę. Lud wesół wnet ofiary składa
Bóstwu, co siłą darzy i pioruny włada.
Od stołu wstaje księżna i Narymond młody:
Pora wracać do Krewa na weselne gody.

Słońce chyli swą głowę ku zachodniej stronie
I ozłaca promieńmi wzgórza, lasy, błonie,
A ofiarny stos bogom pod niebiosa płonie!

Barszczowice, 25. Sierpnia 1890.

Bolesław Andruszewicz.

---

*) Nad czterma braćmi Narymond jako starszy będąc przełożonym, w Wielkiem księztwie litewskiem panował, gdzie z siłami ich złączając się, Polskę, Ruś, Mazowsze i Prusy częstokroć najeżdżali, krzyżakom też tak inflanckim jako i pruskim nie folgowali. Potem Narymond z Dowmontem bratem, iż mu był żonę, o którą się Narymond w małżeństwo starał, wziął, wewnętrzną walkę zaczął, zamek Ucianę, dokąd się Dowmont z żoną wezbrał, obległ, zamku dostał i żonę odbił,"

a dalej: „Piszą kronikarze sascy, iż Narymond był pierwszym autorem herbu albo klejnotu wielkiego księztwa litewskiego, w herbie mąż zbrojny na koniu białym, miecz goły, jakoby kogo gonił, nad głową trzymający i ztąd jest ten klejnot nazwany Pogonia." Tyle Gwagnin.

W góry i lasy.

I. BESKIDU KOŃCZYNY NAD NAWOJOWĄ i POPRADEM.

Wawrzeniec Firganek, w pieniach Wincentego Pola „z puszczy niepołomskiej“ zwan: Wawrzuś Lekkoduch — wybrał się w wycieczkę urzędową, zwiedzać ostępy i knieje powierzone łowieckiej jego pieczy, gdyż był łowczym starosądeckim i muszyńskim zarazem. Najchętniej przyłączyłem się do leśnej jego drużyny. Szliśmy samoszóst.

Przodem niezmęczonej gęby i płuc p. Kłapsia syn pastora luterskiego z Cieszyna. Z opasłego pieszczocha miejskiego wyrobił się na leśnika niezmęczonego i nabrał owej swobody umysłowej i lekkości pożycia w dobrej i złej doli, jakie znamionują ludzi zaprzyjaźnionych z lasem. Z strzelbą na plecach kroczył sobie przodem: płaszcz krojem wojskowym, takaż czapka z pomponikiem, spodnie w buty; wyglądał niby oficer w pochodzie wojennym zwłaszcza że chłop tęgi i wyprostowany. Ręce spoczywają przełożone przez grzbiet: lecz gęba niespocznie i chwilki. Gędziebny młody i zdrowy! zanadto ma tchu w płucach, śpiewać nie ma z kim, a samemu sprzykrzy się wnet: więc nam śwista, ale to śwista! swobodnie i wesoło, żeby mu pozazdrościły najgłośniejsze drozdy leśne, co to przecie także nie kpy świstuny. „Pechpolka, Invalidenmarsch, Annapolka“.... i Bóg tam zna nazwy wszystkich tych „polek i marszów“, przeplatanych krakowiakami!.... snują się jak z kłębka, a dobitnie i dokładnie: aż

nogom lżej kroczyć. Dla odmiany zaś wyrczy i bębni naśladując doboszów najdoskonalszych. W jednem tylko myli, że poczyna z prawej nogi.

Fedek uczeń szkół realnych krakowskich, siostrzeniec Wawrzusia krocząc obok, nie zaniedbuje wytykać mu, ile razy zbłądził. Wytyka mu znak dając ręką i odpowiedź odbiera zasię znakiem ręki; poczem oba podskoczą naprawiając krok i znów ten śwista „Pechpolkę,“ a tamten milcząc spogląda na niego i kroczy ostro: kaszkiet na uchu a na plecach w krzyż przewieszona torba myśliwska i worek z chlebem. Trzecim z boku kroczy pan kontrolor skarbowy kameralny o poważnej minie kancelaryjnej, z stambułką bez przykrywki na długim cybuchu w ustach a deszczochronem na plecach.

Poczem ja z Wawrzusiem. Jak się tam wydawał pas mój szerokawy i ja sam: nie wiem. Wawrzuś opuścił głowę i wąsięta niesumiaste, kroczy z wolna zadumany a z kieszeni bocznej wygląda mu połówka bochenka chleba, kupionego w karczmie w Młodowie. O czem duma? Bóg go raczy wiedzieć i dla czego chodzi w butach sukiennych? — może właśnie duma o tem, co spowodowało chodzenie w butach sukiennych. Wszakże kroczymy doliną Poprutu a tędy też za młodu chadzał! tu śnił sny serca swego.... Kończy pochód Stanisław a raczej jeszcze Staś, uczeń leśnictwa, pękaty, rumiany i barczysty gdyby kloc dębowy. Silne jego barki dźwigają torbę łowiecką obliczoną na trzy zające, wyładowaną na okrągło. W dodatku wiszą z niej juchtowe ciżmy p. łowczego, gdyż nogi jego schorzałe niepodołają pętom i brzemieniu tego wyrobu starosądeckiego, od deszczu jednak muszą się weń chronić.

Deszcz niewołany i nieproszony zniewolił nas zboczyć z drogi do Piwnicznej miasteczka, gdzie nas też zatrzymał. Było tam właśnie po jarmarku. Starosądeccy garncarze wracają z wozami garnków niesprzedanych, pędzą trzody owiec i kóz, jadą bryki pełne żydów i żydówek po kilkanaściero na wozie, prócz pak, skrzyń i koszów bokami wiszących, z których wiszą krwawe szyje i głowy drobiu za-

rżniętego: bo tu i drób tańszy i koszerny rzeźnik tańszy, więc ród Izraela korzysta, kupuje i zaraz każe rżnąć.

— Co tam słychać? dobry był targ?

— Oj! oj! doskonały... masła byłby kupił tanio....

Żydek domyślny wie, że po miastach masło, to przedmiot dopytu wielkiego ze strony urzędniczek; więc o maśle odpowiedział panu kontrolorowi.

W mieście targu ani znaku, chociaż prawdę rzekłszy miasteczka samego nie wiele znać.

W karczmie na propinacji kumoszki pijane ściskają się z kmotrami też pijanymi. Jakiś gardłacz śpiewa. Kłapsia nasz aż struchlał! boć to głos gardzielowy gruby, chropowaty i rozbity; gdyby głos ten był drzewem, miałby kilkanaście cali w miąż, sęków i garbów co niemiara, a wewnątrz dudłę i próchno!... Aż zmory przejmowały słuchającego... A to tem bardziej, że równocześnie jasnym, czystym głosem górskim wykrzykuje jakiś snać pasterz leśny, a kumoszka jakaś czysto zawodzi swoje: „Oj dada! dadana, dadada, ojdada!“... W kącie bywalec jakiś węgierski mruczy madziarską piosnkę karczemną, z której tylko słowo „puszta“ rozumiemy. Ogółem gwar, mruk gdyby w ulu...

Deszcz niepozwala ruszać dalej, więc nocujemy i to razem, choćby się można podzielić na wygodne noclegi gościnne na plebanji i na poczcie — lecz wolimy wraz.

W osobnej izbie na słomie w części a w części na sianie rozkładamy się.

Pijany chłop stary zagląda do nas i pyta:

— A zkąd panowie?

— Z Starego miasta!

— Tak? hm... ja tam służył u p. Szkaradka i u p. Szkalskiego, ale ja tam takich panów nie widział,

Ferduś na to: A dawnościeto służył?

—Będzie z dziesięć lat.

— No! to juźcić żeście nie widział, bo my tam dopiero 9 lat.

— A to co inszego!... przepraszam!

Rano chłop jakiś z batogiem wchodzi i gapi się na nas stanąwszy wedle stołu; mina głupia pobudza do śmiechu.

— Wej! czegóż się panowie śmiejecie ze mnie?...

— Czegóż się tak gapisz?...

Chłop się zakręcił, pogadał z żydem wchodzącym właśnie i wyszedł nie zawarłszy drzwi; w sieniach żartował z babą, służącą w karczmie. Sądząc iż to podwoda nasz zamówiony, wstajemy, zbieramy się, śniadamy. Firganek pyta: — a gdzie mój nóż? — a był to nożyk składany, doskonały do chleba i ołówka a i skoka zajęczego niejednego już oderżnął. Tej chwili wchodzi żydówka szukając siekiery, która jej zginęła i mówi:

— Ny! pewno tu już był ten złodziej...

— Jaki złodziej?

— Ny! ten Warog! to wielki złodziej, jak się tylko zjawi, zawsze co ukradnie...

— Tu był jakiś chłop i zginął nam nóż... żartował z babą, co tu służy...

— Ny! to żona jego.... to on ukradł nóż i siekierę!

Za chwilę słyszymy żydówkę hałasującą w szynkowni i wołającą na niego:

— Gdzie siekiera? słysz! gdzie moja siekiera?...

Więc i my:

— Gdzie nóż?...

— Jaki nóż? nie wiem o nożu żadnym! — i wychodzi z alkierza zapalając fajkę, a dojrzeliśmy że próżną.

— Gadaj gdzie nóż i oddaj, bo ci zęby wybiję!...

— Ho ho! czy to rozbój, czy co?

— Nie wziąłeś?

— Nie wziąłem!

— Jak ci trzeba Boga przy skonaniu?

— Jak mi Boga trzeba przy skonaniu!....

Tej chwili dziewczyna wychodzi z alkierza i wynosi nóż powalany w popiele, uważała że chłop do fajki próżnej kładł węgiel, domyśliła się i szukając w popiele, znalazła nożyk, który tam rzucił. Wawrzuś oburzony do żywego stanął na przeciwko złodzieja, pokazuje mu nóż opopielony i pyta;

— Trzeba tobie Boga przy skonaniu?

— Trzeba! proszę pana!.... mówi złodziej i pyk! pyk! z fajki próżnej...

— A ty łotrze! ty zbrodniarzu! ty pogański synu!... taceś ty gorszy od bydlęcia niemego... od psa wściekłego... tać ty sobie z Pana Boga żarty stroisz... a wiesz ty, co ciebie czeka... piekło...

Złodziej uśmiechnął się bydlęcym wyrazem i palcem w fajce ubija węgiel... on bał się kijów i policzków, a tu go tylko piekłem straszą!...

— Wawrzuś! Wawrzuś! chodź! podwoda przyjechała! — temu łotrowi wybij ze dwa zęby jeżeli masz ochotę, ale płuc sobie nie psuj nadaremno: patrz, on się śmieje! —

Wawrzuś aż oniemiał ze zgrozy! nawet nie splunął...

Gdyśmy wychodzili, złodziej skłonił się i rzekł:

— Niech Pan Bóg panów prowadzi szczęśliwie! —

Jedziemy gdyby powarzeni, nikt słowa nie rzeknie, nie śpiewa ani śwista. Koniki żwawe umykają z miejsca piękną doliną Poprudu*), owianą powietrzem przeczystem; my milczemy gdyby one skały nadbrzeżne wypiętrzone ku niebu. Mijamy Mniszek i piece rudy żelaznej i kościół od wody zrujnowany i dolinę Pilchowską... —

— Prawda też to — rozpoczyna rzecz pan kontrolor — że Węgry chcą znowu zaprowadzać „tricalek" od tytoniu?.. Źle by to było i niepotrzebnie, bo znowuby utrudzono przejazd! ot i tędy nie daliby nam jechać po swojej stronie!... Lepiej żeby w całem państwie nałożyć podatek od głowy..

— Jakto?

— Tak! rozłożyć podatek na wszystkich, od głowy do głowy!

— Jakto? i na tych, co nie kurzą?

— Naturalnie! i owszem! na niekurzących najbardziej! Bo kto kurzy, już przez to samo płaci na skarb, kto zaś nie kurzy, — nie ma wydatku, zao-

*) Autor nazwę tę odmiennie a tem samem nieraz bałamutnie streszcza: to Poprud, to Poprut, to Poprad. (Przyp. red.)

szczędza, więc tem łatwiej mógłby dać jakiego guldena...

— A niech pana kontrolora wszyscy!... a to mi zasada sprawiedliwa!

Kontrolor: I sprawiedliwa i praktyczna!...

Trudno było odwieźć go od tego — lecz on odwiódł nas od milczenia; w końcu Kłapsia zaświstał: Pechpolkę! — Nad spodziew rychlej stanęliśmy w Żegiestowie.

Z Żegiestowa ruszamy ku Pustej, która stanowi najwyższy (556 stóp wiedeńskich) szczyt przyłęku południowego: Runka wspaniałego. Pusta panuje nad całą południową ubocza tych kończyn Beskidu wielkiego: mianowicie od Muszyny aż do Piwnicznej widać z niej dolinę Poprutu w całej swej nadobności górskiej.

Samotna sterczy wpośród działów i łęków pustych jak sierota ozdoba jej przyrodna, lasy i knieje znikły dawno. Ledwo gdzieniegdzie zielenieje kępka drzew, lub płat krzewia brzozowego słabo okrywa ubocza spłuczyste, z których w miarę ubytku ziemi coraz gęściej wyglądają skały, gdyby kości z ciała schudzonego. Pusto też w około a tych kolib kilkadziesiąt rozsianych pojedynczo po przestrzeni ogromnej niezatrzymają oka, nie wypełnią nagości gór. Pusta jest królową pustyni górskiej! —

Wozowa cesta nad spodziew uczęszczana od Wirchomli ku Szczawnikowi i Muszynie białą smugą ciągnąc się u jej stóp, także nie rozwesela tej pustyni; ani owe kapliczki murowane spustoszałe! — Smutne to pomniki!!

Jak Bieszczad cały, tak i kończyny jego nadpoprudzkie, mają swe dzieje krwią ludzką pisane: a kapliczki stare, wzniesione w górach niezamieszkałych — to pomniki tych dziejów!

Zbój przez długie wieki panował po tych wirchach pustych, rozbijano, obdzierano i zabijano podróżnych, a kapliczki owe stoją zawsze na mogile zabitego! — Czasem nawet na mogile zbójcy, który

padł od kuli Muszynian, gdy z rozkazu starosty biskupiego wyszli czatą zbrojną, śledzić i imać zbójce i starli się z nimi, jako bywało. U podnóża Pustej od strony Szczawnika stoi ich dwie: obie kamienne sklepione, a jedna zamiast dachu ma piramidę ustawioną na sklepieniu.

Na samej Pustej prócz widoku prześlicznego, widzieliśmy ładne koniki polne czerwonobarwne ulatujące przed nami i kilka krzaków rozchodnika górskiego, kwitnącego wspaniale.

Pan Reman, który z dwoma koroniarzami przyłączył się do nas, w pocie czoła wykrył kilka porostów półkamiennych, owej roślinki ciekawej, która stanowi najniższy szczebel przyrody ziemskiej, rozpoczynając życie na kończynach martwoty kamiennej.

Z Pustej, pożegnawszy przyjaciół żegestowskich, ruszyliśmy ku Runkowi, kołując ponad źródliska Wirchomki. Lasu nigdzie, tylko koliby i koszary w około Pustej. Białą cestą marglowatą idziemy stęsknieni lasu, spragnieni wody źródlanej. Jedno i drugie znaleźliśmy na Cębrówce, polanie u stóp Runka.

Dochodząc ku niej przechodzimy przez łączkę świeżo zrytą przez dziki. Snać było ich gniazdo całe, a skiby ogromne odwalane jednym zamachem ryja, świadczyły, że były dziki stare i potężne. Na polanie mieszkają ludzie uprawiając ziemniaki, owiec i nieco jarcu. Właśnie robili w polu, a obaczywszy nas i strzelby, pędzą ku nam co tchu staje, chwytając po drodze drągi zamaszyste.

— Co tam?...

— A na pogonkę kwapimy się... bo już nie ma rady na te świnie dzikie. Łąkę nam zryły, a na ziemniaki idą obsesem nie wiele dbając i na człowieka. Kiedy skoczyć ku nim i tuknąć to nieuciekają, a samury staną przodem i rechoczą aż mór człeka przechodzi. Bez siekiery i ognia nie można się nocą ani wychylić ku ziemniakom. Niech też ta panowie ubijają z kilkoro...

— Ileż ich jest?...

— Trzy stare a 4 młode ale już odchowane należycie...

— A czemuż nie dajecie znać do dworu?...

— Kiedy to kawał drogi do Nawojowej...

— Słuchajcież! Nie tak to łatwo ubić dzika, bo i on ma swój rozum. Ale my dziś na Kamieniu barnowieckim będziemy nocować z panem Macierzyńskim, to się umówiemy, weźmiemy kul, których nie mamy z sobą i strzelców więcej; wy zmówcie więcej nagonki, to może dostaniemy którego...

— Oj to! to! bo już ciężkie utrapienie...

— Inaczej spłoszylibyśmy je tylko na kilka dni, a potem jeszczeby wam gorzej broiły...

— A takci tak, mój panasku!...

— To bądźcież zdrowi; obaczymy się w krótce...

— Niech Bóg prowadzi panów!...

— U źródła ujętego w cebrzynę, zimnego jak lód i bardzo dobrego wytchnęliśmy chwilkę. Zdaje się, że od studzienki cębrzonej polana ta zwana Cębrówka. —

„Runek.“ — Co to za nazwa: Runek?...

Runąć znaczy upaść z łoskotem; pierun czyli po słowiańsku bie-run znaczy: wielki łoskot, wielki trzask. Run, więc i Runek oznaczałoby miejsce, kędy łoskot wielki bywa; miejsce, kędy pieruny biją. Za górą leżąca wieś Pierunka stwierdza to przypuszczenie. Jeżeli ono prawdziwem — co się zdaje wedle położenia góry — toć tam pieruny i teraz będą biły, a ślady ich będą widocznemi na drzewach. Tak wywodziłem nazwę, sam ciekaw, czy się wywód sprawdzi.

Wkraczamy tedy w ów las bukowy, który nas tak nęcił zdala. Przecudny też to las! — Knieja zwarta zupełnie, drzewostan w pełności, bujność i gonność niesłychana, wziątek drzewny ogromny! Pnie prościutenkie wystrzeliły na 16 — 17 sągów a jeden w drugiego równy, gdyby wałek. Górą tylko gai się korona szczupła. Kroczymy jak pod palcami, a ciszę uroczą przerywa tylko lekki szum górą w szczytach drzew.

Lasu bukowego tak pięknego jak ta ubocz Runka, nie ma w górach sądeckich. Buki te do tego tak szczepne, że deski z nich łupią siekierami, jak gdzie indziej gonty i dranki.

Pełni podziwu idziemy krok za krokiem. Wtem głos: „Pierunowe drzewo!“ — i istotnie od szczytu do spodu wężykiem okręca się rowek wydrążony iskrą elektryczną.

Za chwilę drugie a znów za chwilę znajdujemy trzecie takie drzewo, znaczone pierunem! — i to nie zbaczając z chodnika widzieliśmy 3: ileż ich będzie na Runku całym?... Więc kroczymy istotnie gajami Perkuna groźnego! — Ludzkość w pieleszach umysłowych jeszcze upowita miejsca kędy pieruny biły, uważała za siedziby boga gromowładnego, z zgrozą pobożną nawidzała je i uciekała widząc zbliżającą się chmurę. Stwórca dobroczynny dla ochrony ludzkości nieświadomej zakonu stworzenia, zwierzęce uczucia zachowawcze, przyozdobił w człeku piękną tęczą uczucia pobożnego, które z wiekami wzrastając i rozwijając się zakwitło kwieciem, nad które ziemia nie ma nic piękniejszego. Jest niem pojęcie Boga samego! Początkiem rozwoju rozumowego był strach i zgroza przed pierunem niebios! —

W milczeniu schodzimy uboczą ku miejscu kędy przedtem istniała buda potażna u źródlisk Wirchomli. Las czarny jodłowy zwarty, przystępu z nikąd, drogi żadnej, dołem las wycięty odrasta; górą sterczą jodły stare pozostałe 30—36calowe. Niema sposobu wyzbycia się ich: więc stoją dopokąd wichry której nie obalą a wtedy na rumowisku jej zgniłem puszcza się młódź: rośnie las pierwotny, nietykany ręką ludzką a opłacany do skarbu koronnego.

Wchodzimy w las plebanji muszyńskiej. Straszne tu gospodarstwo! Żydzi kupili, żydzi cięli; a cięli co mogli, wywieźli także, co mogli. A gorżki tu ten wywóz! — Drogi nie ma żadnej; trzeba czekać aż potok śniegi zawalą i twardniejąc utworzą drożynę. Wówczas drzewo można przesunąć a gdzie lepiej, brać na sanie i wywozić. Mnóstwo go jednak pozostaje.

Wydobyliśmy się przecie z tych domów i potoka krętego. Znowu kroczymy B e s k i d e m samym, od któregośmy zboczyli na chwilkę opuszczając łęk pomiędzy Wirchomlą a Łosiem. W prawo mamy do-

linę rzeki Kamienicy i całą Nawojowszczyznę, w lewo całą dolinę Poprutu...

Z początku las stary bukowy, dalszy ciąg Runku. Droga wilgotna wązkim ciemnikiem prostym: szczyty buków gonnych z rzadka gdzie dozwolą promieniom słonecznym przedrzeć się ku ziemi; więc droga oślizła tem bardziej że pokład ziemi, to sama czarna próchnica z liścia bukowego. Milcząc idziemy gęsiego gdyby dzicy w Afryce... W dali prostej rozjaśnia się, droga zielenieje...

Wychodzimy z kniei i stajemy w podziwieniu!... Łomy i znowu łomy! jedno drzewo runęło całe, drugie przez pół, trzecie zgruchotane na okruchy... Te pospierały się o siebie i o drzewa stojące, tamte utworzyły kupę... Wszystko wszędzie przerosłe: to trawą i ziołami, to świerczynką młodocianą, to bluszczem, to ostrężyną... Na rozgromie życia leśnego świeże młode życie rośnie, pnie' się, wspina lub opełza... Wszędzie kwiaty, wszędzie zieleń bujna okrywa, oplata, owieńcza to próchno gnijące!! — A kędy miejsce wolne, tam trawa ściele się kobiercem zielonym, że aż łechce po źrenicy!... Wszystko to w około ujęte w ramy lasu starego, potężnego, osiwiałego mchem i porostem! Cóż to za obrazek przecudny w tej porze letniej, w tej woni leśnej!...

Odtąd obraz za obrazem, urok za urokiem!

Przez woń leśną, przez woń kwiecistą przegryza się jakiś zapach korzenny miły i ponętny. Zdziwieni wąchamy a nie możemy odgadnąć, co to za woń.

Stajemy, dziwimy się, śledzimy ziół i kwiatów... Aż tu schylony ku ziemi wietrzę gdyby ogar i idąc za wiatrem dochodzę do torby Wawrzusia... czuję woń rumu!

— Nieszczęsny człecze! cóżeś zrobił? wziąłem rum w opiekę i wylałeś!

— Rany boskie!... odetkała się flaszeczka....

— Oj Wawrzusiu lekkoduchu! coś też tu narobił?... Ale cicho!... uchlupało się tylko troszka!

Znowu wychodzimy z lasu zwartego. Dróżyna zazieleniała i rozszerza się coraz bardziej aż przeszła w polankę zieloną wpośrodku lasu. A na tej polance istny ogródek! Klomby, klombiki rozrzu-

cone po murawie, to znowu łączące się w gaiki i gaje większe... pełno krętych ścieżek zielonych... pełno niby altanek i chłodników i kryjówek zaciemnionych... a wszystko okrągło porosłe, wszystko równiuteńkie gdyby pod miarę... Wyjść się nie chce z tych kryjówek zielonych... z tego ogródka samorodnego, który wdziękiem i rozmaitością przechodzi wszystko, co utworzyli ludzie... I któż to utworzył?...

Pasterze wzniecili ogień, który podsycając ścięli drzewa pobliskie i palili całkowite nie żałując sobie... Miejsce zaciszne nadało im się więc częściej, wracali mianowicie w zimna i słoty szukając schronienia dla siebie i owiec. Tak z czasem powstała polanka, którą rozszerzać było ich zyskiem. W dworze nawojowskim nikt o tem ani wiedział, ani się troszczył, bo las nie miał wartości najmniejszej a od owiec płacono spaśne lub pobarańszczyznę. W końcu leśniczy uczony nastał, porobiono napisy i surowo wzbroniono pasać kędy nie pasano dawniej. Więc buczyna obsiewała się po polankach świeżych. Z początku strzeżono pilnie i karano. Po zniesieniu pańszczyzny i sadownictwa dworskiego, pasterze próbowali szczęścia i po staremu przed słotą i wichry chronili się na one dawne swe koczowiska. Lasu grubego nie śmieli palić, małe tylko ogniska wzniecali. Ale owce ich i kozy nie żałowały buczyny młodej: każdy krzaczek, każdy gaik ogryzały w około i dokąd mogły dostać. Ogryzana buczyna puszczała latorośl gęstszą i krótszą a osiewek świeży znikał. Tak więc zagęściły się i zaokrąglały krzaki, którym już trudno wzmódz się w wysokopienność.

Za to ogródki potworzyły się przecudne istotnie! — Kłapsia nasz w zachwyceniu, o jakie go trudno było posądzać. Chodzi chodnikami, przysiaduje lub do dumania rozkłada się po ciemnikach i kryjówkach... aż nam psuje wrażenie piękna.

Znowu weszliśmy w las. Beskid coraz węższy, w końcu wąziutki! na ścieżkę tylko pozostało grzbietu a ubocze obostronne przepadziste w głąb. Knieja gęsta, głucha, głębieńce wilgotne... legowiska i pielesze dzików: tu mogą się i wylęgać i chować. —

W uboczy północnej buki stare dopiero poczynają zielenieć się na dobre — a jest 9-go sierpnia 1866. Dotąd były czerwone i omrożone zupełnie przymrozkami w Czerwcu i na nowo musiały porastać liściem. Po mrozie ubocza całe poczerwieniały i chorowały. —

Minęliśmy Łabowiec i ogródki jego samorodne przecudne; zwartą knieją wychodzimy na Długą holę.

Kto nie chadzał po holach porosłych kostrzewą, ten nie ma wyobrażenia o pulchności ich powierzchni: w całem znaczeniu słowa stąpa się nietylko jak po kobiercu, ale gdyby po puchu. Kostrzewa trawa rośnie krótko — ledwo na 5 cali — lecz niezmiernie gęsto, jest podszyta mchem a nie przerośnięta trawy innemi, gdyż sama jedna udaje się w tej wysokości. Więc też hole gdyby równo i miękko wysłane, a chód po nich nadzwyczaj miękki. —

Mieliśmy sposobność ocenienia jej pulchności aż do przesytu: bo od Żegiestowa przez Pustą i Runek idąc, znużyliśmy się. Aż tu na zakończenie Hola mała a za nią Hola długa, obie wraz dobre ćwierć mili wysłane puchem, po którym człek idzie kołysząc się i trochę lżej niż po piasku miękkim: dosyć nam było tego dobrego!

Słyszymy strzały i okrzyk leśny! — to oni!

Lecz koliba pusta! — ogień pali się na końcu holi pod bukami rozłożystemi .... Czemuż oni odeszli? ...

— Pewno na samym Kamieniu będziemy nocować! — szkoda! lepiej by było w kolibie i wygodniej i bliżej. Lecz stało się ... tukają, strzelają! chodźmy.

Idą na przeciwko! strzał! pilnuj! ...

— Tyr! tyr! tyr!! ... kurka jajko zniosła! ... nie tędy go wiedli ... nieokpicie nas ... nie sarna to, tylko figiel ...

— Jak się macie? ...

— Jak się masz Macierzyński! ... i ty panie Lisaku! ho ho ho! i dobrodziej pleban nawojowski ks. Jaworski! ... ho ho ho! pilnuj! pilnuj!! ...

Kamień barnowiecki, przyłęk Beskidu łabowieckiego, wychylający się ku północy, runął w czasach onych, kiedy to Stwórca wywyższał góry i oddzielał wody. Gdy siły i pary podziemne, wydobywając się z pod skorupy ziemnej litej i napływowej, wzdłuż całej szczeliny, którą uczyniły, w Tatry i Beskidy wzniosły jej okruchy: wonczas dźwigał się i przyłęk barnowiecki i podniesion nad poziom, runął. Odczoch tylko rdzenny pozostał przy grzbiecie macierzystego pasma. Nad Nawojowszczyzną i Łabową czoło jego sterczy prostopadle niby odłam gałęzi pnia leżącego. Zwrócone ku północy, widne zdala wabi umysły badawcze, aby oglądały słaby szczątek pomnikowy wszechmocnej siły stworzenia. Jest on kamień cały z piaskowca drobnego, więc napływowy a wzniesienie jego nosi znamiona równoczesności z wzniesieniem Rosochatki krużlowskiej i różnobarwnego piaskowca w Świetnicy...

Postać Kamienia tego jest podobną do zamku o dwu bocznych ostrogach czworobocznych, wystających poprzed czoło i nieco od niego wyższych. Przodem prostopadły na jakie 200 stóp, tyłem złączony z górą, której — jak się rzekło — przyłęk stanowi.

Jest to strażnica samorodna na całą Sądeczyznę właściwą i całą dolinę Kamienicy wiodącą ku Bardiowu.

Gdyśmy nań wkroczyli, słońce zachodzące oświetliło równinę niegdyś jeziorzyska sądeckiego. Równia cała ubarwiona żółtawo a Nowy Sącz bieleje jaśniej: wszystko już w sinawej mglistej dali — przeźroczysto, jasno i czysto na tle także sinych wzgórz naddunajskich i błękitu nieba. Przodem zaś w pierwszem polu u stóp naszych leży ciemnomodra dolina Kamienicy z Nawojową i wsiami drugiemi; wszystko pogrążone w cieniu, z którego złotem ognistem wychylają się grzbiety przyłęków bieszczadowych a za rzeką szczyt Margani i Magorzycy. Ognista pozłota światła tem śliczniej odbija, że olśniła ciemne lasy gór i szczytów, zieleń ciemna podnosi jej siłę.

Całość obrazu nieporównana, zwłaszcza pośród lasu i od skały tak potężnej! . . .

Tam zanocowaliśmy przy ognisku.

Wschód słońca ani porównać z zachodem. Słońce poranne oświetlając dolinę Łabowską i Marganię podczas gdy równia sądecka w cieniu, nie daje ani tej całości, ani obrazowości.

Rano wyszliśmy dalej ku Barcicom.

Znowu polanki ogródkowe: owe klomby, klombiki, altanki, chodniki samorodne. Kłapsia zachodzi się z podziwu i ciągle w uniesieniu pierwszy to raz ogląda przyrodzone piękno!

Nad Maciejową zatrzymujemy się w Jaskini zbójnickiej. Jest to jama nieszeroka w skałce, która mając postać ostrożka wpółokrąg wystającego z grzbietu Beskidowego, stanowi niejako strażniczkę lewego skrzydła Kamienia barnowieckiego. Widok z niej prześliczny! Nawojowa z zamkiem, wsią i kościołem, leży jak na dłoni, najdokładniej rozróżnić można każden przedmiot. Więc i drogę całą ku Nowemu Sączowi wzdłuż koryta Kamienicy i cestę całą łabowską aż po Maciejową. Tutaj też bywała strażnica zbójecka, ztąd okiem dosięgali kupce sądeckie wyruszające ku Bardjowu, Muszynie i Lubowli. Zdala śledząc ich pochód, wcześnie mogli się zbójce zwołać i obmyślić zasadzkę. Tutaj też w wieku 17-m dokazywali sołtysiaki łabowscy owi Stachurzacy, Leszczacy, Motyle . . .

Pasąc skoty po polanach wcześnie zabierali znajomości z zbójcami starymi i podczas gdy oni pili gdzie na sołtystwie lub barany piekli w lesie, sołtysiacy podrostkowie poglądali ku Sączowi a wyśledziwszy podróżnych dawali znać i sami zaprawiali się do zboju. Piękne te góry bywały też zboju i obierzy matecznikiem nieprzebranym, a r. 1656 gdy chodziło o wypędzenie Szweda, któremu szlachta już przysięgła poddaństwo, gdy chodziło o zaprawienie ludu do rozlewu krwi i wojny, bracia Wąsowicze z zbójców łabowskich urządzali czaty zbrojne i oddawali im na pastwę szlachtę arjańską. Za przewodzą zbójców szedł lud wiejski spokojny, a zaprawiwszy się na krwi arjan, ruszał później i na Szweda.

Wielu polan pięknych porosłych kostrzewą pulchną, początek odnosi się do skotopasów beskidowych, ale nie do tych wołoskoruskich sołtysów wyłącznie, których tu osadzała szlachta polska dziedzice Nawojowej, Brończy, Łabowej. Przed nimi pasała tu Łotwa, po której zostały nazwy Margań, Brunary, Bratosowiec, Mujszyna, Leluchow. . . Przed Łotwą zaś przebywali tu Puny z Panonji wyparci przez Rzymian. Oni to trzebili Kiczory t. j. polany, zakładali Magury t. j. gościnne dwory a Makowice były ich targowicami (obacz „Prasławianie i Prałotwa.“)

Tuż nad Skałką strażniczą jest właśnie jedna z polan najpiękniejszych: „P i s a n a h o l a“, wysoka 548 sąg. wied. — i z niej to ów widok na Sącz i Nawojowę.

Do J a m y z b ó j n i c k i e j wchód czworoboczny gdyby do piwniczki, a w skale litej nie zdaje się samorodny, a wielce starożytny. Pojedyńczo tylko można wchodzić w jamę wązką i krętą, która w głębi zdaje się rozszerzać i może z umysłu zasypaną. Przechowek to był zbójnicki doskonały, a dziś nawet, po wyniszczeniu lasu jeszcze nie zaraz doń trafić: taki tajny i okrągły.

Dalszy grzbiet gór, to jeden ciągły ogród: hole miękkie i pulchne, przylaski cieniste, ogródki samorodne — wszędzie pełno klombów, pełno uliczek krętych i zakątków cienistych . . . istny park zaczarowany w górach. Tak aż do Makowicy prawie.

Zdala światu, na świeże powietrze, na widoki gór i zdroje, zjeżdżają się ludzie zamożni nie szczędząc nakładów. Po zdrojowiskach depcą deptakami, gdyby najęci a wycieczki odprawiają często tam, gdzie szkoda trudu! W lichych pocztowych wozach zamknięci, po kamieńcach ostrych tłuką wątłe kości swoje, a obumierają ze strachu na przykrych i niepotrzebnych zjazdach pagórkowatych*).

---

*) Wtenczas gdy to pisane, gościńce nie były wykończone, jeżdżono staremi w odstawkę danemi wozami pocztowemi, o kolei żelaznej ani słychu! (Uwaga autora).

Na wycieczkę z Krynicy przez Runek i Kamień barnowiecki do Nawojowej dotąd nikt się nieośmielił. Trzebaby wprzód Anglika jakiego wysłać albo Amerykanina, żeby znakomitością swą namaszczenia udzielił pięknym Beskidom nawojowskim; a staną się modnymi jako Tatry, jako Pieniny.

Podróż taką zdrowsi odbyć mogą pieszo, słabsi konno a taki Petryk Wanio lub inny gazda krynicki albo słotwiński, co z hol wozi siano a bierzma z pod Runka, chętnie się wynajmie wozem i obwiezie jak padnie — nawet furę pełną gagatków maślanych.

Wielmożna dziedziczka Nawojowy zna się na przyrodzie gór swych: kilkakrotnie zwiedzała Kamień barnowiecki i zachwycała się ogródkami onemi. Może to stać się rękojmią dla mniej odważnych!...

Nad Głębokiem knieja młoda bukowa: zwartość najzupełniejsza, bujność wielka, drzewostan pełny, zwartość prześliczna. Tuż obok wyręby sąsiednie... jakaż sprzeczność rażąca! Buczynka ledwo 3—4calowa wycięta bez litości! Za guldena sprzedawano sągę na pniu. Chłopi kupowali na zarobek i cięli sągi, ale to trzeba widzieć jak ogromne. Żyd bacząc zarobku zakupił całą knieję: chłopi co tchu umykali z sągami z lasu na miedzę, gdzie je popiętrzyli w stosy ogromne.

Na Makowicy kopcu (479 sąg. wied.) wypoczywamy chwilkę. Ostatni to szczyt Bieszczada, kończyna jego nad Poprudem, widny na całą równię naddunajecką.

Krępaki madziarskie i polskie roztaczają się przed nami w całej wspaniałości a dawne jeziorzyska sądeckie, ów niegdyś zbiornik wód Tatr całych i kończyn Bieszczadu najdokładniej rozróżnisz wpośród wieńca gór nabrzeżnych. Żal odejść tego widoku i tego przewiewu od Tatr . . .

Żarnowcem knieją spuszczamy się zwolna: pan Lisak gospodarz kniei przewodniczy i głowę zadziera. A ma czego! — Wyszedłszy z lasu czarnego jodłowego wchodzimy w buczynę młodą, gęstą

jak konopie, utrzymaną wzorowo. Bujność gdyby w pierwoleśnych wyrębach Ameryki! Kto nie może pojąć, niechaj idzie oglądać: co to za różnica zapustu młodego, jeżeli się w nim nie pasa! Tam uczyć się, jak szkodliwem jest pasanie po wyrębach.

Las lasem, ale zwózka? Niech Bóg ma w opiece bydło i ludzi. Od strachu przed bierzmem lecącem z góry, zmysły postradał chłop Długosz Zrałka. Obecnie ostęp cały barcicki kupił p. Kirchmajer. Prawdopodobnie zdoła on zużytkować kłody przestałe w uboczy od Bończy i nie będzie się wzdrygał urządzić spust do Poprudu i spław tąż rzeką dogodną.

Gospodarze dóbr tych koronnych, nie leśnicy tylko papierowi gospodarze, nie mogli podołać zadaniu. Dał Bóg drzewo, dał kupców, a przecież nie umieli sprzedać. Więc korona wyzbyła się dóbr niepopłatnych.

Ostatni wypoczynek u mostu na potoku w Życzanowie. Arcydzieło p. Lisaka, wysoki może na 60 stóp, głównie sparty na wzrębie śmiało wypiętrzonym i bezpiecznym. Potok głęboki, ściany skaliste umajone malinami i ostrężyną, a dno zasute łomami kamieni i kłodami drzew; ponad to wszystko most śmiało oparty i śmiało rzucony w poprzecz, a w prawo i lewo ubocze spadziste dzikie i lesiste. I most ten godzień obaczenia! Lecz przystęp doń od Barcic i Starego Sącza.

Kieby to ta młodzież sądecka miała choć cokolwiek ciekawości, kieby to panowie nauczyciele nie bali się gór i lasów!... Możeby rozgłosu nabrały te kończyny Beskidu, sięgające aż pod obadwa Sącze.

II. NA BESKIDU KOŃCZYNACH, SIELANKI.

Florynka. W ulewnym deszczu docieramy do noclegu zamierzonego; woźnica nasz przebija się przez gęste tłumy bydła i owiec, którym równie spieszno pod dach, jako i nam. Staje w końcu przed

obejściem Hnata Maxymczaka leśnego kniei koronnej galicyjskiej, zeskakujemy z wozu: bądź zdrów deszczu! więcej nam nie dokuczysz!

Chata obszerna, boć to gospodarz dostatni. W czarnej izbie płonie ogień jasny i błogi gdyby na żarkach Znicza! . . . a podtrzymuje i podnieca go stojąca przy nalepie 14-oletnia nadobna Pazia, t. j. Pelagja córka gospodarza, niewyczesana wprawdzie na gładko, umurdzana troszkę i w toalecie nieświątecznej, ale zawsze młoda, zwinna, rzutna, więc czemużby nie miała być nadobną. Szkoda tylko, że te pastereczki nadobne nie używają batystowych chusteczek od nosa, gdyż wyręczają się rączką acz arcynadobną może, zawsze jednak z ujmą poezji sielankowej, mimo wielkiej naiwności, z jaką do pomocy używają . . . . rąbka swej bielizny. Dowód żywy zaraz na wstępie dała nam Pazia. Lecz dosyć o wdziękach dziewicy! . . .

Na poleniach pod powałą i na ławie tuż wedle ogniska suszy się len a woniejący dym jałowca uchodzi dymnikiem pozostawionym w powale a izba cała woni pełna w całem znaczeniu słowa tego. Gospodyni domu co tchu zamiata podłogę a niepotrzebnie, bo czysta i nie ma jej gany. Króliczął plemię licznie biega, podskakuje i przysiada milczkiem. Świerczki gędziebne w szczelinach bezpiecznie, czystym głosem metalicznym wywodzą krótkie zwrotki piosnki swej wcale długiej. U jasełek w kąciku spoczywa owieczka: kwiatuleczka ukochana, bo ma płateczek biały na głowie a sama czarna cała, wychowanica Pazi.

Wawrzuś człek poradny. Przemókł do nitki, a nie ma przewdziaty; szepnął coś do ucha leśnemu, leśny swej małżonce i wyszli oboje. Niebawem leśny przynosi bieliznę świeżo wypraną i wymaglowaną porządnie, a gospodyni wywołuje z izby córkę swą Pazię. Poczciwe matczysko, zapobiegające zgorszeniu! — Przewdział się Wawrzuś od stóp do głów, ożył z otrętwienia i spluwa, co jest znakiem głodu.

Zamawiamy sobie ziemniaki na miękko i jaja na twardo a gosposia gościnna ustępuje nam bochenka chleba kupionego na jarmarku w Grybowie. Ja zaś wedle zwyczaju wydobywam skorowarek blaszany;

braciszek Pazi zawezwany przystrugał latorośl laskową grubą na palec i wetkaliśmy ją w tulejkę przeznaczoną na rękojeść. Nalewamy wody, przykrywamy pokryweczką przynależną i oddajemy w rączki Pazi, aby za długą rękojeść dzierżyła nad ogniem, dopokąd woda nie zawre. Niebawem uczyniła to woda, więc Pazia odstawiła od ognia. Wydobyłem herbaty i wsypałem szczyptę, poczem przykryliśmy znowu: naciągła, więc lejemy do kubków naszych blaszanych, słodzimy, dolewamy rumu — i herbata gotowa.

Gazda, gazdyni, Pazia, parobek i Ilko parobczak przysadkowaty, króliki wszystkie i cielątko nawet z ubocza przyglądają się ciekawie; bo jeszcze nigdy nie widzieli, ani skorowarka blaszanego, ani rękojeści przeszło łokciowej — ani jak się robi herbata. Udał się czaj! Wawrzuś spragniony ciepłego napoju skosztował i aż mlasnął z zadowolenia. A na to hasło wszystkie świerczki ile ich tylko było zaintonowały chórem głośnym głośne: brawo! brawo! — a nawet króliki podskoczyły gromadno jak gdyby z radości i uwielbienia mądrości ludzkiej, która w Chinach wymyśliła czaj! . . .

Już też i ziemniaczki miękkie a trzeba przyznać że doskonałe i jajka owrzały na twardo; więc uczta wspaniała, zwłaszcza przy bryndzy doskonałej i maśle świeżem.

Na żerdzi powieszona odzież nasza, mianowicie płaszcz mój ciepły a lekki, przeschły.

Ścielą nam sianka wonnego, a my przez wdzięczność gospodarzy raczymy czajem, który chwalą straszliwie . . . Pazia dostała też na skosztowanie i oblizuje się raz po raz, tak samo parobek i parobczak, aż się króliki oblizują z zazdrości . . . Gazdowie z jedynaczką i czeladzią wynoszą się do świetlicy: my woleli pozostać, bo ogień utrzymuje czystość powietrza a w świetlicy duszno. Więc zostajemy. Zostaje owieczka, króliki, świerczki i muszki i pchełki — i my nieboracy!! —

Świerczki świerczą, truśki podskakują w około nas i przysiadują wieńcem w około i patrzą się w nas i badają, co my zacz? . . . Czasem brzęknie muszka

która! . . . owieczka wedle zwyczaju chrupa sianko i liście kapusty, które jej Pazia zadała na dobranoc — ogień przygasa . . .

Tak Noe z bydlątkami wspólnie wśród ulewy potopu zasypiał w korabiu swym nazwanym arką... On może spał, chociaż obok lwa, tygrysa i słonia (nb. mamuta i megatheriona niewpuścił do korabia, więc wytonęło ich plemię . . .) Musiałoć to tam być chrapanie niepospolite! . . .

A my? . . . Pchełki nas kąsają to tu, to tam, świerczki nucą coraz głośniej, a mogłyby sobie już dać spokój! . . . owieczka chrupa coraz głośniej, sprawdzając przysłowie francuzkie: „l'appétit vient en mangeant“, truśki też wyskakują coraz to weselej: jednego namacałem ręką, przelękniony przeskoczył mnie i w popłoch wprawił całą swą króliczą społeczność . . . mnie wybił ze snu! . . .

Oka zmrużyć niepodobna! . . .

Oj sielanki, sielanki! — Kochanowskiemu, Zimorowiczowi i wszystkim świętej pamięci wieszczom naszym, co pisali sielanki, daj Boże wieczny odpoczynek, a nie pamiętaj i odpuść im brednie, które spisali! . . .

Albo chyba może wtedy jeszcze pchły nie były oswojone, nie bratały się z ludźmi tylko z dzikim zwierzem w kniei! o czem wątpić, boć przecie Polki używały już nietylko spodnic ale i bawełnic, jak to wyczytuję po archiwach w mnogich spisach ruchomości i szat niewieścich... Więc chybaby pchły były tak głupie, że nie umiały korzystać z fałdzistych mateczników? . . . Któż to tam wie: chybaby krakowska dziatwa naukowa. Lecz znowu trudność: nie wiem, kto jest specjalistą do pchły? — Reman zna liszaje, Piekosiński płoszczyce i pluskwy, wiem że ktoś tam oddał się i zbadał pająka, ks. Dr. Grzegorzek w Podegrodziu (obecnie pleban w Bochni*), zna Esterydy, czyli po staremu „muchy w nosie bydląt“ — lecz o specjaliście pchły nie wiem

*) Umarł tamże w r. 1890. (Przyp. red.)

zgoła. A szkoda! wielka szkoda! pole szerokie i wdzięczne . . . Płeć piękna mogłaby dostarczyć badań bardzo ścisłych i dobitnych . . . Więc „Kalina“ jako jej organ mogłaby otworzyć kolumny dziennika swego monografii pchły, a wieszczowi wawelskiemu nadarzyłaby się sposobność uderzyć w struny lutni na cześć „pchły“, jak uderzył na cześć „śpiewu komarów“ . . . Blumauer Niemiec w grobie by się obrócił z zazdrości, on, wiedeński bard uwieńczony! —

Nim to nastąpi, mimowoli jakoś nasuwa się myśl półwątpiąca, półbadawcza: na co też to Pan Bóg stworzył to utrapienie skoczne? . . . jakiem jest pchły przeznaczenie?? Dr. Baumszeid szpilkami kłuje chorych chcąc ich wyleczyć: któż go na to naprowadził: pchły czy komary? . . . Niezawodnie pchły! musiał on zaznać noclegi podobne, które mu wyszły na zdrowie: może to i nam wyjdzie na zdrowie....

— Joj! rety! — cóż mnie to tak okrutnie załechtało w nosie? — sięgam: muszka, pulchniuteńka muszka wlazła mi w nozdrze! . . .

Niestety za pulchna! . . . uległa sile palców... wprzód nim się ocknęła litość moja!

Króliczątko najmłodsze . . . najzwinniejsze . . . skacze najlepiej. Zwąchało liście kapuściane, więc hop! na ławeczkę, ztamtąd na grzbiet a z owieczki hyc! na drabinkę do liści kapuścianych . . .

Owieczka niespodziała się swawoli podobnej, więc się zlękła i poskoczyła równemi nogami, króliczątko hop! ponad owieczkę na mnie i Wawrzusia: a całe plemię królicze spłoszone nuż umykać z łoskotem i tłuc łbami o skrzynie i ściany . . .

— Do kroćset miljonów djabłów! — szepce sobie Wawrzuś pod nosem przewracając się z boku na bok ostrożnie, żeby mnie nieobudzić . . .

Parsknąłem śmiechem! — zagajam pogadankę i postanawiamy, kędy się tylko nadarzy szukać noclegu cywilizowanego.... Ej! święciłaby się plebanja ruska w Wojkowej! . .

Koguty zapiały wreszcie na świtanie . . . Wawrzuś wychodzi obaczyć co słychać na świecie. Drzwi do sieni nie może otworzyć — gazda usłyszał, wybiegł,

otworzył. Pogoda! wraca zniecierpliwiony i splunąwszy znowu się kładzie na pielesz boleści . . . Mimo całej biedy usnęliśmy na chwilkę — lecz tylko na chwilkę.

Poranek! Świerczki jeszcze zawzięciej kończą pienia nocne, muszki ocknięte coraz liczniej szumią i dokuczają, pchełki nasycone krwią naszą drzemią jak po obiedzie, drzymi też i owieczka ukończywszy żucie!... Truśki tylko nie spią! podskakują sobie wesoło i przysiadują znowu.

Obstąpiły nas półkolem, przykucznęły i strzygąc słuchami podsłuchują żalów, które wywodzimy i rozmów, jak gdyby rozumiały. A ruszyć się cokolwiek, to wszystkie gdyby na rozkaz, podskoczą wraz i usiędą wraz.

Obaj nieboracy niewyspani. Zgadzamy się na jedno: że łatwo chłopom wstawać rano, skoro nad ich obudzeniem pracuje zwierzątek tyle!

Na poparcie niejako zdania naszego króliczka śnieżnej białości z truśką srokatym rozpoczyna swawolną gonitwę. Skaczą w prysiudy wesoło i łapkami obejmują się za szyjki . . . Wygląda to coś na miłośne słęby i zaloty . . .

Nadchodzi Pazia.

— Jakże się masz Paziu? jak ci się tam spało?

— O bardzo dobrze! — odpowiada i ziewa na dobitek na całą gębę i przeciąga się. Poczem bierze wody w garnek i nad cebrzykiem myje sobie buzię, szyjkę i rączki. Naiwny podlotek! obciera się bielizną własną.

Ukończywszy siebie z kolei myje garnki, opłukuje do trzeciej wody, roznieca ogień i przystawia.

Przychodzi gazda z małżonką:

— Dzień dobry! dzień dobry!

Zagaja się rada familijna, kto ma paść bydełko? Pazia podejmuje się dobrowolnie i chętnie, lecz uchwalono inaczej. Słoneczko wschodzi, miłe po deszczu.

Wawrzuś spakował protokoły leśne, ja przyrząd herbaciany. Gosposia odmawiając pacierze podnieca ogień, gazda zakurzył lulkę, Ilko Dudec pniaczysty parobczak pełen nadziei, pozbierał smętnej pamięci

legowisko nasze. Bydełko ryczy; Pazia wziąwszy gałązkę suchą do ręki z Ilkiem wraz wygania ją w pole... Zewsząd bydło ładne górskie i owce kudłate, ryk, dzwonienie i głosy pasterek i pąsterzy: Lem heu! lem hen!...

Zachwyceni urokiem sielanki, widokiem tym wetujemy sobie nocleg.

Pazia odegnawszy wróciła: Ilko zaś pasterzył...

Wawrzuś w zamyśleniu uderzył głową w odrzwia: lecz wynagrodzon sowicie, bo spłoszył ćmę wielką, wielce osobliwą; więc ułowiwszy, kładzie do słoika, napuszczonego zabójczym eterem.

Pośniadaliśmy jaj na miękko i chleba z masłem.

Już z strzelbą na plecach Wawrzuś rozmiłował się w królikach; przykucznął i wołając: truś! truś! truś! — przywabia okruszkami chleba... Stara królica zbliża się śmiało, wyrwała mu kromkę chleba z ręki i w nogi, a młode za nią! Wawrzuś się śmieje i gazdowie się śmieją, a najbardziej śmieje się Pazia, aż płacze ze śmiechu!

Wtem krzyk się wyrwie: o!! —

Wawrzusiowi strzelba leci z ramienia: pas był stary, więc się urwał.

— Paziu! igły z nitką!

Pazia szuka; nitkę znalazła, lecz igły nie może:

— Mamo a ihła hdeż?

— A czy ja znaju hde ihła? budu szukaty!

Szukają obie... znalazły! Pazia z uśmiechem podaje, poczem spogląda na króliki i śmieje się znowu, wracając do swego zatrudnienia dziewiczego: skrobie ziemniaki, Wawrzuś stojąc przy stole, w kapeluszu w tył podanym, z torbą na plecach, z której wyglądają protokoły leśne, pogryza nić grubą i popluwa i pokręca, a szyje jako umie najlepiej. Mina uroczysta nie na żarty, praca człeka zdobi.

Zeszył, sprawdził moc pociągnięciem, zarzucił strzelbę, jam przez głowę zawdział płaszcz zwinięty wojskowo: obdarzyliśmy Pazię, bo rodzice nie chcieli nic przyjąć, i oddajemy ich Panu Bogu.

— Naj Boh prowadyt!

Przeskoczyliśmy kamieniste łoże Białej: dążymy ku Wawrce.

Wawrka leży na grzbiecie przyłęku ropskiego u stóp Chełmu ropskiego. Tu już Podbieszczadzie wielkie z wszystkiemi swemi znamiony. Wszędzie obsiano, wszędzie wozem wyjedzie, nigdzie grzbietów niedostępnych, nigdzie dolin wązkich: hole ustały a poczynają się polany i połoniny.

Na przeciwko nas idzie człeczek niewielki z brodą postrzyżoną biedno odziany i zbiedzony na twarzy, ale już krzepki, snać odgryza się biedzie. Czystą polszczyzną wita:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! zdala obaczyłem Jegomości pana nadleśniczego, więc spieszę, żeby też nie minęli budy mojej.

— Jak sie zowiesz?

— Świderski Jędrzej, a to buda moja.

Oj co buda, to buda! Na dziale wysokim, na wydmuchu wietrznym, odosobniona stała chałupa przegniła i pochylona w bok. Dach zwalony a zamiast niego sterczały deski stare i dyle ścienne, pospierane o jakąś krokiew niezwaloną jeszcze. Bieda, nędza, aż litość bierze! Pole jednak pobliskie obsiane potrosze, obsadzone ziemniakami i kapustą a łąka zsieczona i siano skopione.

— Bójcie się Boga! jakże wy tu mieszkacie!... zkądżeście wy się tu wzięli pomiędzy Rusinami?...

— Byłem mieszczanem w Muszynie, ożeniłem się tu w Wawrce do półrolka tego, co się zwie Betlejemka. W ciężkie czasy głodowe wraz z drugimi poszedłem na Węgry za chlebem. Gdym wrócił, szwagier już nie żył a krewni posiedli wszystko. Musiałem się prawować ząb za ząb. Wydałem 120 guldenów zarobionych na Węgrach; więc mi przysądzon półrolek. Ale tymczasem zapadła się buda cała i wszystko! Żandarmy kilka razy już nakazywali mi opuścić budę, żeby mnie nie zabiło! Ale kędyż pójdę! Rozebrałem plewnię, powałą przykryłem izbę i na niej jako mogę podpieram dach zwalony, ratuję się jak mogę! Kamera nie chciała mi dać drzewa na chałupę, ale teraz podobno już da! byle tylko Jegomość wyznaczyli . . .

— A jakżeż tu sąsiedzi z tobą?

— Dobrze! w zgodzie żyję z Rusinami, chociażem sam jeden Lach pośród nich. Do cerkwi chodzę z nimi wraz do Florynki, bom przyjął ruskie . . . skorom się u nich przyżenił do półrolka . . . I na duchu nie upadam, choć się buda zwaliła . . . Da Bóg! Jegomość, to się odbuduję. . . .

Więc znowu sielanka! ale rzewna aż łzy cisną się w oczy, gdy człek patrzy na tego nędzarza pracowitego i tę budę jego: niedźwiedź miewa lepszą!... Lecz dostanie budulca i wygrzebie się z biedy!

Zdążamy do wsi do starego leśnego.

W karczmie aż rano pijacy wywodzą śpiewy głośne po jarmarku. W chacie leśnego wita nas żona jego, którą my zastali nad kołyską. Chłopcząt kilkoro umytych, uczesanych, nieśmiało ale i nietrwożliwie przypatrują się nam. Nadchodzi i leśny Demko Chomiak. Siwy lecz rumiany i wyprostowany, przez plecy ma przewieszoną torbę borsuczą a strzelbę postawił w kącie . . . 18 lat był żołnierzem w piechocie i nadgranicznej straży bukowińskiej, poczem 4 lat żandarmem. Wróciwszy ożenił się i dał mu Bóg pięciu synków. . .

— Musieliście żyć porządnie w wojsku!

— Ej to po żonie chyba Pan Bóg daje! — Bo to ja się z nią ożenił w Świetnicy jako z wdową... Wprzódy miała coś sześcioro, ba! siedmioro — a teraz dał nam Bóg pięciu synków!... Szkoda tylko, że tu u nas szkoły nie ma tylko ruska... A cóż tam w niej djak uczy? . . .

Napiliśmy się mleka słodkiego surowego i kazali ugotować jaj kilkanaście: zjedliśmy kilka, resztę do torby i ruszamy dalej . . .

Mijamy bokiem: Koczy zamek na Falatówkach, zabytek z czasów Jagiełły i bitwy pod Grunwaldem.

Bieszczad, zorany po wirchy i obsiany, zielony od łąk i ról. Lasy płatkami tylko czernieją, doliny szerokie i płytkie obfite w wodę a nad rzeką wieś skupiona!

Lud w kaftanie krótkim, białym o trzech płatach zatylnich z kieszeniami po bokach, z przodu zapięty. Strój to niemiecki; tak chadzała drago-

nja sołtysia, o której mawiano, że są plemienia ruskiego, narodowości polskiej a stroju niemieckiego. Kapeluchy noszą wielkie niemieckie, jak na Spiżu i w Pogórzu węgierskiem. Mówią Lem-heu-wid lela...

O zbójcach skazek pełno, a do uzupełnienia znamion jest i nafta. Żydkowie biedni wyśledziwszy, zawiązali spółkę samoósmą, wydzierżawili chłopa właściciela. Kopali dwie studnie i w jednej na sągę kamień przekowali ale nadaremno: mało czerpali. Bachma Goldstejn żydówka odkupiła od nich większą część, ale i ona coś niewiele czerpie. Chłopu płacą dzierżawnego 8 guldenów rocznie.

Przechadzka piękna, okolica wesoła: tylko lasów nie ma! Dali radę osadnicy wsi ruskiej na prawie wołoskiem, najpotężniejsi z wszystkich niszczycieli lasów: bo bez kuźnic, hut i bud potażnych.

Więc w miejscu kędy istniały puszcze zbójnickie, na niedobitkach sośninki młodej, którą opasieczono drogę, badamy żywot ich przymierzeńca leśnego: kornika rytownika (b o s t r i c h u s c h a l c o g r a f u s)....
i śledzimy szczątek ostępu świetnickiego, posuwając się działem ku Beskidowi wprost na L a c k o w ą, czyli jak ją tu zwią W a c k o w ą. Potężny ten szczyt wspaniale sterczy nad źródliskami B i a ł e j powyż I z b i zdala wskazuje ludziom, że tamtędy najswobodniejsze przejście na Węgry.

Widzimy drużyny pątnicze zdążające w tamtą stronę. Idą do K r a s n o b r o d u na praźnik słynny, kędy się dawniej odbywały głośne targi słębne, a rodzice wiedli córki dorosłe niosąc posag w brzemionach i szukając zięcia. Stęsknione zaś za połowicą życia młodziany, zwabiali się tamże wołając: „K u p y s o b i n a d o ł o b u, t. j. dziewczyną z wyprawą.“

Jakaś drużynka mała odpoczywa na brzeżku przy drodze w cieniu drzew. Chłop tęgi czarnasy, odzian w czuhę ciemną, leży sobie wygodnie oparty o brzeżek jedną nogę wyciągnął, drugą zgiął i rękę prawą oparł na kolanie, lewą zaś podparł głowę. Pyszne studjum hetmana zbójeckiego!... Nad nim stoi niewiasta młoda i przystojna w spodnicy malinowej, w tuwalni białej i chustce czerwonej na głowie. Przy niej chłop drugi poważny: czuha na nim

popielata, para wołów tuż obok skubią trawę. Nie pątnicy więc jak się zdaje, lecz zawsze grupa prześliczna, ułożona doskonale na jasnem tle nieba i Beskidu sinego. Z zachwyceniem przyglądamy się. Za zbliżeniem się naszem zagadujemy bohaterkę obrazu, który z obydwu chłopów jej ojcem?

Leżący na ziemi zmarszczył brwi czarne, łypnął okiem groźnie i choć pijany, odmruknął:

— To moja żynka!

Chłop zaś stojący wita się i przedstawia jako wójt z Jaszkówki, tamtego zaś, że to kum jego Demko. Kupił woły na jarmarku w Grybowie i przodem odesłał doma, sam zaś został w Wawrce w karczmie, pił i śpiewał całą noc. Ma on już trzecią żonę jak widać przystojną i młodą, która mimoto lepiej od niego zna się na bydle. Obaczywszy woły niezdarne zajęła je z sobą i idzie na przeciwko męża. Nad Wawrszką zdybanie. On obaczywszy żonę z wołmi zgniewał się, legł na ziemi i leży marszcząc brwi i nie mówiąc ani słowa... ona czyni mu wymówki i żąda by szedł woły zwrócić... wójta uprosiła za świadka i dla powagi większej...

Więc znów sielanka!... Bądźcie zdrowi wójcie i ty Demku zazdrośny o twą ładną trzecią żonę...

Magura małastowska z boku rozwija się przed nami. Cóż to za puszcza wspaniała była niegdyś, skoro szczątki jej tak wspaniałe jeszcze! Łosie i Leszczyny, dwa straszne gniazda zbójeckie leżą przed nami: Zdżary łoskie i gródek leszczyński rozróżniamy. Prastare to pielesze ludzi wśród puszczy odwiecznej... Smerekowiec... Zdynia... wszystko zbójcami trąciło. Boć to przecie ojcowizna Bajusa żółtowąsego, przybytek Czepca strasznego, który z Napierskim, paziem królowej Marji Ludwiki zawarłszy przymierze, poruszył Bieszczadu ludność i powiódł na odsiecz Czorsztyna!

Cały Beskid tchnie zbójem i grabieżą dawnych wieków. Ot! spuszczamy się w przylasek niewielki zwan: Krowie i Jamy!

Człeka roboczego na Węgrzech koło Koszyc (w Lengiel falu, id est polskiej wsi) pytali:

— A zkąd ty?
— Z Krowiego!
— Za czem idziesz?
— Za zarobkiem.
— Oj głuptaku! głuptaku! U was w Krowiu zarobek lepszy. Jest tam studnia sucha, wedle niej jest perechowaj! w nim są pieniądze, jest monstrancja z cerkwi waszej floryńskiej, są pistolety i inna broń cenna... tam lepszy zarobek...

Poza Koszyce wynieśli się zbójcy prześladowani i założyli tam wieś polską, w której podania te żyją z ust do ust.

Lecz i dzieje ojczyste pozostawiły tu ślady... Łokietek tedy z wygnania przedzierał się z bronią w ręku. Lackową górę może nie bez przyczyny lud zwie Wackową, gdyż Wacław czeski przez wodze swe silnie strzegł Bieszczadu broniąc mu powrotu.

Jagiełło tędy łowił często, ciągnąc aż ku Lwowu.

Z Krowiego schodzimy do Czarnej, też dawnej pieleszy zbójeckiej. Dążymy do Dymka Kopyściańskiego, też leśnego. Stary Chomiak, w którego ostoi wzorowy się porządek okazał, przewodniczy. Psy wiejskie jeden drugiemu dają znać o nas i obrechują po kolei.

Pod gruszą w ogrodzie wypoczynek i obiad: mleko, masło, grudka sera owczego i jaja twarde na zimno; jest i chleb grybowski i placek z jęczmienia świeżego zarobiony na pół z ziemniakami. Deszcz spędza nas do izby, oczywiście dymnej! Znowu w kącie cieliczka łysa, przy ścianie łóżko, na środku kołyska...

Wszędzie pełno lnu; króliki i kotka z kocięciem na nalepie ... Prócz koguta, kur, kurcząt i pół miljona muszek „ mile brzęczących.“

Nad cebrzykiem pod ogniskiem stoi gazda z gazdynią. On za jedną, ona za drugą nogę trzymają niebożyczką kurę tłustą, zarżniętą na cześć naszą i polewają ukropem, sprawiają i zastawiają w garnku na rosół dla nas, a dziopa nadobna skrzętnie i zręcznie skrobie ziemniaki... układamy się na ławach podesławszy sobie płótna leżące i opędzając się muszkom, oddychamy sielanką w oczekiwaniu uczty, na którą się zanosi... Nie użyczył nam jej pan Ha-

nasiewicz leśniczy w Śnietnicy sąsiedniej, po którego ostępie chodzimy i jeżdżamy od wczoraj. Na skrzydłach gościnności przybieżał (co mu nie przyszło bez trudności, zważywszy sadełko) i mimo prośb i wymówek i mimo kury w garnku i deszczu na polu, taszczy do siebie jak to mówią: per fas et nefas! Idziemy tedy radzi nieradzi. Słońce przypieka z pod chmary a deszcz leje jak z konwi... My sobie omal po kostki w wodzie: chlapu! chlapu! przez łąki zielone na leśniczówkę. Na wstępie dostaliśmy kazanie od Jejmości, potem obiad — a po obiedzie podwodę zamówioną na upartego.

— A czuhy są?

— Jakie czuhy?

— A dwie czuhy nowe i czyste dla nas obydwu! a nie mówiłem ci gamoniu na rozum, że nam trzeba parę koni z wozem i czuhami dwiema?

— Ja myślał, że pan żartuje; — odpowiada leśny.

— Gadajże tu do niego! a deszcz żartuje? tać leje jak z konwi!

Zwinny woźnica młody a podobno i wójt w jednej osobie obiecał, że da dwie czuhy nowe, a i tak pojedziemy koło niego. Panowie leśnicy podpisują jakieś tam „tabele“ i „Ausweisy“ — siadamy. Woźnica, człek słowny, zatrzymawszy konie na chwilę, wyniósł dwie czuhy nowiuteńkie; zawdziewamy deszczowi na przekorę i ruszamy na Hutę Krzyżówkę.

Huta Krzyżówka, osławiona starożytna gospoda zbójecka, głośna w krwawych dziejach tępienia Bractwa polskiego jedynobożan podgórskich, zwanych: Arianie uczniowie Socyna.

Wsławiony Kwoczka Maciej ze Stebnika hetman zbójecki miał tu swą gospodę i hulał ze zbójcyma Bursy łośkiej, które to Łosie leży w dolinie wiodącej z Nowej wsi do Krynicy i styka się z Rostoką i Krzyżówką, pieleszami zbójców. R. 1632 Kwoczka z zięciem swoim z Tarnowa bardjowskiego udał się ku Dobczycom na chadzkę drabską t. j. jako draby szukające służby po dworach żebrząc i podglądając rozbójniczo. Złączyli się z draby tam-

tejszymi, kradli, rozbijali. Piotr zwan Pietrowski umiejący pisać, przypiekał napadniętych a Mederski, który sługiwał w pułku p. Rożna, mówił nawet po niemiecku. Na lutrów dybali. Ale Krzesz w Męcinie poznał się na nich, dobył korda, napędził i czeladź zbrojną za nimi słał w pogoń, aby strzelać do nich. W Wielogłowach w karczmie pobity Mederski, pobrano im siekierki, więc na gościńcu zabili poznanych: włodarza i stawarza. Luterkę Achterową wybrali . . .

R. 1643 Kwoczka już jako hetman na Krzyżówce zgromadzony zbójców powiódł na Wiszowatego Stanisława, który był zięciem Socyna. Pomęczony arianin zacny umarł trzeciego dnia. Zbójce po staremu wrócili hulać na Krzyżówce. Poczem na Węgrzech złączyli się z Bajusem Czepcem i Sawką. Czepiec i Sawka 1651 z Napierskim bronili Czorsztyna i zdali się na łaskę. S a w k a ułaskawion wrócił na Krzyżówkę a u Rostockiego miał przybytek stały. Więc też gdy Muszynianie za porwanie baranów uwięzili Rostockiego, groził Sawka zebrać Bursę, napaść i spalić Muszynę. Uwolniono też Rostockiego. R. 1653 Sawka złączył się z hetmanem zbójeckim H r y c i e m J a c h n ą z Cykli, który tam przybył: rozbijali razem.

R. 1656 Lubomirski przyjął Sawkę jako starszego nad harnikami przeważnie zbójcyma, aby zabijali arian i lutrów, stronników Szweda. Jakoż zabijali i szli pod chorągiew Wąsowicza . . . Wróciwszy rozbijali po staremu . . .

Należał do nich Mróz z Werchomli, którego dziatwa rozbijała później pod hetmanem P r o k o p e m K o p k ą, też piśmiennym.

Wąsowicz Kaźmierz rotmistrz piechoty Lubomirskiego Aleksandra na Nawojowej, gromił, chwytał i odstawiał ich do Nowego Sącza, gdzie ich ćwiertowano, na pal wbijano.

Tak samo harnicy biskupa krakowskiego z Muszyny, którzy chwycili Kopkę i uwisł na haku w Muszynie.

Zmrokiem już wśród deszczu przyjechaliśmy do karczmy na Hucie Krzyżówka. Reb Hochhauser karczmarz wita i zaprasza na nocleg, gdyż do Krynicy nie warta tłuc się po nocy, a nawet niedostanie kąta na noc, tak wszystko zapchane gośćmi. Obiecuje siana świeżego choćby i cały wóz, obiecuje jaj, ziemniaków, mleka, masła, bułek, bryndzy, wódki, rumu i piwa . . . Trudna rada! ulegliśmy pokusie, bacząc „wonka“ deszcz lejący a „wnuka“ ogień na kominie, izbę obszerną bez pijaków i ziemniaki ostrugane już a mleko w skopcu . . .

Nasłano siana z półtory kopy; podjadłszy układamy się i spiemy doskonale bez pcheł, świerków, much i żadnej przeszkody: nawet kurów spiewających północ nie słyszeliśmy! —

Po północy jednak słyszymy dudnienie wozów i bicie w bramę z wołaniem: otwory! — o czem się nie śni nikomu w karczmie. Wołanie i pukanie trwa już dobrą chwilę i poczyna nudzić. Wawrzuś zniecierpliwiony woła na gospodarza sapiącego w drugiej izbie:

— Panie Hochhauser! panie Hochhauser! trzeba by im otworzyć!

Pan Hochhauser obudzony w końcu, zaklął coś po swojemu, z czego wyrozumieliśmy tylko: „a dir dan Tate i dane Mame heran“... i zswej strony jął wołać:

— Baśka! Baśka! . . . a wstańże . . . a wstańże Baśka . . . . a otwórzże im . . . . bo wrota wywalą . . .

W końcu obudziła się Baśka i sapiąc, fucząc i obskrobując się, wstaje i zapaliwszy świecę, otwiera bramę.

— Oj Baśko! Baśko! . . . jak tia trysnu w zuby! . . . a czomu ne puskajesz? ne znasz to szo my pryjchały . . .

Tak żartobliwie witają Baśkę obywatele miasta Tylicza i kmiecie Muszynki trudniący się podwodami. Poczem wchodzą do izby . . .

— Dajte palenki! . . . żydu! palenki dawaj! . . .

Na słowo „palenka“ wstał Reb Hochhauser, nalał wódki flaszkę i postawił wraz z kwaterką i kieliszkiem.

Piją rozmawiając głosy grubymi napół pijanymi . . . czem więcej piją, tem głośniej rozmawiają! . . . O czem? . . . o wszystkiem w świecie, tylko nie o koniach strudzonych, które niewyprzężone pozostały przy wozach.

Rozmowa coraz głośniejsza i coraz częstsze słychać wykrzykniki:

-- Pyjte kume! . . . . Wańko pyj! . . . Ilko pyj! . . .

Jednemu z pijaków wezbrało serce: więc najprzód śwista, w czem mu pomaga drugi; potem śpiewa wywodząc z słowacka „o koniku siwym . . . o frajerce szumnej“ . . . Melodja górskoruska, przeciągła, starożytna . . .

Kilka godzin już mitrężą tak! . . . Przecież się dopili dna . . . więc jako który stoi, kładzie się na ziemię a za małą chwilę chrapi snem szczęśliwego pijaka! Jeden szczególnie daje mi się we znaki, bo uległszy niedaleko, chrapi mi w ucho, ale to chrapi gdyby tracz na potoku górskim. U nóg mych, gdyby kamień nieruchomy odpoczywa drugi. Drużba jego Andryś przyklęknął na jedno kolano i krzyczy mu w ucho:

— Stepanko wstaj! hody do woza, bo podkowy ti wkradut! . . . wstaj! hody do woza . . . .

Ale Stepanko nie słyszy, chociaż gdyby miał łeb ze szkła, to by mu go Andryś był rozkrzyczał w kawałki! . . .

Zniecierpliwiony i ja z swej strony zakląłem od: Trista ditków, a Wawrzuś pomógł. Krzykliwy Andryś odwołuje się do równouprawnienia karczemnego, my z góry nań! . . . Reb Hochhauser też już miał dosyć tego dobrego, więc napomina uroczyście ale stanowczo . . . Andryś odchodzi milczkiem . . . Baśka gasi świece . . . chrapanie i sapanie powszechne.

Rano: bohatery leżą! . . .

Na środku wznak leży chłop tęgi, młody, czuha na nim opięta, leży jak bez duszy. Żyd, kupiec, który nadjechał, budzi go, rusza, w końcu kopie: on leży jak kłoda . . .

— A wstajże! a zaprzęgaj! bo już czas, bo już rano, bo już dobre na dzień!

Lecz on leży kamieniem . . . snać marzy o frajerce swej i koniku siwym; bo usta składa niby do świstania, niby do całusa, a niby . . . do picia! uśmiecha się! . . . Drużba jego chwyta go za duszaki: wstrząsł nim . . . podniósł trochę i upuścił . . . aż głowa odskoczyła od podłogi! — Więc otworzyły się oczy i usta, a tamten woła:

— Słysz! koniom daj obrok! . . . czujesz! koniom isty!

Obudzony przecie, wstał, przeciągnął się, spojrzał po szynkfasie, splunął i usiadł sobie na ławie. Ledwie przeledwie wypchali go do koni. Niezawodnie zaczął od bicia koni po łbie za to, że głodne sięgały do obroku! . . .

Wstają i drudzy. Gazdowie zachodzą ku szynkowni, poskrobują się poza ucho i spluwając . . . dzionek boży po staremu rozpoczynają wódką! . . . A co który wypije . . . splunie i wychodzi zostawiając drzwi otworem.

Muszynian stary wyszedłszy na pole, na podstrzeszu piwnicy widział dwóch ludzi śpiących na trzaskach od gontów: jeden góral, drugi wyglądał na mieszczanina.

Wtem nadchodzą dwaj chłopi z Wirchomli; żalą się, że im przedwczoraj skradziono woły . . . że śledzili aż tu na Hutę . . . Muszynczanin stary przerywa:

— Joj! to pewno złodzieje, co spią na jamie zimniaczanej!

Wychodzą ku nim i zdybują zdążających do karczmy.

— Niech będzie pochwalony! — mówi wchodząc ów mieszczanin.

— Na wieki! . . .

Wchodzi i ów góral. Spojrzeli na nas . . . na Tyliczan . . . Muszynian . . . zdało im się może, że komisja jaka, bo i papiery leżały na stole i strzelba.

Mieszczanin nie tracąc miny rzecze:

— Trzeba by się wprzódy umyć!—więc idzie do kąta, stawia swoją laskę i wychodzi. To samo czyni drużba jego góral.

Poszkodowani stwierdzają podejrzenie . . . wypędzają ich za nimi: a oni już pod lasem — umknęli! . . .

Żale, narzekania, mędrkowania! A tak trzeba było albo tak, albo owak! . . .

Świeża pobudka do pijatyki, która się rozpoczyna zawsze z onem przyzwoitem:

— Boże! daj wam zdrowie! . . .

Obliczają się z żydem:

— Ja zapłatyw oden piwkwatyrok . . . ja druhy . . . ja trety . . .

Uzbierało się kilka kwart. Starsi, poważniejsi wzywają by płacić, co się należy, młodzi przemawiają się z karczmarzem . . . zarzucają, że hardy — bo ich zgromił.

— Ja? . . . ja najpokorniejszy z ludzi, najposłuszniejszy! . . . bo skoro tylko kto zawoła: — żydu! daj palenki! — ja nie patrzę, czy on młody czy stary, zaraz słucham! . . .

Podoba się ten żarcik Reb Hochhausera, więc trzeba go oblać! . . . Pijatyka więc nie ustaje, nie ustają i rady nad złodziejami . . . Młodzik może 16-letni, ale snać gazda zamożny, z gazdami drugimi zasiadł za pan brat . . . w ręce flaszka . . . mina pijaka wytrawnego . . . Rozmawia i pije za pan brat! . . .

Kupiec prosi a prosi i napędza!

W końcu wyszli . . . cofają wozy krzycząc: curyk! curyk! (nazad! nazad!) i po łbach bijąc konie biczyskiem! . . . Dwaj gazdowie najstarsi dopijają jednak do końca . . . zawsze w imię Boga.

Zapłacili przecież i oni, i wyszli ostatni! . . .

I my wyszli: smutno nam było! . . . boć my się napatrzyli ustępowi z życia codziennego kmieci najmajętniejszych muszynczańskich i mieszczan tylickich . . .

Mają oni głosy w sejmie i wpływają na oświatę nietylko w gromadzie swej, ale i w powiecie i w kraju! . . .

Zadumę naszą rozwiał kapral od piechoty, prowadzący rekrutów. Pod rozkazami swymi miał on szeregowca starego, Polaka, który jako stary wiarus szedł w mundurze nowym i przy broni. Pan kapral Niemiec i to młody chciał się bawić w wodza surowego i szykując nowozaciężnych jął lżyć i wyzywać, przyczem oberwało się i wiarusowi, uśmiechającemu się na widok tej gorliwości wojewódzkiej. Ubliżyło to panu kapralowi, więc nasrożywszy brwi, rzecze:

— Was lachst du Hund! ich werde dich lehren! (Czego się śmiejesz ty psie! nauczę ja ciebie!) . . .

Stary wojak wyprostował się, wziął broń do nogi i rzecze:

— Co mnie pan masz nazywać psem? ja stary wojak . . . wąchałem proch w bitwach nietylko na przeglądach . . .

— Ruhig du Hund! . . .

— Ja nie pies! stary wojak nie pies . . . Co mnie pan masz tak lżyć . . . użalę się przed komendą...

— Ruhig Hund! sonst krepirst gleich... (Cicho psie! bo zdechniesz zaraz!)

— Zdychaj ty panie kapralu!

— Was? . . . ich? . . . i dobywa szabli . . .

— Tak! pan, panie kapralu, — rzecze żołnierz zimno — my oba żołnierze . . . jedno ścierwo! . . .

— Ruhig! . . sonst massacrir' ich dich zu Gulaszfleisch . . . (Cicho! bo cię posiekam na zraziki węgierskie.)

— To pan nie przezywaj . . .

— Ruhig! sonst massacrir' ich dich zu Gulaszfleisch! — powtarzał pan kapral.

Tamten swoje! . . .

Stanęliśmy na wzgórzu ciekawi, co to będzie. Zawsze „ruhig“ i „ruhig“ i „Gulaszfleisch“ kilkadziesiąt razy. W końcu ochrypł nad swem „ruhig“ i szablę schował w pochew. Nam się też sprzykrzyło i przeszliśmy za dział.

Szczątki lasu niszczonego niepotrzebnie a nawet swawolnie, rażą oko i poczucie gospodarskie. Niszczy go lud domagający się ciągle nowych lasów i pa-

stwisk... niszczą go gazdowie, jakicheśmy oglądali w karczmie . .

Rostoka całą doliną świeci gołolesiem; góry też wycięte z drzewa i gdzieniegdzie tylko kupka drzew rzuca cień na pastwiska liche . . .

Rostoką do Słotwin i Krynicy najsnadniej przeprowadziłby gościniec. Tamtędy miał też iść: lecz że już urobiono go z Rostoki do Krzyżówki, t. j. ćwierć mili, panom drogomistrzom rządowym żal było kawałka tego porzucić; więc hajże na Krynicę przez góry i potoki na złamanie szyi. Wydali nakładu może czterykroć tyle i wydają ciągle. Zyskali gdyby ów zdrowy, co mu żal było lekarstwa kupionego: więc wypił i zachorował. Z tą jednak różnicą, że chorego boli gdy choruje, drogomistrze zaś biorą diety, gdy się droga psuje . . .

Pod Jaworową szczytem, od wschodu hola piękna Markowicza z Złotnego; siano grabią wedle koliby, wóz drabiniasty stoi w pogotowiu, woły węgierskie rejki prześliczne wyprzężone, wpatrzyły się w nas oczyma swemi roztropnemi wcale nielękliwe, pies ujada, a widok na Słotwiny i Krynicę, cudny!

Zażądaliśmy żętycy . . . młody gazda nie bardzo uprzejmy, podaje nam ją w garnuszku, podaje i cofa i pyta:

— A co panowie dadzą? . . .

Tu już snać ustaje sielanka, poczyna się cywilizacja! Więc na rozum gadamy: — głupiś! — Bierzemy żętycę, pijemy! . . . nieosobliwa prawie na przepis lekarski . . . dla gości z korony . . . dla nas licha!

— Cóż chcesz za żętycę? . . .

— Czy ja wiem, co panowie dadzą? . . .

— Błazen jesteś! chcesz być mądrałą a głupiś... Kiedy chcesz sprzedawać jak żyd wódkę, to gadaj, co twój kiepski towar warta . . .

— A jużcić szóstkę . . . bo będzie kwarta!. . .

— Na masz! a naucz się być albo mądrym albo głupim, ale przy głupim mędrkiem nie bądź . . .

Poszliśmy dalej ku Runkowi.

Nad Łosiem po księżej holi idziemy gdyby

po kobiercu: kostrzewa dojrzała ugina się pod stopami jak gdyby sprężyna doskonała, do kośby twarda. Łosianie koszą sobie wóz a księdzu Sembratowiczowi w Nowejwsi wóz. Chwali on sobie to siano nad wszystkie siana. Garstką małą nasyci się wół, a napojony pęcnieje w oczach a nie wzdyma się; przeżuwa ochoczo i żwawo i przybywa go widocznie. Przy żadnej paszy nie bywa też bydle tak żwawe i raźne jak przy kostrzewie. Jest to skarb i tajemnica hol.

Lecz kostrzewa buja tylko między lasem i snać dołem potrzebuje wilgoci. Po wygubieniu lasu niknie i kostrzewa; okazują się golizny spłuczyste.

Kostrzewą jest trawa słynna po holach alpejskich u stóp lodowców Szwajcarji i Tyrolu .... Ztąd też bydło tamtejsze przeniesione na paszę rowieńską nędznieje i marnieje.

U źródła pod bukiem rozniecamy ogień, warzymy herbatę, przypiekamy słoninę, przegryzamy chleb z bryndzą... Poczem drzymka na kostrzewie pulchnej w odwet za oba noclegi ostatnie.

Dwieście lat przed nami, nie raz i nie dziesięć u źródła tego koczowali tu inni ludzie i piekli barany i pili piwo tylickie Rostoczanie i Łosianie zbójców groźnych Bursa łośka.

Pokrzepieni szliśmy dalej samowtór, z początku milcząc, potem rozmawiając, to o dziejach gór tych, to o ich przyrodzie roślinnej i zwierzęcej: gdyż Firganek był leśnikiem i przyrodnikiem, jakich mało, a ciekaw dziejów ludzkości. Bardzo nam też było dobrze obydwom, że nam nikt nie przeszkadzał w rozmowie poważnej. Tak doszliśmy na Runek.

W Runku cisza wspaniała! Promienie słońca przedzierają się przez korony buków potężnych, ale tylko gdzieniegdzie. Ocieniem kroczymy ... Jakoś tak nam uroczo, że mimowoli na myśl przychodzą dzicy mieszkańce lasów Ameryki i uroczyste ich pochody leśne. I my milczymy mimowolnie; wrażenie wspaniałości bugajowej zabija słowo ... do rozmyślania człek sposobniejszym ... Milcząc też i w zamyśleniu idziemy ...

Aż tu bokiem coś chrupło . . . coś biegnie . . . Złodziej leśny wlecze buka młodego ściętego poprzednio, po którego przywlókł przód od wózka górskiego . . .

— Bogdajże cię gapiu! . . . zepsułeś nam dumanie, rozwiałeś urok, więc: stój! stój! . . .

Głuptak stanął, jak gdyby my go mieli ścigać . . .

— Daj siekierę!

Dał siekierę, dygocąc od trwogi.

— Jak się zowiesz? . . . zkądeś? . . .

— Z Jastrzębika! . . .

Co tu robić? . . . Wedle prawa leśnego szkoda w tem miejscu nie wyniesie jak może 20 centów... Brać siekierę? . . . kto ją będzie niósł tyle świat... Puścić go płazem? . . . Wawrzusiowi nie pozwala obowiązek! . . .

— Prowadź nas do Dziuły!

— Do starego?

— Do starego!

— A to nie tędy! to panowie źle idą! . . . trzeba się wrócić i tamtędy zejść z Runku na dół...

Wyprowadził nas na drogę, zkąd już ujrzeliśmy zagrodę na holi . . . więc otrzymawszy nakąz surowy, aby do kasy zarządu dóbr w Muszynie, stanąwszy oblicznie złożył karę pieniężną wedle taryfy i aby więcej nie kradł, otrzymał swą siekierę i odszedł uradowany, a nazajutrz istotnie stawił się w obec kasjera zdziwionego nad miarę!

Dziuła stary mieszka u stóp Runku, nieopodal od Pustej: nad nim tylko jedno osiedle i pod nim jedno. Stary siwy ale jary depce wóz siana, narzeka iż dziesięć razy musieli przesuwać, bo deszcz zlewał ciągle. Złazi z wozu, najuprzejmiej zaprasza do chaty i ani sobie odejść nie da, żeby bez ugoszczenia puścił swego pana łowczego.

— Jakby to było, żeby pan łowczy nieodwidził starego? coby na to świat powiedział? . . . A widział on światu nie mało: bo widział i morza i Amerykę, chociaż nie wstąpił na nią. R. 1831-go wychodźców polskich Austrja okrętem własnym odstawiała do Ameryki. Jako straż przydano 30 woja-

ków z porucznikiem. Przybili do Ameryki, zarzucili pomost, wychodźce wyszli z okrętu. Wojacy, między którymi był i Dziuła, prosili żeby im dozwolono choć nogą stanąć w Ameryce: lecz pan porucznik niepozwolił, zawrócił okręt, pławił na powrót. Stary Dziuła zawsze miał wielki żal do niego.

Nie daliśmy się mu odrywać od roboty, poszliśmy do chaty schludnej. Dziulina stara była nam bardzo rada, a rosół z królika był doskonały, kapusta wyśmienita!

W i r c h o m l a, wieś ruska ostatnia na zachodzie. Koniec doliny okryty lasem gromadzkim spustoszałym strasznie. Miejscami pagórki kamiennych łomów, grubo mchem porosłych, tworzą groty i altanki samorodne prześliczne. W kotlinie obszernej dziura lejowata, upust samorodny wszystkiej deszczówce: wierzchem nieco przywalona łomowiskiem drzew naniesionych. Podczas ulewy musi to być obraz ciekawy, jak woda spływa i wre w tym leju. Kaczki tamże napędzone wychodzą chodnikiem podziemnym do potoka, który obficie spada po kamieniach. Cienistą jego głębią właśnie stadko gęsi pędzi dziewczynka zawodząc piosnkę przeciągłą, której wtoruje szum wody.

Jest tu cerkiew ruska a pleban 62-letni znanej zacności i uczciwości z 4-ch synów i dwu córek ma już 11 wnuków. Rad nie rad zarządza jeszcze dwiema cerkiewkami sąsiedniemi dojeżdżając konno. Konno też jeździ do chorego i na jarmark do Łabowej przez B a r n o w i e c, z którego zjeżdżając musi zsiadać. Do chorych też pod R u n e k i P u s t ą przejażdżka nielada! Za to też zdrów wygląda jak młodzian. Do plebanji należy mały lasek modrzewiowy a jawory, któremi obsadzona, dostarczają 5 wozów latorośli na najlepszą paszę kozom.

Dolina ta zewsząd zamknięta: gazetę i mięso noszą z Krynicy o trzy godziny chodu góralskiego.

W Werhomli jest szczawa obfita: nawet już i goście pojedyńczo zjawiali się do niej.

Do Ł o m n i c y idziemy po pod D r a p y.

M r o z o w k a, rola na wierzchach ku Runk o w i, złożona z kilku chałup w kupie gdyby gnia-

zdo górskie: mroźna zimą że aż strach, zupełnie odcięta nieraz śniegami od świata. Toć też to stare gniazdo zbójeckie: Mróz stary z Sawką rozbijał lutry i arian, a Mroziki byli zbójcyma hetmana Kopki.

Widok tylko wspaniały na Poprut z Mniszkiem i na Krępak Pilchowski ku Rohaczowi!

Łomnica dolina, podobna wirchomlańskiej: skalistem łożem szumiąc spada potok, a wedle młynków przechodniom służą kładki jedno- lub dwudrzewne. Szczawa tam bardzo smaczna z gazem nieulotnym, tryska z pod skały i pokładów rdzy żelazistej. Nikt o niej nie wie na tym bożym świecie! Folusz sukna góralskiego słynął tu dawniej.

W karczmie nad młynem i szczawą żydek mały i niepokaźny otoczon młodzieżą żydków dorodnych: to zbiegi przed wojenką, którzy się tu chronią. Dostarcza nam chleba smacznego z kminkiem świeżym, mleka i jaj. Na pastwisku powyż karczmy rozkładamy ogień nad potokiem, zkąd widok piękny w doliny.

Podjadłszy chcemy iść dalej. Wtem krzyki, śmiechy dziewcząt grabiących siano w uboczy: jedna biega, podskakuje, wyskakuje, rękoma wywija; druga ucieka też rękoma wywijając i śmiejąc się . . . Osy je opadły, na których ziemne gniazdo natrafiły grabiąc. W końcu opędziły się . . . obie się śmieją. My ruszamy dalej.

Sołtystwa w Łomnicy leżą od południa ku Poprutowi po obu stronach Łomnicy rzeki i Wapiennego przytoka.

Długosze wzdłuż brzegu prawego obsiedli wieś i sołtystwo. Dzielą się na Długoszów Wargulców i Żrałki. Wargulce zwani od grubej wargi praszczura swego, którego gdy od pijatyki oderwać nie mogła żona, rzuciła nań szklankę, trafiła w gębę i rozcięła wargę, która zgojona zgrubiała, więc nazwan Wargulec. Żrałka zaś, że blondyn żółty i źrały gdyby gruszka. Żywczaków ród też liczny w Łomnicy.

Nocujemy na Niedźwiadkach u Izworskiego. Unikając sielanki z muchami, królikami i t. d., za poradą gazdy idziemy na świeże siano na strychu spać pod górnicami nowemi i czystemi. Cierpiąc na

gościec obawiałem się chłodu nocnego, alem doznał prawdy słów gazdy: wapory ciepłe siana świeżego były mi lekarstwem prawdziwem. Zapocony lekko przespałem noc aż miło! uczułem ulgę. Rano ruszyliśmy ku wirchom nawojowskim.

Trubacz hala na południowym przyłęku Bachowca nad Niedźwiadkami, leży gdyby dłoń ręki, a gdyby palce ciągną się jej odczochy: Niedźwiadki, Zubrzyk, Świniary, Jaworyny, z boku zaś Łosie. . .

Niedźwiedzie, więc żubry, łosie, świnie dzikie, a z jaworyn jelenie i sarny pędzone nagonką, pomykały ku górze na Trubacz osaczony, kędy je strzelali goście dostojni: Jagiełło z Witołdem, przysposabiając mięsa na potrzebę grunwaldzką. Po dokonanej rzezi trąbili łowce na Trubaczu zwołując się. . .

Skotarki wirch. W czasach owych zbójeckich bacował tam Skotarski a na dolinie pod nim Żywczak. Obaj Łomniczanie chłopi silni, toporki ciągle ostrzyli, w trwodze obaj się zwoływali: „Braciszku pomagaj!“ i nie bali się zbójców.

Raz zbójnik przychodzi do Skotarskiego i rzecze:

— Daj się napić żętycy!

— To się napij, stoi w beczce.

— Jakże pić, kiej nie ma czem?

— Ot tak! —

Oburącz ujął beczkę, podniósł i pije: zbójca zląkł się siły takiej, uciekł, nie przyszedł więcej.

Żywczak pochodził od Żywca, zwał się Szymanko, r. 1656-go jako harnik napadał bogate dwory rzekomo luterskie: Gębczyńskiego w Olszówce, Krupki, Lipskiego w Nowotarszczyznie i wszędy kędy wiódł Lenarski, organista z góry św. Jana. . . .

Zdobywszy pieniędzy sporo udał się na Spiż a potem osiadł w Łomnicy. Mówiono o nim, że miał pieniędzy pełny sąsieczek. Syn podbierał ojcu dukaty i zaszywał je w koszulę długą, którą matka wzięła do prania, spostrzegła i mówi:

— Ojcze patrzcie, co to już syn robi!

Ojciec odpędził syna; ale on miał już dukaty, poszedł do Chowańca w Łomnicy kupować pole. Chowaniec orał właśnie i rzecze:

— Poczekaj! jak doorzę, pójdę z tobą.

— Doorał, poszedł, sprzedał mu pole podle Wnęków. Tam tedy osiadł był bogaty: sto owiec zimował.

Raz pod zimę przyszedł doń zbójca na służbę do owiec. Zimą owce pędził w las, z buków obrywał mchy, karmił. Nakarmione doiły się jak w lecie: do Wielkiejnocy uzbierał bryndzy winiówkę. Na św. Wojciech z Runku zagrzmiał strzał: on dobył pistoletu i odstrzelił. Poczem rzecze gaździe:

— No! bywajcie zdrów! teraz już mój czas, już idę.

Gazda prosi by został, obiecuje to to, to owo; lecz owczarz mówi:

— Żebyście mi dali i całe mienie, nie zostanę.

I odszedł! po niejakim czasie zbójce nadchodzą Żywczaka. Rozniecili ogień, pochwycili gazdynię, chcą przypiekać by powiedziała, kędy ma pieniądze. A on juhas rzecze:

— Joj! dajte spokój! Jakem był do owiec, zawsze mi d o b r z e m i e r y n d z u dawała.

Kopnął babę aż odleciała: dali jej spokój.

Na K r a j n e j h a l i o 4 sągi nad studnią mieli zbójce p e r e c h o w a j, z którego ośmiu końmi wywieźli t r a m złota. Tak prawi podanie.

S m o k siedział w jamie w turni naprzeciw O r z y n i a t e g o na Łomnicy. Wyłazil czasem, zabierał owce. Przyjechał czarnoksiężnik, zaczytał go. Smok wyszedł, on go dosiadł i wio! powietrzem. Na O r z y n n e m gonciarze robili gonty: smok sobą roztrącił jodłę, ta padła na jakiegoś Lacha i zabiła go.

Co znaczy smok, nie mogłem dociec.

1866.

Szczęsny Morawski.

WEZWANIE.

Wyjdźcie z ukrycia, kamienne postacie,
Wieków ubiegłych okryte odzieniem,
Wy, co w szanownej choć sprószonej szacie
Chcecie nas darzyć łaskawem wspomnieniem!
Może wy myśli myśl nową poddacie,
Budząc ją jasnem przeszłości spojrzeniem,
By, opuściwszy kryjówki rozumu,
Przestała być już zagadką dla tłumu.
Pozwólcie oku, co patrzy na życie,
Na jego straszne, śmiertelne zapasy,
By mogło pobiedz choć cicho i skrycie
W dawno minione, lecz tem droższe czasy,
Aby duch, ciała rzuciwszy powicie,
Ogłuchł na chwilkę na świata hałasy,
By mógł pobujać w krainach przeszłości,
A potem wrócić ze skarbem nowości.
Ale na długie miesiące i lata
Pobyt się jego pośród was przedłuży,
Aż kiedy serce me z wami się zbrata,
Kiedy mnie wreszcie bujanie to znuży,
Powrócę w sferę codziennego świata,
Aby zdać sprawę z dalekiej podróży,
By czytelnemi zrobić dziejów karty,
Lub napis nogą przechodnia zatarty.
Choć praca czasu długa i niszcząca,
Coraz to bardziej już ślad wasz zaciera,
Chociaż was może niebaczny potrąca
A potem jeszcze z litością spoziera,
Dla was w mej piersi wre miłość gorąca
I dusza do was wiecznie się wydziera,
I święte dla mnie są wasze popioły,
A wasze groby — to moje kościoły.

Stanisław Womela.

Artystka-Nowicjuszka.

NOWELLA

przez

Anielę Korngut.

I.

Metalowy głos dzwonka obudził go z zadumy. Chciał zawołać służącą, ale rzuciwszy przypadkiem wzrok na wiszący na ścianie zegar, przypomniał sobie zapowiedziane odwiedziny i poszedł sam drzwi otworzyć.

— Oczekiwałem panią.

— Podał jej rękę, uchylił portjery i wprowadził do pokoju.

Usiedli.

Nastała pauza: on przypatrywał się jej baczniej i mały, ledwie dostrzegalny uśmiech przesunął się po jego twarzy, ona miała wzrok spuszczony; namyślała się od czego zacząć.

— Panie dyrektorze, może nadużyję jego cierpliwości, wystawiając ją na próbę wysłuchania mnie do końca. Ale — tu lekki uśmiech przyozdobił jej usta — trudno, grzecznym być trzeba.

Znowu przebiegł po jego twarzy ten uśmiech nieokreślony. Schylił głowę na znak uszanowania, jakie ma dla płci pięknej.

— Panie dyrektorze, długo się namyślałam, zanim przyszłam do tego rezultatu; zwlekałam z dnia na dzień, myślałam, że innem zajęciem przygłuszę te pragnienia, ale nadaremnie! — przesunęła ręką

po twarzy i głosem już pewniejszym ciągnęła dalej:

— Pragnę zostać aktorką, czyli, jak to dzisiaj zowią, artystką dramatyczną, a ponieważ szkoły nie mam . . .

— Bo jej nikt teraz u nas nie ma — przerwał dyrektor.

— Więc może lekcje prywatne? — spytała nieśmiało.

— Nie pani. Najlepszą szkołą dla artystki dramatycznej jest rok pobytu na prowincjonalnej scenie. Tam nabywa się potrzebnej rutyny scenicznej, bez której i największy talent dramatyczny obejść się nie może.

— Panie dyrektorze, to niemożebne! Iść na prowincję, opuścić dom rodzicielski i bez podpory, nie znając stosunków, rozpocząć inne życie? Wyobrażam sobie, jakie pokusy czyhają na aktorkę prowincjonalną. Brak środków i chęć odznaczenia się popchnęłyby mnie prędzej lub później w przepaść. Musiałabym upaść, zanim bym się wzniosła! . . . . Panie dyrektorze . . . gdybyś miał siostrę, cóżbyś jej w takim razie doradził?

Patrzała na niego błagalnie.

— Gdybym miał siostrę, odradzałbym jej wstąpienie na scenę, chyba — dodał, spostrzegłszy jej wzrok błagalno-rozpaczliwy — chyba, gdybym był pewny, że ma nadzwyczajny talent . . . Tylko wybitnym talentom o sławie światowej, wolno się mierzyć z równouprawnionymi! Tylko ci wybrańcy losu zmuszają nawet przeciwników i niechętnych do uszanowania. Ale biada miernościom! nie mogąc błyszczeć talentem, chcą olśnić blaskiem swej piękności, i wtedy — a stosuję to do kobiet — rzucają się w ramiona pierwszego lepszego, płacąc za blask chwilowy honorem całego życia.

— Chociaż obraz to może prawdziwy, to przecież wyrzec się nadziei nie mogę. Gdybym nie czuła w sobie iskierki talentu, nie śmiałabym pana trudzić i zabierać czas drogi.

Dyrektor się namyślał.

— A więc na prowincję pani iść nie chcesz?.... Pozostaje nasza scena. Ale czy pani wie, że lata, długie lata miną, nim ci dadzą główną, popisową rolę? . . .

— Jest to może z mojej strony za śmiałe przypuszczenie . . . ale . . . czy prawdziwy talent nie może od razu, pierwszego już wieczora, zyskać pierwsze na scenie stanowisko?

— Bywało i to . . . nie przeczę! Ale to rzecz rzadka i . . . dla dyrektora zanadto ryzykowna.

Wstał i zaczął się przechadzać po pokoju zamyślony. Przystąpił do biórka i przerzucił karty manuskryptu, nad którym przed wejściem adeptki sztuki dramatycznej, tak głęboko się zadumał.

Z przedpokoju znowu dał się słyszeć głos dzwonka. Dyrektor zmarszczył brwi, ona z dziwnym jakimś lękiem podniosła się z miejsca.

— Niech tylko pani siedzi. Zobaczę kto to i jeśli można, odprawię.

Wyszedł i wrócił po chwili z młodym człowiekiem, przedstawiając go.

— Pan Łoński, autor dramatyczny.

Przedstawiony skłonił się i na znak dyrektora usiadł na wskazanem miejscu.

— Panie Łoński — odezwał się dyrektor — przeczytałem pańską sztukę i uznałem, że dobra; nie wahałbym się jej wystawić, gdybym posiadał artystkę do tytułowej roli. Znaczyłoby to jednak, stawić wszystko na jedną kartę.

— Panie dyrektorze, więc muszę się wyrzec nadziei, by ta sztuka wystawioną była?

— Widzi pan . . . chyba . . . no żal mi pana i szkoda też dobrej sztuki. Pozostaje jeszcze jeden środek bardzo ryzykowny.

— Słucham z uwagą.

— Możebność przedstawienia sztuki pańskiej zależy w tej chwili od tej pani.

— Nie rozumiem pana — odrzekł Łoński.

— Ta pani chce wstąpić na naszą scenę.

— Więc pani jesteś artystką dramatyczną? — spytał Łoński.

— Jeszcze nią nie jestem, ale pragnę nią zostać.

— Mówiłem panu — zwrócił się dyrektor do zdziwionego Lońskiego — będzie to wielkie ryzyko! Lecz inaczej nie dojdziemy do celu. Gdy sztuka pańska w głównej roli przez tę panią zostanie należycie odegraną, zdobędziesz pan sławę i... pieniądze, a ja umiejętną artystkę, bo te co są, to ledwie aktorki. . . Mój Boże! apatja publiczności temu wszystkiemu winna!...

— Możeby pani przeczytała monolog z odnośnej roli? — zadecydował Loński po chwili.

— Dobrze.

Loński przerzucił kartki manuskryptu, wskazując palcem monolog.

Ona przebiegła oczyma wiersze i zaczęła czytać.

— Nie źle, nie źle; ale to nie wszystko — szeptał dyrektor.

Autor miał twarz rozpromienioną.

— Panie dyrektorze — rzekł — mam nadzieję, że sztuka nie upadnie, gdy główna rola zostanie w ręku tej pani.

Doświadczony dyrektor uśmiechnął się słabo; on wątpił.

— Panie dyrektorze — przemówiła młoda adeptka sztuki — wiem, co myślisz. Obawiasz się pan, bym nie straciła odwagi? Nie bój się, przejmę się rolą; zobaczysz panie dyrektorze. . .

— To się tylko pani tak zdaje — przerwał dyrektor łagodnie — skoro jednak wejdziesz na deski sceniczne i zobaczysz tysiące ócz na cię zwróconych, cóż wtedy?

— Nie będę na to zważała.

— Spróbujemy. Zresztą pokaże się to na próbach.

Podał jej manuskrypt.

— Mogę go zabrać do domu? — zapytała.

— Niech się pani wczyta najpierw w sztukę i nauczy pojmować rolę, w której panią przesłuchać zamierzam. Wczytuj się w tę rolę a wtedy proszę tu przyjść.

Rozpromieniona podała mu rękę, ukłoniła się autorowi i odprowadzona przez dyrektora, wyszła.

Dyrektor wrócił do pokoju z miną zamyśloną.

— Szalona to stawka, nieprawdaż panie Loń-

ski? Lecz wyjątkowo chcę wierzyć w pańską i tej młodej adeptki dobrą gwiazdę.

Po chwili odszedł Loński, a do pokoju wszedł Bolek, pierwszy artysta do ról amatorów i przyjaciel dyrektora.

— Któż ta młoda osoba, co wyszła ztąd? — spytał kochanek sceny.

— Twoja koleżanka in spe.

— Tak? Szkoda, że się jej lepiej nie przypatrzyłem.

— Słuchaj Bolku!

— Z namaszczeniem.

— Nieznośny dowcipnisiu! Otóż . . . wczoraj, kiedy byłem na generalnej próbie, dano mi znać, że przy kasie stoi młodziutka panna i chce ze mną mówić. Zaintrygowany wyszedłem. Widząc, że nie wie od czego zacząć, spytałem, czem jej służyć mogę. Prosiła o krótką rozmowę. Ponieważ jednak obecność moja na scenie była niezbędnie potrzebną, odłożyłem więc tę rozmowę na dzisiaj, prosząc, by mnie odwidziła w mojem mieszkaniu. I wiesz? Nie rozchodzi się ani o mniej, ani o więcej, tylko o to, że ta pani chce zostać aktorką.

— Aktorką?

— Czy to cię dziwi?

— Rozumie się!

— A cóż na to powiesz, gdy dodam, że mam zamiar ją protegować?

— Przecież nie na naszej scenie?

— Właśnie, że na naszej.

— Ależ dyrektorze, niedowarzonych talentów nie brak! Potrzeba rutynowanej artystki.

— Ona nią będzie. Jest wykształconą, to poznałem od razu, z czystego zamiłowania wstępuje na scenę, odda się z zapałem sztuce.

— Etcaetera! No . . . musi to być niepospolita kokietka, kiedy cię tak zbałamuciła, dyrektorze!

— Bolku!

— Kokietka pierwszorzędna, powtarzam!

— Ależ ty jej nie znasz! I ja, nim zaczęła mówić, posądziłem ją o to samo, ale nawróciłem się rychło.

— Rozczarujesz się jeszcze rychlej.

— Bolku! jesteś niepoprawnym pesymistą!

— A ty dyrektorze optymistą również niepoprawnym.

— Nie przekonasz mnie!

— Ona cię sama przekona! Stawiam tysiąc na sto.

— Przegrasz!... Ale dość już tego wszystkiego! Zbliża się godzina próby. Chodźmy!

II.

W skromnym, jednak gustownie urządzonym pokoju jadalnym zasiedli do śniadania państwo Zbożewscy.

Doktor Zbożewski, mężczyzna lat około pięćdziesięciu mający, zachował jeszcze świeżość cery, jaką tylko czerstwe zdrowie i prawidłowy tryb życia dać mogą. Postawa i ruchy kazały się domyślać w nim dawnego wojskowego. W rysach twarzy nieco ostrych przebijał się despotyczny charakter.

Małżonka stanowiła niezwykły z nim kontrast. Niegdyś zachwycająca prawdziwą pięknością, dziś jeszcze zachowała jej ślady i przy wrodzonej sobie łagodności charakteru, była jedną z najprzyjemniejszych kobiet. Lubiła sztuki piękne, literaturę, ale kryć się z tem przed okiem mężowskiem musiała. Doktor Zbożewski bowiem szczególne miał maksymy i do nich kazał się zastosowywać żonie i córce, chociaż ta ostatnia co prawda tylko powierzchownie do nich się zastosowywała.

Śniadanie spożyto w dobrym humorze, doktor ucałował córkę swoją Klarę, co mu się rzadko tylko zdarzało, i jak zwykle o godzinie dziesiątej wyszedł z domu, by odwidzić pacjentów.

Matka i córka zostały same.

Klara zbliżyła się do matki, była bardzo blada.

— Mameczko chciałabym z tobą pomówić.

— Cóż ci moje dziecko!

— Mameczka przyrzeknie słuchać spokojnie, a... potem . . . powie swe zdanie.

Klara walczyła długo z sobą; nie spała przez noc całą, teraz stała blada przed matką swoją, ale stanowczość przemawiała z jej oczu; nic jej zmięszać nie mogło. Miała zwyczaj przystępować od razu do rzeczy, więc i teraz zaczęła bez wszelkich przygotowań:

— Mameczko, zostanę artystką dramatyczną.

Poczekała chwilę; wiedziała, że te słów kilka, pozornie lekko wypowiedzianych, zrobią niezmierne wrażenie.

— Poczyniłam odpowiedne ku temu kroki i jeśli Bóg da, stanę wnet u celu. Wiem, że ojciec nie przyjmie tej wiadomości tak spokojnie, jakbym sobie życzyła, że utrudni mi nawet wykonanie zamiaru, ale postanowiłam stawić mu opór. Mameczko, wierzaj mi, że nie próżność przemawia ze mnie; powołanie ciągnie mnie na scenę! Ono mnie wzmocni w walce z ojcem, bo ty mamo będziesz po mojej stronie.

Ujęła ręce matki całując je i patrzała na nią tak błagalnie, że matka za całą odpowiedź miała tylko łzy gorące, które spadały na głowę jedynaczki.

Cóż miała powiedzieć córce ukochanej, jedynej? Znała ją, wiedziała, że wszelka opozycja nie zda się tu na nic.

— Klaro, dziecko moje, co świat powie?

— Świat uwielbi mój talent.

— Dziecko, do tego daleko! Pierw niejedno upokorzenie zniesiesz, niejedną stoczysz walkę, niemało łez uronisz! Kolce cię zranią a róże ominą.

— Mamo, ja od razu staję na wyżynie.

I tu w kilku słowach opowiedziała zajście u dyrektora.

— Widzisz mamo, że nie grożą mi wcale owe ujemne strony życia aktorki prowincjonalnej. Będę mogła zostać u ciebie mamo. Gdy ojciec zobaczy, że zdobywam uznanie, nawróci się, choć pomału.

— Dziecko, ty marzysz z otwartemi oczyma. Ojcu nie można tego odkryć.

— Wiem. Ale mamo, to zupełnie zbędne, na to będzie dosyć czasu, gdy nadejdzie ostateczna decyzja. Przecież sama nie wiem, czy w ogóle dostąpię tego zaszczytu.

— Ukryć się nie potrafimy, nasze miasto zanadto plotkarskie.

— Wszak nie wyjawiłam dyrektorowi mego nazwiska.

— Może cię kto u niego widzieć, śledzić twe kroki. A potem Klaro . . . czy wypada, byś odwiedziła dyrektora? To człowiek młody jeszcze, kawaler! Dziecko, dziecko! Widzę, że błądzisz, a nie mam siły, cię powstrzymać.

Klara zarumieniła się lekko i ujęła ręce matki, patrząc jej prosto w oczy.

— Matko! wierzysz twej córce?

Matka pocałowała ją. Dotąd nie miała powodu, jej nie wierzyć, czytała w jej duszy, wiedziała, że jest szlachetną.

— Wierzę ci, moje dziecko.

— Mamo, możesz być pewną, że nie zboczę z uczciwej drogi.

— Ale świat, ludzie; czy ich sąd cię nic a nic nie obchodzi? Cóż zamyślasz robić?

— Wyuczyć się powierzonej mi roli a potem pójść do dyrektora. Mamo! bądź o mnie spokojną; stało się! — i podała jej czoło do pocałowania — milczenie ścisłe!

To powiedziawszy znikła we drzwiach swego pokoju.

Matka została się sama, smutna; popatrzała na drzwi, za któremi znikła córka i oczy wzniosła ku niebu w cichej modlitwie.

III.

Od owej pierwszej wizyty u dyrektora upłynął miesiąc. Wszelkie przygotowania do wystawy dramatu Lońskiego już poczyniono. Generalną próbę poprzedziły cztery pierwsze.

Obok kulisy stanął dyrektor z panną Klarą Zbożewską, która dla sceny przybrała pseudonim Ankacji. Nieopodal zaś rozmawiał Loński z reżyserem. Tu i owdzie stali artyści w grupach i pojedynczo.

Na głos dzwonka inspicjenta powstało małe zamięszanie, występujący w sztuce pospieszyli na swe stanowiska.

— Pani Skarska — zawołał donośny głos reżysera.

Pani Skarska zbliżała się do sceny z miną nadąsaną; przechodząc obok Lońskiego zatrzymała się.

— Dla czego napisałeś pan dla mnie taką rolę? Czyż pan już nie mógł coś lepszego napisać? Ale tak bywa zawsze, gdy dyrektor bierze sztuki nieznanych autorów. Pan X. nie napisałby dramatu, w którym byłyby tak mizerne role!

Gniewna weszła na scenę. Loński stał gorżko uśmiechnięty. Pani Skarska wypowiedziała swój monolog należycie i autor pogodził się z artystką. Wiedział, że ten światek aktorski szczególnie rozkapryszony i nerwowy.

Po niej weszła Ankacja. Dialog się rozpoczął, gra stawała się naprężoną.

Dyrektor zacierał ręce z zadowolenia. Klara była niepospolicie utalentowaną, winszował sobie w duchu, iż zdobył dla swej sceny taką perłę.

Klara usiadła na ławce zmęczona grą.

— Jak pani się tą grą przejmuje! — odezwała się Skarska.

— Czyżbym inaczej oddać mogła swą rolę?

— Ale pani rychło sterasz zdrowie swoje, jeśli zawsze tak grać będziesz.

Tu wmieszał się dyrektor w rozmowę.

— Panna Ankacja inaczej grać nie może; a to, że się pani temu dziwi, nie świadczy dobrze o talencie własnym.

— To znaczy, że nie jestem dobrą aktorką? — ostro spytała Skarska.

— Nie dysputujmy — odpowiedział dyrektor — talent pani oceniłem już dawniej.

Skarska zamilkła gniewna. Takie upokorzenie w obec tej „przybłędy,“ tej „awanturnicy“ budziło zemstę w jej zepsutem sercu.

Loński zbliżył się do Klary.

— Pani — rzekł gorąco — jeśli sztuka zyszcze uznanie, to nie moją, ale pani będzie zasługą. Jakże

miło pracować, gdy się widzi zrozumianym . . . Pani jesteś wcieleniem moich ideałów . . .

— Mówił z zapałem, a gdy słowa jego przebrzmiały, sam przeląkł się swojej śmiałości.

Ale ona go nie słuchała. Myśli jej bujały w krainie marzeń; nie patrzała nawet na niego. Przed nią stał obraz inny, do którego wyżyn wznieść się chciała na skrzydłach swego talentu, aby stać się godną zaufania, jakie wzbudziła.

— Czy pani marzysz o jutrzejszej owacji? — usłyszała głos dyrektora.

— Dyrektorze, wracam do domu; pan wie, że stoczyć muszę walkę niemałą, walkę z przesądami i uporem ojca.

— Masz pani wielką, szlachetną duszę, jesteś wytrwałą, skruszysz więc przeciwności. Wierzaj mi pani, iż żadna z jej poprzedniczek w tym zawodzie nie osiągnęła podobnego celu w tak krótkim stosunkowo czasie. Jesteś pani wybranem dzieckiem Melpomeny — dodał z uśmiechem.

— A jednak dyrektorze . . . boję się! . . .

— Jak to? Pani wątpi w swój talent i dobrą gwiazdę? talent twój zasłoni usterki, uzupełni braki, jakie towarzyszą każdemu pierwszemu debiutowi.

— Dziękuję panu, panie dyrektorze, za jego życzliwe słowa. Do widzenia do jutra!

Próba się skończyła, artyści się rozeszli.

. . . .

Zbliżała się pora, kiedy u Zbożewskich zasiadano do stołu.

Doktor Zbożewski był dziś w świetnem usposobieniu. Rozmowa toczyła się około publicznych wiadomości.

— Czy wiecie — rzekł do żony i córki, które jak mogły oblekły się olimpijskim spokojem — że jutro występuje jakaś Ankacja i to w sztuce dotąd nieznanej?

— Wiemy — odpowiedziała doktorowa, wzdychając cicho.

— I cóż? Klara radaby pójść jutro do teatru, co? Wiem, że tego pragnie. No . . . nie mamy nic przeciwko temu. Hm . . . ja sam was odprowadzę.

Klara czuła, że stanowcza zbliża się chwila. Zadrżała nieznacznie i spuściła oczy. Po chwili jednak zebrała się na odwagę.

— Cieszy mnie to ojcze, że chcesz być jutro w teatrze: będziesz zatem mógł osądzić grę nowej artystki.

— No, ja się tam na tem tak dalece nie znam; zostawię to wam; sądzę, że twe zdanie będzie kompetentne.

— Ale też i nieważne.

— Nieważne? No . . . hm . . . to prawda. Twoja krytyka byłaby nieważną dla samej artystki, ale dla mnie naprzykład?

— Tak samo! Wyglądałoby to, jak . . . gdybyś sam chciał ocenić umiejętności swe lekarskie.

— Nie rozumiem cię Klaro. Hm . . . że też dzisiejsze panny bez paradoksów przekonać o błahej nawet rzeczy nie mogą, nie rozumieją.

— Bo widzisz ojcze . . . artystką, która ma jutro wystąpić po raz pierwszy . . . jestem ja.

Nastąpiło nieprzyjemne milczenie. Doktor oniemiał z zadziwienia. Po chwili odzyskał głos.

— Czyś zmysły postradała dziewczyno?

— Nie ojcze. Jestem przy rozumie. A nawet patrzaj . . . puls mój bije normalnie.

— Słyszysz żono!!

Ale doktorowa zdaje się nic nie słyszała; piękne jeszcze teraz jej rysy przyoblekła bladość marmurowa.

— Jakto? I matka twoja milczy? Czyście się obie przeciwko mnie sprzysięgły? Dziewczyno! twoje marzycielstwo posunięte do warjacji! Nie ma czego mówić! Pięknieś pani córkę wychowała! Komedjantka, aktorka!

— Ojcze, twoja córka będzie pierwszą artystką na tutejszej scenie.

— Artystka, aktorka . . . jakby to nie było wszystko jedno.

— Ojcze, odrzuć te przesądy. Dzisiaj czasy się zmieniły. Artystka dramatyczna jest osobą wszędzie szanowaną i poważaną, dla której najpierwsze domy stoją otworem.

— Tak . . . stoją otworem . . . dla takiej Modrzejewskiej albo Sary Bernhard! ale nie dla ciebie.

— Daremna twoja opozycja, ojcze. Wszelkie przygotowania już poczyniono; afiszy ogłosiły mój występ; rozważ sam, czy się jeszcze cofnąć mogę?

— Jakto? bez mej wiedzy? bez pozwolenia mego? Nie! to przechodzi wszelkie moje pojęcia! Żono! cóż tobie? czyś oniemiała?

— Mężu, nie pozostaje ci nic, jak spokojnie poddać się . . . okoliczności. . . .

— I ty to tak spokojnie wymawiasz? No . . . powinienem się był tego po tobie już dawno spodziewać! Matka, co wychowała córkę na aktorkę. . .

— Mężu! . . . Twój gniew czyni cię okrutnym i niesprawiedliwym.

— A więc chcesz, bym patrzał spokojnie na jej zgubę? Co ją czeka, co? Czy wiesz? . . . wzgarda publiczna! No, nie ma czego mówić! Córka doktora Zbcżewskiego aktorką.

— Artystką dramatyczną!

— Artystką, aktorką! . . . wszystko jedno . . . powiedziałem.

— Niech i tak będzie! Lecz wzgardzony przez ciebie zawód ma swoich przedstawicieli w synach i córkach możnych i szlacheckich rodzin. Znachodzą się wprawdzie między nimi i tacy, co niezasługują na uszanowanie, ale większość ojcze, to ludzie wykształceni, pracowici, poświęcający się sztuce. . .

— Idealne półgłówki! — gniewnie zakrzyknął doktor.

— A jednak ojcze, córka twoja zapisała się w ich szeregi i wytrwa do ostatka na swem stanowisku. Oto moje niezłomne postanowienie. Jeśli mi staniesz w drodze ojcze, wtedy sam sobie przypisz następstwa, jakie ztąd wynikną.

Wszedł służący, niosąc dwa bilety. Doktor wziął je do ręki, przeczytał i popatrzył na córkę.

— Do ciebie goście! — zawołał -- i rzucił córce bilety.

— Ach, on tutaj — wykrzyknęła Klara przeczytawszy karty — mamo! dyrektor teatru i autor dramatu, który jutro wystawiają.

— Mężu — przemówiła doktorowa łagodnie — rozchmurz czoło, czyż obcy ludzie mają być świadkami naszych rozterek familijnych?

— Nie! . . . Masz słuszność. Pójdę ich przywitać i powiem. . .

— Mężu . . . bez wszelkich uniesień . . . proszę cię . . . błagam.

— Chodźmy! będę spokojny!

Po ceremonjalnem przywitaniu zwrócił się doktor Zbożewski do dyrektora.

— Czy przychodzisz pan z odsieczą, panie dyrektorze? Bo . . . nie ma czego mówić . . . już wiem o wszystkiem. Hm . . . co to wszystko w dzisiejszych czasach uchodzi! Córka podchodzi ojca!. . .

— Wszystko uchodzi w czasie wojny. Pańska córka była pewną, że będziesz doktorze przeciwnym jej sprawie, ergo: nieprzyjacielem. Znając strategję, nigdy nie uderzamy na silniejszy od siebie obóz nieprzyjacielski; otwarta bitwa w takich razach kończy się upadkiem siły mniejszej. Szukamy więc fortelów... pańska córka przeprowadziła doskonale swe szyki, a teraz trzeba kapitulować.

— Tak pan powiadasz?

Głos doktora stracił już wiele z gniewnego dźwięku.

— Panie doktorze! prosimy do naszego obozu — zawołał Lański.

— Jestem za stary mój panie, by zmieniać swe zasady.

— Zrzucić zestarzałe przesądy nigdy nie jest zapóźno — przemówił dyrektor. Od kogoż, jeśli nie od pana, a w ogóle od ludzi wiedzy mamy żądać postępu, uznania dla sztuki? . . .

— Ale co powie świat? — bronił się coraz słabiej doktor.

— Świat będzie uwielbiał pańską córkę — odpowiedział Loński.

— Czy rzeczywiście córka moja ma taki talent?

— Jest talent w niej i to niepospolity — odpowiedział dyrektor — a przy usilnej pracy córka pańska może zajść wysoko.

— Jeśli pierw nie upadnie — zamruczał doktor.

Klara to usłyszawszy przystąpiła do ojca całując jego ręce.

— Ojcze, nigdy! Przysięgam na wszystko, co mi jest drogiem i świętem.

Doktor pokręcił głową.

— No . . . nie ma czego mówić . . . bronisz się dobrze! Daję więc moje zezwolenie, ale niezapominaj o twojej przysiędze!

Klara z radością pocałowała ojca w rękę. Dyrektor i Loński dziękowali mu w gorących słowach.

— Panie dyrektorze — zaczęła adeptka sztuki po chwili — gdyby nie pan, kto wie, jakby się to było skończyło. Zaciągnęłam do dawnych jeszcze jeden dług wdzięczności. Doprawdy, że muszę być bardzo pilną, bym dług ten mogła zwrócić.

— Droga pani! co dotąd dla niej zrobiłem, to stało się z czystego egoizmu. Pragnę bowiem dla swej sceny umiejętnej i inteligentnej artystki. Co do dzisiejszej usługi, podziękować możesz panu Lońskiemu, ja żadnego w tem nie mam udziału.

Doktor, który z boku dość żywo rozmawiał z Łońskim, przerwał ich dysputę.

— Hm . . . czybyście państwo uwierzyli? Jak się z rozmowy wykazało, to pan Loński jest naszym krewniakiem. Świetna niespodzianka, nie ma czego mówić. No Klaro, przywitaj w panu Lońskim twego kuzyna.

Doktorowa zbliżyła się do Lońskiego podając mu rękę, którą tenże z uszanowaniem do ust podniósł.

— Przyjemnie mi — rzekła do niego — poznać w panu jednego z krewnych mego męża. Nie mogę

jednak panu przebaczyć, żeś nas sobie dopiero dzisiaj przypomnieć raczył.

— Niesłusznie mnie ten zarzut spotyka. Dopiero dzisiaj usłyszałem nazwisko córki pani dobrodziejki, które wzbudziło we mnie dźwięk znajomy. Wchodząc tutaj, nie byłem jeszcze pewny swego.

— Tak, tak — przerwał doktor — skonstatowałem . . . nie ma czego mówić . . . jesteś pan naszym kuzynem. Sądzę, że nie zapomnisz o swych krewnych . . . hm? Bo to pewno już w pychę wzrosłeś . . . . co? Przecież już sztukę twoją grają. A masz już sławę?

— Sztuka ta jest pierwszą moją, którą wystawiają. Przez nią dam się dopiero poznać publiczności.

— Hm . . . zobaczymy jutro. A finanse jak stoją, panie kuzynie?

Lański z lekka się zarumienił.

— Skończyłem przed rokiem studja i oddałem się zawodowi literackiemu . . . po rodzicach został mi skromny kapitalik.

— Hm . . . rozumiem! Goły, jak każdy literat!

— Mężu! — zawołała z wymówką doktorowa.

— Panie doktorze — rzekł Lański — jestem wprawdzie ubogim, ale Bogu dziękować niczyjej łaski nie potrzebowałem i nie potrzebuję; a mam nadzieję, że mi nieba tak nisko upaść nie dadzą, bym kiedyś żebrać o nią musiał.

— Hm . . . dobrze powiedziane . . . nie ma czego mówić. . . No . . . ktoby się był spodziewał? literat! . . .

Doktorowa i Klara rade były „kuzynowi“ i dyrektorowi. Dzięki ich interwencji, zaczynał się doktor zapatrywać na tę sprawę cokolwiek inaczej, a gdy odeszli, usłyszały, jak powtarzał:

— Hm . . . zobaczymy . . . Powołanie, to rzecz całkiem naturalna! . . .

IV.

Na scenie znoszono dekoracje do pierwszego aktu, w garderobach byli zajęci artyści toaletą i swemi

maskami. Wszystko szło zwyczajnym w takich razach trybem.

Tylko artystki pospieszyły się jakoś i wieńcem stanęły obok kulisy. Szeptały cicho; tu i owdzie wyrwało się z ust której głośniejsze słowo; widać nie zauważyły Lońskiego, który stał nieopodal w cieniu.

Nie chcąc podsłuchiwać, chciał już opuścić swe stanowisko, gdy o jego uszy obił się dźwięk imienia Ankacji. Mimowoli, jakby instynktem do miejsca przykuty, słuchał dalej.

— To jej pierwszy, ale też i ostatni występ, ręczę wam za to. Wczoraj mówiłam z hrabią Feliksem, przyrzekł mi, że urządzi hecę z klakierami. Będzie się więc miała z pyszna. Skromnisia!!

Loński poznał głos pani Skarskiej. Słowa jej w tonie groźby i szyderstwa powiedziane, oznaczały niebezpieczeństwo dla równowagi w grze Klary. Należało przeciwdziałać. Lecz dyrektor gdzieś odszedł, bądź co bądź trzeba było ostrzedz artystkę-nowicjuszkę.

Cicho bez szmeru, aby nie wzbudzić podejrzenia, wyszedł z za kulisy, kierując swe kroki do garderoby Ankacji.

Zapukał lekko do drzwi.

— Kto tam? — ozwał się głos Klary.

— Ja kuzynko. Muszę się widzieć z panią natychmiast.

— Zaraz wyjdę.

— Klara była już zupełnie ubrana; otworzyła drzwi i wyszła.

Loński zebrał się na odwagę.

— Panno Klaro . . . przyszedłem ostrzedz panią.

— Ostrzedz mnie? Cóż to znaczy?

— Loński opowiedział jej co słyszał przed chwilą. Zamyśliła się.

- Więc pan sądzisz? — spytała po chwili — że grozi mi jakie niebezpieczeństwo?

— Nie wiem, co ta groźba właściwie ma znaczyć. O ile sądzić mogę, to chcą urządzić jakieś zaburzenie podczas przedstawienia. Może wygwizdają sztukę . . . grę?. . . Gdybym tylko wiedział, gdzie dyrektor?

Klara stała, zaciskając wargi.

— Zostań pan! Wszak już plan obmyślony; cofnąć go w tak krótkim czasie nie można. Za kwadrans rozpoczyna się przedstawienie. . . . Zapóżno! Ta wiadomość odbiera mi zapał i wiarę w siebie. . . Będą miały łatwy tryumf . . . czuję, że nie podołam swej roli.

Loński stał bezradny. Na szczęście nadszedł dyrektor. Spostrzegłszy ich miny, przystanął zdziwiony.

Klara rzuciła się ku niemu.

— Dyrektorze, ocal mnie przed ich zawiścią!

Loński opowiedział, co zaszło. Dyrektor się zżymał.

— Próżny ich tryumf — wymówił przez zaciśnięte zęby — przeszkodzę temu; jeszcze nie zapóżno. Panno Ankacjo, nie obawiaj się pani; ufna w swój talent, bądź spokojną. Muszę panią opuścić, nie mam bowiem chwili do stracenia.

Odszedł z Lońskim, Klara wróciła do garderoby.

Zapukano znowu do drzwi. Tą razą był to sam dyrektor. Klara opuściła garderobę, dokąd z orkiestry dochodziły dźwięki cudnej arji dobosza z Sikingu.

Chociaż w skromnej, jak tego wymagała rola, toalecie, była tak piękną, że rywalki zgrzytnęły zębami, zobaczywszy ją chodzącą pod ramię z dumnym dyrektorem. Ukłoniła się swoim koleżankom i spostrzegła drwiące ich miny. To ją zaniepokoiło. Miałżeby dyrektor nic nie wskórać? Chciała się go o to spytać, gdy wtem usłyszawszy swój krańcowy wyraz, pospieszyć musiała na scenę. Jeszcze jedno więc spojrzenie, uściśnienie ręki, ciche słowo modlitwy, westchnienie!

Wszystkie lornetki zwróciły się na wchodzącą debiutantkę; szmer podziwienia rozległ się w audytorjum. Obcych gości uderzyła młodość i piękność debiutantki, znajomi zaś poznali w niej córkę doktora Zbożewskiego, który w towarzystwie żony siedział w jednej z lóż proscenium.

Klara grać poczęła. Głos jej drżał widocznie, nie mogła dotrzymać w tempie Skarskiej i gdy wyszła po skończonej scenie, czuła się tak upokorzoną,

że z drżeniem pomyślała o chwili, kiedy wracać trzeba będzie. Ogień zapału ją pożerał, a przecież....

— Niech się pani nie obawia — rzekł dyrektor — nad klaką czuwa straż. Zauważyłem także, iż zrobiła pani wrażenie w audytorjum. Tylko odwagi!

— Na panią kolej — zawołał Loński, który śledził grę na scenie — odwagi droga pani!

Znowu zwróciły się na wchodzącą lornetki; ona tego nie widziała, gdyż monolog, który zaczęła, to własne wyznanie rozjątrzonej duszy. Z zapartym oddechem słuchała publiczność. Z oczu artystki tryskał ogień a potem gdy widziano łzy, prawdziwe łzy w jej źrenicach, szmer podziwu przerwał uroczystą ciszę. Z zapadnięciem kurtyny sala zatrzęsła się gromem oklasków.

— Ankacja! — wołała entuzjazmowana publiczność.

Ona stała za kulisą oszołomiona. Pan Weryński wziął jej rękę, drugą uchwycił Bolek i tak podziękowali publiczności.

W drugim i trzecim akcie wszystko szło wybornie; zdawało się, że tryumf debiutantki będzie zupełnym.

Klara już była zmieniła swą toaletę do czwartego aktu, gdy do garderoby weszła pani Skarska. Zdziwiona spytała, czem jej służyć może.

— Bez ceremonji — rzekła ta, głosem ostrym, siadając na kanapce — siadaj proszę obok i racz mnie wysłuchać.

— Słucham panią.

— Przychodzę w imieniu moich koleżanek ofiarować pani pokój lub otwartą wojnę. Wybieraj!

— Pani — rzekła Klara, siląc się na spokój — wybacz, ale nie znajdujemy się na scenie, ten frazes chybiony! i jeśli mi nic lepszego powiedzieć nie masz, to proszę uważać naszą rozmowę za skończoną.

— Pani mnie wyrzuca za drzwi? — krzyknęła Skarska.

— Czy o czemś podobnem myślałam? Pani ubliża sobie sama, tłumacząc moje słowa w ten sposób — drwiąco odpowiedziała Klara.

— Ha! odpłacisz mi za to! A teraz jeszcze raz: chcesz wojny?!

— Pani, nie pojmuję twej gwałtowności. Czemże ściągnęłam na się gniew artystek, które mają zostać mojemi koleżankami?

— Czem? Udajesz przedemną nieświadomą, jak przed dyrektorem świętą; znamy się na tem! Zkąd pani przybywasz? Jakiem prawem wciskasz się do teatru, zabierając role, które prawnie mnie się należą? kim jesteś, że nie chcesz się z nami wdawać? że nas unikasz? Dlaczegoś mnie nie odwiedziła? Sądziłaś może, że moja przyjaźń nie będzie ci potrzebną? Co? Przekonasz się!

— Pani . . . czego właściwie odemnie żądasz?

— Żądam, byś opuściła nasz teatr, by dzisiejszy występ twój był ostatni.

— Pani, jej żądanie jest śmiesznem; poskarżę się dyrektorowi.

— Nie strasz mnie dyrektorem, twoim kochankiem, moja piękna panno! Czy myślisz, że może mi dać dymisję? Bezemnie i moich koleżanek grać nie można. Dyrektor raczej wyrzeknie się ciebie, aniżeli nas! Mógł postawić straż nad klaką, ale „co się odwlecze, to nie uciecze.“ Pamiętaj! Zdradził nas ktoś, pewnie twój drugi kochanek, ten głupi literat. Drugi raz nie uda mu się to. Radzę ci więc, byś występom w naszym teatrze dała za wygranę.

Klara nie była już panią siebie; ruchem gwałtownym wskazała rywalce drzwi.

— Pani! opuść natychmiast moją garderobę! Zaczepka twoja jest bezczelną! U dyrektora odpowiem pani więcej!

Skarska nie spodziewała się tej stanowczości u młodej debiutantki; zawahała się chwilowo; lecz dawna impertynencja wróciła niebawem.

— Ani się waż odkryć dyrektorowi, co między nami zaszło — zasyczała — ani się waż! Inaczej jutro już całe miasto będzie wiedziało, że jesteś kochanką dyrektora! Ani słowa! Bo inaczej biada tobie! Żegnam cię! Bez mego wmięszania się upadniesz, bo jeszcze nie jesteś dość zepsutą, byś lekceważyć sobie miała słowa moje, ani tak rutynowaną aktorką, byś potrafiła ukryć własne wzburzenie. Jeszcze raz: przed dyrektorem milczeć, bo dotrzymam słowa. Żegnam!

Klara została samą. Za chwilę będzie musiała pokazać się publiczności; czy potrafi grać dalej?

Czwarty akt się skończył i ani jedna ręka nie podniosła się do oklasku. Debiutantka, przyspieszając swe zemdlenie, upadła nie w ramiona przyjaciółki, ale na ziemię i to dość niezręcznie. W sali powstał szmer niezadowolenia i gdy kurtyna zapadła, wrażenie to zniknąć nie mogło.

Czy to tylko przypadek?...

Kurtyna podniosła się po raz piąty.

Gdy Ankacja wchodziła na scenę, miała ruchy niepewne; powoli jednak zaczynała się ożywiać. Z ust płynął potok słów, jak z wezbranej boleścią piersi.... Katastrofa się zbliża... straszne, złowrogie milczenie.... Wtem daje się słyszeć śmiech... śmiech długi, przeciągły... drżenie, zda się, udziela się ścianom nawet... urywane słowa pełne jęku i znowu ten śmiech okropny swą naturalnością.....

— Autor! autor! Ankacja! — wołała publiczność.

Zawołani pokazali się raz i drugi i trzeci; spuściła się żelazna kurtyna; w audytorjum rozsuwano krzesła i w minut kilka wypróżniła się sala.

V.

Na trzeci dzień po pierwszym występie Ankacji, przylepiono po rogach ulic głównych afisze z doniesieniem teatralnem, jakoby w skutek nagłej słabości występy artystki zaniechane zostały.

Mniej wtajemniczeni w tę sprawę przyjęli tę wiadomość dość obojętnie, inni, którzy byli na pierwszym występie Ankacji, przewidywali widać ten rezultat, bo czytali bez zdziwienia doniesienie, ruszali tylko ramionami i szli dalej.

W kole literackiem litowano się nad młodym autorem, którego dramat upadł po pierwszem zaraz przedstawieniu.

Recenzenci ostrzyli pióra, trafiła im się gratka niemała!

Skarska i wszyscy, którzy należeli do jej obozu, obchodzili uroczyście swe zwycięztwo „w wykurzeniu tej skromnisi“, jak dowcipnie wyrażała się rywalką.

W prywatnem mieszkaniu dyrektora panowała przykra cisza. Wskazówki zegaru dochodzą do wpół do ósmej . . . jeszcze kilka minut. Wszedł Bolek z gazetą w ręce.

Dyrektor się ocknął.

— Pokaż! — i ruchem gorączkowym chwycił za numer. Zaczął czytać; z początku dość spokojnie, ale w końcu rzucił gazetę.

— Na . . . masz! czytaj! — rzekł do Bolka.

— Głośno czytać? — spytał tenże trochę ironicznie.

— Czytaj głośno, tem lepiej spamiętam.

— Od początku?

Dyrektor skinął potwierdzająco. Bolek zaczął czytać:

„Podwójna niespodzianka, jaką nam wczoraj urządziła dyrekcja teatru, należy do pierwszych w tym sezonie; dla tego też zasługuje na szerszą wzmiankę tem bardziej, że przychodzi sądzić utwór świeżo wstępującego w szranki autora dramatycznego.

Co do wartości utworu, o tej może sobie każdy wyrobić zdanie, gdy mu treść podamy.

Młoda dziewczyna niemajętna (panna Ankacja), która przysięgła konającej matce, że zostanie uczciwą, pomimo wszelkich pokus, jakie na nią czyhają, uchodzi sideł bogatego Donżuana. Biedna przyjmuje posadę towarzyszki u córki (pani Skarskiej) dawnego przyjaciela ich domu, pana Kreta (Weryńskiego). Wdzięcznością przykuta, jest zdolną do wszelkich poświęceń dla swego dobroczyńcy i jego córki.

Tak ma się sprawa, gdy panna Kret, ułowiwszy na balu złotego młodzieńca (Bolka), chce go przykuć do siebie więzami hymenu. Młody człowiek, doktor, przy tem majętny, przychodzi do domu pana Kreta, ale . . . nie w celu odwzajemnienia miłości córki gospodarza. Skromna, piękna towarzyszka przypada mu do serca, przeczuwa, że i ona go kocha i czuje się szczęśliwym.

Ale wkrótce niebo się chmurzy. Zazdrość czyni pannę Kret przezorną. Widzi grożące niebezpieczeństwo i nieprzebierając w środkach, pragnie dojść do celu. Przebiegła starą się o przyjaźń doktora, zyskuje jego zaufanie przyrzekając mu, że pomówi o jego miłości z towarzyszką. Doktor uspokojony odchodzi, panna Kret tymczasem działa dalej w energiczny sposób. Szczęśliwy traf obznajmia ją z przeszłością towarzyszki. Plamka, coś niepewnego, zawikłanego dochodzi w ręku tej intrygantki (bo tak przedstawia autor ją nam), do niezmiernej wielkości . . . złego.

Najęte przez nią osoby donoszą doktorowi o niepewnej przeszłości kochanki. Jest tam jakiś romansik, jakaś intryżka i rozumie się samo przez się, że wzburzony doktor szuka wyjaśnienia.

Uprzedzono go. Córka Kreta wmawia w towarzyszkę, że jej ukochany jest jeszcze gorszym od szekszpirowskiego Otella i że usprawiedliwić się nie powinna, kiedy się czuje niewinną.

Nasza bohaterka wie, że to fałszywa rada, wglądnęła bowiem w karty rywalki, lecz wdzięczność zmusza ją do ustępstwa i kładzie pieczęć milczenia na jej usta.

Łatwo zgadnąć, co następuje.

Doktor wzgardziwszy ukochaną, biegnie w ramiona przyjaciółki, która w końcu sztuki zmienia się w narzeczoną, a bohaterka dramatu wpada z rozpaczy w obłąkanie.

Horrendum!

Dlaczego dyrekcja wystawiła tę sztukę i dała jej pierwszeństwo przed innemi, nie wiemy. Sądząc atoli po drugiej niespodziance, przychodzimy do rezultatu, że dyrekcję napadła chęć protegowania niedoszłych geniuszów.

Tytułową bowiem rolę premiery powierzono po raz pierwszy występującej publicznie pannie Ankacji. Artystka-nowicjuszka pojęła swoją rolę, a byłaby ją pewnie jak najlepiej odegrała, gdyby posiadała rutynę sceniczną. Niepewność siebie, rozwlekła dykcja, ruchy to nadto gwałtowne, to zbyt spokojne, przyćmiły możebne dobre przymioty panny Ankacji. Że ma talent, to widoczne, ale dyrekcja powinna była wiedzieć,

że nie dość być piękną i wykształconą, by ważyć się odegrać tytułową rolę przed tak wybraną publicznością.

Za rok może, gdy panna Ankacja oswoi się ze sceną, powitamy w niej niepospolitą artystkę; dzisiaj niestety uznać ją za taką nie możemy. Jest talent, lecz trzeba go kształcić. „Bez pracy nie będzie kołaczy.“

To samo powiemy panu Lońskiemu. Utworowi jego nie brak artyzmu, ale to wszystko słabe, strasznie słabe. Autor jeszcze młody, posiadać więc znajomości świata i ludzi nie może. Nic dziwnego, że maluje utopje. Radzimy mu, by wczytywał się w dzieła mistrzów, by pracował nad sobą, a wtedy powinszujemy mu z całego serca dobrych rezultatów.

Teatrowi potrzebne skończone talenta, które by podniosły scenę z upadku. Sztuki zdrowe, jędrne, przez dobrych artystów i artystki odegrane, znajdą pewne uznanie, bo nasza publiczność za wiele ma rutyny, aby nie mogła sprawiedliwie osądzić sztukę i jej kapłanów.

Jeszcze słówko uznania należy się panu Walowi za czarną sylwetkę intryganta. Panna Miskal była jak zawsze miluchną pokojóweczką. Reszta artystów zrobiła ze swych bladych ról, co się dało.“

Bolek przestał czytać, patrząc z wyrazem oczekiwania na dyrektora.

— Skończyłem.

— A . . . tak! — obudził się z zamyślenia dyrektor — i cóż ty na to?

— Nic.

— Jak to? nic! Przecież musisz coś o tem sądzić.

— I owszem. Ale mój sąd już był pierwej wyrobiony.

— A więc? — spytał niecierpliwie dyrektor.

Bolek ruszył ramionami.

— Wszak wiedziałeś, że się tak skończy — rzekł po chwili.

— A!... Ty myślisz, że już wszystko skończone?

— Nie inaczej! Wszak sam powiedziałeś, że ryzykujesz wystawiając tę sztukę w obsadzie głównej

z panną Ankacją. Sztuka upadła? Nie twoja to rzecz! Wystaw inną jakiego modnego pisarza, który ma przyjaciół między recenzentami, a odzyskasz napowrót powagę twoją. Co zaś do Ankacji. . . .

— Tak . . . o nią mi tylko chodzi — przerwał dyrektor.

— A tak! . . .

— Chciałeś mówić o Ankacji.

— Widzisz przecież, że milczę.

— A to dlaczego?

— Naiwne pytanie!

— Bolku, co to znaczy?!

— Żeś zakochany, dyrektorze!

— Ja?! Ależ to szaleństwo!

— A tak . . . przyznajesz sam! Szaleństwo . . . ja też nie inaczej to nazywam.

— Bolku, nadużywasz mej cierpliwości!

— Więc odchodzę! Adieu! — to rzekłszy zabierał się do wyjścia.

— Bolku, zostań! Chcę z tobą pomówić. Otóż uważaj . . .

— No . . . czemu się wahasz?

— Bolku . . . jeśli się raz co zacznie, to trzeba konsekwentnie rzecz przeprowadzić aż do końca, nieprawdaż?

— Czy chcesz na to odpowiedzi?

— Tak, Bolku!

— Hm . . . dyrektorze . . . to konieczne! Każdy początek musi mieć swój koniec, każdy weksel termin swej zapłaty, każdy romans swój epilog, każda miłość swe rozczarowanie!

— Bolku, z tobą nie można mówić o poważnych rzeczach.

— Więc jeszcze nie jestem poważnym? Wszak filozofowałem dosyć.

Milczeli przez chwilę.

— Biedna Ankacja — szepnął dyrektor półgłosem.

— Biedna — podchwycił Bolek — dlaczego biedna? Owszem, powinieneś być wdzięczny wypadkowi, który ją oddaje rodzicom i społeczeństwu. Tu, na scenie musiałaby prędzej czy później upaść. Patrz,

co się dzieje z temi wszystkiemi, ten sam los czekał i ją. Młoda marzycielka przedstawiała sobie teatr jako świątynię, nas jako kapłanów, krytyków jako sprawiedliwych sędziów na wzór tych, co to na tamtym świecie grzeszne nasze dusze sądzić będą. Nastąpiło rozczarowanie! To ją wyleczy; pozna, iż wstąpienie na scenę było tylko idealnem przedsięwzięciem; da za wygraną swym marzeniom o sławie i w czas niedługi wyjdzie za mąż, zostanie poczciwą gospodynią, najlepszą żoną, najczulszą mateczką.

— Tak sądzisz?

— Tak dyrektorze! To filozofia życia.

— Bolku, ty jej nie znasz. To jest jedna z tysiąca, która inaczej pojmuje życie. Ona ma talent, usposobienie wzniosłe, serce szlachetne; ona nie jest stworzoną do tego życia, które ty dla niej malujesz.

— Dyrektorze, tracę fantazję! Stałeś się tak sentymentalnym, jak ja . . . notabene na scenie! Czyżby już wybiła godzina owa, której ze zgrozą oczekiwałem? Nasz dyrektor zakochany! Nasz dyrektor opiewający przymioty swej Julietty? . . . Nie! . . . to doprowadza mnie do rozpaczy. Idę się utopić . . . utopić . . . no . . . nie bój się . . . tylko w szklance wina! Przyjdziesz do Górki? Powiadam ci, że dobre wino, to radykalny środek na wszelkie dolegliwości serca!

Wyszedł.

— Czy rzeczywiście jestem zakochany? — pytał się dyrektor, gdy sam został — nie, nie! to być nie może! Mam lat czterdzieści, poznałem już tyle kobiet i żadna nie przypadła mi do serca, miałażby ona? . . . Bolek się myli! Litość, życzliwość bierze za oznaki miłości.

Usłyszał głos dzwonka; oglądał się, kto to taki. Był to Łoński. Na jego twarzy znać było, że przeczytał już recenzję.

— Siadaj panie Łoński — przemówił dyrektor — wiem, co pana sprowadza. Przeczytałeś pewno krytykę sobotniego przedstawienia i pragniesz usłyszeć moje zdanie?

— Zgadłeś, panie dyrektorze!

— Panie Loński! Wystawiając pańską sztukę, wiedziałem, że niemałego narobi hałasu, ale nie spodziewałem się, by upadła.

— Upadła? — powtórzył bezdźwięcznie Loński.

— Niestety!

— Miałżeby ten artykuł wpłynąć na pańską decyzję?

— Nie panie! ten artykuł irytuje mnie tylko. Wierzę w pański talent, jak pierwej wierzyłem; dramat pański uważam za sztukę dobrą i piękną, a jednak powtarzam: ta sztuka musi na teraz zniknąć z repertoaru. Przeczytaj pan.

Podał mu bilet, który wziął z kosza.

Loński wziął bilet do ręki i przeczytał nazwisko ojca Ankacji; odwrócił kartę. Cztery wiersze ostrym charakterem pisma nakreślone, stanowiły treść biletu. W krótkich a dobitnych wyrazach obznajmiał w nich doktor, że córka jego zrywa wszelkie z teatrem stosunki.

Loński zrozumiał teraz dyrektora.

— Czy pan byłeś u Zbożewskich? — zapytał go dyrektor po dłuższej chwili.

— Nie panie dyrektorze. Ale domyślam się, co tam zajść musiało. Jutro tam pójdę. Do widzenia więc. Przepraszam za natręctwo.

Pożegnali się uściskiem dłoni.

VI.

— Proszę pana doktora . . . panienki nie ma w pokoju.

— To będzie u matki, ty bałwanie! Ruszaj. . . niech zaraz tu do mnie przyjdzie. . . No, jeszcze stoisz?

Lokaj nie ruszał się z miejsca.

Doktor Zbożewski gniewnie tupnął nogą.

— Czyś nie słyszał?

— Proszę pana doktora . . . panienki nie ma . . . w domu. Marysia, proszę pana doktora, powiedziała. . . powiedziała. . .

— Powiedziała . . . i cóż się jąkasz, hm?! . . . No, wyjąknij, co powiedziała!

— Powiedziała Marysia, że . . . że panienka... nie spała tej nocy.

— Nie spała tej nocy . . . hm! . . .

— Powiedziała Marysia, że łóżko... nietknięte..

— I cóż z tego?

— No . . . proszę pana doktora . . . ja nie wiem . . . ale śmiem myśleć, że . . . panienka . . . uciekła wczoraj w nocy z domu.

Doktor zerwał się jak oparzony i chwycił służącego za ramię.

— Coś ty bałwanie powiedział? Moja córka!...

— Panie doktorze . . . ja śmiem myśleć, że to niesłusznie trząść mną . . . to ... panie doktorze . . . mogłoby mi zaszkodzić . . . dopiero zjadłem śniadanie . . . pan doktor . . . musiałby mnie na własne koszta do . . . szpitala posłać.

Doktor go puścił. Służący uciekł.

Hałas wywołany tą sceną zwabił doktorowę, która stanęła w progu. Ledwie ją doktor spostrzegł, przysunął się do niej, wykrzywiając twarz ironicznym uśmiechem.

— O ... uciekła! nie ma czego mówić! Pięknie wychowałaś córkę swoją!

Doktorowa nie okazała zdziwienia. Twarz jej, zawsze spokojna, dziś nacechowana była smętnym wyrazem.

Doktora gniewała zimna krew żony.

— Hm . . . czy ta kobieta mnie nie rozumie? Żono, cóż tak patrzysz? Czy ci boleść odjęła zmysły?

— Mężu — przemówiła jak zwykle łagodnym, choć dzisiaj drżącym nieco głosem — uspokój się i nie rób hałasu.

— Więc radzisz mi poddać się okolicznościom — przedrwiwał doktor... Gdzie Klara? — zawołał nagle ostrym głosem.

— W bezpiecznem miejscu — odpowiedziała matka cicho.

— Skryłaś ją przedemną? przed ojcem? . . . Nie ma czego mówić. Powinienem się był tego spodziewać! Klara sfiksowała, obałamuciła cię sławą, a ty śmiałaś mnie, człowieka poważnego w pole wyprowadzić, oczy mi zamydlić tak dalece, że sam pozwoli-

łem na wasze błazeństwa! . . . I cóż wynikło z tego wszystkiego? hm? To, com powiedział. Pośmiewisko ludzkie! No, nie ma czego mówić! Córka doktora Zbożewskiego wyśmiana, wyszydzona. Porwała się z motyką na słońce, i ot co się stało . . . I zamiast spokornieć, śmie jeszcze podnieść bunt przeciw ojcu!

— Mężu! . . .

— Cicho mówię! nie odzywaj się! Doczekałem się pociechy, nie ma czego mówić! . . . Ale słuchaj, czy z twoją wiedzą porzuciła nasz dom?!

Doktorowa spuściła oczy.

— Czy nie słyszysz? Pytam się, czy z twoją wiedzą, czy bez twej wiedzy opuściła dom rodzicielski? . . . Milczysz . . . a więc tak!!

Stał chwilę nieporuszony, a małżonka patrząc na niego, mimowoli płakać zaczęła.

— Uciekła — wykrzyknął doktor ochrypłym głosem — niech już nie wróci!!

— Mężu! Na rany Chrystusa Pana!

Zerwała się i drżącą ręką zakryła usta mężowskie.

Doktor wyprostował się gniewnie i odrzucił rękę żony, która nawpół zemdlona padła na krzesło.

Dzwonek słabo się poruszył.

Pode drzwiami słuchający lokaj wpadł do pokoju. Milcząc wskazał doktor na żonę. Służący pobiegł co tchu do kuchni po Marysię.

Przybiegła przestraszona kucharka i uprowadziła zemdloną do sypialni.

Upłynęła godzina.

Zadzwoniono; Marysia poszła otworzyć. Przed nią stała znajoma jej sędzina, domagając się przyjęcia.

— Proszę powiedzieć pani doktorowej, że sędzina, jej przyjaciółka, przyszła z wizytą.

— Kiedy proszę pani sędzinej, moja pani nie przyjmuje dzisiaj nikogo; pani słaba.

— Duszko moja, ja wiem, co mówię . . . powiedz tylko swojej pani, że to ja jestem — i wsunąwszy jej srebrzaka w rękę, dodała — rozumiesz mnie już . . . idź duszko.

Służąca pocałowała sędzinę w rękę i wyszła; po chwili wróciła, otwierając drzwi do salonu.

— Proszę tędy.

— Widzisz duszko! przyjaciółka bywa zawsze przyjętą.

Weszła, z drugiej strony wchodziła doktorowa. Obie przyjaciółki rzuciły się w ramiona, tonąc w wzajemnych uściskach. Czułe to przywitanie zakończył szmer zamykających się za służącą drzwi.

Pani sędzina była u wszystkich w wielkich łaskach. Nowiny miejscowe i okoliczne prawie błyskawicznie podchwycić umiała; podzielić się niemi, było jej słabą stroną. Lecz . . . bez złej myśli . . . intrygantką pani sędzina nie była. Wyrażała się o swoich bliźnich bardzo dobrze; przymioty dobre pojedynczych osób spotęgowały się wymową pani sędzinej; a wady potrafiła tak usprawiedliwić, w takim przedstawić półcieniu, że nikły prawie w oczach. Nic dziwnego więc, że ją wszystkie stare i młode kobiety kochały. Mieniła się być przyjaciółką stu pań może, cieszyła się zaufaniem tychże, chociaż mówiąc nawiasowo, nikt istotnych nie powierzałby jej tajemnic.

— Duszko moja — rozpoczęła sędzina, odsapawszy trochę — to ty doprawdy słabą być musisz! Cóż ci takiego? Wszak byłaś w sobotę w teatrze; może się przeziębiłaś? Było tam gorąco, bo też teatr natłoczony był publicznością, na ulicy zaś dął zimny wiatr. Gdzie Klarcia? Czy może broń Boże także chora?

Doktorowa słuchała ją spokojnie; widać przyzwyczajona do gadatliwości sędzinej, uśmiechała się tylko czekając rychłoli potok słów się wyczerpie.

Jakoż po ostatniem zapytaniu nastąpiła pauza; sędzina oglądała się na wszystkie strony; nie wypadało ignorować jej zajęcia się Klarą.

— Moja córka wyjechała — rzekła doktorowa dość spokojnie.

Sędzina podskoczyła.

— Duszko, co ty mówisz? A gdzieżeście ją wysłali na miły Bóg! Oj ludzie! jesteście bez litości! Przecież to nic tak złego nie zbroiła! No, no! Nie obruszaj się . . . przecież wiem, a nawet całe miasto

wie już, że to Klarunia jest ową Ankacją. Duszko moja, i za tę głupią krytykę wysłaliście dziewczynę z domu? Serce moje, to jest, — wybacz, że mówię prawdę —, wcale niesprawiedliwie. I gdzieżeście ją wysłali? Czy to może jakaś tajemnica? W takim razie zbywaj moje pytanie milczeniem.

— To żadna tajemnica, Klara pojechała do stryjostwa.

— Do stryjostwa? I to na własne życzenie? Duszko moja, nie pojmuję! Ale kiedyż powróci?

— To jeszcze nie wiadomo.

— O duszko moja! I jakże ty nie masz być słabą! Ty, która Klarunię tak kochasz. O, bo i warta tego jest. Tęskno ci bardzo bez niej być musi. Ale zapewne będzie Klara do ciebie pisała? Moje serce, wszak pokażesz mi jej listy? Duszko moja, wszak pokażesz mi, nieprawdaż? Bo widzisz . . . nietylko mnie, ale każdemu będziesz musiała listy Klaruni pokazywać. Świat dzisiejszy taki zły i zepsuty, ludzie gotowi jeszcze pomyśleć, że ten aniołek Klarunia, uciekła od was. Ja tego nie pomyślę, ale inni!.....

Kto wie, ile jeszcze wykrzykników wyrwałoby się z uczciwej piersi pani sędzinej, gdyby na progu nie byłby się ukazał doktor Zbożewski.

I jego twarz niemniej od twarzy żoninej bladą była; ostrzej zarysowały się jej kontury, na ustach błąkał się uśmiech wymuszony, jakim i doktorowa przyjęła sędzinę.

Sędzina stłumiła ostatni wykrzyknik, spiesząc powitać wchodzącego doktora.

— Pani sędzina dobrodziejka zagada pewnie moją żonę o Klarę? A to hm . . . nie dobrze. Jako lekarz nie mogę . . . no, nie mogę na to pozwolić. Moja żona gotowa rozchorować się z tęsknoty . . . najlepiej będzie nie wspominać o Klarze, no, i tak nie ma czego mówić! Pani Dobrodziejka jako przyjaciółka powinna ją hm . . . rozerwać.

Skonfundowana sędzina zaczęła rozmawiać o czem innem. Lecz wszystkie plotki choćby nawet najnowsze nie zdołały ubawić doktorstwa. Pożegnała ich więc, aby z innymi podzielić się świeżem wrażeniem swej wizyty.

VII.

Zręcznie rozsiana wiadomość, jakoby Klara Zbożewska wyjechała do stryjostwa, przyjęła się jak ziarno, rzucone w urodzajną glebę i wkrótce zapomniano o Ankacji, jakoteż o pierwszym jej występie.

Że to wszystko było tylko obmyślone dla zmylenia „przyjaciół“, wiedział o tem jedynie dyrektor teatru, u którego w przeddzień wyjazdu była Klara, prosząc o rekomendację do dyrektora teatru w ***. Artystka-nowicjuszka należała do tej drobnej garstki kobiet, które nic nie robią przez pół, a których zapał i wytrwałość w zdobyciu celu, ustawiczne zawody i walki tylko podniecają.

Gdy po scenie z ojcem, pokazującym jej bilet, jaki miał zamiar posłać dyrektorowi, daremnie go błagała, by tego nie uczynił, wtedy dał jej doktor do przeczytania artykuł w korekcie jeszcze, traktujący o sobotniem przedstawieniu.

Po wyjaśnieniach, jakie jej ojciec udzielił, domyśliła się od razu, że tylko Skarska posłała ten artykuł, licząc na pomyślne dla jej planów, skutki.

Była to rzeczywiście woda na młyn doktora. Taka krytyka (sądził on w swej nieświadomości stosunków teatralnych) była obrazą godności jego córki. Postanowił więc, odciągnąć ją od tego życia zaraz po pierwszym chybionym debiucie.

Klara nie broniła mu tego. W jej głowie powstał nowy plan.

Zawiść Skarskiej dała jej wiele do myślenia, poznała, że w przyszłości nie zawahałaby się przed gorszymi nawet pociskami, utrudniającymi jej pobyt w teatrze. Nie chcąc jednak zrezygnować ze wszystkiem, umyśliła w innym teatrze starać się o debiut.

Zwierzyła się matce. Że się nie obeszło bez obustronnej walki, łez i zaklęć, nie trudno się domyśleć; ale w końcu . . . czegóż kochająca matka nie uczyni dla córki ubóstwionej?

Wśród nocy odprowadziła doktorowa Klarę do znajomej tej ostatniej, pani Knorskiej, pełniącej obowiązki szatnej w teatrze, a która od razu polubiła Klarę, poznawszy ją na pierwszych próbach.

U niej też przebyła kilka dni, podczas których przygotowano wszystko do potajemnego jej wyjazdu. Angażowano towarzyszkę, z którą Klara mieszkać miała w obcem mieście, pozostając pod jej opieką.

Panią Grekową znała doktorowa, kiedy jeszcze żyła w dobrobycie i chętnie przyjęła ją jako towarzyszkę dla córki. Wiek Grekowej i żałobne suknie, jakie nosiła po mężu, byłym urzędniku, wskazywały na nią jako na najstosowniejszą opiekunkę dla młodej osamotnionej panny. Doktorowa posiadała mały kapitalik i ten oddała córce na dyspozycję. Towarzyszkę córki wysłała najpierw do ***, by wyszukała mieszkanie, a gdy wszystko już było w porządku, wtedy i Klara odjechała, odprowadzona błogosławieństwem matki. Smutna oglądała się za znikającemi we mgle murami rodzinnego miasta. Wkrótce otoczy ją świat nowy, nieznany, obcy ludzie, obce otoczenie!....

Gdy na nowem mieszkaniu uporządkowała się trochę, poszła z Grekową do dyrektora miejskiego teatru. Ufna w rekomendację, spodziewała się łatwego przyjęcia.

Ale tutaj na samym wstępie smutne oczekiwało ją rozczarowanie. Dyrektor już od kilku dni był chory i nie przyjmował nikogo. Dano jej radę, by poszła do sekretarza lub reżyszera.

Zasmucona udała się do reżyszera, który widząc w Klarze osobę z towarzystwa lepszego, ukłonił się nisko i przyjął ją nadzwyczaj grzecznie.

Klara pokazała mu rekomendację i wycięty z gazety artykuł o jej występie, prosząc równocześnie o debiut w teatrze.

Na to żądanie reżyszer ruszył ramionami.

— Widzi pani — rzekł — jabym tego nie dopuścił. Kto wie, jaki interes miał tamtejszy dyrektor pozwalając na to. Może — tu popatrzył w piękną twarz Klary i uśmiechnął się znacząco — pani mu pewno ten warunek podała, a on go przyjął, pragnąc dla swej sceny mieć pięknego wabika. No... proszę się nie rumienić. Przysiągłbym nawet, że z miłości do pani to uczynił. Lecz ja radzę inaczej. Musi się pani nauczyć chodzić na scenie, mówić!

Trzeba jednem słowem zaczynać od małych ról. Ja sztuki, w której pani występowała, nie znam, wiedzieć więc nie mogę, w jakich charakterach pani występować może. Proszę obrać sobie jaką stosowną rolę, niekoniecznie małą, bo tak czy siak grać tego nie możemy, co pani wybierze . . . bylebym tylko mógł wiedzieć, do jakiej roli pani się czujesz zdolną.

— Decyduję się do „Leny“ — rzekła po dłuższym namyśle Klara.

— Dobrze, przyjdzie pani jutro do mnie, a dam tę rolę, bo teraz ma ją panna Szabe u siebie . . . nauczy się jej pani . . . wysłucham . . . zobaczymy!

— A czy nie mógłbyś mi pan powiedzieć, pod jakiemi warunkami wstąpić możnaby do teatru?

— To się pokaże. Da pani kilka przedstawień dla próby, a potem nastąpić może stałe przyjęcie, chociaż co do płacy palcem kiwnąć nie mogę. To rzecz sekretarza, który pod tym względem więcej ma do rządzenia od samego dyrektora.

Klara odeszła. Wprawdzie nie wiele wskórała, ale przecież rada była i z tego. Tak reżyser jak i szatna rodzinnego teatru napomknęli o możebnej miłości dyrektora, upatrując w niej przyczyny jej występu w tytułowej roli premiery.

Myśl ta zaczynała ją prześladować z całą natarczywością młodego serca, co żywo biło na myśl o miłości tego, który tyle razy w snach i marzeniach jej się był pokazywał.

Nie zdawała sobie sprawy z tego uczucia, bo miłość świeżo rozbudzona, drzemała jeszcze na dnie serca. Kto wie, czy nie ta miłość popchnęła ją napowrót w ramiona Melpomeny . . . kto wie?! . . .

VIII.

— Dobrze, zupełnie dobrze wygłosiłaś pani swoją rolę — oświadczył jej reżyser po wysłuchaniu pierwszych ustępów. Teraz już wiem, w jakim rodzaju ról pani występować możesz. Jutro o dziesiątej godzinie przedpołudniem przedstawię panią sekretarzowi; proszę przyjść do kasy teatru; będę tam na panią czekał.

Nazajutrz poszła do teatru, reżyser już czekał na nią.

— Mówiłem o pani z sekretarzem — rzekł, a zawoławszy stróża, rozkazał by Klarę zaprowadził do kancelarji sekretarza. Ja pani towarzyszyć nie mogę — dodał zwrócony do Klary — muszę bowiem pójść na próbę; artyści już zebrani, czekają.

Ze ściśniętem sercem weszła Klara do kancelarji. Przy biórku siedział sekretarz, który wchodzącą zmierzył wzrokiem, jakby sędzia śledczy oskarżoną.

— Sądzę, że pan o mej wizycie już uprzedzony — przemówiła drżącym głosem, urażona tym chłodem. Pragnę wstąpić do teatru . . . Pan Sorski wysłuchał mnie w roli „Leny.“

Zrobiła pauzę.

— A dlaczego pani chce wstąpić do teatru?

Wskazał jej miejsce.

— Czuję powołanie, zamiłowanie do sceny. Czy pana to dziwi? — spytała, spostrzegłszy jego ironiczny uśmiech.

— Hm . . . wiele wstępuje na scenę z braku innego zatrudnienia.

— Tak — dodała Klara — niektórzy znowu ze względów materjalnych. Ale u mnie to zupełnie co innego. Moi rodzice dość majętni; otrzymałam wykształcenie takie, że w najgorszym razie mogłabym objąć posadę guwernantki lub nauczycielki.

— A więc czegóż pani chcesz? Wystąpić w roli „Leny“ pani nie możesz; jest to rola, której rutynowane artystki podołać nie mogą, cóż dopiero pani, która, jak to zauważyłem, ani chodzić, ani mówić według wymagań scenicznych nie możesz.

Klara podniosła się żywo; chciała przemówić, głosu nie stało w piersiach. Sekretarz nie ruszył się z miejsca; zagniewało ją to, usiadła znowu.

— Proszę, oto wierszyk — rzekł ignorując jej wzruszenie — nauczy się go pani na pamięć, ale porządnie, przesłucham panią.

Klara wzięła wiersze do ręki; chciała czytać, ale słowa tańczyły przed jej oczami, nie zrozumiała tego, na co patrzała.

— Czybyś pan nie był tak łaskaw — przemówiła oddychając mozolnie — udzielić mi bliższych informacyj? Jestem nowicjuszką, chciałabym wiedzieć, pod jakiemi warunkami mam wejść do teatru?

— Czy pani masz liczną garderobę? — spytał zamiast odpowiedzi.

— Mam.

— To dobrze. Bo widzi pani, u nas wszystkie mają swoją garderobę.

— Wszak im płacą, więc mają za co ją sprawiać.

— A . . . proszę pani! debiutantce płacić nie możemy.

— Jak długo musiałabym debiutować?

— To się pokaże. Pół roku, rok, według talentu.

— Bezpłatnie? A z czegóż żyje taka debiutantka? któż jej daje garderobę? Cóż robi, gdy biedna?! Mnie wprawdzie dała matka kapitalik, opatrzyła garderobą, ale rok? . . . Panie, czy to nieodwołalne?

— Tak jest. Musisz pani zacząć od A B C.

— Klara trzymała jeszcze w ręku wierszyk; złożyła papier na czworo, siląc się na spokój.

— Szkoda — rzekła podając sekretarzowi złożony wierszyk — szkoda rzeczywiście, że pan Sorski nie poinformował mnie pierwej; byłby mi zaoszczędził tej nieprzyjemnej wizyty.

— Pani nie przyjmujesz wierszyka?

— Nie, panie.

To rzekłszy zabierała się do wyjścia. Zdziwiony, zbity z toru, powstał i sekretarz, czując może, iż powinien ją choć do drzwi odprowadzić. Ukłoniła mu się i odeszła.

Jak szalona pobiegła Klara do swego mieszkania. Gwałtownie otworzyła drzwi pokoju; ale tu siły ją opuściły; runęła na ziemię i zemdlała.

Gdy odzyskała przytomność, południe już minęło. Na troskliwe pytania Grekowej opowiedziała jej całe zajście.

— Muszę dzisiaj jeszcze pójść do reżyszera — rzekła w końcu — odprowadzi mnie pani.

O trzeciej poszła z Grekową do Sorskiego.

8*

— Zgadnij pan — przemówiła z udaną wesołością do reżyszera, który jej fotel przysunął — zgadnij, na czem skończyła się wizyta u sekretarza?

— Nie widziałem się z nim jeszcze. I cóż?

— Pomijam już to przywitanie — rzekła Klara siadając — bo to było coś oryginalnego w swoim rodzaju! Widząc, że czeka, aż ja przemówię, uczyniłam mu tę przyjemność. Mój Boże! Ileż to przyjemnych rzeczy się nasłyszałam! Dowiedziałam się, że nie umiem chodzić, ani mówić według wymagań scenicznych! Dał mi także wierszyki do nauczenia się ich na pamięć, ale porządnie . . . uważasz pan: porządnie. Zapytał o garderobę, czy liczna, dla czego wstępuję na scenę, a wreszcie, na usilną moją prośbę, raczył powiedzieć, że rok debiutować muszę bezpłatnie.

— To się tylko tak mówi! Zwykle nie trwa rzecz dłużej, niźli kwartał. I na czem się to skończyło?

— Pojmiesz pan łatwo, że gdy postawił takie warunki, nie mogłam już dalej słuchać; oddałam wierszyk i wyszłam . . . Panie . . . czy już wszystko stracone? Bo ja już tego człowieka widzieć nie chcę!

— Muszę go usprawiedliwić. To człowiek w gruncie rzeczy poczciwy, ale bez form towarzyskich i zarozumialec. A pani, proszę wybaczyć mojej otwartości, pani jesteś zbyt gwałtowną.

— Ależ panie! Pół roku, rok debiutować bezpłatnie w rolach, zawierających sześć lub dziesięć zdań! . . .

— Trudno inaczej! Od razu nikt nie może być wielkim. Urzędnik nim otrzyma posadę, nabiedzi się stokroć więcej!

— To zupełnie co innego! Człowiek taki chociaż walczy o byt, chociaż żyje w niedostatku, to przecież nie zrywa ze znajomymi, krewnymi. Ale aktorka? Ona jest wyklętą, wyklętą! dopóty gwiazda sławy nie olśni tej masy pełnej uprzedzeń, zwanej towarzystwem! dopóty gwiazda sławy nie olśni tych ludzi, którzy uklękną przed nią, gdy w pocie czoła, wśród krwawych walk sterawszy młodość, zupełnie zobojętnieje, stwardnieje, jak ta bryła lodu! . . . O! że też co-

fnąć się nie mogę! Doznałam już tyle upokorzeń, tyle walk stoczyłam i to wszystko miałoby być daremnem?

Reżyszera wzruszyła jej boleść tak głęboko odczuta.

— Jeszcze nic nie stracone — rzekł uspokajająco — dziś wprawdzie nie mam czasu, bo sam występuję; jutro jednak pomówię z sekretarzem. Spodziewam się, że mi się uda wyjednać u niego łagodniejsze dla pani warunki.

— Serdeczne dzięki! Nie jestem zarozumiałą; pojmuję teraz, że zacząć od małych ról muszę. Ale tak długo debiutować, to by sterało me zdrowie i oziębiło zapał.

— Ułoży się to jakoś, pomówię z dyrektorem.

Podniósł się; konferencja była skończona. Klara odeszła z Grekową, przyrzekając jutro przyjść po odpowiedź.

Znowu minął dzień w niepewności. W oznaczonej godzinie poszła do reżyszera.

— Przyszłam po mój wyrok — rzekła już u progu.

— Mówiłem z dyrektorem i sekretarzem — odpowiedział Sorski, wprowadzając ją do pokoju — postanowiliśmy, by pani wystąpiła dla próby cztery razy, a gdy krytyka pochlebnie się wyrazi, wtedy nastąpić może stałe przyjęcie o płacy trzydziestu do czterdziestu guldenów miesięcznie.

— Ciężkie warunki — westchnęła Klara — ale zgadzam się. Kiedy nastąpi pierwszy debiut?

— Za miesiąc.

— Znowu czekać!

— Trudno, trzeba uzbroić się w cierpliwość. Niech mi pani zostawi swój adres; będzie mi potrzebny.

Klara podała swój adres.

— Będę więc czekała — rżekła odchodząc — wyuczę się w tem mieście cierpliwości.

Taką więc ta droga do przybytku sztuki! I dziwno, że się poślizgnie która i upadnie? . . .

O dumni ludzie, którzyście tak gotowi rzucać kamieniem potępienia na aktorkę, czyście się zastanowili nad tem, że i ona była kiedyś tak cnotliwą

i skromną, jak wasze córki i siostry? „Kto bez winy, ten niech pierwszy kamień potępienia rzuci!“ A jednak grzeszycie w dobrobycie, w szale uciechy a sądzicie tych, których głód, nędza lub choroba ukochanej osoby na drogę zdrożną zaprowadziły.

Klara szła zamyślona ulicą i nie zauważała nawet, jak z przeciwległego trotuaru ktoś zbiżał się ku niej prędkim krokiem. Spostrzegła go dopiero, gdy uchylił kapelusza.

— Pan Lońśki! Pan tutaj dawno?

— Od dwóch dni. Dowiedziałem się od matki pani, że przebywasz kuzynko tutaj, a ponieważ chcę zawrzeć stosunki z tutejszą sceną, przyjechałem. Serdeczne pozdrowienia od matki, która była tak łaskawą nie odrzucić mej prośby, pozwalając odwiedzać panią od czasu do czasu.

— Będę panu wdzięczną za to . . . O! jak to przyjemnie widzieć wśród tych obcych tłumów twarz znajomą i swoją, która nam wszystko, co drogie, przypomina!

— Jakże z występami? — zapytał Lońśki.

Klara opowiedziała mu wszystkie kroki, jakie dotąd poczyniła.

— Tak, wszędzie potrzeba cierpliwości.

— Czy pójdziesz pan ze mną na górę, bo w tym domu mieszkam — przemówiła Klara przystając.

— Dzisiaj nie mam czasu; muszę iść do pana Żurki, którego prosiłem, by się wstawił za mną do dyrektora tutejszego teatru względem mojej sztuki.

— Czy ją tu wystawią?

— Nie wiem. Chciałbym.

— Życzę więc szczęścia kuzynowi. Do widzenia.

Lońśki pocałował w rękę Klarę i poszedł dalej.

Młoda dziewczyna weszła do swego skromnego mieszkania.

IX.

Klara, nabrawszy już pewnego doświadczenia, nie omieszkała naprawić złe, które czyniła na rodzinnej scenie. Wiedziała już, że by utrzymać się w teatrze, potrzeba mieć życzliwość personalu.

Poszła więc z wizytami do kilku wybitniejszych artystek, a starając się być mniej sztywną, zyskała ich sympatję.

Pani Lore nawet przyrzekła jej udział w swojem benefisowem przedstawieniu, co na dobre wyszło dla Klary.

Sztuka bowiem przez panią Lore na swój benefis wybrana, zyskała szczególną sympatję publiczności i względy krytyki, która w sprawozdaniu swojem także o artystce-nowicjuszce pochlebnie wspomniała.

„Powitaliśmy — pisał sprawozdawca teatralny — wczoraj pannę Ankację, która w benefisowem przedstawieniu pani Lore wystąpiła na naszej scenie po raz pierwszy.

Debiutantka posiada wszelkie warunki sceniczne: piękną, dystyngowaną powierzchowność i dźwięczną dykcję. Żywa akcja i tak zwany temperament sceniczny rokują młodej nowicjuszce jak najlepszą przyszłość.“

Klara pracowała wytrwale. Czytywała wiele i to głośno, niektórych ról ucząc się na pamięć. Fredro, Słowacki, Szyller i Szekszpir w przekładzie, oto mistrze, których pojąć chciała.

Nieraz, gdy zmęczona, zwiesiła smutnie głowę, popatrzyła na portret swej matki i z podwojonym zapałem zabierała się do pracy.

Portret ten bowiem przysłała jej matka w dowód radości z pierwszego udałego występu, o którym czytała w dziennikach. Dobra matka dołączyła prośbę, by Klara uczyła się pilnie, aby prędko mogła wrócić i dotrzymać słowa, że zajaśnieje kiedyś na rodzinnej scenie.

Czyż dla Klary potrzeba było innego bodźca? Wrócić tam, poprzedzona sławą, pokazać jemu, że jest artystką, prawdziwą kapłanką sztuki, nieskażoną, czystą! A wtedy . . . czyż nie pokocha jej gorąco?! . . .

Tymczasem mijały miesiące i wiosna zbliżała się szybkimi kroki. Ankacja występowała coraz częściej; dostawała tak sympatyczne dla niej role, że dyrekcja ani się nie spostrzegła, jak młoda artystka-

nowicjuszka szturmem zdobywa sobie coraz to wyższe szczeble, na których prawdziwy talent od razu uwidocznić się musi.

Zawód jej — widziała to na każdym kroku — tyle mieścił w sobie zawodów i cierni, że musiała ciągłą walkę toczyć, by wybrnąć z kłopotów. Adoracje nieustraszonych głupców przyprowadzały ją nieraz do rozpaczy. Lecz tutaj miała wiernego sprzymierzeńca w Lońskim, który ją bronił od natrętnych Donżuanów.

Uważano go powszechnie za jej narzeczonego i ona temu nie zaprzeczała, chociaż w sercu gościł obraz inny. Kobiecym instynktem domyśliła się, że ją Loński kochał, a widząc że za prawdziwe szczęście poczytuje sobie krótkie u niej wizyty, nie miała sumienia powiedzieć mu prawdy.

Bardzo często pisywała do niej matka i jej listy stanowiły dla niej największą przyjemność. To też wróciwszy raz z teatru, z radością pochwyciła list, który nadszedł z poczty. Rozerwała pieczątkę natychmiast.

„Kochane dziecko — pisała matka — list twój otrzymałam onegdaj. Wierna umowie przesłałaś mi drugi, niby z Poznania dla ciekawych przyjaciółek naszego domu, jak się wyrażasz.

Dziecko drogie! Przyszedł on w samą porę. Ta komedja odgrywana przed ludźmi wyczerpuje moje siły.

Ale stało się!

Wszak nie straconaś dla mnie jeszcze? Wszak wrócisz do matki z tą samą miłością? Wszak nie zapomnisz, żeś odrobinę wdzięczności winna matce, która Cię tak kocha i znosi wszystko w imię tej idei, na którą mnie zaklęłaś.

Z ojcem mówić o Tobie nie mogę; ale mam w Bogu nadzieję, że gdy sławna i nieskażona wrócisz, i on Cię przyjmie i złagodzi swój gniew. Niechże więc ta myśl będzie dla Cię bodźcem do wytrwałości i nieskazitelności! Niechże Cię ona odwiedzie od złego wszelkiego a popchnie na dobre tory, towarzysząc do wzniosłego celu! Oko moje czuwać nad Tobą nie może, ale dusza wzbija się nieraz tam, gdzie Ty

przebywasz, z prośbą aby i Anioł-Stróż opiekę swą nad Tobą roztoczył . . . .

Klara zapłakana całowała list matki.

— O święta, droga matko!

Otarła łzy i odwróciła kartkę, czytając dalej:

„Prosiłaś, bym Ci donosiła o tem, co się na tutejszej scenie dzieje; miło mi więc podzielić się z Tobą wesołą wieścią. Otóż wystawiają Lońskiego sztukę. Była dziś rano u mnie sędzina i wiele mi o tem nagadała. Ta kobieta zna tajemnice wszystkich. Przyjechała tu niejaka panna Tarczak dla odegrania tytułowej roli w dramacie Lońskiego, a piękność jej, jakoteż zainteresowanie się nią dyrektora budzą najrozmaitsze domysły. Dyrektor chce ją angażować nie licząc się nawet z kieszenią swoją, a ona — tak mówi sędzina, która zdaje się być wszechwiedzącą — zdecyduje się na to, pragnie bowiem zostać panią dyrektorową . . . .

Klara chwyciła się za serce.

Czemuż ją tam coś zabolało? Teraz . . . kiedy zbudziła się w niej zazdrość, teraz wybuchła także miłość z całą nieznaną jej dotąd potęgą.

Przechadzała się po pokoju dużymi kroki, to przystępując do okna, to znów rzucając się na kanapę.

— Czemuż czas mego nowicjatu jeszcze nie skończony? . . . Wróciłabym tam . . . Czyż podobna, by on o mnie zapomniał? . . . Zdawało mi się, że czytam w jego oczach, iż i on . . . Ach! gdybym mogła wrócić! . . . Lecz tak wrócić! . . . Nigdy!! A więc trzeba czekać! . . . Tymczasem zaś . . . tam . . . wszystko stać się może! . . . A więc daremne moje zabiegi? daremne walki? . . . .

Załamała ręce i zalała się łzami. Przystąpiła do okna, otwierając je. Powietrze czyste buchnęło na twarz chłodząc rozpalone czoło. Uspokoiła się powoli.

— Dosyć tych łez! Gdy zawiedzie miłość, pozostanie sława i uwielbienie gawiedzi!

A sława zbliżała się na skrzydłach.

Nazajutrz, zupełnie niespodzianie złożył jej swoją wizytę pan Żurka, redaktor jednego z pism lokalnych w towarzystwie Lońskiego.

Sztukę Lońskiego przyjęto, lecz jakby na nieszczęście zachorowała panna Szabe, której miano powierzyć tytułową rolę.

Zasmucony autor żalił się przed redaktorem i wśród rozmowy ośmielony jego zaufaniem napomknął, czyby się nie dało zastąpić chorej artystki Ankacją.

Pan Żurka protegował Lońskiego i na jego usilne prośby przedstawił rzecz dyrektorowi teatru, który zezwolił pod warunkiem, by na próbach zostawić mu ostateczną decyzję.

Tę wiadomość właśnie doniósł Klarze pan Żurka, a rozpromieniona twarz Lońskiego potwierdziła ją.

— Wszystko więc zależy teraz od pani — dodał pan Żurka w końcu.

— Dołożę jak największych starań, wszak tym sposobem tylko mogę skrócić czas nowicjatu, a wiele mi teraz na tem zależy! Taka sposobność zdarzyć się drugi raz nie może.

— Tak, tak! — śmiał się redaktor — z nieszczęść jednych korzystają drudzy! Pani jednak mogę wybaczyć ten egoizm.

— Ależ owszem! życzę, by panna Szabe jak najprędzej wyzdrowiała.

— Choćbyś pani straciła widoki nadal występować w jej roli?

Klara spuściła oczy.

— No, dajmy temu spokój! Za tydzień rozpoczną się próby dramatu, zobaczymy. A niech pani będzie spokojną. Panna Szabe przed miesiącem pokoju nie opuści, tak zawyrokował syn Eskulapa. Podziękuj mu pani!

Gdy Klara została samą, padła na kolana i łzy nie bolu jak wczoraj, ale radości, spływały po twarzy. Miała nadzieję, że za dwa tygodnie czas nowicjatu minie a ona zrehabilituje się w tej roli, w której upadła na rodzinnej scenie, i wtedy, wtedy . . . Nie śmiemy w przybliżeniu nawet określić wszystkich tych marzeń, których punktem kulminacyjnym była jedna postać . . . jedna . . . ukochana!

X.

Publiczność przepełniła dzisiaj teatr od parteru aż do galerji. Afisze donosiły, że tytułową rolę dramatu obejmuje w zastępstwie chorej Szabe, panna Ankacja. Chciano więc widzieć młodą nowicjuszkę w roli primadonny.

Ostatni takt muzyki przebrzmiał, kurtyna się podniosła. Oczekiwano niecierpliwie wejścia na scenę Ankacji. Krytycy z powołania nadstawili uszu i przytkali do oczu lornetki, obserwując każdy ruch Ankacji. Ta, jakby nic nie widząc prócz osób, z któremi grała, owiana tem prawdziwem natchnieniem talentu i sztuki, grała po mistrzowsku, sama nie wiedząc, w jaki zachwyt wprawia publiczność.

Kurtyna zapadła.

— Ankacja! Ankacja! Autor!

Zawołani przyszli podziękować.

W akcie trzecim i czwartym Ankacja porywała za sobą słuchaczy; oklaskom nie było końca. Bukiety, koszyki pełne kwiatów rzucano na scenę, podawano artystce wśród grzmiących oklasków.

A ona wzruszona dziękowała; tryumf czynił ją tak piękną, że wszyscy patrząc na nią z zachwytem, ciągle wywoływali, by lepiej jej się przypatrzeć.

Podczas piątego aktu publiczność była w ekstazie, a gdy kurtyna zapadła i publiczność podniosła się z miejsc, każdy głośno twierdził, że Ankacja,. to artystka, jakich mało!

Klarę czekała jeszcze jedna niespodzianka, którą zapisano potem w rocznikach teatru jako fenomen dobrego smaku i artystycznego przeprowadzenia całości.

Zaproszono artystkę do pierwszorzędnego hotelu, gdzie się odbyć miała na jej cześć uczta. W taki bowiem sposób pragnęli uczcić wielbiciele jej talentu pierwszy, jak nazywali, galowy występ.

Dyrektor przyrzekł uroczyście zaraz po przedstawieniu wznieść ją na pierwszorzędne w hierarchii teatralnej, stanowisko.

Czas nowicjatu minął.

Zaproszeni na ucztę zasiedli do stołu. Gdy przystąpiono do toastów, pierwszy powstał pan Żurka.

W kilku serdecznych słowach skreślił działalność artystki-nowicjuszki na tutejszej scenie, dodając, że ten występ podniósł ją do godności pierwszorzędnej artystki dramatycznej o talencie, który niechaj się i nadal rozwija pod tem samem hasłem, jakie sobie obrała ku chwale sztuki i sceny polskiej.

Gromkie „wiwat“ nastąpiło.

W chwili, gdy powstał dyrektor, by wznieść drugi toast, wsunął się jego służący za krzesło, oddając telegram.

— Co to? — spytał kierownik sceny, zdumiony przerwą w tak ważnej chwili.

Lecz telegram, kto wie, co mógł zawierać, goście to uwzględnili i dyrektor przerwał pieczątkę.

— Brawo! — rzekł przeczytawszy — wesoła wieść; dyrektor teatru *** donosi mi o swoim ślubie z panną Tarczak, sławną artystką, którą znamy z przeszłorocznych gościnnych jej występów.

— Wiwat! Niech żyje młoda para! To dopiero nowina! Czekał długo, ale dobry zrobił wybór! Wypijmyż ich zdrowie!

Wszyscy podnieśli puhary, gdy wtem powstało zamięszanie, zauważano, iż Ankacja zemdlała. Wiwaty ucztujących zamilkły; damy, szczególnie pani Lore, starały się wrócić zemdloną do przytomności.

Klara otworzyła nareszcie oczy. Zawstydzona podniosła się żywo, usprawiedliwiając krótkiemi słowy słabość, okazaną przed chwilą.

Wkrótce wszystko wróciło do równowagi. Jeden tylko Łoński zrozumiał sytuację, zazdrość bowiem czyni jasnowidzącym!... reszta wzięła to za skutek przejęcia się grą, która nadwerężyła siły młodej artystki.

Z podniesionym puharem, jak inni wypiła teraz Ankacja zdrowie dyrektora i panny Tarczak. Była aktorką i potrafiła ukryć swą boleść, chociaż niespodziewana wiadomość na chwilę pozbawiła ją zmysłów. Przy końcu uczty podniosła się, zabierając głos. Umilkli wszyscy.

— Dzisiejszy wieczór, ta u stołu zebrana reprezentacja sztuki i jej miłośników, owacje na które wyznaję, że nie zasłużyłam, to wszystko razem przygniata mnie, gdyż czuję, że zaciągnęłam dług, który trudno będzie mi wypłacić!

Artystkę-nowicjuszkę podnieśliście do godności kapłanki sztuki; otoczyliście całą potęgą uznania, jakiem darzycie przedstawicieli jej! Mojem dążeniem przez całe życie, będzie: stać się godną tego zaufania i być podporą sceny polskiej.

Sztuka ma wzniosłe cele, a jej kapłani zapomnieć o tem nie powinni, mówiłeś szanowny redaktorze! Jak dotąd, tak i teraz wy wszyscy, coście wiernie wspierali mnie radą i pociechą, nie zapomnijcie i teraz o mnie, bo czuję, że samej trudno podołać zadaniu, jakie mnie nęci. W przystępie smutnych rozmyślań nad krótkotrwałym naszym blaskiem, powzięłam myśl zaopiekowania się adeptką sztuki dramatycznej, którąby wychodząc z pod mej opieki jako artystka skończona, uczyniła kiedyś to samo, przekazując swój obowiązek następczyni. U nas bowiem nie ma już szkoły dramatycznej; cierniste są drogi, któremi wędruje artystka-nowicjuszka! Uważam więc za świętą sprawę wdzięczności, oddać scenie polskiej przysługę, którąby w części zwróciła dług zaciągnięty.

— Wiwat! Niech żyje Ankacja! Wiwat szlachetna artystka polska!!

Na znak dany przez dyrektora, muzyka grać poczęła. Cudowne wyjątki z „Wieńca Polskiego“ następowały po kolei, a gdy wstawano od stołu, wszyscy rozeszli się w uroczystym nastroju myśli.

Gdy dzienniki rozgłosiły tryumf Ankacji, zewsząd posypały się zaproszenia na gościnne występy. Klara dała pierwszeństwo scenie rodzinnego miasta.

Wystąpiła w „Damie Kameliowej,“ „Marji Stuart“ i „Frou-Frou,“ w ostatku w dramacie Lońskiego.

Klara przeżyła owacje, o jakich marzyć nawet nie mogła. Krytyka i publiczność domagały się uporczywie prawie, by się już nie rozstała z sceną.

Młoda artystka nie chciała jednak zostać. W jej sercu rana zawiedzionej miłości była jeszcze świeżą,

a widok rywalki jątrzył tę ranę na nowo. Lecz przebaczenie ojca zmieniło jej postanowienie. Doktor Zbożewski bowiem, najnowszemi rezultatami przekonany o powołaniu córki, przebaczył jej, ale pod warunkiem, by mieszkała u rodziców.

Klara została w rodzinnem mieście i nikt z publiczności, chyba jeden tylko Loński, który znowu tu wrócił, domyślał się, jak młoda artystka walczy, ile cierpi pod tą dobrowolnie przybraną maską bohaterki! . . . .

KONIEC.

MODLITWA.

Do Ciebie Panie myśl ma się zwraca
W chwili zwątpienia —
Do Ciebie płynie piosnka tułacza
Do Wszechistnienia.
Do Ciebie blade podnoszę skronie
W życia rozterce,
Z cichą modlitwą w gorącem łonie
Wznoszę me serce . . .
Bo wierzę w życiu, że gdy kto błaga,
Ten go usłyszy,
W którego ręku wszechświata waga
Waży się w ciszy . . . .

Lwów, w Grudniu 1889.

Aleksander Telakowski.

GÓRNIK,

oddający królowej Kindze

PIERŚCIEŃ

z głębi kopalń wydobyty

(z ryciną na stronicy 128.)

Reprodukujemy niniejszem w artystycznej części naszego wydawnictwa obraz św. Kunegundy (zwanej w narzeczu ludowem Kingą) według kompozycji E. T. Jurkiewicza z Kołomyi. Oryginał obrazu znajduje się w nowo wybudowanym przez górników kościółku w Łanczynie.

Artysta wybrał sobie chwilę tę, kiedy św. Kunegundzie górnik oddaje wydobyty z głębi kopalń pierścień. Legenda ta dosyć jest znaną, przeto obszerniejszego nie podajemy tekstu.

Nieczuja.



Górnik, oddający królowej Kindze pierścień z głębi kopalń wydoby

(według fotografii E. T. Jurkiewicza w Kołomyi.)

O UMORALNIENIU
i wpływie religji i uczuć estetycznych na nią.

Cieniom ś. p. Tytusa Trzecieskiego poświęca autor.

Moralność ma dwojakie znaczenie a mianowicie: przedmiotowe jako zbiór prawideł i zasad odnoszących się do wskazania ludziom zarówno celu życia jak dróg i środków do ich urzeczywistnienia, do określenia praw i obowiązków jednostkowych, familijnych i społecznych, podmiotowe zaś jako stopień rozwinięcia się w jednostkach i społeczeństwach poczucia obowiązków tudzież pojmowania i pełnienia prawideł moralnych. Moralność w pierwszem znaczeniu tego słowa stanowi najważniejszą część, kamień probierczy niejako wszelkich religij i jest oprócz tego jako przedmiot badań filozoficznych rozwijana, stanowiąc dział filozofii zwany etyką czyli filozofią praktyczną.

W każdym narodzie i w każdej epoce moralność rozmaicie była pojmowana i wykonywana. Nas przedewszystkiem obchodzić muszą zasady moralności chrześciańskiej i dzisiejszej filozoficznej.

Moralność chrześciańska opiera się na naukach Chrystusa. Stawia ona za cel dążenia osiągnięcie zbawienia duszy i królestwa bożego, za środek ku temu wskazuje czystość serca a za najwyższe prawidło, na którem stosunki między ludźmi opierać się winne, czynną miłość wszystkich bliźnich.

Według wyników filozofii dzisiejszej uważać należy jako cel życia ludzkiego chwałę Bożą i szczęście człowieka i ludzkości. Ze świadomości tego celu po-

winne wychodzić pobudki ludzkiego działania. I zaiste szczęśliwym może się nazwać ten, kto do tej świadomości doszedł, ona bowiem podnosi go wysoko nad równię powszechnej moralności, daje mu hart ducha niezłomny, charakterowi użycza piętna szczytnej szlachetności. Na poziomie takiej samowiedzy można dopiero tworzyć formuły etyczne i drogoskazy moralne budować. Normy te sformułował najdzielniejszy dzisiejszy filozof niemiecki Wundt*) w sposób następujący: I. Myśl i postępuj tak, abyś nigdy nie tracił szacunku dla siebie samego. — Wypełniaj to, do czegoś się względem siebie i innych zobowiązał. II. Szanuj bliźniego, jak siebie samego. — Służ społeczeństwu, do którego należysz. — III. Uważaj siebie za narzędzie w usługach ideału moralnego. — Powinieneś poświęcić się celom, które uznałeś za idealne swoje aspiracje. — IV. Zamiary i cele, wypływające z poczucia niższej normy należy składać w ofierze intencjom dyktowanym przez wyższe. Jeżeli zachodzi kolizja dwóch równorzędnych norm, wybierać należy ten z walczących z sobą celów, w którym znajduje wyraz idea szersza.

Do wykonania tych zasad ma dążyć człowiek z przeświadczeniem o konieczności tego działania i wytężyć ku temu całą swoją wolę. Podstawą więc moralności są rozum i wola skierowane ku osiągnięciu moralnego ideału. Ale czy człowiek posiada obie wspomniane wyżej władze duszy, t. j. rozum i wolę w tym stopniu, aby mu można przypisać czyn niemoralny lub moralny? Czy nie jest on podobny do piłki w ręce kapryśnego chłopca, który miota nią według upodobania? do obłoku, który stosownie do podmuchu wiatrów zmienia kształt i kierunek?

Co się ludzkiego rozumu tyczy, to w nowszych czasach co do jego istnienia i funkcjonowania żadne nie zachodzą wątpliwości. Co do wolności woli ludzkiej jednak, przynajmniej na pozór doszła nauka

---

*) Etyka. — Wola zbiorowa i zasada szczęśliwości. Napoleon Hirszband.

do jej zakwestjonowania. Materjał zaś do tego podała statystyka, owa nauka, która jak znany statystyk niemiecki Jerzy Kolb*) mówi, bez namiętności i pewnie fakta ustala, niezrażona niechęcią ani rozgoryczeniem jednych, nie dająca się uwieść pozorami ani uprzedzeniami drugich. Ona to zakwestjonowała wolność woli ludzkiej. I jakież argumenta w tym celu przytacza?

Aby na to pytanie odpowiedzieć, najlepiej uczynię, jeśli w streszczeniu zacytuję słowa twórcy statystyki moralności Jakuba Queteleta**). Nie masz — mówi tenże — pewnie w całym zakresie ludzkiego działania żadnego aktu, przy którymby wola ludzka bezpośredniej działała niż przy małżeństwach. Tymczasem rejestry stanu cywilnego wykazują w zawieraniu małżeństw z roku na rok większą stateczność i jednostajność niż przy wypadkach śmierci. Ale nie dość na tem. Bardziej bowiem jeszcze zadziwia ta jednostajność liczb stosunkowych co do małżeństw zawieranych między młodzieńcami i wdowami, wreszcie między wdowami i wdowcami i to jednostajność dająca się spostrzegać nietylko w całych państwach jak Francja lub Belgja, ale nawet w pojedynczych prowincjach, chociaż tu liczby tak drobnieją, że tu różne obok ludzkiej woli działające t. zw. przypadkowe przyczyny grożą zniszczeniem wszelkiej reguły. Wszystko więc dzieje się tak, jak gdyby od jednego krańca kraju do drugiego naród się corocznie porozumiewał, ile ma się zawrzeć małżeństw, jaki procent ma przypaść na rozmaite prowincje, ile na miasta, wsie, ile na młodzieńców, panny, wdowy i wdowców. A nawet mogłoby się zdawać, jakoby istniały przepisy ustawnicze, które dla różnych klas wieku pewien stosunek liczbowy w zawieraniu małżeństw naznaczają. Młodzieniec nie liczący jeszcze 30 lat życia, poślubiający kobietę wyżej 60 lat, pewnie nie był do tego spowodowany przeznaczeniem lub ślepą

---

*) Culturgeschichte der Menschheit.

**) De l'influence du libre arbitre de l'homme sur les faits sociaux.

namiętnością, wszak mógł on się całkiem swobodnie pokierować, a przecież do tego przyszło, że uiścił trybut do tego budżetu, który według zwyczajów i potrzeb naszego organizmu społecznego jest urządzony i do którego podatki z większą skrupulatnością są spłacane niż do kas rządowych. Ze zbrodniami jest tak samo i one pociągają za sobą corocznie kary w równych stosunkach. Ta sama jednostajność da się zauważyć także przy samobójstwach, przy okaleczeniach w celu uwolnienia się od poboru do wojska, przy sumach stawianych na hazard w domach gry niegdyś w Paryżu istniejących, a nawet przy listach niedokładnie lub fałszywie adresowanych. W ogóle da się spostrzedz tak wielka jednostajność i stateczność w zjawiskach społecznych, jak gdyby rozmaite klasy faktów podlegały czysto fizycznym przyczynom. Czy więc w obec tego, pyta Quetelet, mamy zaprzeczyć wolności woli ludzkiej? I odpowiada, że tak nie sądzi, ale w każdym razie zakreśla jej bardzo ciasne granice, gdyż naznacza jej w zjawiskach społecznych tylko rolę przypadkowej przyczyny. Jeżeli się następnie abstrahuje od jednostek i uważa rzeczy tylko w ich całości, mówi on dalej, to się spostrzeże, że przypadkowe przyczyny neutralizują się w swoich skutkach i wyrównywują w ten sposób, że faktycznie wywierają swój wpływ tylko przyczyny istotne, nadające społeczeństwu ludzkiemu istnienie i utrzymujące takowe. I na tej właśnie zasadzie, że wolność woli ludzkiej niknie i bez wyraźnego skutku pozostaje, skoro uwzględnimy większą liczbę jednostek, oparł Quetelet statystykę moralności. Nie zdołał jednak udowodnić braku wolności woli ludzkiej w zjawiskach społecznych. Statystyka bowiem nie może przecież brać w rachubę woli ludzkiej, która jako czynnik duchowy jest nieuchwytną dla niej, ale ogranicza swe spostrzeżenia tylko do zjawisk zewnętrznych, które się dają spostrzedz. Chociażby więc w zjawiskach społecznych zachodziła taka jednostajność i stateczność, jaką Quetelet przedstawił, to nie jest to wcale dowodem, że wola ludzka nie ma w nich przeważnego wpływu, że takowego mieć nie może, lecz jedynie wskazuje na to, że jako ograniczona,

ze stosunkami otaczającymi liczyć się musi, ale nie koniecznie im ulegać. Ze stanowiska zaś etyki wielka zachodzi różnica między tem, czy skutki woli ludzkiej na jaw występują a tem, czy takowe w ogóle wystąpić mogą. Jeżeli się tylko wola ludzka objawić może, to nie można jej wolności zaprzeczyć. A że się objawiać może i że objawia się rzeczywiście, to świadczą o tem te wypadki, w których objawom jej nie sprzyjają wcale stosunki otaczające. Wszelka droga poświęcenia, jak wiadomo, usłana jest cierniami. Czy mu sprzyja egoizm człowieka, czy popiera je groza śmierci, która nieraz poświęcającemu się za jakąś szczytną sprawę w oczy zagląda i odstraszyć się stara? Pewnie nie. A przecież człowiek przeświadczony o powinności swojej i nie dający się odwrócić żadnymi względami od jej wypełnienia, dobrowolnie się jej oddaje i kładzie za nią życie? Jakież tu są rzeczywiste motory poświęcenia, jeśli nie rozum i wolna wola ludzka? — Jakżeż wytłumaczyć dalej to, że nieraz z dwóch osób zostających pod tymi samymi wpływami zewnętrznymi, jedna dobrze a druga źle działa, że z jednej wyrabia się anioł a z drugiej szatan?

Ale cytowany już wyżej autor (Kolb) twierdzi, że nawet pozornie najbardziej przypadkowe zjawiska ulegają stałym prawom. I tak samobójstwa — mówi on — nietylko powtarzają się statecznie w niezmienionych stosunkach, ale nawet okażuje się, że z przybywaniem dnia liczebnie wzrastają, że pewne klasy wieku mają swój ulubiony gatunek broni samobójczej. Nie ulega też wątpliwości, że także akty dobroczynności i pobożności wśród równych stosunków w tak stałej mierze się powtarzają, jak gdyby chodziło o zapłacenie podatku. Statystyka mówi jeszcze dalej, udowadniając słowa równie bystro patrzącego, jak szlachetnego Spinozy: „Ludzie wierzą tylko dla tego w swą wolność, ponieważ wprawdzie są świadomi swych czynności, ale nie znają przyczyn, które nimi kierują. Dziecię mniema, że pożąda mleka dobrowolnie, gniewliwy chłopiec, że sam chce zemsty, tchórzliwy że dobrowolnie usposabia sie do tego, pijany że dobrowolnie paple. Dziecię, głupiec, gaduła i bardzo wielu ludzi tego rodzaju mniema, że mówią dobro-

wolnie, gdy tymczasem nie mogą swego popędu do mówienia powstrzymać.“ Zauważyć jednak wypada, że przykłady wyżej przytoczone najmniej są stosowne do uzasadnienia postawionego przez autora twierdzenia, gdyż dotyczą jednostek pozbawionych stale bądź chwilowo, całkowicie lub częściowo rozumu lub woli bądź obojga, lub posiadających zdolności duszy nierozwinięte, gdy tymczasem stawiając twierdzenia zasadnicze powinniśmy je popierać poglądem na stan normalnego człowieka.

Dobre lub złe żniwa wpływają na liczbę małżeństw, to jest także rezultat statystyki z zakresu ruchu ludności. Ale czyż te żniwa wykluczają wolę ludzką od wpływu na zawieranie małżeństw? Czyż tu po za temi dobremi i złemi żniwami tak trudno dopatrzeć się tych duchownych czynników, uczucia, rozumu i woli, które stosując się do wrażeń zewnętrznych, stanowczo o zawarciu małżeństwa decydują. Jeżeli te zdolności ducha wspólnie oceniając stosunki, to lub owo postanowią, czyż nam zamiast prostszej drogi uznania tej harmonii ich działania godzi się raczej powiedzieć, że człowiek ulega tylko czysto fizycznym warunkom a wolność woli jego nie istnieje?

Lecz jakżeż pogodzić ją z tą okolicznością, że człowiek tak często ulega siłom zewnętrznym? Cóż to za wolność, jeśli przyciśniony okolicznościami wybieram to, czego bym inaczej nie wybrał, jeśli wreszcie niekiedy nie ma wcale wyboru? Czyż nie jestem wówczas raczej niewolnikiem niż wolnym? Tak się zdaje, a przecież tak nie jest.

Wiadomo, jak wysoko wzniósł się duch ludzki, jak sobie z postępem czasu i własnym rozwojem poddał nieprzezwyciężone dawniej siły natury, jak mu służy para, elektryczność, magnetyzm, wody i gazy. To pewna, że nie uwolnił się człowiek od wszystkich swych wrogów zewnętrznych, ale przecież o ileż ma on ich mniej teraz niż dawniej, kiedy to ognisty piorun zdawał się nie mieć innego pana nad sobą jak tylko Tego, który rządzi światami. A przecież człowiek wyrwał piorun niebu, wynalazł koleje żelazne, okręty parowe, telegrafy i telefony i inne wynalazki doniosłe, których dawni ludzie nawet nie

przeczuwali. A jakież zdobycze jeszcze go czekają? Nietylko jednak w tym kierunku wyswobodził się człowiek z pod wpływu sił przyrody. I w życiu społecznem czeka go taka przyszłość; wszak już do tego przyszło, że wyrwał berło tyranom. Za wolnością polityczną przyjdzie i ekonomiczna, ale nie na drodze przewrotu, lecz na drodze prawdziwej a więc nie rewolucyjnej oświaty. Z oświatą wzrasta dobrobyt a z dobrobytem przybywa nawet człowiekowi życia, jeżeli lekkomyślność i namiętności go nie ukrócą. Statystyka dowodzi nawet datami, że przeciętny wiek życia u zamożnych jest wyższy (50 lat) niż u biednych (32 lat). Jakaż to zaś wielka zdobycz przedłużenie życia! A do zdobyczy tej właśnie doprowadziło światło rozumu i ludzka wola, święcąc w ten sposób tryumf swej harmonijnej działalności.

Ale przecież są wypadki, gdzie człowiek absolutnie swą wolą nic poradzić nie może. Młodzieniec w kwiecie wieku dogorywający na łożu śmiertelnem, tak gorąco chciałby żyć jeszcze! Przez otwarte okno do ogrodu widzi on te drzewa, w których cieniu niegdyś siadywał, te kwiaty, które wraz z siostrą pielęgnował i podlewał, słyszy jak ptaszyna w gąszczy ukryta nuci swe wesołe pienia, jak tam dalej szumi woda na jazie, młyn gwarzy, jak zdala słychać brzęk kos ostrzonych przez kosiarzy, śpiewy pracujących ludzi, wesołe krzyki bawiących się dzieci. Ileż uroku ma świat dla chorego, który powalony na łoże słabością fizyczną, na duchu jest zdrów i wszystko dobrze pojmuje! On nie chce umierać — a tu lada chwila zapuka śmierć po niego. Czyż tu może być mowa o wolności woli ludzkiej? Podobnie czyż może być o niej mowa, gdy człowiek traci, co ma najdroższego, choćby tę stratę rad był połową życia okupić? A jednak i w tych wypadkach natrafiamy w woli ludzkiej na zdolność, która się skutecznie żelaznej konieczności przeciwstawia. W jaki zaś sposób to się dzieje, wymownie o tem prawi ten filozoficzny poeta*), który nie mniej jest ulubieńcem młodzieży, goniącej

*) Fr. Szyller: Über das Erhabene.

za pięknymi obrazami, jak wytrawnych mężów, szukających poważnej treści. Jeżeli człowiek nie może — mówi on — siłom natury przeciwstawić żadnej stosunkowej siły fizycznej, to nie pozostaje mu nic innego, jak ten stosunek idealnie usunąć i gwałt, który w rzeczywistości na sobie przenieść musi, przynajmniej co do pojęcia, zniweczyć. Gwałt zaś jakiś co do pojęcia zniweczyć, nie jest nic innego, jak poddać mu się dobrowolnie.

Nie wyglądaż to, powie kto, na ironję? Cóż to za zniweczenie gwałtu, jeśli mu się ktoś poddać musi, choćby to poddanie było dobrowolne? A przecież tak jest, że jest to zniweczenie gwałtu. Bo czemże jest to urąganie się z losu, gdy ktoś z ironją na ustach przyjmuje cios jego, gdy z męztwem go znosi, gdy patrząc wreszcie jasno w treść rzeczy, przyjmuje go ze spokojem, zadowalając się przeświadczeniem, że inaczej być nie może. Czyż nie wielkiej siły ducha tu potrzeba, gdy przyjdzie znieść cios, który człowieka trafia w samo serce, odbiera mu ochotę do życia, przed oczyma rozwiesza całun żałoby? Popatrzmy na tę niewiastę w Malczewskiego powieści i zapytajmy, co ją utrzymuje przy życiu, jeśli nie ta siła ducha, która objawia się w jej poddaniu pod wyroki boże. A ileż to takich jednostek znajdziemy pomiędzy sobą na ziemi? Ileż znajdziemy takich, które utraciwszy szczęście na zawsze, utraciwszy to, co je mogło silnym łańcuchem do tego życia przykuwać, przecież nie wyprzęgają się z jarzma lecz ciągną swoje taczki dalej z poświęceniem dla dobra bliźnich. Wszakże każda z nich łatwo mogłaby się uwolnić od tych okowów, które na nią stosunki wkładają, a one przecież pomimo to żyją dźwigając kajdany, — zapatrzone w aureolę męczenników, którzy tylu gwiazdami obsypali skroń śmiertelnych. Takie to wypadki zamiast przeczyć wolności woli ludzkiej, najlepiej jej dowodzą, bo dowodzą jej w wypadkach, w których trzeba okazać nadzwyczajną siłę woli. Słusznie też powiedział Szyller: „Ten sposób myślenia znamy w etyce pod pojęciem rezygnacji a w religji pod pojęciem poddania się pod wyroki boże, jeżeli ma być dziełem wolnej woli i rozwagi, wymaga już większej

jasności myśli i wyższej energji woli, niż ją zwykł posiadać człowiek w ruchliwem życiu.“

A więc w końcu powiemy jako rezultat naszej dotychczasowej pogadanki, że wolność woli ludzkiej zakwestjonować się da, ale nie obalić i że wspólnie z rozumem wytwarza moralność. Kto za tem dlatego dobrze działa, że to co działa, jest dobrem i moralnem, ten postępuje moralnie. Kto zaś z innych pobudek dobrze działa, ten postępuje legalnie ale nie moralnie. Zastanowić się więc wypada nad tem rozróżnieniem i zapytać, ilu też jest pomiędzy nami takich, którzyby moralnie postępowali dla samej wewnętrznej wartości czynów moralnych? Większość nas należy do grupy moralnie obojętnych, zwanych pospolicie ludźmi porządnymi, postępujacych legalnie i zgodnie z kodeksem towarzyskim i cieszących się za to dobrą opinją, ale mimoto nie mających często nawet pojęcia o czystej moralności. Jednak nie możemy lekceważyć i tej niby moralności; w praktyce bowiem jest ona niezawodnie lepsza od przewrotności i złości ludzkiej, hulających bez hamulca. Niezawodnie lepiej jest w społeczeństwie, w którem więcej jego członków dla jakichś ubocznych względów nie popełnia bezprawia niż w tem, gdzie egida prawa jest bezwładna i namiętności jednostek nie znają wędzidła. Niezawodnie lepiej jest w czasach dzisiejszych, gdy surowość opinji publicznej i prawa hamuje choć w części namiętności ludzkie niż np. w średnich wiekach, gdy raubryterzy swobodnie rozbijali po drogach i zaledwie pewne dnie w tygodniu ośmielono się uznać za dnie pokoju bożego a za naruszenie jego w tych dniach ostremi karami zagrozić. W owych czasach prawa pięści, gdy bezbronny nie był pewny życia i mienia, ustanawiali królowie jak np. Konrad II. Salijski (1024—39) tak zwaną treuga dei, według której każdy właściciel zamku musiał przysiądz, że od środy wieczór do poniedziałku rana nikogo nie zaczepi. Ktoby zaś nie dotrzymał przysięgi i naruszył pokój w dniach uświęconych cierpieniem i zmartwychwstaniem Chrystusa, miał podpaść klątwie kościelnej i być skazanym na wygnanie. I w owych to czasach taki raubryter, jeżeli dotrzymał przysięgi z

obawy kary, miał się pewnie za bardzo moralnego człowieka, może mniemał nawet, że poświęca się na rzecz współbliźnich. Ale i w dzisiejszych czasach, gdy obok tego, że prawo jest silniejsze i poszanowanie jego większe, także zasady moralności głębiej są wszczepione w umysły ludzi niż dawniej, podobnych raubryterów jest moc niesłychana, których tylko silna władza i porządek społeczny powstrzymują od wykroczeń. Lecz zawieśmy panowanie ustaw tylko „od poniedziałku rana do środy wieczór“ przez jeden tydzień i zapewnijmy czynom karygodnym w tych dniach spełnionym bezkarność a zobaczymy, ile będzie w tych dniach popełnionych przekroczeń a może i zbrodni. Z tem wszystkiem, jak powiedziałem, nie należy lekceważyć i ludzi moralnie obojętnych względnie legalnie działających; jeżeli ktoś nie jest moralny, niech przynajmniej będzie nieszkodliwy.

Pobudki, które człowieka bez wyrobionych moralnych zasad do nieszkodliwego postępowania nakłaniają, są oczywiście egoistyczne. Obawa kary, wzgarda ze strony innych ludzi, wstyd, wrażliwość umysłu i t. p. oto pobudki grające tu rolę. Ale etyka chrześciańska każe cnotę dla cnoty wykonywać. Kto więc jest moralnym według etyki chrześciańskiej, jest nim także według etyki rozumowej. Tak bowiem w jednym, jak i w drugim wypadku działa on dobrze dlatego, że to jest dobrem. Tak światły chrześcianin, jak i inny rozumny człowiek zna cel i pobudki swego dobrego działania i słusznie też powiedział jeden z naszych najdzielniejszych prawników*), że co w tym kierunku dla mniej wykształconych jest tylko dogmatem, to dla ludzi prawdziwie światłych jest prawdą rozumową.

Religja chrześciańska grozi jednak także karami. Czy więc równie moralnym, jak poprzedni, będzie ten także, kto nie grzeszy z obawy kar pośmiertnych lub ze wstydu, że od spowiednika nie dostałby rozgrzeszenia i że o takowe musiałby się starać u bi-

---

*) Dr. Maurycy Kabat w pracy o postępowaniu drobiazgowem.

skupa lub aż u stolicy apostolskiej? Oczywiście kto tylko dla tych pobudek nie grzeszy i przykładnie żyje, ten ani cnotliwym ani moralnym nie jest. Postępuje jednak legalnie. Lecz czy sama legalność wystarczyłaby nam w życiu? Wszakże, gdyby ustawy nie miały moralnego pierwiastku w sobie, to pozwoliłyby były Szajlokowi, wyciąć kawał ciała z piersi dłużnika. Tymczasem już starzy prawnicy rzymscy orzekli, że niemoralne zobowiązania lub warunki są nieważne*). A jednak choć prawodawstwo sili się przyjąć w siebie jak najwięcej pierwiastków moralnych, to przecież ileż to jeszcze bezprawia kryje się pod płaszczykiem legalności ze szkodą dla społeczeństwa i jeszcze jak długo kryć się będzie! Nie od rzeczy będzie przy tej sposobności zaznaczyć, że kościół katolicki oddał właśnie w tym kierunku w pierwotnych czasach niezmierne usługi ludzkości, wprowadzając swój pierwiastek moralny prawodawczo nietylko w zakres prawa prywatnego tak majątkowego jak i osobowego, ale także swym wpływem przez dominującą ponad wszystkie korony głowę kościoła w zakres prawa państwowego i międzynarodowego.

W życiu więc ludzkiem wpływ religji na życie moralne człowieka nie da się zmazać jednem pociągnięciem pióra, jak to sądzą niektórzy. Wpływ religji na życie ludzkie tak jest jasny i niezaprzeczony i tak błogi, że dość roztworzyć tylko księgę dziejów, aby się o tem przekonać. — Ale audiatur et altera pars.

Nie ma bez wątpienia — mówi Henryk Tomasz Buckle w swej historji cywilizacji Anglji — niczego na świecie, coby mniej ulegało zmianom niż owe wielkie zasady, które wypełniają systemy moralne. Innym dobrze czynić, swoje własne życzenia dla drugich poświęcać, bliźnich kochać jak siebie samych, nieprzyjaciołom przebaczać, namiętności własne powściągać, oto są mniej więcej zasady moralności; ale one są już od wieków znane i ani odrobiny niedodały do nich wszystkie kazania, homilje i rozprawy,

*) L. 26. D. 45. 1. Generaliter novimus turpes obligationes nullius esse momenti.

stworzone przez moralistów i teologów. Że system moralny nowego testamentu nie zawiera ani jednej nauki, którąby już pierwej nie była wypowiedziana i że niejedno z najpiękniejszych miejsc w pismach apostolskich wyjęte jest z dzieł pogańskich, to wie każdy uczony i nie stanowi to też zarzutu dla chrześcianizmu. Twierdzenie jednak, że chrześciaństwo dopiero przyniosło ludzkości nieznane dotąd prawdy, dowodzi albo wielkiej nieświadomości albo też rozmyślnego oszustwa . . . Wszystkie moralne systemy, które wielki wpływ wywarły, były istotnie te same. W moralności nie ma odkryć . . . Co się tyczy naszego moralnego zachowania, nawet najwykształceńszy Europejczyk nie wie nic więcej nad to, co znali starożytni. Za to, co się tyczy inteligencji, to nietylko nowsi porobili ogromne zdobycze na każdem polu wiedzy, które starożytni zbadać usiłowali, ale także dawniejsze metody badania zwalili, wszystkie środki indukcji (doświadczenia i spostrzeżenia), które Arystoteles tylko ślepo przeczuwał, połączyli w jeden wielki plan badawczy i stworzyli umiejętności, o których nawet najśmielszy myśliciel starożytności nie miał najmniejszego wyobrażenia. . . Widocznem jest, jaki ztąd wyprowadzimy wniosek. Ponieważ cywilizacja jest wynikiem moralnych i intelektualnych czynników, a wynik ten ulega ciągłej zmianie, przeto nie może nim kierować czynnik nieruchomy, t. j. moralność, lecz tylko czynnik ruchomy, rozwijający się ciągle t. j. inteligencja.

A więc religja żadna, żaden system religijny moralny, którym autor sam przyznał wyżej wielki wpływ, nie wywierają na cywilizację ludzką żadnego dobroczynnego wpływu, niczem nie przyczyniają się do jej rozwoju?

Daleki jestem od tego, abym się tu miał wdawać w długi i szeroki spór ze sławnym historykiem co do elementów, z jakich powstała chrześciańska nauka. Skonstatować muszę tylko to, co jest historycznie i psychologicznie stwierdzonem i co autor sam poświadcza, że moralność także zdolna jest rozwoju i postępu, a jeśli tak jest, nie może pozostać bez wpływu na cywilizację. Bezprzecznie zaś w nauce

chrześciańskiej system moralny pierwszy raz okazał się w całej swej czystości i zupełności i że faktycznie odtąd kompletniejszego systemu moralnego nie mamy. Niezawodnie i pierwej błąkały się prawdy etyczne tu i owdzie, ale tak zjednoczone, tak jasnym celem powiązane znajdujemy je po raz pierwszy w nauce chrześciańskiej. Czy zaś religja chrześciańska ze swym systemem etycznym przyczyniła się do wzrostu cywilizacji, to jest wiadomem powszechnie. Gdziekolwiek bowiem spojrzymy w przeszłość, widzimy że wszelkie światło rozpoczyna się od religji; ona je rozsiewa w postaci dogmatów, zanim narody oświeciwszy się poznają to, co im w tej formie podano, własną siłą jako prawdę rozumową. To też widzimy, że ścieżkami, któremi szło światło religji chrześciańskiej, postępowała potem zawsze oświata a nawet sama filozofia zawdzięcza religji chrześciańskiej dalszy swój postęp i udoskonalenie. Dlatego też dziwić muszą dalej jeszcze idące wycieczki przeciw religji Kolba: „U narodów wykształconych — mówi on — obala inteligencja wiarę dogmatyczną. Na to miejsce wstępuje czysta moralność. Ta zaś znajduje tem silniejsze ugruntowanie, im więcej inteligencja daje poznać niezbędność moralności. Zarazem pomnożoną wiedzą dostarcza człowiekowi środków do rozmaitego i lepszego wyżywienia i ogranicza nędzę, popychającą do nierzetelności, której mnóstwo słabych charakterów tak często ulega. Duchowni, którzy chcą tylko być księżmi, utracać będą przy coraz ogólniejszem rozszerzeniu wiedzy wpływ swój coraz więcej. Muszą stać się nauczycielami i w rozszerzeniu inteligencji zamiast w jej zwalczeniu widzieć środek utrzymania swych stanowisk. Inaczej są zgubieni.“

Ależ nawet w najcywilizowańszem społeczeństwie religja jest niezbędna a jest taką nietylko dla młodego pokolenia i mas, ale dla każdego nawet wykształconego człowieka. Jeżeli wyrzucimy religję, cóż poprowadzi młodzież po drodze cnoty, co w niej zasady szlachetne zaszczepi? Inteligencja pewnie nie, bo młodzież jej jeszcze nie posiada, a stare polskie przysłowie trafnie mówi: „Nim słońce zejdzie, rosa

oczy wyję.“ Cóż dalej pokieruje masami, które nigdy nie posiędą światła takiego, żeby ono choć w części potrzebę religji objawionej wyrugowało? Kto sam rozumem własnym nie może sobie znaleźć gwiazdy przewodniej, temu błogo, gdy mu na horyzoncie życia przyświeca zawsze jasna, pogodnie uśmiechnięta gwiazda, o którą się ze względu na jego moralność naprzód postarano. A potem czy i dla tak zwanych inteligentnych ludzi jest religja tak zbędną rzeczą? Iluż to z tych ludzi w rozstroju umysłowym, z powodu dotkliwych wypadków w życiu a nawet w zwykłych kłopotach życiowych dałoby sobie radę, znalazłoby utraconą równowagę umysłową, spokój i otuchę własną siłą, gdyby nie zaczęli z tej skarbnicy religijnej pociechy. Słusznie by powiedziano*): „Któryż z systemów przeciwnych chrystjanizmowi pocieszył kiedyś duszę smucącą się lub serce osierociałe zapełnił? Sam tylko chrystjanizm obiecał przynieść pociechę ludziom nieszczęśliwym i dotrzymał słowa. Nim zatem kto zechce zastąpić chrystjanizm, niech pierwej wyruguje z ziemi boleść!“ — Religja więc nie może przestać nigdy być czynnikiem wychowania młodzieży i społeczeństw całych. Odbierzmy tylko masom religję a w krótkim czasie przekonamy się, gdzie się podzieją owoce tej przecenianej inteligencji ludzkiej i jaki je los spotka. Zdaje się, że nie potrzebowalibyśmy długo czekać na sceny równe tym, które się rozgrywały podczas komuny paryskiej lub napadu Tatarów.

A jakżeż wytłómaczyć to pomnażanie się wyrafinowanych oszustw, bankructw, sprzeniewierzeń i tp. zbrodni, występków i przekroczeń z chęci zysku, które, jak statystyka wykazuje, właśnie mnożą się pomiędzy ludami oświeconymi? Wszak według twierdzenia Kolba, winne się one wraz z cywilizacją pomniejszać! Niestety jednak z wyższą cywilizacją udoskonala się także technika zbrodni i nie wytrzymuje

---

*) Montalembert. Vie de St. Elisabeth.

miary z przestępstwami ludzi ciemnych i niewykształconych zwykle prostemi i łatwo udowodnić się dającemi. —

Tak to mało umie się spuścić człowiek na swoją inteligencję i dlatego pojmuję okrzyk jednego z autorów, który mówi: „Biada nam, jeżeli poczucie dobra i sprawiedliwości, jakie daje religja, zechcemy zastąpić jedynie wyrozumowanemi pojęciami, których zrozumienie pierwej znuży umysł ludzi, nim je zaszczepi w ich serca. Jakże wiedza daleka jeszcze od uczucia i czynu!“

Takie jest znaczenie religji na legalne, względnie moralne prowadzenie człowieka. Kto zaś o tem sądzi, niech przy tem i to pamięta, że jako warunek błogiego wpływu religji przypuszczamy także dobrych kapłanów, którzy życiem stwierdzają to, co głoszą w kościele. Nie jest to zresztą żaden wyjątek, bo w każdej instytucji i korporacji ten, kto ją prowadzi, powinien przyświecać przykładem.

Jak religja, tak i uczucia etyczne ogromny wywierają wpływ na moralne życie człowieka. Smak etyczny — mówi Szyller*) — wymaga umiarkowania i przystojności, ma wstręt do wszystkiego, co szorstkie a lubi to, co się układa lekko i harmonijnie. Nadaje on przeto umysłowi nastrój przystępny cnocie, ponieważ oddala skłonności, które jej przeszkadzają a budzi te, które jej sprzyjają. W pewnych wypadkach jeżeli już nie popiera moralnego usposobienia człowieka, to przynajmniej hamuje w nim niemoralne wybuchy tak, że człowiek postępuje legalnie. Człowiek, który zaniechał spełnienia jakiegoś niemoralnego czynu tylko dlatego, że ten naruszyłby jego uczucia estetyczne, postąpił wprawdzie legalnie ale nie moralnie, bo czyn moralny wynika ze świadomości dobrego. Kto jednak zamierzył już spełnić czyn etyczny, a w spełnieniu tem doznał jeszcze poparcia ze strony swych estetycznych uczuć, ten spełnił czyn rzeczywiście moralny; szczęśliwy traf tylko zdarzył,

*) Über den Nutzen ästhetischer Sitten.

że mu tu sprzyjało jeszcze uczucie estetyczne i dążności jego popierało.

Któż nie spełnia zamierzonej obelgi na bliźnim, gdyż wzgląd na przyzwoitość go od tego wstrzymuje; taki postępuje legalnie ale nie moralnie. Inny przebacza swemu nieprzyjacielowi, nie mści się na nim, bo przekonanie jego mu mówi, że się mścić nie należy, ale oprócz tego jeszcze uczucie estetyczne wyrażające się umiarkowaniem i taktem nie pozwala mu na to. Ten już postąpił moralnie, bo pierwotną zasadą przebaczenia urazy lub krzywdy było przekonanie, że mścić się nie należy. Z tych dwóch zasadniczych przykładów widoczny jest wpływ uczuć estetycznych na moralność względnie legalność działań ludzkich.

To też uczucia estetyczne rozwijać i pielęgnować należy zarówno jak inne władze duszy. Dlaczegoż pożycie w prawdziwie wykształconych warstwach jest legalniejsze, przyjemniejsze i moralniejsze niż w warstwach niewykształconych? Poczucie bowiem estetyczne wspiera panowanie moralnych zasad a przynajmniej „łamiąc ślepą siłę afektów robi woli ludzkiej miejsce, aby się zwróciła ku cnocie.“ Należy więc zawczasu rozbudzać i rozwijać w człowieku te uczucia. Zdoła to uskutecznić tylko dobre wychowanie, obracanie się w wykształconych kołach i poważne studjowanie dzieł sztuki. Zdolności estetyczne każdy z nas z sobą na świat przynosi w wyższym lub niższym stopniu a już sam Pan Bóg przez otaczającą nas naturę postarał się o to, aby ułatwić człowiekowi rozwinięcie takowych. Mało też jest ludzi, którychby piękne obrazy przyrody nie zachwycały, nie wzruszały, którzyby patrząc na dzieła Boga, tego największego artysty, nie uczuli piękna. Dowodem tego są te porywające pieśni, które prostaczkowie nieuczeni złożyli odźwierciedlając w nich swoje uczucia obudzone pięknem natury. Nauka teoretyczna rozwija te uczucia, zapoznaje z ich istotą, tłumaczy ich ważność i przy pomocy dzieł sztuki utrwala je w człowieku. Z rozbudzeniem tych uczuć utrwalają się też w człowieku zasady moralne. Iluż to ludzi nie zawdzięcza dziś pieniom wieszczów naszych, że

nie zeszli z drogi moralności i cnoty! Poezja bowiem może wprawdzie nieco rozmarzyć, ale też za to nie daje przystępu wielu innym groźnym namiętnościom, zaciemniającym światło rozumu. Pewnie więcej pożytku można się spodziewać w życiu dalszem po młodzieńcu, który w młodości swej pozował na Gustawa, niż po tym, który naśladował Grabca. Z tęsknotą jeszcze dziś zwracamy się wszyscy do tego grona idealnej młodzieży polskiej w Wilnie, rozpędzonej potem przez Nowosilcowa, którą poezja duszy wychowała na bohaterów, na wzory dla przyszłych pokoleń. Ci filareci, filomaci i promieniści, którzy żyli nauką, poezją i „promionkowaniem pięknych oczek,“ jak Zan, Mickiewicz, Domejko, Jeżowski, Czeczot i inni będą na zawsze chlubą narodu. Dla tego nie należy lekceważyć poezji jako czynnika wychowawczego, nie należy też pomiatać temi pismami, które w formie pieśni z uczuciem patrjotycznem dzieje ojczyste lub epizody z nich przedstawiają. One bowiem najwięcej przyczyniły się do utrwalenia szlachetnych uczuć w sercach młodzieży, do zaszczepienia w nich miłości Ojczyzny; one to sprawiły, że młodzież wychowana na nich, postępowała w swem życiu moralnie woląc ponieść nieraz katusze, niż wyprzeć się swych obowiązków. Gdy się za pomocą takich pism zaszczepi w młodzieży te uczucia, to potem już bez obawy ich wyziębienia można jej podać do rąk wykład historji krytycznej, która obrawszy sobie za ideał prawdę bez względu na czyjeś kwasy lub uprzedzenia, szuka jej w pasmie dziejów ojczystych. Ale zacząć od niej zaznajamianie młodzieży i historję rodzinną znaczyłoby uczyć ją, jak nienawidzieć swych przodków. Umysł bowiem niedojrzały nie potrafi być wyrozumiałym, wszak nawet dojrzali ludzie nie zawsze na wyrozumiałość umieją się zdobyć. To też zadziwić może ten bezwzględny sąd, jaki wydał niedawno swoją drogą jeden z naszych najlepszych historyków we wstępie do swej historji polskiej o śpiewach historycznych Niemcewicza, o dramatach historycznych i poematach epicznych, osnutych na tle dziejów ojczystych a przedstawiających piękne postacie i świetne epoki, jak się autor wyraża, ze strony wyłącznie dekoracyjnej.

Nie każda jednak poezja wywiera wpływ umoralniający. Musi to być poezja klasyczna, służąca pięknu i dobru, a nie ułomnościom i podłym namiętnościom ludzkim. Poezja bowiem, w ogóle sztuka służąca celom takim, jak nie zasługuje na nazwę sztuki, tak też nie powinna być nigdy przewodniczką młodzieży i społeczeństw. Natomiast poezja Sofoklesów, Mickiewiczów, Krasińskich, Słowackich, Szyllerów, Szekszpirów i tp. bogini ożywiona niebiańskiem natchnieniem a promieniejąca czystem światłem, ta powinna być ich nauczycielką. Albowiem choć nie można się zgodzić z Platonem, który w swem idealnem państwie uznawał sztukę tylko o tyle, o ile służy moralnemu ideałowi, to jednak z drugiej strony sztuka, która widocznie nie ma innego celu nad ten, aby podrażnić zmysły i zadowolnić namiętności, nie powinna być w państwach cierpianą tak jak nie cierpieli Grecy wszelkiej poziomej sztuki*). Od ideału do najbrzydszej prozy, jak mówi Szyller, jest przejście bardzo bliskie tak dalece, że niejednemu zdaje się, że spoczywa w objęciach bogini, gdy tymczasem leży on w kałuży błota. Takich ideałów dwuznacznych nie brak w utworach artystycznych i literackich największych nawet mistrzów, że wspomnę tylko Goethego „Elegje rzymskie,“ zresztą pod względem formy i dykcji znakomite. Wprawdzie wielu przemawia dość wyraźnie za naturalizmem w sztuce i stara się go uzasadnić potrzebą nadania sztuce prawdy naturalnej, bez której zawsze chromać będzie. Lecz zauważyć także trzeba, że człowiek rządzi się innym zakonem aniżeli pozostała natura, więc i sztuka zanadto od prawideł jego oddalać się nie powinna, inaczej bowiem bierze na siebie rolę demoralizatorki i gorsza jest od jawnych hołdowników niemoralności. Ona bowiem upiększa i idealizuje złe, ci zaś raczej wstręt i odrazę wzbudzić są w stanie**).

---

*) Porównaj Lessinga Laokoon, wydanie Goeschena, 1841, str. 15—16.

**) Henryk Struve. Szpetne w sztukach pięknych.

W ten sposób starałem się wykazać wpływ religji i sztuki względnie uczuć religijnych i estetycznych na moralność. Sądzę zaś, że nie mogę lepiej zakończyć mej pracy jak słowy wielkiego poety Niemiec, które wypowiada w swej rozprawie o pożytku moralnym estetycznych obyczajów: „Jakkolwiek ten stałby niezaprzeczenie wyżej w szeregu duchów, ktoby nie potrzebował ani powabów piękności ani widoków nieśmiertelności, aby się we wszystkich wypadkach zachować stosownie do zasad czystego rozumu, to przecież znane granice ludzkości zmuszają nawet najsurowszego nauczyciela etyki do odstąpienia nieco w praktyce od ścisłości swego systemu, chociaż takowemu w teorji nic przepuścić nie może i do utwierdzenia dobra ludzkiego rodu, któreby wcale niedostatecznie było zabezpieczone naszą przypadkową cnotą, jeszcze na obu silnych kotwicach religji i smaku estetycznego.“

Sokal, w Kwietniu 1890.

Franciszek Szymusik.

MALE PARTA DO CZARTA.

OPOWIADANIE MIERNICZEGO.

Cieniom ś. p. Tytusa Trzecieskiego poświęca autor.

Wyjechałem pewnego razu w czynności urzędowej w powiat, a że czynność odbywała się w polu i trwała czas dłuższy, mogłem się więc rozglądnąć lepiej po okolicy i mimowoli zasięgnąć języka o rzeczach, które jakkolwiek nie miały styczności z mojem

zajęciem zawodowem, interesowały mnie jednak jako człowieka i mieszkańca powiatu. Ponieważ z zawodu miałem z ziemią do czynienia, interesowała mnie ona i przekonałem się, że na tej przestrzeni przeszło dziesięciotysięcznomorgowej, którą miałem przemierzyć, przynajmniej połowa nie bardzo jeszcze dawno pokryta była starodrzewem wysokopiennym. Utwierdzał mnie w tem przekonaniu obok dat urzędowych także park nad szeroką i znaną rzeką S. we wsi P. położony, wynoszący kilkanaście morgów przestrzeni, jakby umyślnie wykrojony z obszaru starodrzewnej puszczy, przecięty strumykami, z okolicy w to zacisze z szmerem spływającymi, odnogami samej rzeki i stawami. A oprócz tego parku znajdowane w ziemi co chwila krzemienne pociski, którymi dawni myśliwi na dzikiego zwierza godzili, świadczyły także, że do niedawna jeszcze osłonięta ona była tajemniczym cieniem starych borów, skoro dawne pudła dopiero teraz w takiej ilości lemiesz oracza na wierzch wydobywał. Lecz obok tych przedmiotów napotkałem w ziemi po głębszem kopaniu na liczne kościotrupy ludzkie, w jednym długim, szerokim grobie wraz z kośćmi złożone, dawne kolczugi, dziryty, kopie i hełmy a obok nich dziwnem zrządzeniem dziejów starosławiańskie żarna, harpunowe ciężarki z masy ciężkiej a nieokreślonej dla nieznawcy, krzemienne noże i najróżnorodniejsze monety z czasów najdawniejszych nawet. Ztąd jasno powziąć mogłem, że ziemia ta, którą dla żyjących mierzyłem, była kiedyś wielką bojownią, cmentarzyskiem, miejscem tworzenia kompostu z ludzi i zwierząt, na którem potem i olbrzym lasu dąb w kilku pokoleniach wybujał i znikł, a obecnie gdańska pszenica najpiękniej się udaje. Lasów zostało dziś zaledwie 100 morgów. Z jakiego powodu wytrzebione zostały, dowiemy się później.

Nareszcie skończyłem moje czynności w polu. Pozostawały tylko roboty rysunkowe i pisemne do wykończenia, które miałem w mojej kwaterze załatwić. Kwaterę zaś miałem w zameczku, położonym wśród wspomnianego parku.

Zameczek ten zbudowany był na najwyższym punkcie tegoż i okolony zewsząd wodą. Przestrzeń,

na której stał, wynosić mogła 5 morgów. Kiedyś prowadzić musiał do niego zwodzony most lub prom, obecnie wiedzie doń most drewniany na dębowych pilotach oparty. Budowa zameczku nie przedstawiała nic tak dalece uderzającego. Budynek czworokątny zbudowany z cegły — jak to mówią — na urząd, zabezpieczony basztami, otoczony był grubym i wysokim murem z czerwonej cegły, zaopatrzonym w baszty i strzelnice, wcale jeszcze dobrze zachowane. Pomiędzy murem a zamkiem były dziedzińce, ogrody warzywne i owocowe również obwiedzione murem, studnie a pod obwodowymi murami stajnie dla koni, magazyny, pomieszkania dla służby, psiarnie i t. p. Budynków gospodarczych nie było tutaj, folwark bowiem znajdował się poza obrębem parku.

Na wprost bramy wjazdowej znajdował się wchód do zameczku, zawierającego w sobie sień, z której prowadziły schody do lochów i pomieszkań dolnych i górnych. Lochy były olbrzymie i wiodły do podziemnych korytarzów, którymi wejść można było w głąb niedostępnych borów. Po wykorczowaniu lasów znaleziono jeszcze przed kilkudziesięciu laty żelazne drzwi przy spadzie rozległego wzgórza, rozpościerającego się od tego zameczku. Po odbiciu takowych pokazała się długa i obszerna czeluść, która była jednym z owych podziemnych korytarzów, ciągnących się od zameczku. W innem znów miejscu w tym samym kierunku orzący wieśniak osunął się wraz z końmi i pługiem na zupełnie równej roli naraz w zagłębienie; prawdopodobnie sklepienie owego podziemnego przejścia w tem miejscu się rozluźniło i zapadło a to spowodowało osunięcie się ziemi. W tem też miejscu zaprzestano potem orać a głogi, tarnina i leszczyna w bujnym zaroście niem owładnęły. W samym zameczku jednak przejścia te zasypane były umyślnie czy przypadkiem a nowsi mieszkańcy jego nie mogli nawet znaleźć śmiałków, którzy by się odważyli kopać w tych miejscach, gdyż tam według podania zły duch bronił przystępu. Lochy same były wygodne i obszerne nietylko do użytkowania jako piwnice, ale także jako miejsce schronienia dla ludzi w razie koniecznej potrzeby. Były sklepione, posiadały okna

i piece i niezawodnie niejedna rodzina szukała tam przytułku i schronienia w chwili rozruchów.

Zameczek miał cztery baszty. W każdej z nich znajdowały się obecnie po dwie ubikacje na dole i na piętrze, rozmaicie użytkowane. Budowa wewnętrzna jego była nieco dawna, albowiem tak do dolnych ubikacyj jak i do piętrowych trzeba było wydostawszy się na ostatni stopień schodów zstępować znowu kilka schodów niżej. Z przeciwnej strony zameczku na piętrze znajdował się ganeczek oparty na kroksztynach kamiennych. Pokoje wszystkie były sklepione a przy oknach wszędzie znajdowały się ławeczki w murze, zkąd oko mieszkańców mogło się z przyjemnością rozglądać po zieleni borów i jasności wód, jakie to miejsce otaczały.

W jednej z baszt znajdowało się pomieszkanie starego sługi i dozorcy zamku. Na dole mieszkał on, na górze ja miałem swoją kwaterę. Tam to zmęczony uganianiem po polach rozciągałem pod ciepłą kołdrą zziębłe członki lub pracowałem przy szumie gotującego się samowara. Czasem odwiedzał mnie stary dozorca. Liczył on sobie już lat przeszło ośmdziesiąt. Był to typ starego szlacheckiego sługi, bo do panów swoich i ich domu szczerze był przywiązany. Niskiego będąc wzrostu, miał on twarz podłużną i chudą, porysowaną bogato zmarszczkami, czoło niskie z krzaczystemi brwiami, a oczy siwe ironicznie patrzące na ten świat odpowiadały najzupełniej takiemu skrzywieniu ust wązkich, ściśniętych, nad któremi zwieszały się długie konopiaste wąsy zawiązane u dołu w sopełki. Brodę okalał strzyżony zarost. Pomimo podeszłego wieku krótko strzyżony włos dobrze trzymał się na głowie i nieznacznie tylko dał się posypać szronem. Najwięcej jednak starość poznać można było po przygarbieniu i nieco przytępionym słuchu. — Staruszek p. Maciej Pietrzycki wywodził się z zagonowej szlachty i sługiwał u wielkich panów. Przy końcu przeszłego stulecia wstąpił jako pokojowiec do służby u kasztelana W. Było to po ostatnim rozbiorze Polski. Część dóbr kasztelana leżała w obrębie dzisiejszej monarchii austro-węgierskiej a rezydencją właśnie był ów zameczek, który opisałem. Kasztelan był

patrjota dobry, dlatego też skonfiskowano mu resztę dóbr jego, znajdujących się w zabranych prowincjach. Nie wodził on wprawdzie rej między współobywatelami, jednak rozumem swoim, statkiem i gospodarnością umiał sobie zjednać ich poważanie. W czasach dawniejszych szedł, gdzie go Ojczyzna wołała; po ostatnich klęskach osiadł spokojnie w swym zameczku, polował, gospodarzył i spławiał pszenicę do Gdańska, a było i gdzie polować i gospodarzyć, gdyż lasów niezniszczonych było jeszcze do 6000 morgów a do 4000 morgów roli wybornej, pszennej. Przy pomocy Bożej szczęście służyło, dukaciki chowało się do kabzy a potem do dobrze okutych kufrów żelaznych, przytwierdzonych mocno do podłogi a zabezpieczonych przed odbiciem silną robotą i sztucznymi zamkami. W życiu rodzinnem także Bóg błogosławił. Piękna, dobra i gospodarna żona, dzielny syn i podobna matce córka były pociechą starego już kasztelana. Ot i gdyby się nie był zapędził zanadto w operacje handlowe, nie byłoby teraz co mówić o nim i o innych . . . Ot nie warto już więcej mówić . . .

Na tem zwykle urywał staruszek swoje opowiadania, i ani rusz, aby z niego można było coś więcej wydobyć. Aż raz kiedy w jeden z tych słotnych i burzliwych jesiennych wieczorów siedzimy sobie w naszej baszcie, deszcz pluska w okna, wicher wyje jak potępieniec, drzewa rozkołysane wichrem trzeszczą i huczą a u nas w pokoju cieplutko, głownie na kominku pryskają i samowar szumi — ozwał się stary, jakby do siebie:

— Och! ta noc, ta noc . . . , lecz jakby przerażony tem, co powiedział, oglądnął się, czy na niego nie zwracam uwagi, popadł następnie w zadumę i siedział milczący.

Chcąc go jakoś rozruszać a zarazem i dowiedzieć się czego, zacząłem na chybił-trafił prawić o burzach i zeszedłem na to, że gdyby tak kilka tygodni deszcz lał, to nasza baszta nareszcie znalazłaby się w paszczy jakiegoś potworu morskiego po za obrębem zatoki gdańskiej.

Jakoż interlokucja ta nadspodziewanie trafiła do przekonania mego staruszka, bo odpowiedział:

— To głupstwo, panie, byle się nie przytrafiło nikomu coś podobnego, na co ja — na nieszczęście — patrzałem. Raz kosi śmierć — mówi przysłowie — ale przenieść bankructwo a potem zdradę przyjaciela i zginąć na złamane serce . . . to okropnie! A powód był właśnie z takiej burzy. Nie chciałem panu o tem mówić, bo cierpię sam, gdy to opowiadam, lecz że w tych dziejach, które panu chcę opowiedzieć, mieści się dużo moralnej treści, a wiem, że pan ciekawy i z zastanowieniem, opowiem je, a możeby to wartało, by i dalej było podane . . . —

Na to nalałem do szklanek herbaty, zapaliliśmy fajki a staruszek prawił:

— Otóż powiem panu, że dzisiejsza burza przypomniała mi jedną taką z roku 1812. Mój pan podjął się dostawy zboża dla głównych liwerantów armii i zakupił je w całem starostwie naszem. Ponieważ woda podniosła się dopiero ku jesieni, puściliśmy się dość późno ze zbożem do Warszawy. Nie dojrzeć okiem, ile tam było tratew. Wiatr sprzyjał, tratwy się posuwały naprzód i jeszcze dziś przypominam sobie, jak pan wychodząc ze swej kajuty, uśmiechał się zadowolony i zysk sobie liczył. Przy pochodniach płynęliśmy bez ustanku, tylko służba się zmieniała. Lecz niestety nadzieja nąs zawiodła. Rozpoczęły się groźne słoty z wichrami i burzami, nie było sposobu i gdzie przystanąć, zaczęły się nam odrywać początkowo tylko pojedyncze zbiory i tratwy, potem niknęły całe pary, pożerała je woda i my zaledwie z niedobitkami przypłynęliśmy do Warszawy. Cóż nas tu czekało? Zawód kupców należało sowicie okupić lub postarać się dla nich o zboże na termin — a w domu zapłacić także za zboże, które przepadło i za koszta przewozu. Gotowizna była, wiele się więc wypłaciło, lecz wszystkiego nie pokryto i dużo jeszcze brakowało.

Mój kasztelan, jako był człowiek honorowy i ambitny, nie mógł znieść, aby ktoś przez niego miałby być na krzywdę narażony. Z drugiej strony zaś obawiał się postradać majątek, gdyby go wierzyciele naraz przycisnęli. Zrobił więc z jednym ze swych dobrych sąsiadów, p. Obuchem, fikcyjną umowę sprzedaży ma-

jątku z warunkiem zaspokojenia przez niego do lat dziesięciu wszystkich pretensyj swych wierzycieli. Ponieważ sąsiad był dobrym finansistą, był kasztelan pewny, że tę sprawę w wyznaczonym czasie załatwi. Wziął jednak od niego rewers, że gdy wszystkie długi popłacone zostaną, za pokazaniem mu tegoż rewersu pierwsza umowa się znosi i sam kasztelan wchodzi w posiadanie majątku. Wierzyciele zgodzili się na wypłatę pretensji przez pana Obucha. Kasztelan więc pożegnawszy ojczyste kąty, w najlepszej myśli z żoną i dziećmi opuścił ten oto zameczek i udał się w Poznańskie do małej wioseczki, którą tam żona jego posiadała, a którą jakiś daleki jej kuzyn zawiadywał. Nieco zapasowego grosza było, żyło się więc jakoś i biedy nie było, a była zawsze nadzieja, że będzie lepiej. Wreszcie po latach dziesięciu, gdy już długi powinne były być spłacone, posełał mój pan swego syna do p. Obucha, aby się wywiedział, jak sprawa stoi. P. Obuch przyjął go nader uprzejmie, oświadczył, że długi kasztelana całkiem umorzył i że miłoby mu było, jak najrychlej kochanego sąsiada powitać. Syn do łez rozczulony dziękował za ludzkość p. Obuchowi a kasztelan dowiedziawszy się o tem, składał dzięki Opatrzności za tak wielką opiekę w nieszczęściu swojem. Sam zaś spieszył się w drogę ze mną i z furmanem do P., aby p. Obuchowi osobiście podziękować za ratunek, pomówić z nim o wynagrodzeniu za tak wielką przysługę a nareszcie przygotować wszystko do objęcia majątku napowrót. Wspomnianą przedtem umowę dotyczącą objęcia majątku napowrót włożył do kufra podróżnego wraz z innymi papierami.

W tych to stronach, w których obecnie można w 12 godzinach szesnaście mil ujechać nie zmieniając koni, prowadziły dawniej drogi piaskami i błotami, były najokropniejsze tak, że trzeba było dwie lub trzy mile jechać dzień cały a jechało się z taborem i noclegi były częste. Nareszcie po długiej jeździe byliśmy już na przedostatniej stacji o jakie sześć mil od celu naszej podróży. Gdyśmy się do niej zbliżali, podszedł ku naszej bryce z uniżonymi pokłonami jakiś niemłody już człowiek, starannie ubrany,

galonowany, ale od którego coś odpychało. Jego wyraz twarzy tak był judaszowski, jego oczy tak brzydko patrzały w różne strony, a rude szczecinowate włosy tak odstawały od skóry, że pierwsze wrażenie, jakie ten człowiek zrobił na mnie, było całkiem usprawiedliwione wynikami późniejszego doświadczenia. To też nie mogłem ukryć przykrego uczucia, które mną owładło i powiedziałem do mego pana, wskazując na owego Judasza:

— Panie, trzeba się mieć na baczności.

Ale pan mój, przejęty wdzięcznością dla Opatrzności i dla p. Obucha, wyśmiał mnie tem bardziej, gdy ów Judasz przywiózł mu serdeczny list od p. Obucha, zapraszający go do rodzinnego gniazda a zarazem gościńce, które się w drodze przydać mogą: myśliwskie i domowe delikatesy, wędliny, pieczywo, kilka buteleczek jakiegoś niezwykłego wina i t. d. Judasz bowiem ów był zaufanym lokajem p. Obucha. Na takie dowody życzliwości ze strony pana Obucha znikł pomału i u mnie wstręt do jego służącego; pokumaliśmy się więc i przypiliśmy parę razy do siebie jakiemś bardzo dobrem winem jego, którego obym był nigdy w ustach nie miał! Co prawda, to on sam nie wiele pił, ale ja znużony z drogi znajdowałem w niem pokrzepienie. Nareszcie pozasypialiśmy a przynajmniej mój pan i ja spaliśmy wybornie bez przebudzenia, bo już dobrze było z rana, gdyśmy się obudzili z ciężką nadzwyczajnie głową. Nasz Judasz zaś już dawno nie spał, przygotował śniadanie dla nas i wszystko, co potrzebne do drogi. Następnie załatwił rachunki karczemne a gdy mieliśmy zajazd opuszczać, pożegnał nas znowu najpokorniej i wyjechał naprzód, aby pana Obucha o naszym rychłym przyjeździe zawiadomić. Przypatrując się jednak z daleka, zauważałem, że jakieś grubsze rachunki z żydem załatwia; zapytałem więc żyda nawiasowo, jak długo on tu bawił? Na co żyd mi oświadczył, że ten pan już od miesiąca prawie bez przerwy tu przebywał i przyjmował często posłańców z P. i z poprzednich stacyj, któreśmy już przebyli. Coś za wielka uprzejmość p. Obucha dla mego pana! — pomyślałem, ale memu

panu nic nie wspomniałem o tem. Coś mnie jednak raziło w tem.

Nareszcie stanęliśmy u celu. Jadąc przez swój majątek nieraz mój pan pokiwał głową, bo też co prawda lasy były nader przetrzebione. Ale cóż robić? Pan Obuch ratował jego fortunę i jego honor. Spostrzeżenia więc powyższe nie zamąciły jego wdzięczności dla dobrego sąsiada.

Przyjęcie w zameczku przez p. Obucha było bardzo serdeczne. Przez cały tydzień nie było mowy o interesach, pan Obuch bowiem obwoził kasztelana po całym majątku i zaledwie był czas na to, że mu zaprezentował wszystkie pokwitowania jego wierzycieli. Kasztelan był nadzwyczaj szczęśliwy, nie miał wierzycieli i czysty majątek posiadał. Nareszcie postanowił pomówić o odebraniu majątku i wynagrodzeniu p. Obucha za jego trudy. Do odebrania majątku zaś potrzebował znanego rewersu. Gdy więc w siódmy dzień naszego pobytu w zameczku po objażdzce majątku i po sutej wieczerze znalazł się sam w swoim pokoju, kazał mi się rozebrać, potem rozpakować kufer, wyjąć wszystkie papiery i podać sobie takowe. Przejrzawszy papiery pobladł nagle a przerażenie odbiło się w jego twarzy. Umowy z panem Obuchem nie było w papierach. Łacno teraz spostrzegł, co się z nią stało. Ale jako człowiek prawy, ufny w sprawiedliwość Bożą uspokoił się i nazajutrz całkiem spokojny stanął do rozmowy z panem Obuchem. Pan Obuch nie żądał żadnego wynagrodzenia za swe trudy, natomiast postawił jako warunek oddania majątku w posiadanie kasztelana przedstawienie mu dotyczącej umowy, bez dopełnienia którego to warunku majątku nie odda. Przedstawienia kasztelana były daremne, bo p. Obuch obstawał przy swojem, tłumacząc się możliwymi procesami, w jakieby mógł się zawikłać, gdyby kto kiedy z jego rewersem zgłosił się do niego.

Pan mój zwierzył mi się ze wszystkiem. Otóż idąc ślad w ślad poszlaków doszliśmy do tego, że wymieniony judasz-kamerdyner p. Obucha w porozumieniu z tymże wykradł wspomnianą umowę memu

panu z kufra jeszcze na przedostatnim noclegu naszym a sam gdzieś czmychnął. Mówiono, że jeszcze przed naszym przyjazdem do zamku był czas krótki tutaj, potem zaś znikł — gdzie — niewiadomo. Koniec końców znikła wraz z nim także umowa druga mego pana z panem Obuchem. Cóż więc uczynić nam zostawało. Po długich naradach zgodził się wreszcie kasztelan na odzyskanie połowy swego majątku a resztę dobrowolnie odstąpił panu Obuchowi. Sprowadził żonę i dzieci, ale nie był to już pan dawny z pogodną twarzą, pełen serdeczności. Chodził ponury i zamknięty w sobie, mało kiedy się odzywał, gryzł się i jednego razu wkrótce potem z bolu serce mu pękło . . . Czy pan myślisz, że z powodu straty majątku? Nie panie, z powodu zdrady przyjaciela . . . Wolałbym, mawiał nieraz, cały majątek stracić, niż doczekać się takiego zawodu.

W niedługi czas potem kamerdyner-judasz zjawił się w okolicy i niby to kupił od pana Obucha jednę wioskę. Przestał być kamerdynerem a został obywatelem.

Dużo byłoby jeszcze opowiadać . . . Pani kasztelanowa poszła za panem niezadługo, panicz także umarł, a panna-sierota wyszła za syna pana Obucha, gdyż ojciec chciał opamiętawszy się przynajmniej w ten sposób krzywdę kasztelanowi wyrządzoną wynagrodzić. Ale młody pan Obuch miał już potomka illegitimi tori. Pani młoda dowiedziała się o tem i o wielu innych rzeczach. Pożycie nie mogło być szczęśliwe. Nie długo też biedaczka tęskniła za rodzicami i bratem i poszła tam, zkąd się więcej nie wraca. Pozostały po niej sierota chłopiec był nieszczęśliwy. Dolę jego skrócił dławiec. Po długiej męce rozumne i piękne to dziecię skonało na moich rękach. Po jego pogrzebie zdawało mi się, że oszaleję; wszak z niem ostatnia kropla krwi moich panów zastygła. Ale ugiąłem głowę przed wyrokami Bożymi, nauczyłem się cierpliwości i już nie żyć chciałem, ale patrzeć, jak Pan Bóg pomści krzywdy wyrządzone ludziom zacnym. Niedługo żył i pan Obuch młody. Przyszedł na jego miejsce syn już legitymowany, niedołęga, nieszczęśliwy. Ożenił się. Żona piękna i dobra jak anioł

spaliła się wskutek nieostrożnego obchodzenia się z naftą. Dzieci nie miał. Był ludzki ale lekkomyślny. Zaczął tracić majątek. Ustanowiony kuratorem teść nic nie pomógł. Obaj niezadługo poszli za tanie pieniądze na chleb pracować. Zięć poszedł na pisarza gminnego a teść na diurnistę. Obecnie żaden z nich nie żyje. A ich majątek nabył inny prawie zadarmo i oczyścił pieniędzmi uzyskanemi za lasy. Ztądto w całym tym majątku jest dziś zaledwie 100 morgów lasu. Ale także i nowemu posiadaczowi się nie szczęści. Sam od lat kilkunastu jest niuleczalnie chory a do tego ma dwóch idjotów synów. Czyż można nie życzyć sobie o wiele mniej nieszczęścia przy takim majątku?

A cóż się stało z naszym kamerdynerem-judaszem? Do darowanej mu przez pana Obucha dokupił drugą wioskę. Żyje dotychczas, ale jak tu powszechnie wiadomo — jeden zmysł go opuścił. Żona od lat kilku paraliżem tknięta, syn pomaga koniokradom i w karczmie przesiaduje, panny córki to samo czynią i łajdaczą się z parobkami wiejskimi. Jedna wyszła za mąż za rozbójnika, prostego chłopa z tej samej wsi . . . Ale dość już tego . . . Ot i widzi pan, — siedzę tu i żyję; na co? Czy pan myśli, że mam w tem życiu przyjemność? Tak — byłem świadkiem krzywd ludzkich a dziś patrzę na sprawiedliwość Bożą. Jest to zadanie ciężkie, ale nie bez celu, a zadanie spełnić sprawia przyjemność. Jesteś pan młody, pamiętajże więc, że krzywda ludzka nie grzeje i powiedz to każdemu . . . Posłuchaj starca, któremu już niedaleko przed sąd Najwyższego . . . Male parta do czarta. . . —

Wtem huragan uderzył o naszą siedzibę tak, że aż szyby zabrzęczały w oknach. Uderzył raz, drugi i trzeci. Staruszek tymczasem siedział zamyślony szepcąc coś i zdawało mi się, że słyszę, jak mówił: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom!!“ . . .

Wtem za trzeciem uderzeniem orkanu powstał nadzwyczajny łomot a to część naszej baszty wichry w staw rzuciły. Staruszek zaś drzemał ciągle. Nie chciałem mu przeszkadzać, położyłem się także na

drzemkę na łóżko, ale nieruchome jego siedzenie zaniepokoiło mnie wreszcie. Idę do niego, przemawiam, poruszam, cucę, niestety poszedł i on tam, zkąd się nie wraca więcej a z nim stoczyła się znów jedna cegiełka gmachu społecznego w ocean zapomnienia.

Trzeba więc było spełnić obowiązek chrześciański. Zająłem się przeniesieniem i ułożeniem zwłok nieboszczyka i jego pogrzebem, który nawet świetnie wypadł, był bowiem na nim cały lud z okolicy a nawet i judasz i chory dziedzic. Nareszcie pożegnałem te fatalne miejsca, a choć dużo wody od tego czasu upłynęło, jakże często brzęczą mi w uszach do dnia dzisiejszego jak zjadliwe komary słowa: male parta do czarta.

Franciszek Szymusik.

WIARA.

O! nie odbieraj mi wiary!
Wszak błogo z wiarą, z nadzieją,
Gdy się zbawienia sztandary
Ku ziemi chylą i chwieją!
Wszak błogo z ojców mych wiarą,
Z wiarą, co z ducha powstaje,
A chociaż jak świat jest starą,
Jednak wciąż nową się zdaje.
Zimny egoizm wszechświatem
Zawładnął, zawrócił głowy;
Wiara wszechmiłości kwiatem:
Ona świat zbuduje nowy.
Z popiołów, z gruzów zniszczenia
Feniks życia strzeli w górę,
Zmieni postać przyrodzenia
I przeinaczy naturę.

Nam przeszłość i przyszłość spoić
W jednym całunie miłości,
I wiarą bole ukoić,
I rozprószyć wątpliwości.
A wtedy wzrośniem w narody
Wielkie, potężne i sławne,
I pójdziem z śmiercią w zawody
Tak jak w one czasy dawne;
Wśród ogni, wśród wód i mieczy
Imieniem Wszechpotężnego,
I sam Bóg nas zabezpieczy
W imię wiary ode złego!

Sambor, 16. Kwietnia 1878.

G. Kohn.

Władysław Chołoniewski,

ustęp z krwawych dziejów.

MĘCZENNIKOWI

ZA SPRAWĘ WOLNOŚCI

ten ubogi krzyżyk na mogile postawił

A. S. Ol.

„Ten się zwać tylko synem kraju godny,
„Kto wszystko za kraj poświęcić gotowy!“

(Edward Żeligowski.)

Do wielkiego płomienia, jakim zacna myśl rodaków wyświeciła krwawe dzieje lat 1863 i 1864, odważam się dorzucić skromną iskierkę, a może niejeden z współczesnych przypomni sobie postać, której

to wspomnienie poświęcam. Wypadki powstania styczniowego tyle ofiar zabrały narodowi i rodzinom polskim, że każda jednostka działająca w wierze owych walk o niepodległość zasługuje na zapamiętanie. Wszak 150.000 uwiózł nam Sybir, zabrały wygnania i więzienia, 1500 szubienice i cytadele, a 30.000 piersi polskich padło pod kulami moskiewskiej hordy.

Jednemu z tych męczenników za ideę, tych naszych świętych narodowych — niechaj mi wolno będzie na tem miejscu poświęcić krótkie wspomnienie za życie i śmierć bohaterską za naszą wspólną sprawę!

Na Podolu galicyjskiem w dziedzicznej włości Czercze ujrzał w r. 1825 światło dzienne Władysław Chołoniewski z ojca Piotra Myszki-Chołoniewskiego, podstolica ziemi halickiej i Zuzanny Jaworskiej, z rodziny niegdyś ruskiej i na Wołyniu osiadłej. Wychowany w domu, w którym przechowały się dawne szlacheckie, ale zarazem i szlachetne tradycje, resztki pamiątek niepodległej i wielkiej naszej Ojczyzny — ucząc się przykładem rodzonego stryja, który ławy uniwersyteckie porzucił dla walki z najezdcą — wszczepił w siebie wcześnie już te przymioty, które mu były później obroną przeciw barbarzyńskim znęcaniom się inkwizytorów w fortecach moskiewskich . . . Młodzieńcem był, kiedy brat rodzony Ferdynand wiedziony szlachetnym zapałem, zamienił pióro i foljały uniwersyteckie na oręż, walcząc za wolność Węgier, za co jako jeniec po upadku sprawy pędzony wśród ostrej zimy piechotą z Pesztu do Wiednia i napowrót do Lwowa, jako poddany ostremu nadzorowi rządu przez jedenaście miesięcy pracował taczkami około fortyfikacyj . . . Tymi przykładami popchnięty został i on do czynu. W powstaniu 1863 wziął czynny udział w organizacji tudzież na polu walki, jako jeden z najgorętszych i najdzielniejszych . . . Schwytany przez Moskali — pod silną eskortą odwieziony został do cytadeli kijowskiej, gdzie jak słusznie mówi Bolesławita „dwa lata męczeństwa przesiedział.“ Któż nie zna z doświadczenia, z opisów, z opowiadań,—

tych jaskiń najstraszniejszych zbrodni, siedliska sprawiedliwości carskiej — cytadeli moskiewskich! . . . Zaraz po przybyciu zaczęły się zwykłe u Moskali praktyki. Żądano od nieszczęśliwego jeńca zeznań, gdyż posiadał ważne tajemnice do powstania odnośne, ale niecni oprawcy omylili się sądząc, że nakłaniania, podstęp, a choćby groźba, pałki i tortury zdołają wymódz na sercu polskiem zdradę braci . . . Owe „dwa lata męczeństwa“ w tak okropnych zarysowują się nam zarysach, tak poczwarne, ohydne odkrywają postępowanie moskiewskiej komisji śledczej, że wzbudziłyby litość i przejęły grozą każde — każde, najdziksze nawet serce — z wyjątkiem chyba serca Moskala, widzącego w swej mocy ofiarę . . . Dość powiedzieć, że nieszczęśliwy więzień oprócz mnóstwa codziennych udręczeń skazywany był na kilka tysięcy pałek, ów wyrok znany jedynie i wyłącznie w słowniku moskiewskiej sprawiedliwości . . . Dzielono je na kilka razy, gdyż wątłe ciało nie wytrzymałoby tak strasznych męczarń, i wymierzano tyle pałek, póki krwią zlany delinkwent podobny do istoty poszarpanej przez dziką bestję nie padał bez zmysłów, poczem odniesionego do celi więziennej leczono na to, aby po wyzdrowieniu odliczyć resztę przeznaczonej kary . . . Dość powiedzieć, że zwierzęca wściekłość siepaczy posunęła się aż do tego stopnia, że skatowanemu Władysławowi Chołoniewskiemu wyłamano ośm zdrowych zębów u szczęki, że znęcano się nad nim tak, że nieszczęśliwy wskutek wyczerpania sił postradał zmysły! . . . Mimo to wszystko prawdziwy ten bohater, jak drugi Levitoux, nie zdradził słówkiem nawet tego, o co tak chodziło oprawcom, zniósł raczej tortury, o których bez drżenia pomyśleć nie podobna, aniżeliby miał kosztem własnego ocalenia zgubić tysiące może braci! W obłąkaniu nawet z równą pogardą i zadziwiającą stałością zniósł krwawe indagacje, aż po dwuletnim w tym stanie pobycie w Kijowie, kiedy wyczerpany został bezskutecznie cały zapas moskiewskich tortur, — odwieziony do twierdzy w Kamieńcu Podolskim, zkąd w Lipcu 1866 r. staraniem familii wykradziony został oddany do domu obłąkanych we Lwowie. Ale umysł

skołatany i wyniszczony tylu strasznemi przejściami, nie zdołał już nigdy mimo najtroskliwszej opieki i najumiejętniejszych starań odzyskać dawnej równowagi. Często w szpitalnej celi zrywał się z jękiem i przerażeniem, widząc przed sobą urojone postacie zbójców — Moskali przychodzących z narzędziami męczarń, aby go zmuszać do zeznań. Dnia 26. Stycznia 1867 o godzinie pierwszej w nocy w zakładzie obłąkanych wyzionął ducha wielki męczennik i bohater, jeden z tysięcy, uosobienie katowanej przez wiek cały Polski, zadatek krwawej ofiary, którą kiedyś naród złoży na ołtarzu Nemezy! W dwa dni później grono krewnych i rozbitków z niedawnej walki odprowadziło na cmentarz łyczakowski ciało Władysława Chołoniewskiego, a Kraszewski w znakomitem swojem dziele „Rachunki“ na rok 1867, obliczając straty, jakie społeczeństwo poniosło, oddał także cześć pamięci „męczennika za wiarę w ojczyznę nieśmiertelną.“ —

. . . . . I pamięć cierpień tego tytanicznego ducha z biegiem czasu zaginęła, a na dłoniach tej Świętej, za którą ten i tylu — tylu innych przelało krew szlachetną, dzwonią znowu kajdany i nad głową zbolałą zaświstał na nowo złowrogi odgłos knuta!... Przeklinamy własne istnienie, tracimy wiarę w sprawiedliwość Boga, który może patrzeć na znęcanie się nad bezbronnymi, niewiastami i dziećmi, na tysiące ognisk domowych obróconych w gruzy, tysiące męczenników gnanych w straszny Sybir, ginących na śniegach stepów azjatyckich pod nahajką rozpasanej dziczy, ze słodkiem słowem „ojczyzna“ i modlitwą za wrogów — na ustach.... Wielki Boże! czyliż te cierpienia nasze stuletnie, czyliż ta cierniem otoczona skroń, ręce skute, żółcią zwątpienia napojone usta i serca — nie mogą się równać Twojej męce, jaką poniosłeś na krzyżu, by zbawić ludzkość... O, wyjrzyj z za obłoków, a ześlesz gromy na głowy siepaczy, zetrzesz łzę z oczu niewinnych ofiar, obrócisz w proch tych, którzy natrząsają się z imienia Twego i jak prawdziwy ojciec wierne dzieci przygarniesz do łona. . . . Wyjrzyj z za chmur —, a zadrżysz Boże przedwieczny, bo oko Twoje obaczy

rzeczy bezprzykładne — przychyl ucha, a usłyszysz melodję, która poruszyć i wstrząsnąć zdolna niebo z zastępami aniołów!... Nam szubienic skrzyp melodją przygrywającą naszym modłom, zamiast ognisk domowych, zamiast słodkiego głosu kochanki, żony, siostry — podziemne pieczary i brzęk ponury łańcuchów; w każdem sercu męczennika kładącego głowę pod topór, ujrzysz zapisaną kartę cierpień milijonów.... Popatrz na wątłe dzieci idące z uśmiechem na bagnety dla słodkiej śmierci dla ojczyzny — patrz na dziewicę zrzekającą się dobrowolnie szczęścia rodzinnego, wyprawiającą z rozdartem sercem kochanka w bój, dziewicę polską, w obec której niczem Spartanek męztwo — patrz na mężów ponoszących tortury, na jakie piekło wysilić się nie zdoła, na tych, którzy giną pod pałkami, a z ust ich nie wyleci jęk, nie splami słowo skargi — popatrz, a jeśli Cię to wszystko nie poruszy i nie wstrząśnie, jeżeli nie zyszczem Twojego przebaczenia za winy dawno odpokutowane, jeżeli z milczącego wyrazu Twojego Majestatu wyczytam — „że dla nas już wolności zatrzaśnięte wrota, to Ci śmiało powiemy: i Tyś sam despota!“ —

..... Polsko! kraju ty biedny, zapomniany od ludzi i Boga, zapomniany częstokroć od własnych dzieci swoich — szarpany, oplwany, otoczony wieńcem z cierni — wytrwaj, o! wytrwaj, a dziejowa Nemezis zemści się strasznie nad ciemięzcami Twoimi, a skroń twą oplecie w wieniec lauru, zwycięztwa i wolności! O kraju mój biedny, dla Ciebie życia, mienia, krwi i wszystkich myśli i każdego tchnienia za mało!..... Zaprawdę, czy dzieje innych narodów, szczęśliwych i wolnych, poszczycić się mogą choć jedną postacią taką — jakich w dziejach naszej martyrologji, pełnych „chwały w nieszczęściach samych pomnażanej“, jak mówi wieszcz — znajdziesz tysiące, bojowników, zwyciężających moralnie nawet przegraną, walczących potęgą ducha zbrojnego w bezgraniczną miłość Ojczyzny i idei, dostających pod pałkami siepaczy obłąkania zmysłów, a jednak pamiętnych na to, by nie zdradzić współbraci... O Polsko! dopóki takich synów rodzić będziesz, żaden

wróg ani prześladowca ciebie nie złamie, żadna siła nie zgasi w Tobie tego świętego uczucia, któro najstraszniejsze męki czyni rajską rozkoszą, tego pragnienia, które żyć będzie i trwać tak długo, póki nie błyśnie zorza swobody, nie opadną kajdany z pokrwawionych rąk Twoich i z ziemi tej, obmytej krwią i łzami nie wzniesie się w niebo hymn miljonów, potężny a święty jak Bóg sam, hosanna ciemiężonym, hosanna pokoju, szczęścia i wolności na wieki!

Narcyza Żmichowska.

Biograficzne wspomnienie.

Miło wabi na wiosnę jasny białością kwiat, co pod nazwą narcyza pięknie zakwita w ogrodach naszych. Podoba się on wszystkim, widocznie ulubionym też być musiał w domu pisarza żup solnych Jana Żmichowskiego, mieszkającego w owym czasie w Nowem Mieście. Synowi i dwom córkom nadał już imiona kwiatów, teraz gdy przyszło na świat dnia 4-go Marca 1819-go roku dziecię, za poradą matki Wiktorji, — nadano niemowlęciu na chrzcie imię „białego wiosny kwiatu.“

Narcyza urodziła się w Warszawie, gdzie od niedługiego czasu zamieszkała jej matka przy Sto-Jurskiej ulicy. W tym samym domu osierociało niemowlę, bo w trzy dni potem matka rozstała się ze światem. Maleństwo sieroce nie znało jeszcze swej doli, może przeczuwało ją tylko, gdy brakło macierzyńskiego uśmiechu i tej najsłodszej piosnki matczynnej nad dziecięcą kolebką. Matkę zastępowała dziecku stryjenka, Tekla Żmichowska, mieszkająca na Pod-

lasiu w Kuflewie, dokąd ją też zabrała. Stryjenka wychowywała dziecinę z czułością macierzyńską prawie a gdy małej Narcyzie latek przybywało, zaczęła rozwijać jej młodziutkie serduszko i umysł. Po pierwszych tych w domu naukach, gdy miała lat 8. wysłała ją do Warszawy i zapisała do najlepszego w owym czasie pensjonatu Zuzanny Wieczyńskiej. Mile płynęły tam lata nauki tem bardziej, że sierota garnęła się do pracy całą duszą a zdolności okazywała wielkie. Przełożona pensjonatu, wielka wielbicielka talentów wszelkich, szczególną okazywała sympatję młodziutkiej Narcyzie. Pilność jej zyskiwała pochwały i celujące świadectwa. Już wtedy mając główkę przepełnioną bajkami, jakie opowiadane w wieczory zimowe przy kądzieli u stryjenki, uniosły z sobą słodkie wspomnienia z owego pobytu u stryjenki Tekli — zaczęła pisać pierwsze swe próby rymotwórcze. A nie samemi bajkami karmiono ją w domu. Stryj i ojciec, to kościuszkowskie wiarusy, opowiadali więc o tych czasach a Narcyza duszą całą wsłuchiwała się w słowa weteranów i uczyła się kochać lud wiejski tak, jak go kochał naczelnik narodu polskiego.

Teraz największy wpływ wywierała na nią pani Wilczyńska. Była to osobą dobroczynna, serdeczna i wyborna nauczycielka. Słowem uczyła, przykładem popierała naukę. Zaopiekowała się szczerze sierotką i przygarnęła do siebie na czas studjów. Gdy takowe skończyła, miała lat 14 i wtedy to z pomocą p. Wilczyńskiej, idąc za głosem powołania zapisała się do instytutu nauczycielek, chcąc się do tego zawodu przysposobić. Trudny obierała zawód, ale tak bardzo odpowiedny jej szlachetnej naturze. Sama będąc sierotą, często marzyła o tem, jak to ona dla biednych i opuszczonych kiedyś drugą matką będzie, jak ich uszlachetni, uzacni i najpiękniejsze zadania życia im wskaże, jak ich własną dłonią ku światłu powiedzie i przekona, że

„Są w tem życiu takie chwile,
Dla którychląta cierpieć warto!“

Temi chwilami, to zadowolenie ze spełnienia powinności i wzniosłych czynów, — to zbliżenie się do Stwórcy. Po dwuletnim kursie w instytucie poje-

chała młoda Żmichowska z Warszawy do Mężenina do krewnych. Mając tu więcej chwil wolnych czytała wiele, znając się głównie z ojczystą literaturą. A gdy przychodziły chwile podniesienia duchowego, wtedy przelewała na papier natchnienie, nie dając wszakże żadnych wierszy do druku. Uważała je za zbyt nieudolne. Aż raz ktoś ze znajomych podchwycił ładny jej wierszyk i umieścił w noworoczniku, noszącym tytuł: „Pierwiosnek.“ Ale pomimo tego, iż wiersz był umieszczony bez tytułu i podpisu, to przecież Narcyza wielce była z tego niezadowolona.

W roku 1837 ordynatowie Zamojscy zaprosili Narcyzę na nauczycielkę domową do swej córki Marji. Przyjęła zobowiązanie i pojechała z nimi do Paryża. Od owego czasu pisywać zaczęła więcej i za powrotem do kraju ogłosiła nawet kilka wierszy drukiem, i tak pojawiły się najpierw „Szczęście poety“, „Gibraltar“ i „Zwaliska Luxoru“ w „Bibliotece Warszawskiej“ a później wiersz „Burza“. W Paryżu spotkała Narcyzę największa pociecha, bo oto odnalazła swego brata Erazma, za którym najbardziej tęskniła, kochała go też najwięcej jako tego, który na odgłos trąbki bojowej pospieszył z gotowością ofiary życia w r. 1830, a potem tułaczy los podzielił z innymi współtowarzyszami broni. Erazm był również szczęśliwy ze spotkania ukochanej siostry. Długie chwile spędzali razem, opowiadając sobie wzajemnie o minionych dniach, wywierając wzajemnie wpływ na siebie. Później opuściła Narcyza dom ordynata i wspólnie z bratem zamieszkała w Rheims, zaznajamiając się tamże z najznaczniejszymi autorami Polski. We Francji przebywali wówczas Mickiewicz, Zaleski, Goszczyński, Słowacki, Krasiński i wielu innych jeszcze znakomitych mężów, którzy olbrzymi wpływ na naród swój wywierali. Ogólnym prądem natchnionej pracy porwana, łączyła się Narcyza z wybitniejszymi wychodźcami i była bardzo czynną, szczególnie zaś wielkie oddała usługi „Towarzystwu demokratycznemu“, zawiązanemu przez emigrantów we Francji. Towarzystwo to, zajmując się ważnemi sprawami, jak uwłaszczeniem włościan, szerzeniem równości obywatelskiej i t. d., potrzebowało ciągłej spójni z ro-

dakami w kraju pozostałymi. Ułatwiali to ci, którzy powracali do Ojczyzny z Francji.

Gdy w r. 1839 i Narcyza opuściła Francję, miała zlecenie porozumienia się z patrjotami polskimi z poznańskiego (ponieważ tamże wracała), mianowicie z Karolem Libeltem, znakomitym literatem i filozofem, oraz z historykiem Moraczewskim, przyczem zawiązała najserdeczniejszy stosunek przyjaźni z jego siostrą Bibianną. Wtedy także poznała się ze znaną Emilją Szczaniecką. Narcyza wyjechała potem do Warszawy i tu stale zamieszkała, poświęcając się z nadzwyczajnem zamiłowaniem nauczycielstwu. Był to, rzec można, ideał nauczycielki. Bogaty w wiedzę umysł, szlachetne i pełne miłości dla młodego pokolenia serce, czyniły ją prawdziwą gwiazdą stanu nauczycielskiego. Tą wyższością umysłu i charakteru wywierała ogromny wpływ na swe otoczenie i na uczennice. Wszystkich pobudzała do czynu, porywała zapałem. Najdobrańsze grono niewiast skupiło się w około Narcyzy — a ona utworzyła z nich jeden łańcuch siostrzanny, który nazwała „Entuzjastkami", czyli kobietami zapału.

Jak przedtem między młodzieżą męzką błyszczeli cnotą i pięknemi dążeniami „Promieniści," tak teraz między kobietami zajaśniał ten piękny duch kojarzenia się do wspólnej wielkiej pracy dla szczęścia wspólnej matki, Ojczyzny.

Jakież wspaniałe hasło miały Entuzjastki:

„Być męczennikiem za świętą sprawę,
Aniołem stróżem małej kołyski,
Rycerską dłonią rzucać pociski,
Albo kapłańską spełniać ofiarę!" —

Jak nieogarnionym był wpływ Narcyzy, świadczy o tem następujący wypadek:

Wróciwszy z Francji dowiedziała się, że młodszy jej brat Jan okazał się lekkomyślnym, zaprzestał dalszego kształcenia się a szukał tylko lekkich rozrywek. Zabolało to bardzo zacną siostrę. Postanowiła go koniecznie nawrócić i odwieźć ze złej drogi. I póty pracowała, póty zadawała sobie nie mało trudu, dopóki Jan nie poprzysiągł, wziąć się na nowo do pracy — co też wykonał sumiennie.

Obok zajęć nauczycielki, oddawała się Narcyza także zawodowi piśmienniczemu. Wtedy to pojawiały się jedne po drugich poezje jej i powieści w czasopismach ówczesnych. We wszystkich przebijał się szlachetny duch, sprawiedliwe dążenia i zdolności autorki. To też ceniono wysoko te prace i zasłużone oddawano pochwały autorce. Stanisław Jachowicz przeczytawszy jej „Wyjątki z podróży kobiety,“ był szczerze rozrzewniony i przejęty głębokością opisów prozaicznych, ale mimoto tak wzniosłych i pełnych poezji najżywszej. Wtedy to wypowiedział o Narcyzie te pamiętne słowa: „Tak pisać powinien, kto chce zostać wielkim u potomnych!“ Gdy zaś Żmichowska pisząca pod pseudonimem Gabryeli wydała swój zbiór poezyj i prozy, zatytułowany: „Wolne chwile Gabryeli“ — przyklasnął jej cały świat uczony i powiedziano wtedy: „Zabłysła nam gwiazda na niebie rodzinnej poezji.“

Jako autorka i kobieta była posłanniczką najwznioślejszych myśli poświęcenia i miłości bliźniego. Wszędzie a wszędzie przebijają się te zasady i dążenia, choćbyśmy jeden tylko ułamek z całego wieńca takich zapatrywań przytoczyli. Weźmy np. pierwszy lepszy ustęp z poematu „Maina i Kościej“:

„Kto ma siłę i mądrość, niech idzie wśród ludzi,
Leczyć rany głębokie, koić długie troski!“

albo ustęp inny, w którym autorka siostry swoje po duchu budzi do obrony, do czynu:

„Wstań siostro! wstań! wrogowe strzały
Rodzinną naszą ziemię zorały,
I rzeki nasze płyną szeroko,
Bratnią wezbrane posoką.“

Wliczając do rzędu tych utworów jeszcze dwa: „Dańko z Jawuni,“ powieść ludową i „Prządki“, widzimy w porównaniu z następującemi pracami, że są znacznie słabsze i dopiero wiersz: „Czemu mi smutno?“ stanowi przełom w dziejach natchnienia poetki. Teraz już struny jej liry dźwięczą z całą potęgą ducha, palą się rzucając szeroką łunę złocistych myśli. A porusza poetka wszystkie struny uczucia. Żal, smutek, tęsknota rozbrzmiewają w tym pięknym wierszu — groza i zniszczenie z wiersza: „Fantazja.“

W wierszu tym przebija się wielka miłość dla ludu, oburzenie na krzywdy, jakie wyrządzają mu bezduszni i wielkie poczucie sprawiedliwości. Doskonale zna życie autorka, umie myślą sięgnąć aż do dna jego, duchem zagłębiać się aż do serc ludzi, podpatrywać niewybadane tajemnice myśli i pragnień świata. Wszystko to mieszczą jej wiersze: „Zaklęcie,“ „Sierota,“ „Dziwne dziewczę“ i prześliczny: „Do moich dziewczynek,“ w którym mówi o różnych stopniach szczęścia a najwyżej stawi wielkie szczęście ludu całego:

„Prawo Chrystusa w rzeczywistości,
Ze słowem Bożem chleb dla każdego,
Z życiem na ziemi, miejsce wśród tłumu;
Ze światłem słońca, światło rozumu;
Z pamięcią przodków win odpuszczenie
I z pracą wszystkich — wszystkich zbawienie!

Dziewczynki moje! niech każda wierzy,
Że jej się takie szczęście należy;
Niech za niem goni, niech za niem szuka;
Piękność cierpienie, radość nauka,
To w pomoc tylko danem wam było,
Aby się takie szczęście ziściło.“ —

Najwyżej zaś z pomiędzy dzieł Żmichowskiej cenią poetyczną powieść prozą p. t. „Poganka.“ I dla nauki zrobiła niemało. Zamierzyła wydać cały szereg książek naukowych, ale rozmaite wypadki rozerwały tę pracę i przecięły na zawsze. Pierwszy tom, który zawiera pierwszą zjawiającą się u nas naukę o rzeczach, zatytułowała: „Wykład nauk.“ Do tego wieńca naukowych prac należy także „Geografja“ — nader ulubiona autorce gałąź nauki. Jak pierwsza niosła dzieciom tak wielce użyteczną naukę poglądową, tak równie pierwsza systematyczny i dobry wydała podręcznik do geografji.

Dotąd przeważnie mówimy o Żmichowskiej jako autorce i nauczycielce. Ale jakże pięknem jest życie tej Polki, co wcielała w życie swoje głoszone innym zasady, aby tem potężniejszemi je uczynić.

Związana przyjaźnią z najczynniejszemi patrjotkami, całe swe usiłowania dla wspólnego oddawała

celu. Aż rok 1846, rok rzezi tarnowskiej w Galicji krwawem echem obił się i o serce Narcyzy. Długi czas po tym wypadku uspokoić się nie mogła i przy końcu życia prawie, w liście pisze jeszcze o tym wypadku: „Smutno było na sercu za każdem wspomnieniem, od rzezi tarnowskiej począwszy.“

W niespełna dwa lata w czasie ogólnych rozruchów politycznych, kilka z bliskich Narcyzie kobiet zostało zaaresztowanych a między niemi Kazimiera Ziemięcka i Skimborowiczowa, „Entuzjastki.“ W Poznańskiem tymczasem gotowano się do zbrojnego ruchu, na czele którego stanął jenerał Mierosławski. Do niego to w celu narady wysłano Narcyzę. — W jakiś czas po powrocie jej do Warszawy a późniejszym pobycie u siostry Duninowej w Lublinie, wskutek zdrady jednego z członków tajemnego związku, wiele bardzo Polaków i Polek zostało wyrwanych z pośród kół rodzinnych i uwięzionych. Cytadela warszawska była już pełna — pochwycano Narcyzę i umieszczono w cytadeli lubelskiej. Tu okazała niezrównany hart duszy. Ani namowami, ani podłem łaszeniem się Moskali w celu wyłudzenia jakiejkolwiek tajemnicy narodowej, — ani prześladowaniem nie dała się skłonić do najdrobniejszych wyznań — milczała jak grób. I znowu przekonali się Moskale, że w Polsce są nietylko żelaźni mężowie, ale i żelazne kobiety. Uwięziono ją w r. 1850 w celi poklasztornej u Brygidek na dwa lata.

Ciężkie zaprawdę i długie to były te lata! Kto choćby z opisów zna sposób więzienia i znęcania się moskiewskiego, ten wzdrygnąć się musi na samo wspomnienie tego wypadku. Odgłosem cierpień jest wiersz Narcyzy w więzieniu napisany p. t. „Męczennica“ i „Głos Pański w więzieniu“ — o którym wyraził się jeden ze znakomitych mężów naszego wieku, że „gdyby nic więcej nie napisała prócz tej modlitwy, już byłaby wielką poetką.“ Trudno nie przytoczyć choćby części drobnej z długiej, wspaniałej poezji. Oto ustęp modlitwy więziennej:

„Tęskniąca, niespokojna, w nadziei zachwiana,
Z celi mojej więziennej wołam ja do Pana:

Panie! jeżeli zechcesz, daj ciężkie więzienie,
Daj mi od ukochanych moich zapomnienie,
Daj potwarz na me imię, w me słowa niewiarę,
Daj, jak młodość bez szczęścia, bez czci lata stare,
Daj Panie! spełnić każdej boleści truciznę,
Tylko wróć mi Ojczyznę, Panie, wróć Ojczyznę!"

Dalej spowiada się poetka, jakiej pagnie Ojczyzny i czego pragnie dla narodu ukochanego.

„I chcę, niech każde serce w każdem polskiem [łonie
Jak przed wieki, odwagą i szczęściem rozpłonie;
Niechaj prysną kajdany z Sybiru ostoi,
Niechaj tu wrócą zaraz wszyscy bracia moi!
O siły! o swobody! o wolności wszędzie!
A świętość Twoja będzie i cześć Tobie będzie!"

Duch Pański na wołanie i skargi odpowiada w końcu obietnicą, że „Polski nie odda" — „bo musi jej niwa do szpichlerza ludzkości wydać swoje żniwa."

Tego tylko pragnie dusza uwięzionej — nie dla siebie ale dla ludu, dla narodu całego. —

Uwolniono ją wreszcie i wtedy udała się znowu do siostry, gdzie szczerze zajęła się wychowaniem siostrzenic i dla nich to napisała ów wspomniany dawniej wiersz: „Do moich dziewczynek." —

Złamana cierpieniami, nie mogła już teraz pisać wiele. Opadły skrzydła, bo potrzaskała je burza polityczna. Po trzyletnim pobycie u siostry powróciła Narcyza do osieroconej stolicy. Co szlachetniejsze, co lepsze, to zostało w ręce ujarzmiciela, kwiat młodzieży marniał w drogach na Sybir i w katorgach, pod brzemieniem cierpień, znęcania się i przechodzącej siły pracy.

Okropnie bolała nad tem poetka. Wolałaby była stokroć więcej przejść smutków, zamknąć wszystkie bole w sercu własnem, byle ocalić braci rodaków.

Pragnąc ciągle żyć na pożytek drugich, całą duszą oddała się zajęciom nad wychowaniem młodego pokolenia. Niepomyślne były warunki wychowania w onym czasie — pod obcym wpływem skarlałaby młódź, gdyby nie nieustraszeni stróże skarbnicy narodowej, co nie pozwolili spaczać się i wykrzywiać charakterom.

W rzędzie tych najdzielniejszą była Narcyza.

Jak dawniej tak i teraz skupiała przy sobie tych, którzy pragnęli światła i prawdy, tych co nie wyrzekli się miłości dla ukrzyżowanej Matki.

Nie wiele miała funduszów — ale na dobre cele zawsze jej starczyło. Mieszkała przy ulicy Miodowej na trzeciem piętrze, ale szczupłe jej pomieszkanie otwarte było zawsze dla prawdziwych Polaków. Tłumnie też uczęszczano do niej, bo każdy ją poważał i chciwy był jej mądrych zdań i rad.

Wśród tego ruchu umysłowego i pracy poczciwej przeżyła Żmichowska drugi bolesny cios: upadek styczniowego powstania 1863 r.

Niebawem i osobista dotyka ją strata: brat jej umiera w Paryżu. Zmieniona do niepoznania, jak cień żałoby wyglądająca, jawi się przed emigracją we Francji i idzie za trumną brata Erazma.

Mimo takiego pognębienia pragnęła do ostatka służyć dobru ogólnemu jak mogła. Zajęła się powróciwszy do Warszawy wydawnictwem pism Klementyny z Tańskich Hofmanowej, które zaopatrzyła uwagami, objaśnieniami i uzupełniła dzienniczkiem samejże autorki.

Pisała coraz mniej — zdrowie już jej nie służyło. W owym czasie powstał wiersz do Henryka jej siostrzeńca, „Książka pamiątek“, „List nie wiem czyj i nie wiem do kogo“, „Dwór w Świerszczowej“, „Biała Róża“, „Rozmowa wieczorna“, „Kasia i Marynka“ (niedokończone), „Życiorys Edmunda Strzeleckiego“, który był sławnym podróżnikiem po Australii, gdzie nawet najwyższy szczyt górski „Górą Kościuszki“ nazwał a krewnym Żmichowskiej. Ostatnią autorki naszej pracą był pamiętnik zatytułowany: „Czy to powieść!“ Kiedy już nie mogła pióra utrzymać w ręce, wtedy dyktowała przyjaciołom i ciągle „troszczyła się o los tej ostatniej po sobie pamiątki!“

Często przeziera z jej pism smutek głęboki, żal nieukojony, ale jedna podnosi ją wiara i znowu do pracy zachęca, zapewniając, że „święte zwycięży!“

Jaką była przez całe życie świadczą jej czyny i pisma, o których powiedziano, iż „unoszą i zarazem zmuszają do rozmysłu.“

Gdy coraz bardziej siły uciekały, wyjechała Narcyza do Czech, gdzie się w Karolowych warach (Karlsbad) leczyła.

Wróciła do Warszawy, ale zdrowie nie powróciło. Nie przestała dyktować pamiętnika, nawet własnorącznie go poprawiała, chociaż nie podnosiła się z łóżka. Było to trzy dni przed śmiercią w Grudniu. Nadeszła wigilja Bożego Narodzenia 1876. Krewni i przyjaciele zgromadzili się przy łóżku Narcyzy, podali jej opłatek. Wzięła go w drżące palce, przełamała z wszystkimi po kolei i złożyła życzenie wszystkim młodym: „Niech was Bóg dalej niż mnie zaprowadzi."

Otaczający łez powstrzymać nie mogli, patrząc na bladą i wychudłą twarz poetki. Zwróciła się do nich i z pogodnym uśmiechem rzekła: „Nie płaczcie! Po cóż żałować? Pamiętać dobrze, ale nie żałować." —

Te słowa były tylko odźwierciedleniem tego, co w ostatnich dniach napisała: „Umarłym należy się pamięć, zachowanie stosunku przez utrwalanie w życiu ich zasad, gdy były poczciwe, przez dosnucie ich zamiarów, gdy były szlachetne." —

Cicho, spokojnie dochodziła łódź jej życia do brzegu, aby tam duszą usiąść mogła ochoczo, zostawiwszy skorupę ciała.

Ostatnią myśl swoją posłała tej, którą ponad wszystko ukochała — Polsce. Ostatnia modlitwa Narcyzy za tę Matkę ku majestatowi Boga się wzniosła. Czuła już tylko i myślała, bo ostatniego dnia straciła mowę. Było to w sam dzień Bożego Narodzenia. Noc spuściła się mroźna, gwiazdzista, usnęli wszyscy — tylko kochające serca czuwały przy nauczycielce, poetce i Polce. Żal niemy ciszą spowił wszystkie usta... nie było słychać nic, chyba że szelest spadającej ze stropu gwiazdy — i wtedy to w miejsce strąconej wzbiła się jasna dusza Narcyzy ku niebu. . . . .

. . . .

Żal ogarnął wszystkich, którzy znali Narcyzę bądź osobiście, bądź z pism jej, na wieść o jej zgo-

nie. Łamy dzienników zapełniły się wspomnieniami, oddającemi sprawiedliwą zasłużoną chwałę zmarłej.

Jedno z takich wspomnień przytaczamy:

„Żmichowska zmarła w dniu 25. Grudnia 1876 r. o godzinie 2giej po północy, otoczona licznem gronem krewnych i szczerych przyjaciół, otrzymawszy przed zgonem żywe z wielu stron dowody czci i wdzięczności, zarówno od posiwiałych mężów nauki jak od młodzieży, której dobro było jedynym celem jej szlachetnego i pełnego poświęceń życia.“ —

. . . .

Cała Warszawa wyruszyła dnia 27. Grudnia na pogrzeb poetki dla oddania jej ostatnich posług. Akademicy nieśli trumnę na cmentarz Powązkowski, a liczne tłumy rodaków z żalem odprowadzały zwłoki ukochanej siostry myśli, ducha i czynu — pomiędzy groby — do rozdzielającej ich z nią mogiły.

Chór modlitw za zmarłą popłynął do Pana nad Pany i ogół społeczeństwa polskiego niechaj westchnie za tą, co niemało wpłynęła na kierunek wychowania, najpiękniejsze przechowała nam skarby ducha i myśli narodowych. Niech się w duchu łączy z nią, bo tego pragnie nieśmiertelna nasza autorka w testamentalnej swojej „Modlitwie do św. Cecylii,“ którą dzięki niedawno zmarłej autorce i patrjotce ś. p. Felicji z Wasilewskich Boberskiej, możemy na zakończenie przytoczyć:

„Za ludem, który nigdy hufcami zbrojnymi
Obcej dla marnych łupów nie najeżdżał ziemi,
Który, choć silny, słabych nigdy nie ciemiężył,
Który, jak braci kochał tych, których zwyciężył,
Który miodem swych lasów, chlebem swojej roli
Sam żył i dla przechodnia miał zawsze do woli.
Za ludem cichej cnoty i poczciwej sprawy,
Spokojnego sumienia i chwały bezkrwawej,
Módl się twą pieśnią w niebie, o Cecyljo święta,
Rolników swoich niechaj Bóg pamięta.

Za ludem, który całą przeszłość swą dziejową
Ułożył w jedną wielką wyprawę krzyżową,
Co nie grobu Chrystusa, lecz Chrystusa wiary
Strzegł pilnie przed dzikimi Turki i Tatary —

Za ludem, Europy tarczą i podporą,
Co ginął pod Lignicą, Sokalem, Cecorą,
Pod Chocimem i Wiedniem, co księżyc dwurogi
Dał na zdeptanie Pannie Maryi pod nogi. —

Za ludem czujnej straży od plagi pogańskiej,
Za ludem poświęcenia i służby kapłańskiej
W habicie z kutej zbroi, w kapturze z przyłbicy,
Ludem mężnego serca i dzielnej prawicy,
Módl się twą pieśnią w niebie, o Cecyljo święta!
Zakonników swoich niechaj Bóg pamięta!

Za ludem, który z piękną dziewicą królową
Niósł Litwie Ewangelii wiekuiste słowo,
Który najpierwszy w świecie i ostatni razem,
Nie długą pracą wieków, ni władzy rozkazem,
Ale chwilą zapału, wielką chwilą, — cudem
Ludy bratnie pojednał z najezdników ludem.
I jak w kościele wiary sakramentu wodą,
Taką w kościele historji ochrzcił ich swobodą.
Za ludem, który krzyże wśród pogaństwa stawiał,
Za ludem, który kochał, oświecał i zbawiał —
Módl się twą pieśnią w niebie, o Cecyljo święta!
Apostołów swoich niechaj Bóg pamięta!

Za ludem, który dzisiaj nie ma pyłka ziemi
Na przybraną ojczyznę pod stopy swojemi.
Za ludem od trzech ludów trzykroć rozszarpanym
Przed stu laty, a jeszcze po dziś dzień nękanym.
Za ludem biednych ojców, ludem smutnych matek,
Pomordowanej młodzi i zgorszonych dziatek;
Ludem, któremu wydrzeć chcą przeszłości dzieje,
Poznanie prawd obecnych, przyszłości nadzieje —
I tę ostatnią nawet pociechę złej doli,
Cichą skargę Jeremich, pieśń smutku w niewoli.
Więc za tym krwawej piersi i ciężkiego losu —
Za tym ludem milczącym, bez pieśni, bez głosu,
Módl się swą pieśnią w niebie, o Cecyljo święta!
Męczenników Swoich niechaj Bóg pamięta!“

Lwów, 1890.

Janina Sedlaczkówna.

ZJAZDY
Towarzystwa pedagogicznego
i znaczenie tychże.

Artykuł napisany z powodu 24-go walnego zjazdu

Towarzystwa nauczycielskiego w Bochni.

(Z sześciu rycinami.)

W chwili obecnej, gdy ekskursje naszego Towarzystwa rokrocznie się powtarzające, wkrótce dojdą do cyfry dwudziestu i pięciu — srebrny jubileusz zjazdów — jak słusznie zauważył w Bochni jeden z uczestników, nie od rzeczy będzie, objaśniać cel i znaczenie tychże zjazdów.

Ludzie nienależący do naszego Towarzystwa, ludzie niefachowi, zarzucają niejedno wspólnym naszym wycieczkom. Zarzuty te, o ile poniżej wykażemy, po większej części nie są uzasadnione, choć część ich pomimo wszelkich urzędowych i nieurzędowych zaprzeczeń, niestety polega na prawdzie. Zarzucają mianowicie członkom Szanownego naszego Towarzystwa, że właściwym celem ich ekskursyj nie nauka, ale rozrywka i zabawa, że się rokrocznie pewna część naszego Towarzystwa zjeżdża w tem lub owem mieście — nibyto na walny zjazd i naradę poważną — a właściwie, aby się nagadać do sytu a najeść i napić do przesytu.

Nie przeczymy, że jak w każdym zdrowym organizmie napotykać można na pewne części ciała

mniej zdrowe, mniej na zewnętrzne wpływy zahartowane, mniej uzdolnione do odporu — tak i w Towarzystwie pedagogicznem nie brak owych żywiołów rozkładowych, owych ludzi, których wiedza nie sięga może poza obręb szkolnej książki a których celem życia jest ta nauka, co da jeść i pić a nie ta, co wzbogaca ducha. Ale daleko nam jeszcze do tego, aby ci ludzie stanowili większość Towarzystwa, tak dalece zasłużonego około rozwoju oświaty, aby nawet stanowili bodaj połowę tegoż. Istnieją jednak członkowie Towarzystwa o tak niskim poziomie naukowym a pretensjach bardzo wysokich, a sam szczegół, że istnieją, choć na szczęście w mniejszości, czyni już ujmę Towarzystwu pedagogicznemu.

Część niezasłużonego odium, które otacza grono nauczycielskie, zniknie zapewne, skoro pojedynczy przeciwnicy nasi poczną w nauczycielu szanować i czcić przyszłych generacyj kształciciela; skoro nasze zjazdy przyjacielskie i przyjazne przestaną uważać za najazdy zbrojnego nieprzyjaciela; skoro nauczyciel choćby najbiedniejszy, w naszych stosunkach społecznych, w naszej hierarchii społecznej nie stanie niżej od pierwszego lepszego bogatego dorobkiewicza, mającego w głowie sieczkę a w kieszeniach płótno, gdzie się rozchodzi o cele humanitarne i naukowe.

Jeśli się kto zapyta o korzyści moralne lub intellektualne podobnych zjazdów, to temu odpowiemy bez wahania się, że zjazdy naszego Towarzystwa nie są jakąś fantazją pańską, nie rzeczą zbyteczną i błahą, jak on mniema, ale rzeczą niezmiernie ważną i niezbędnie potrzebną dla ustalenia powagi naszego Towarzystwa w całym kraju i dla rozwoju oświaty, dla rozszerzenia wiedzy każdego pojedynczego członka tegoż Towarzystwa. Rozumny ogół tak też a nie inaczej pojmuje sprawę zjazdów pedagogicznych. Dowodem tego owe liczne zaproszenia do najrozmaitszych większych lub mniejszych miast galicyjskich a których to zaproszeń często kilka naraz otrzymuje Towarzystwo pedagogiczne; owe owacje z roku na rok urządzane członkom naszego Towarzystwa; owe tryumfy święcone przez reprezentantów wiedzy szkolnej; owe dusze zbłądzone, wydarte silną dłonią na-

uczyciela z paszczy ciemnoty i zabobonów; owe zaszczyty wiekotrwałe, przetrwające znikomą chwałę ulubionego śpiewaka, oklaskiwanego artysty scenicznego, modnego recytatora i rokującego tyle niestety płonnych nadziei literata-jednodniówki!

Ale i nauczyciel sam, jakże rozszerza zakres swojej wiedzy i sercowego i duchowego wykształcenia za pomocą owych zjazdów! Uczy się kraj rodzinny i mieszkańców tegoż kraju znać i poważać; rozszerza i wzbogaca zakres swojej wiedzy etnograficznej i historycznej szczegółami, których nie znajdziesz w żadnym podręczniku szkolnym; zbliża się choć raz w roku i przywita z braćmi po piórze i po duchu; choć raz w roku oddycha wolnem powietrzem, zdala od gwaru wielkomiejskiego, zdala od pyłu i kurzu ław szkolnych; choć raz w roku na podstawie ogólnego głosowania, tej szczytnej zasady demokracji, równouprawnionym się czuje mimo różnicy rangi z najwyższym nawet dygnitarzem szkolnym!

A mimoto, że zadanie, że cele naszego Towarzystwa tak wzniosłe są i szczytne, mimo to że Towarzystwo samo liczy tysiące członków, porozrzucanych po całym kraju, to przecież liczba uczestników na zjazdy maleje prawie z rokiem każdym. Jeśli Kraków w murach swoich gościł przeszło tysiąc członków Towarzystwa pedagogicznego, to Tarnów liczył ich ledwie trzysta ośmdziesiąt i kilka a Bochnia (patrz na rycinę odnośną, przedstawiającą to miasto) tylko 160. Na tak małą frekwencję różnorodne składają się przyczyny. Sądzę, że takowe — bodaj częściowo — dałyby się usunąć i przytoczę je też z tego powodu. Jedną z najważniejszych przyczyn jest finansowa.

Przypominam sobie bardzo dobrze, że niedawno jeszcze — bo w latach 1879 do 1883 — wkładki uczestników na zjazdy pedagogiczne wynosiły 1 zł. od osoby. Za uiszczeniem takichto wkładek każdy uczestnik zjazdu miał cenę kolejową do połowy zniżoną z prawem powrotu z ostatnim dniem Lipca i z zabezpieczeniem 3-dniowego bezpłatnego wiktu i stancji. Powoli wzrosła wysokość sumy wkładkowej na $1\frac{1}{2}$, na 2 a w roku bieżącym nawet na $2\frac{1}{2}$ złr. Równocześnie jednak uszczuplono liczbę bezpłatnych



Bochnia. *(Według fotografji Dołkowskiego w Bochni.)*

noclegów i wiktów z trzech na dwa, a koleje zamiast cenę dla gości zniżyć na połowę, zaczęły ją obniżać tylko na 33 a miejscami nawet na 25$^0/_0$. Kilkakrotnie uszczuplano granice wolnego powrotu tak dalece, że uczestnik zjazdu, oznaczonego w nierównych odstępach najczęściej w dniach między 15-m a 22-m Lipca, już 25-go Lipca wrócić musiał, jeśli bilet jazdy jaką taką miał zachować ważność. Z nastaniem taryfy strefowej na kolejach państwowych, koleje te uczestnikom zjazdów pedagogicznych wszelkich odmówiły zniżeń. Zrobiłem na tej podstawie dosyć ciekawe spostrzeżenia. I tak uiściwszy jeszcze 13. Czerwca br. wkładkę w wysokości $2^1/_2$ złr. jako uczestnik zjazdu pedagogicznego, w Bochni odbyć się mającego, zabrałem się 16. Lipca w drogę częścią koleją państwową na Sambor-Chyrów-Przemyśl, częścią zaś koleją Karola Ludwika, prowadzącą z Przemyśla wprost do Bochni. Kolej z Sambora do Przemyśla kosztowała 80 centów a pakunek wprost z Sambora nadany do Bochni czwartą część tej sumy. W Przemyślu otrzymałem bilet jazdy do Bochni, ważny wyjątkowo dla powrotu aż do końca Lipca. Bilet kosztował 5 złr. i 2 grajcary. Skoro wyjechawszy z powrotem z Bochni dotrę do Przemyśla, znowu dalsza jazda ku domowi, włącznie pakunku kolejowego kosztować będzie 1 złr. Wyniknie z tego rachunek następny:

Wkładka uiszczona . . .	2 złr. 50 ct.
Jazda z Sambora do Przemyśla włącznie pakunku nadanego aż do Bochni . . .	1 złr. — ct.
Jazda z Przemyśla do Bochni i napowrót . . .	5 złr. 02 ct.
Jazda z Przemyśla do Sambora włącznie pakunku nadanego wprost do Sambora . .	1 złr. — ct.
czyli razem	9 złr. 52 ct.

Jadąc bez wszelkich zniżeń i uczestnictwa z Sambora do Bochni zapłaciłbym:

Z Sambora do Przemyśla włącznie pakunku nadanego aż do Bochni . . .	1 złr. — ct.
Z Przemyśla do Bochni . .	3 „ 94 „

Z Bochni do Przemyśla . .	3 złr. 94 ct.
Z Przemyśla do Sambora wraz z pakunkiem nadanym wprost z Bochni aż do Sambora .	1 złr. — ct.
czyli razem	9 złr. 88 ct.

Azatem cała oszczędność przy jazdach wynosi tu aż 36 centów! Jeszcze ciekawszym okaże się wynik tych badań, jeśli kto — dajmy na to — zupełnie bez pakunku do Bochni się wybiera drogą na Sambor-Chyrów-Stróże-Tarnów, czyli koleją państwową z Sambora aż do Tarnowa, a w dalszą drogę już koleją Karola Ludwika z Tarnowa do Bochni. Wtedy okazuje się następny rezultat:

Z Sambora na Stróże do Tarnowa	3 złr. — ct.
Z Tarnowa do Bochni . .	— „ 76 „
Z Bochni do Tarnowa . .	— „ 76 „
Z Tarnowa na Stróże do Sambora	3 „ — „
czyli razem	7 złr. 52 ct.

Podaję drugi przykład:

Nauczyciel szkół ludowych z Krakowa przybył na zjazd pedagogiczny do Bochni. Uiścił wkładkę wynoszącą 2½ złr. Za bilet jazdy tam i na powrót dopłacił 96 centów. Pakunek tam i nazad kosztował 14 centów. To czyni razem 3 złr. i 60 centów. Tenże sam nauczyciel zapłaciłby za bilet zwrotny 1 złr. 30 centów a bez biletu zwrotnego 1 złr. i 44 centów tam i napowrót. Nie sądzę zaś, żeby dwudniowy pobyt w Bochni kosztować go miał ponad 2 złr.

Jeszcze w gorszem świetle przedstawia się ten stosunek ze względu na przyszły zjazd w Drohobyczu, gdzie cena jeszcze bardziej nieproporcjonalną się okaże. Jeśli kolej państwowa zniżenia nie daje żadnego, a inne koleje tak minimalne, że o niem i wspominać nie warto, jeśli zresztą i te koleje z biegiem czasu upaństwowione, wszelkiego zniżenia uczestnikom zjazdu odmówią, to niechże szanowny Zarząd główny Towarzystwa pedagogicznego wróci do pierwotnej ceny wkładkowej, wynoszącej 1 złr., która to cena i tak wcale nie jest umiarkowaną zwłaszcza dla niezamożnych nauczycieli wiejskich.

Drugą stroną wadliwą zjazdów, odstraszającą i zniechęcającą niejednego uczestnika, jest pewien

rodzaj nieregularności, który się wkrada w nasze zjazdy a który nie powinien być tolerowany. Przybywają goście, członkowie Towarzystwa niezgłoszeni poprzednio należycie, i zgłaszają się nagle ni ztąd ni zowąd czasem ze spóźnionem zgłoszeniem, czasem i bez zgłoszenia do komitetów i magistratów tych lub owych miast. Cóż dziwnego, że wielka ztąd wyniknąć musi konfuzja? Zdarza się czasami i to, że członek zamożny Towarzystwa, mający w mieście, zaprojektowanem na cel wycieczki, również zamożnego krewnego, dobrowolnie rezygnuje na bezpłatny wikt i stancję, bo wie, że go krewny przyjmie bezpłatnie a wie i to, że kilka szóstaczków, uzyskanych zniżką kolejową, nie stanowią żadnej rubryki w jego budżecie. Bywa więc na posiedzeniach a nie zgłosił się do Zarządu; ma wolną stancję a odbiera ją temu, który się po nią w czasie przepisanym zgłosił. Jest to fortel, tem bardziej nagany godny, że ów niezgłoszony gość i bez sposobności uroczystych zjazdów, co chwila odwidzać może swego krewnego.

Trzecią wadliwością naszych zjazdów, której usunąć nie zdoła żaden zarząd a która członka Towarzystwa pedagogicznego, stałego gościa na wszystkich zjazdach niepospolicie poniża w oczach publiczności, jest to niestety niestosowne na kierowników naszej młodzieży zachowanie się pewnej części naszych pedagogów miejskich i wiejskich na zjazdach. Przypatrzmy się tym panom zwłaszcza najbiedniejszej, najbardziej upośledzonej klasie tychże, nauczycielom wiejskim. Większość z nich z pewnością użali się na ciężkie czasy, na krwawy zarobek, na to, że z zaparciem się siebie i rodziny głodnej te kilka reńskich odłożyć musiała, aby umożebnić sobie przybycie na walne zjazdy Towarzystwa. Nie wierzcie tym panom bezwarunkowo! Najlepsze świadectwo o ich ubóstwie złożą fryzjerzy, cukiernicy, restauratorowie i szynkarze miast, przez które Towarzystwo nasze tryumfalny swój odbywało pochód. Ale na ubóstwo ich umysłu i serca niech się użalają artyści, księgarze, wydawcy, jednem słowem pracownicy w wszystkich szlachetniejszych zawodach, bo ci niekoniecznie wzbo-

gacą się na wymienionej przezemnie kategorji uczestników. Oto zakała zawodu pedagogicznego, oto plama, która jak rdza przylgnęła do zdrowego zresztą ciała! Skoro liczba podobnych uczestników spadnie na zero a ich miejsce zajmą poważni i poważani zewsząd przewodnicy narodu, wtedy naród bez ograniczenia jakiegokolwiekbądź szanować i wielbić będzie tych, którzy „przed nim nieśli kaganiec oświaty.“

*
* *

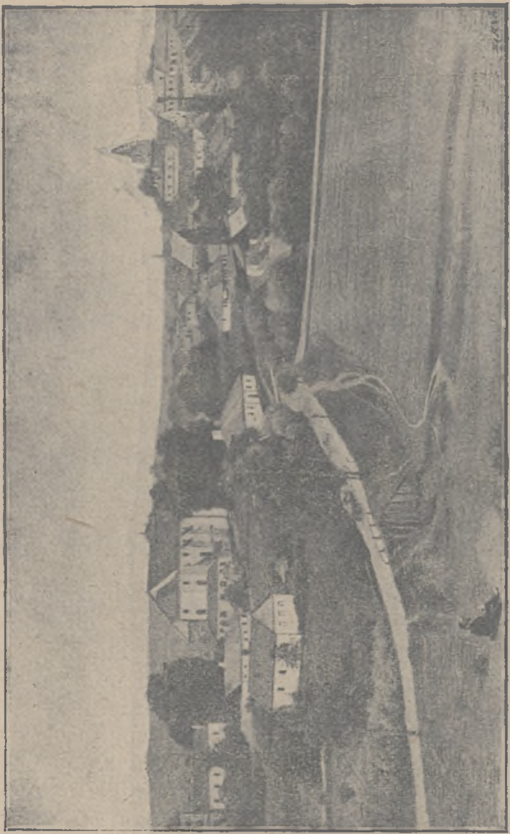
Pozwalam sobie po krótkiem zboczeniu wrócić do przedmiotu, od którego wyszłem. Tym przedmiotem jest znaczenie zjazdów pedagogicznych dla rozwoju nauki, dla ducha i dla serca. Skreśliłem w poprzedzającym ustępie pobieżnie cel właściwy zjazdów i wady, które znaczenie tychże zjazdów obniżają i zaporę kładą pomyślnemu ich rozwojowi. Miejmy nadzieję, że wszystkie te zapory znikną, zniknąć muszą, że przezwycięży zdrowy duch myślącej części naszych pedagogów i sława nieuszczuplona żadnym a żadnym wyrzutem zasłużone ich uwieńczy czoła!

Cel pobieżnie skreślonego szkicu mego nie polega na tem, bym oprowadzał czytelnika po tych wszystkich miastach, które zwiedziło w przelocie oko turysty i pedagoga. Uczynię zatem wzmiankę tylko o jednem: o Bochni.

Bochnia, stare miasto królów polskich, ozdobione pomnikiem największego z nich: króla chłopków, przeznaczone było na 24-ty punkt zborny Towarzystwa nauczycielskiego. Dzieje tego miasta rozmaitym ulegały zmianom. Założone według Machnickiego w r. 1253 za czasów Bolesława V. Wstydliwego, widziało u siebie nieraz niepożądanych gości, Turków i Tatarów. Końcem 18-go stulecia pożar wielki nawidził miasto, którego ofiarą między innemi padł także kościół miejscowy, odrestaurowany niebardzo zręcznie.

Teraz miasto, położone na wzgórku i przedstawione według fotografji Dołkowskiego ze strony wójtostwa, wzrasta -- powiedziałbym — żółwim krokiem. Mało przybyło nowych budowli, zasługujących na

obszerniejszą wzmiankę; z nowszych okazałością swoją odznacza się tylko dwupiętrowe gimnazjum położone na wzgórku i dominujące nad innemi, zapadającemi się prawie w ziemię budowlami. Nie miałoby miasto znaczenia mimo archiwów swoich, w sześćdziesięciu



WIŚNICZ. (*Widok miasta z kościołem i ratuszem z pod zamku od strony wschodniej, według fotografji Bronisława Wyspiańskiego w Bochni.*)

tomach bardzo starannie przechowanych, gdyby nie kopalnie bocheńskie, gdyby nie wyroby salinarne, gdyby nie większy jeszcze rozgłos sąsiedniego Wiśnicza (patrz na odnośne ryciny, przedstawiające Wiśnicz z czterech punktów), niegdyś siedziby Kmi-

tów i Lubomirskich a obecnie miejsca pokuty dla niebezpiecznych złoczyńców i zbrodniarzy.

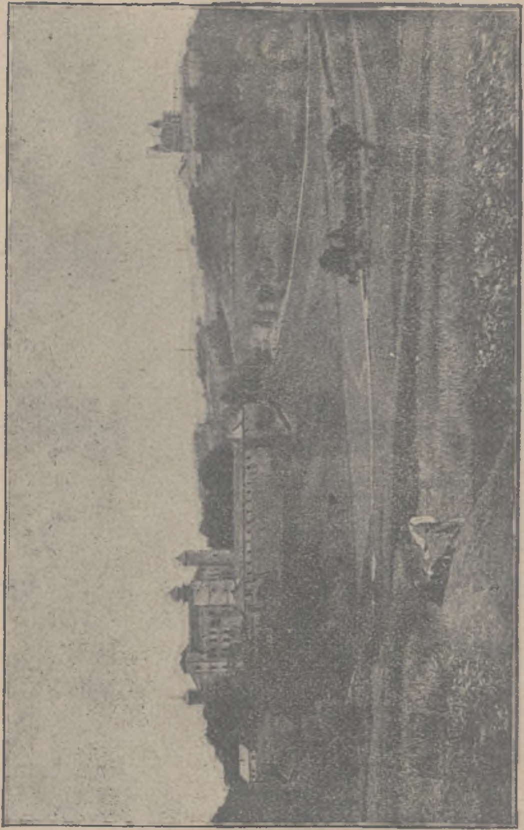
Schludna jak większa część miast, w zachodniej Galicji położonych, Bochnia, mająca nawet nakształt Krakowa choć w zdrobniałych bardzo rozmiarach, swoje planty, oprócz starego kościoła nie ma prawie



WIŚNICZ. (*Widok z rynku z pod ratusza od strony zachodniej na kościół parafialny i klasztor obecnie więzienie, według fotografji Bronisława Wyspiańskiego w Bochni.*)

budynku noszącego jakieś osobliwsze cechy starej architektoniki i sztuki.

Pomijam owacje, urządzone Towarzystwu pedagogicznemu, gdyż to nie należy do zakresu mojej pracy; pomijam mowy, wygłoszone na posiedzeniach,



WIŚNICZ. (*Widok zamku i klasztoru obecnie więzienia od strony północnej, według fotografji Bronisława Wyspiańskiego w Bochni.*)

gdyż nie słuchałem ich od początku aż do końca, a wracam in medias res, to znaczy do programu wycieczkowego 24-go zjazdu pedagogicznego.

Przybywszy 17. Lipca 1890 do Bochni, dnia następnego już o trzeciej godzinie popołudniu całe

Towarzystwo in gremio podwodami udało się do Wiśnicza celem odwidzenia zamku niebotycznego, stanowiącego siedzibę niegdyś Kmitów i Lubomirskich. Burza, która się chwilowo zerwała, nie odstraszyła śmiałych turystów.



WIŚNICZ. (*Widok zamku i dawnego klasztoru obecnie więzienia od strony południowej, według fotografji Bronisława Wyspiańskiego w Bochni.*)

Miasto Wiśnicz, przedstawione w czterech fotografjach Bolesława Wyspiańskiego, a mianowicie ze strony wschodu, zachodu, północy i południa położone malowniczo. W suterenach górującego położeniem swojem nad miastem zamku, w suterenach tych,

gdzie niegdyś według podania historją zaprzeczonego skonać miała, otruta ręką mściwej Bony Barbara Radziwiłłówna, — szkoła koszykarska, dająca zatrudnienie setkom więźniów. Wyroby tej szkoły, jakoto: kosze i koszyki, kołyski, wózeczki z trzciny, premiowane na wszystkich wystawach krajowych, rozchodzą się po całej Galicji. Klasztor, na drugim wzgórku nieco wyżej od zamku położony a ze względu na silną konstrukcję swoją zasługujący prawie na miano zamku klasztornego, mieści we wnętrzu swojem cele dla zbrodniarzy a w podziemiach trumny bohaterów, groby rodziny Lubomirskich. Dziwny zaiste kontrast! Zmalało i skarłowaciało społeczeństwo nasze, o! skarłowaciało bardzo, jeśli dzisiaj już zgodzić się na to może, żeby nieczysty oddech galarników zatruwał powietrze w tem sanctuarium przeszłości, poniewierając prochy tych, którzy legli jako bohaterowie dla Ojczystej sprawy!

Z uderzeniem godziny północnej wracamy do miasta. Znużony rzuca się każdy na pościel swoją i marzy nawpół senny, rozmaite przyjmując wrażenia, rozmaite snując obrazki i widziadła. Z następnym dniem znów te same narady, posiedzenia, uczta pożegnalna a nocą festyn w ogrodzie salinarnym przy odgłosie muzyki, przy oświetleniu lampionami i wenta, z której dochód przeznaczony na bursę nauczycielską. Nawiasowo od siebie uczynię jeszcze wzmiankę, że szósta część dochodu z rozprzedaży widoków Wiśnickich Wyspiańskiego na te same przeznaczona cele.

Dzień odjazdu zbliża się. Już wkrótce i z Bochnią się pożegnam. Na zaokrąglenie tego, może zbyt pobieżnie streszczonego artykułu, niech służy wzmianka, że Bochnia ongiś była siedzibą uczonych i literatów, którzy chlubą okryli ojczyste piśmiennictwo. Tu urodziła się sławna pisarka dla wieku młodocianego Julia Goczałkowska, tu umarł jeden z wybitniejszych przyrodników i uczonych Polski, ks. Dr. Wojciech Grzegorzek kanonik bocheński, korespondent i członek wielu towarzystw uczonych w kraju i zagranicą (patrz na rycinę odnośną, sporządzoną według fotografji Awita Szuberta w Krakowie.) Umarł zaś nasz



Ks. Dr. Wojciech Grzegorzek.

(Według fotografji Awita Szuberta w Krakowie.)

uczony na wadę serca i astmę licząc 72 lat, 1890 w dzień 1. Marca. Kollekcję bogatą, godną królewskich zbiorów a zawierającą 10.000 egzemplarzy much dwuskrzydlnych w najrozmaitszych gatunkach i okazach darował testamentem Uniwersytetowi Jagiellońskiemu w Krakowie. Otarłszy hojną dłonią łzy niedoli, poświęciwszy co miał na cele naukowe, nie zostawił po sobie majątku. Szczegół ten wymowniejszy, aniżeli łokciowe panegiryki!

Bochnia, 20. Lipca 1890.

G. Kohn.

ŚMIERĆ POZORNA
(LETARG),
rozprawka naukowa
przez
Zygmunta Morawskiego.

Czy obawa, być żywcem pogrzebanym, jest uzasadnioną? Na to pytanie chcę w tym szkicu pobieżnym odpowiedzieć, powołując się na znane bliżej i udowodnione wypadki z najnowszych lat ubiegłych, pomijając wypadki dawniejsze, o których tu i owdzie pisano.

Nie ulega wątpliwości, że wiele starszych ludzi zbliżających się do kresu życia, taką obawę żywi i dzieciom swym gorąco zaleca, ażeby ich nie kazali grzebać przed wyczerpaniem wszelkich możliwych środków, śmierć potwierdzających.

O ile obawa taka jest usprawiedliwiona, niechaj o tem mówią same fakta, bo w istocie zdarzają się w tym kierunku takie wypadki, które przypominają niektóre legendy wieków średnich i tak dalece zwróciły one na siebie uwagę, że rząd francuzki na razie przynajmniej ustanowił prawo fakultatycznego palenia zwłok. Lecz przystąpmy do faktów.

Zacznijmy od dawniejszego wprawdzie, ale tem ciekawszego wypadku, że opowiada o nim osoba, która sama z nad grobu do życia powróciła. Kiedy na dniu 27. Lutego 1866 r. omawiano w senacie francuzkim sprawę o śmierci pozornej i możliwem grzebaniu ludzi żywcem, opowiedział wzruszonym głosem kardynał Donnet, arcybiskup z Bordeaux, dzieje pewnego młodego kapłana, który podczas kazania nagle zamilkł, padł na kazalnicy i przez lekarza za umarłego uznanym został. Apopleksja miała być przyczyną tej nagłej śmierci. A przecież wiedział ten nieszczęśliwy o wszystkiem, co się około niego działo. Z całą siłą świadomości odróżniał on osoby, które się doń zbliżały, aby mu się raz jeszcze przypatrzeć, słyszał szeptanie ich i trwoga ogarnęła go straszna, skoro do trumny włożony został. Jednakże ani członkiem żadnym poruszyć, ani głosu wydobyć nie zdołał. Godzina pogrzebu nadeszła; pozornie umarły słyszał smutne podzwonne, słyszał ostatnie modły nad sobą, a obudzić się nie mógł; dopiero kiedy zabierano się do ukończenia ceremonji, udało mu się po niesłychanem natężeniu zdrętwiałość pokonać i w sam czas jeszcze uiść losu pogrzebania żywcem. „A ten kapłan stoi teraz przed wami, moi panowie“ — zakończył arcybiskup — „został kardynałem Donnet i na tej podstawie prosi prawodawców, ażeby czuwali nad ścisłem wykonywaniem przepisów, do grzebania zmarłych odnoszących się, i nowe prawa wydali, któreby podobnym wypadkom zapobiegać mogły.“

Nie mniej ciekawym jest następujący wypadek:

W Maju 1883 r. pogrzebano po raz trzeci w Oranie (Algerja) pewnego rzeźnika, który poprzednio dwa razy żywcem na cmentarz był niesiony. Po raz pierwszy stało się to r. 1848. Zapadłszy

w letarg, został pogrzebany; w chwili jednakże, w której grudki ziemi i kamienie zaczęły o wieko trumny uderzać, usłyszano krzyk przygłuszony, który z grobu pochodził, a równocześnie uderzanie o ściany trumny. Otworzono ją jak najspiesznjej a p. Focke (tak nazywał się rzeźnik) wyszedł z grobu wprawdzie bardzo zmieszany i ku wielkiemu przerażeniu obecnych, ale dość żwawy i zdrowy. Po latach ośmnastu zapadł biedny rzeźnik podczas grasującej właśnie cholery znowu w ciężki letarg. Po upływie 24 godzin zaczęto zajmować się przygotowaniami do pogrzebu i znowu poniesiono go na cmentarz; tą razą jednak nie przyszło aż do spuszczenia trumny w dół. Zaledwie kondukt na cmentarz wkroczył, zaczął się pozorny nieboszczyk w ciasnym swym domku gwałtownie poruszać i krzyczeć. Naturalnie zatrzymano się natychmiast i postarano o uwolnienie biedaka z niemiłego położenia. Po raz trzeci wreszcie odbył się jego pogrzeb w r. 1883 przy ogromnym współudziale ludności, bo i teraz wierzyć nie chciano, jakoby Focke rzeczywiście umarł — ale było przecież nie inaczej i lekarze niedowierzając przez otworzenie żył o śmierci rzeczywistej się przekonali.

Inny należący tu wypadek zdarzył się w pewnej miejscowości koło Walencji, gdzie w Marcu 1883 r. miano zamiar pogrzebać już pewną młodą kobietę; w chwili jednakże, kiedy brano ciało, by je w trumnie ułożyć, otworzyła pozornie umarła oczy, usiadła i zażądała wody. Przerażoną uwolniono natychmiast ze stroju pośmiertnego i zajęto się nią troskliwie. Wkrótce przyszła ona zupełnie do siebie i żyje do dzisiejszego dnia spokojnie.

W Grudniu 1884 r. zaniesiono na cmentarz w Lecce we Włoszech robotnika, ażeby go tamże po stwierdzeniu śmierci przez lekarza pogrzebać. Ponieważ jednakże ubogi robotnik nie pozostawił tyle, aby mu trumnę sprawić a gmina wydatku tego ponieść nie chciała, musiano pogrzebać biedaczyska w kawał płótna. Grabarze ukończyli byli właśnie wykopywanie dołu i podnieśli ciało, aby je tam spuścić. Zaledwie znalazł się umarły na dnie grobu, odżył, otworzył oczy i usiadł. Że w tym wypadku robotnik

ocalał, zawdzięczał to tylko swemu ubóstwu i brakowi trumny wskutek tegoż. Był on prawdopodobnie napity i wskutek zimna skostniał a lekarz przy biedaku nie wiele sobie musiał zadawać pracy.

Podobny wypadek zdarzył się był tegoż samego roku w miesiącu Styczniu w Belforcie. Chciano właśnie pozornie umarłego włożyć do trumny, gdy tenże ku ogólnemu przerażeniu nagle się podniósł i ze zdziwieniem na około rozglądać począł, nie pojmując bynajmniej, co się z nim stało. Pospieszono z pomocą a letargowe omdlenie wkrótce ustąpiło, tak że chory już nazajutrz o tyle czuł się zdrowym, iż przedsięwziął podróż do Besançon.

Wszystkie z powyżej przytoczonych przykładów są jeszcze natury dość niewinnej, bo ostatecznie wszyscy interesowani do życia powrócili; inaczej atoli przedstawia się rzecz, gdy pozornie umarły przyjdzie do siebie wówczas, kiedy sklepienie mogiły już nad nim się zawarło, po oddaleniu się wszystkich tych, co konduktowi towarzyszyli. Jak tu oddać słowami to przerażenie i te męczarnie, jakie musi znosić ten nieszczęśliwy przez ten krótki czas, jaki mu po obudzeniu się jeszcze do życia pozostał? Straszne pokaleczenia i kurczowo powykręcane członki najwymowniej świadczą o tej krótkiej a straszliwej walce, która się wreszcie istotną śmiercią zakończyć musiała. A takie wypadki, na których samo wspomnienie krew w żyłach się ścina, nie są niestety nadzwyczajnemi rzadkościami: o niektórych wiemy — a ileż to ich niespostrzeżenie przeszło?!

Pewien mieszkaniec z Eymes cierpiał przez czas dłuższy na chroniczną przypadłość, której symptomatem najuciążliwszym była trwała bezsenność. Wycieńczony prawie zupełnie zasięgnął rady lekarskiej. Lekarz zapisał mu opium i zalecił przy używaniu tego środka ostrożność jak największą. Chory jednakże, powodując się przesądem dość powszechnym, że lekarstwo tem lepiej działa, im więcej go się zażyje, wziął na kilka dni przeznaczoną dozę na jeden raz. Wkrótce popadł w sen głęboki, z którego po 24 godzinach jeszcze się nie był obudził. Krewni przestraszyli się bardzo i zawezwali znowu lekarza,

który w skrzepłem ciele nie znalazł wcale ciepła, ani bicia pulsu, ani śladu ruchu serca; nie pozostało mu przeto nic innego, jak oświadczenie, że człowiek ten nie żyje. Nazajutrz przed południem przystąpiono do pogrzebu, który się odbył bez najmniejszej przeszkody. Po kilku dniach dopiero odkryto nieroztropność, jaką popełnił nieszczęśliwy. Wieść, że człowiek ten był tylko ogłuszonym a nie umarłym, spowodowała wreszcie władzę, że pozwoliła na odkopanie pogrzebionego. Tłumy ludu spieszą na cmentarz; wyjmują trumnę z grobu, odbijają wieko i . . . widok straszny przedstawia się oczom obecnych. Pozornie umarły obrócił się w trumnie; twarz jego była nie do poznania zmienioną i wykrzywioną, członki ściągnięte kurczowo. Wieść prawdę głosiła.

Podobnie stało się z pewną ubogą kobietą, pogrzebaną w Paulhaguet w Maju 1885 r. a której zejście stwierdzone zostało przez lekarza jako pewne. Tego samego dnia po pogrzebie tejże zebrało się na cmentarzu kilkoro dzieci celem bawienia się. Naraz posłyszały one przytłumione stukanie i żałośne wołanie z grobu jeszcze nie zasypanego całkiem, w którym ową kobietę złożono. Przelęknione odbiegły dzieci, opowiadając po drodze przechodniom, co słyszały. Pospieszono natychmiast z pomocą dla nieszczęśliwej żywcem pogrzebanej i wydobyto trumnę z dołu. Po otworzeniu tejże znaleziono kobietę wprawdzie przy życiu jeszcze, ale z poszarpaną twarzą i rękami, tak że wkrótce potem zamknęła oczy na wieki.

Jeszcze nowszym jest wypadek, który się wydarzył roku 1887 w okolicy Warszawy. Pogrzebano tam kobietę dwudziestokilkoletnią, będącą w stanie błogosławionym. Śmierć nastąpiła nagle bez jakichkolwiek oznak poprzednich. Ponieważ atoli mąż tejże kobiety często nad nią się znęcał, rozszerzyło się wkrótce mniemanie, że prawdopodobnie on ją zabił. Wieść podobna znajduje szybko zwolenników; tak i tu się stało. Poruszenie w całej gminie spowodowało wreszcie władzę do wkroczenia w tę sprawę i odkopania grobu. Przestrach i zgroza opanowały komisję sądową i wszystkich obecnych, kiedy po otworzeniu trumny u stóp żywcem pogrzebanej znalezio-

no nowo narodzone dziecię, które kilka godzin żyć musiało, będąc zupełnie rozwiniętem. Trumna matki posłużyła niemowlęciu za kolebkę i grób zarazem. Nie ulega wątpliwości, że matka była przy życiu, gdy ją pogrzebano i że po obudzeniu się z przestrachu nad swojem rozpaczliwem i beznadziejnem położeniem dziecię na świat wydała. Trudno sobie wyobrazić, ile ta biedna kobieta wycierpieć musiała; że zaś walka z śmiercią rzeczywistą straszna była, można było wnosić z krwi na poranionych ustach i z języka zupełnie pogryzionego.

Lecz poprzestańmy na tych kilku smutnych a strasznych obrazach. Możnaby ich przytoczyć więcej, lecz to dążności artykułu nie wzmocni, bo rzecz sama przemawia za sobą; rozchodzi się jeszcze o to tylko, czy łatwo można takim wypadkom zapobiedz.

Znaleźć odpowiednie środki i w życie takowe wprowadzić nie jest rzeczą łatwą zwłaszcza, jeżeli się rozchodzi o urządzenia, opierające się od wieków na przesądach. Wiadomo powszechnie, że zatrzymanie się bicia serca, często pozorna tylko utrata ciepłoty ciała i obecność zdrętwiałości czyli t. zw. tężca nie są pewnemi oznakami tego rodzaju, ażeby z nich stanowczo o śmierci zawyrokować można. Tak samo niedostatecznym jest czas przepisany, który ma upłynąć pomiędzy śmiercią a pogrzebaniem; ten nie chroni od pogrzebania żywcem, ponieważ obudzenie się z letargu może nastąpić przed upływem 24 godzin, ale może nastąpić i później, jak powyższe przykłady wskazują. A cóż dopiero mówić o Izraelitach, u których w kilka godzin po śmierci nieboszczyka grzebią?

Jedynem, pewnem znamieniem śmierci jest następujący po niej rozkład ciała (gnicie). W Anglji istnieje dla tego godne naśladowania urządzenie, że umarłego nie grzebią wcześniej, dopóki rozkład ciała się nie objawi, bez względu na to, czy zeszły z tego świata leżał 24 czy 120 godzin na katafalku. Palenie zwłok, o którem ostatnimi czasy wiele mówiono a które nawet tu i owdzie zaprowadzono, uchyla wprawdzie możliwy przestrach i męczarnie po obudzeniu się pozornie umarłego, ale nie oddaje go światu, nie ma więc właściwego celu; zresztą wobec uprze-

dzenia przeciw niemu prawie ogólnego, nie ma ono jeszcze widoków na powszechne wprowadzenie.

W Niemczech urządzono już dawno na cmentarzach miast większych kostnice umyślnie na ten cel, aby składać tam ciała tych, którzy nagle umierają i u których nie można stanowczo śmierci skonstatować. Działo się to szczególnie w czasach grasowania cholery, w których jak wiadomo ludzie często z samego strachu prawie umierają. Urządzenia te były pierwotnie wprawdzie bardzo proste, lecz stanowiły dobry początek. Ustawiano tam ciała w trumnach otwartych i umocowywano do ich rąk i nóg lekkie sznurki lub druty, połączone z dzwonkami. Jeżeli z pozornej śmierci obudzony ręką lub nogą ruszył, przywoływał dźwięk dzwonka urzędników na ten cel ustanowionych do pomocy; ale ponieważ żaden tego nie uczynił, zaniechano wszędzie tego środka ostrożności, zamiast urządzenie zatrzymać i takowe ulepszać.

Tylko w Berlinie, na cmentarzu jerozolimskim, znajduje się taka kostnica z napisem: „Dla ratowania pozornie umarłych“, w której na żądanie stron umieszczane bywają ciała w trumnach umyślnie na ten cel urządzonych, na czas, póki ciało rozkładowi nie ulegnie i śmierci rzeczywistej nie stwierdzi. Jeżeliby nieboszczyk był tylko pozornie umarłym i obudził się znowu, dałby o tem znać za pomocą dzwonka elektrycznego, którego druty przez trumnę przechodzą i z kończynami jego są połączone. Wprawdzie jest i takie urządzenie nie złe, ale nie poprzestano na tem, bo nie dość, aby obudzony z letargu mógł dać sygnał i przywołać ludzi do pomocy. Przedewszystkiem powinien zamknięty w tak ciasnej przestrzeni mieć ustawicznie świeże powietrze, ażeby się nie udusił w nagromadzonem tam zanieczyszczonem, zanim przyjdzie do przytomności. Aparat taki desinfekcyjny obmyślił inżynier Ryszard Lüders; pomysł uznano bardzo praktycznym, ale dotychczas nigdzie jeszcze nie został przyrząd ten wprowadzonym. Innym przyrządem, więcej złożonym, z którym pozornie umarłego pogrzebać a następnie przecież ocalić można, jest „przyrząd do ratowania w letargu pogrze-

banych“ Redla. Jest to przyrząd elektryczny, który za najmniejszem poruszeniem obudzonego nie tylko dzwonki w ruch wprawia, ale równocześnie zasuwkę w wieku trumny umieszczoną otwiera i za pośrednictwem rury ponad grób wychodzącej powietrze i światło wprowadza.

Wypadki śmierci pozornej i grzebania ludzi żywcem są rzeczą dowiedzioną dostatecznie nie tylko przykładami powyższymi, ale licznymi innymi. Że zapobiedz takim wypadkom można, jest rzeczą także pewną — nie zwracamy jednak należytej uwagi na to, ponieważ wypadki są nader rzadkie (względnie) i zdajemy się zapominać o tem, że gdyby na sto tysięcy jeden tylko człowiek ocalony został, już byłoby to zasługą nie małą.

NIE PŁACZ!

piosnka.

Nie płacz dziewczę, nie płacz szkody,
Odłóż łzy na starsze lata!
Poco łzawić czas swobody,
Gdy się już nie wróci strata.
Idź w ogródek, patrz na kwiatki,
Jak wesołe, jakie czyste;
Utul się u serca matki,
Otrzyj łzy rzęsiste.
Płakać? O, nie wolno tobie,
Życie z łzami mieszać,
Na Ojczyzny zapłacz grobie,
Braci idź pocieszać!

Tam łzy twoje się przemienią
W perełki wolności,
Gdy się nasze losy zmienią,
Zapłaczesz z radości.

Janina Sedlaczkówna.

Powstanie styczniowe

JAKO RĘKOJMIA niepodległości narodowej.

Studjum historyczne

przez

Stanisława Womelę.

„Wskrzeszenie ojczyzny może okupić tylko śmierć synów, ją miłujących. Wątpić, jest to upadać; wierzyć, jest to zwyciężać. Kto mówi wiara, mówi zbawienie.“

Oto słowa słynnego szermierza wolności, wypowiedziane w odezwie do Polaków po pierwszych wypadkach 1863go r. I słusznie, bo tylko wiara w zwycięztwo dobrej sprawy i idei może popchnąć do walki i do niesienia własnego życia w ofierze. Bez tej wiary nie ma mowy o poświęceniu, bo to nie czyn jakiś wyrachowany i nie próba czynu. Niczego więc nie należy zaniedbać, co może tę wiarę silniejszą uczynić, co możliwość zwycięztwa w jaśniejszem nam stawia świetle. Każdy fakt dający jakąś rękojmię, będący niejako dowodem, że czyny spełniane dla jakiejś idei dla wywalczenia dobrej sprawy, nie mo-

gą pozostać bez skutku, powinno się skrzętnie rozbierać i wyjaśniać. Starajmy się poznać doniosłość każdego takiego faktu, by się mógł stać dogmatem tej wiary, która ma nas natchnąć do pracy, czynu a nawet poświęceń i ofiar.

Wiara w odzyskiwanie politycznej niepodległości polskiego narodu jest i będzie silną w sercu każdego Polaka. Jest ona dość silną, by módz w nim zapał a nawet heroizm rozbudzić, lecz gdy szeregiem dowodów wiarę w możliwość zamienimy na wiarę w pewność, stanie się ona nieprzebytym puklerzem przeciwko zwątpieniu lub bezczynnej rozpaczy. Czyż nie pomnoży to wytrwania w walce, gdy walczący będzie przekonanym, że trudy jego muszą zasłużone przynieść owoce. Zaufany w swe siły, przy wygranej chętnie krew swą przeleje, gdy będzie miał tę pewność zwycięztwa, popartą niezbitymi dowodami z przeszłości. A czyż brak nam dowodów i rękojmi? Cały długi szereg lat srogiego ucisku i haniebnej niewoli moskiewskiej, każdy ruch rozbudzonego życia narodu, to dowody tego, niczem niepowstrzymanego dążenia do niepodległości. To wszystko dowody, że ruch narodu żyje nieosłabiony knutem ni niewolą, owszem, zahartowany w tej ciągłej, wiek blisko trwającej walce wyrabia w sobie siłę, która wieki przetrwać jest w stanie. Nauczony doświadczeniem wybiera coraz nowe drogi swych dążeń, aż wreszcie dojdzie tam, dokąd dąży od wieku. A nie mało mamy takich wysiłków zrzucenia jarzma w naszej porozbiorowej historji.

Ostatnim z tych ruchów, podjętych w celu wyswobodzenia ujarzmionego narodu jest powstanie z roku 1863-64, tak nieszczęśliwe w swojem przeprowadzeniu. Mimoto jednakże, że upadkiem swoim bolesne w piersi polskiej wywołuje wspomnienia, podaje nam ono cały szereg dowodów, że naród polski żyje, że warunki niezawisłego politycznego bytu posiada. Poznajemy nawet, że długie lata despotyzmu i niedoli, następującej po tem powstaniu, umoralniły ten naród w wysokim stopniu, że osłabiły w nim wady jego a wydoskonaliwszy pierwotne jego cnoty,

wytworzyły nowe Polakom przedtem nie znane. Tym więc zdarzeniom i zjawiskom, które są dowodami, mającymi wzmocnić w nas wiarę w zwycięztwo sprawy polskiej, chciejmy się choć pobieżnie przypatrzeć.

Powstanie polskie z roku 1863-64 było koniecznym wynikiem pół wieku przeszło trwających prześladowań, spełnianych despotyczną dłonią carów moskiewskich. Oprócz tego jednakże bezpośrednio przyczyniły się do wybuchu w wielu względach wpływy zewnętrzne. Do nich należą głównie zwycięztwo sprawy narodowej we Włoszech i rozkucie polityczne Węgrów. Śmiałe i szczęśliwe operacje wojenne Garibaldiego, który czterma tylko tysiącami ochotników rozpoczął walkę dla idei narodowej, zdawały się być rękojmią zwycięztwa sprawy polskiej. Wmięszanie się Francji do stosunków we Włoszech i w ogóle prąd dążący do oswobodzania narodów, jaki się wówczas w Europie objawiał, był także potężnym czynnikiem. Polacy widzieli, że wskutek rewolucji węgierskiej przywróconą została Węgrom organizacja państwowa z przed roku 1848. Widzieli, że rząd austrjacki czuł się siłą rzeczy zmuszonym do nadania swobód, bez których rząd każdy dla narodu niewolą się staje. Trzecim wreszcie czynnikiem, mającym wpływ na wewnętrzne rozbudzenie się życia narodowego w kraju, była młodzież polska, pozostająca na emigracji. Liczne pisma i broszury przemykały się chyłkiem przez kordon i pobudzały w wysokim stopniu zapał i pragnienie czynu w przesiadującej w kraju młodzieży.

Głównym jednakże bodźcem powstania były opłakane stosunki w częściach Polski, pozostających pod moskiewskim zaborem. Kiedy się zawiedziono na liberalnych dążeniach cara Aleksandra II., kiedy poznano, że zaczynają powracać czasy Mikołaja, poczęło się szerzyć ogólne niezadowolenie. Ujrzano z czasem, że poczynione zrazu ustępstwa były raczej ominięciem kwestji niż jej rozwiązaniem. Duch liberalny Polaków poczynał być solą w oku rządu moskiewskiego. Bał się ten rząd, by go Polacy nie

chcieli uprzedzić w liberalnych reformach, pociągając w ten sposób masy za sobą. Dlatego też starano się stłumić dążenia polityczne Polaków. Drobnemi i nic nie znaczącemi próbami reform chciał rząd rosyjski siebie okazać jako źródło, z którego miało wypłynąć zadośćuczynienie żądaniom ludów. Moralny ucisk ludu sprawiał, że do każdego prawie przedsięwzięcia potrzeba było tworzyć tajemne spiski, których odkrycie groziło zawsze uwięzieniem lub wygnaniem wielu osób. Ścisła cenzura wszystkich pism polskich, nie wypuszczająca z pod prasy żadnej myśli wolniejszej, wywołała długo powstrzymywane oburzenie. Tłumione poczucie odrębności narodowej, zamachy dążące do wynarodowienia Polaków i zmoskwicenia ich, nareszcie ukrywana długo miłość ojczyzny upomniały się w końcu o swoje prawa. Tak dłużej być nie mogło. Naród kilkumiljonowy, stojący na tak wysokim stopniu cywilizacji, nie mógł tego przenieść na sobie, żeby był tyranizowany przez rząd nawpół dziki. Przeszłość dziejowa z obfitą i piękną historją, pełna wspomnień wolności, popychała ten naród do wybuchu, który się przygotowywał oddawna i który był nieuniknionem następstwem półwiekowej tyranji. Pierwsze objawy tego wybuchu nie miały na sobie charakteru wojennego i były to tylko manifestacje, był to głos narodu dopominającego się o swoje prawa.

„Jedna tylko w świecie
Moc ofiary cicha
Los gniotący zgniecie —
Oto dziejów lew!
A podłość czy pycha
To jednakie śmiecie,
Które w otchłań spycha
Lada dziejów wiew —“

pamiętne te słowa wyrzekł Krasiński na wiele lat przed pierwszemi oznakami ruchu manifestacyjnego. Jakby owiany duchem proroczym zdawał się przewidywać przyszłość. I nie pomylił się. Słowa te stały się prawie hasłem Polaków w manifestacyjnym okresie powstania styczniowego. Bo czyż nie był ten cały okres jakby jedną wielką ofiarą składaną przez

cały naród, nie mający innego puklerza nad suknię żałobną, innego głosu nad hymny kościelne i pieśń „Boże, coś Polskę?“ Tłumy ludności schodziły się na wspólne modlitwy i ani groźby, ani kule nie zdołały tego ludu rozpędzić. „Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!“ — to była jedyna odpowiedź zebranego ludu. Manifestacje takie odbywały się zarówno w Kongresówce, jakoteż na Litwie i Rusi. Wszędzie były one równie wzniosłe, równie krwawe. Jakiś dziwny zapał ogarnął serca Polaków. Utworzyła się wiara, że tylko ilość i wielkość męczeństw i poświęceń niesionych dla sprawy narodowej zdoła wywalczyć wolność. Zdawało się, jakoby temi ofiarami chciano Boga przebłagać i pobudzić jego sprawiedliwość.

Lecz oprócz tych śpiewów i modlitw ma dla nas ten okres jeszcze inne ważne znaczenie. W tym bowiem czasie zasiano ziarna, które kiedyś w przyszłości obfity plon wydadzą.

Pierwsza manifestacja odbyła się dnia 29. Listopada r. 1860. Brała w niej udział wykształcona młodzież Warszawy wespół z miejską rzemieślniczą ludnością. Zniknęła różnica stanów, zniknęły dawne uprzedzenia kastowe, i młody potomek szlacheckiej rodziny klęczał tu obok zasmolonego pracą robotnika, wzywając z nim razem Pana zastępów o wskrzeszenie rozdartej a ukochanej Ojczyzny. Młodzież stolicy złożyła w dniu tym dowód, że swym sposobem myślenia stanęła na wysokości dążeń współczesnej cywilizacji. Wolność i równość, oto idea tej młodzieży, co się chętnie zbratała z klasą pracującą, co jej podała szczerze dłoń zgody i wzajemnej miłości. Z pośród klęczących na ulicy tłumów ulatywała w niebiosa harmonijna uczuciem choć nie doborem głosów pieśń „Boże, coś Polskę.“ Ten akt ścisłego połączenia się warstw jednego narodu i zatarcia dawnych przesądów wobec wielkości wspólnej sprawy, to nietylko wzniosłe świadectwo o postępie myśli młodzieży polskiej, ale zarazem dowód, że ta młodzież zdolną była do pojęcia haseł, których echem rozbrzmiewała cała ówczesna Europa. Ten pierwszy krok ogólnej równości, to rękojmia podniesienia się w przyszłości wszy-

stkich warstw narodu, to chlubnie przebyta część tej drogi, której kresem miało być odzyskanie niepodległości. Ale nietylko na tem ograniczyła się młodzież polska, owszem posunęła się ona dalej, dążąc do równouprawnienia ludu wiejskiego. Wprawdzie nie wszystkie klasy narodu przyjęły od razu tę ideę równouprawnienia i uwłaszczenia ludu, bo nie wszystkie kierowały się temi samemi pobudkami, któremi się kierowała młodzież warszawska. Ta ostatnia czerpała swój moralny pokarm ze źródeł zagranicznych a w szczególności emigracyjnych polskich. Lecz gdy weźmiemy na uwagę, że młodzież właśnie była właściwym rewolucyjnym żywiołem, pragnącym doraźniejszymi środkami osiągnąć cel upragniony, to musimy jej przyznać, że podając rękę ludowi, rozsądnie działała dla wybawienia narodu. Gdyby nie zawczesny wybuch zbrojnego powstania, gdyby trochę czasu na uświadomienie tego ludu, by mógł pojąć ustępstwo wyższej klasy, rzeczy byłyby wzięły zupełnie inny obrót. Gdyby ten lud mógł dojść do tego stopnia doświadczenia i wykształcenia, żeby mógł uwierzyć w szczerość zamiarów powstańców i mógł pojąć doniosłość walki o niepodległość, ruszyłby się cały naród jako jeden mąż, miljony wystąpiłyby do boju; a cóżby im wówczas oprzeć się zdołało? Były to błędy, które wyniknęły prawie siłą rzeczy, ale które mogąc być naprawione w przyszłości stają się dowodami, że przy rozsądnej pracy sprawa wolności musi kiedyś zwyciężyć.

Manifestacja z dnia 27. Lutego była wymownem świadectwem, jak mało troszczył się lud stolicy o groźby a nawet kule moskiewskie. W dniu tym dążyły tłumy ludu w ścieśnionych szeregach na Leszno, daremnie odpędzane nahajkami kozaków i uderzeniami zbrojnych konnych żandarmów moskiewskich. A kiedy zniecierpliwiony moskiewski generał Zabołockij zakomenderował „ognia“ i kiedy padły pierwsze ofiary, wówczas powróciły tłumy do domów, unosząc z sobą pięć trupów. Cały naród przybrał teraz żałobę, pozamykano teatry i żądni zabaw mieszkańcy Warszawy wyrzekli się dobrowolnie wszelkich uciech w obliczu niedoli i smutku.

Dnia 2. Marca odbył się pogrzeb zabitych. Sto tysięcy ludności odprowadzało zwłoki we wzorowym porządku bez najmniejszej interwencji ze strony moskiewskiej policji. Obowiązek straży honorowej spełniała młodzież warszawska. Wówczas to odezwano się do żydów po raz pierwszy w te słowa: „Braćmi są sobie dzieci jednej ziemi.“ Duchowieństwo zaś żydowskie wydało okólnik do wszystkich synagóg w kraju, wzywając wszystkich żydów do współudziału w dziele wywalczania niepodległości. A znachodziły się w tym okólniku między innymi także ustępy podobnej treści, jak: „Bracia Izraelici! Odwaga i męztwo! Przyjmujemy z wszelką gotowością dłoń nam podaną. Wspierajcie ich w szlachetnych usiłowaniach, „bo dobro ich jest dobro wasze“ itd. Oto znowu jeden krok na drodze do wolności i wyjarzmienia. Znikają uprzedzenia i dłoń bratnia wyciągnięta ku tym, których się długie czasy prawie nie uważało za ludzi. I jak chętnie, z jaką radością ją przyjęto? Wszelkie różnice jakby nie istniały, bo świętość sprawy wszystkich czyni innymi w swojem obliczu. Widzimy, że idee równości odnosiły się także do różnic wyznaniowych. Najwyższa tolerancja wszystkich wyznań, to także jedno z dążeń mających na celu pociągnięcie wszystkich do walki za jedną sprawę. To jedna część pracy nad obaleniem niecnej potęgi przemocy i despotyzmu. Polacy okazali tem, że umieją uszanować to, co drugim jest drogiem i złożyli w ten sposób dowód, że tym szacunkiem poprowadzą kiedyś wszystkich katolików i niekatolików, żydów i nieżydów do walki dla idei wszystkim wspólnej.

Dzień 12. Sierpnia jako rocznicę unii Litwy z Polską postanowiono obchodzić uroczyście w całej Rzeczypospolitej. Zniesiono na ten dzień wyjątkowo żałobę i urządzono zabawy ludowe. Szlachta w strojach włościańskich bawiła się ochoczo wraz z ludem. Po raz to pierwszy zbliżały się wówczas różne stany z taką szczerością do siebie. Tu już nawet zamożna szlachta, będąca z początku przeciwną równouprawnieniu włościan, uznała potrzebę zbliżenia się do nich. Teraz już nietylko młodzież, ale i stara rodowa szlachta poczęła pracować nad wspólnem dobrem, zapo-

minając o przywilejach i równając się z ludem. Społeczeństwo a mianowicie wyższe jego warstwy przyszły wreszcie do przekonania, że ruch narodowy jeżeli ma być skuteczny, to musi się oprzeć na całym narodzie, zarówno na ludzie, jak i szlachcie. Jest to dowodem rozszerzenia się poglądu na stosunki społeczne i ściślejszego brania ich w rachubę. Ale ta szlachta, która się z początku tak przeciwną okazywała wszelkim nowatorstwom, poszła dalej. Uznała ona potrzebę kształcenia tego ludu wpierw, nim go będzie można użyć do zbrojnego wystąpienia przeciw przemocy. List z kraju jest wymownem tego świadectwem. Wypowiada on między innemi, potrzebę oparcia się na ludzie:

„Najpierwszem i najpilniejszem zadaniem, do którego rąk i serca przyłożyć potrzeba, jest przejednanie ludu, uczynienie go bracią naszą i narodem. Jeżeli lud nie będzie nasz, i Polska naszą nie będzie. Tylko nadanie własności przywiązać może do kraju i praktycznie helotów uczynić obywatelami jego. Słowa nie nawrócą, tylko czyn.“

Potrzebę uświadomienia ludu w ten sposób wypowiada list z kraju:

„Obok uwłaszczenia pierwszą potrzebą jest oświata. Nie należy się sprzeczać, kto szkółki zakładać będzie, targować o to, kto ma nauczyciela opłacać; muszą one być choćby kosztem ostatniej naszej koszuli.“

Czy nie wzniosłe to słowa, czy to nie dowód gorącej miłości Ojczyzny? Zaiste nie może zginąć naród, który takich obywateli posiada, którego poświęcenie w czynie do tego dochodzi stopnia. Doszli już do tego przeświadczenia, że wpierw trzeba oświaty, lecz nie było czasu na wykonanie tego wszystkiego, co tak chlubnie rozpoczęto. Jest to jednakże w każdym razie dowodem, że w szlachetnej części narodu wygasły już kastowe przesądy. Dowodem tego, że tylko dłuższego obcowania z tym ludem potrzeba, by go zrobić ufnym i uczynić z niego właściwy żywioł w walce o niepodległość, jest postępowanie klasy rzemieślniczej w latach 1861-62. Przez

to, że więcej byli zbliżeni do ogniska życia narodowego, przejęli się całem sercem jego sprawą. Byli to najlepsi agitatorowie sprawy polskiej i tworzyli dzielną propagandę między ludem, który ich jako biedniejszych chętniej na swe łono przyjmował i chętniej im wierzył. Osobliwie lud litewski łatwo się dał przejednać dla sprawy narodowej i nie zważając na poduszczenia rządu, brał żywy udział w manifestacjach i wysoką czcią otaczał bohaterów Polski.

Przypatrzmy się teraz, co zrobił okres manifestacyjny pod względem różnic narodowościowych. Ruś, Litwa i Korona miały walczyć o swą dawną jedność i o wspólną niezawisłość. Zasadą Polaków w okresie manifestacyjnym było: Litwin, Rusin i Polak to bracia, a bracia prawdziwi, bo nie przemocą do braterstwa zmuszani, bo nie nakłaniani mieczem do wspólnego obok siebie istnienia. Zbratani dobrowolnie i dobrowolnie jedną tworzący całość, krew mają przelać za nią, gdy będzie tego potrzeba. Jedność ta narodowościowa jest i będzie zawsze zakładnikiem, że sprawa odzyskania wolności dojdzie do upragnionego celu. Wspomnienie tego zbratania i podania sobie dłoni w chwili ucisku i niedoli, w obec wspólnego potężnego wroga, będzie stało na straży tej spójni pobratymczych narodów. Nie pozwoli ono, by te braterskie stosunki w ciężkich chwilach miały się rozluźniać lub co gorsza zerwać. W chwili zaś stanowczej poprowadzi wszystkich prawych synów tych narodów pod jednym wspólnym sztandarem. Jak wówczas przy końcu manifestacyjnego okresu Polacy, Rusini i Litwini śpiewali każdy w swoim języku jedną pieśń „Boże, coś Polskę", tak kiedyś dopomną się wspólnych praw idąc do boju z jednem hasłem na ustach. Ten fakt właśnie serdeczniejszego nawiązania stosunków wszystkich trzech narodów w r. 1863 jest dowodem łączności tych narodów, która się dopiero w stanowczej uwidocznia chwili.

Cały w ogóle okres manifestacyjny jest jakoby jednym długim i wyczerpującym niemal dowodem, że duch i życie narodu, co się ani tyranją, ani

uciskiem, ani nawet złą wolą wyjątków nie da przytłumić, ani w swych skutkach odwrócić, nie wymarły. Już w pierwszych początkach ruchu manifestacyjnego potworzyły się w Kongresówce stronnictwa o odrębnych dążeniach. Bo choć wszyscy jeden wspólny cel mieli na oku, różniono się między sobą w sprawie użycia środków. Było to stronnictwo umiarkowanych i rewolucjonistów, którzy mieli także za sobą tak zwaną ulicę. Towarzystwo rolnicze, rozgałęzione po całym kraju a składające się po większej części z zamożnego obywatelstwa, było aż do swego rozwiązania urzędową reprezentacją narodu. Wyznawało ono zasady umiarkowane i sprzeciwiało się w początkach liberalnym dążeniom młodzieży. Za pomocą reform uzyskiwanych od rządu, chciało towarzystwo rolnicze załatwić sprawę narodową. Dlatego też ograniczono się na podaniu adresu do cara Aleksandra II., żądając w nim zadośćuczynienia żądaniom narodu. Pomimo że charakter tego adresu był nad wszelką miarę umiarkowany, nawet lękliwy, to odmówił rząd żądaniom w nim zawartym w sposób despotyczny i hańbiący. Widziano zatem, że tą drogą do niczego się nie doprowadzi i żywioł rewolucyjny począł brać górę nad umiarkowanym.

Po rozwiązaniu towarzystwa rolniczego poczęły się tworzyć po miastach komitety, których zjednoczeniem był centralny miejski komitet w Warszawie. Miał on być kierownikiem czynności prowincjonalnych komitetów miejskich. W ten sposób wyrabiała się powoli organizacja narodowa, nadająca kierunek całemu ruchowi narodowemu. Ruch ten organizacyjny rozszerzał się coraz więcej po całym kraju, mając swoje organa po miastach i miasteczkach. Nawet po wsiach sprawowali sołtysi urząd komisarzy narodowych. Do organizacji należało także duchowieństwo, mające ze swej strony działać na naród. I tak cały kraj stał pod zarządem organizacji, której punktem centralnym był miejski komitet warszawski. Gdy się jednakże praca organizacyjna coraz obszerniejszą stawała, kiedy się okazało, że silniejsza tejże koncentracja jest konieczną, komitet miejski warszawski przyjął nazwę komitetu centralnego. Przez

rozmaite wypadki zachodzące w kraju, zmieniały się wyżej wymieniane stronnictwa w przodowaniu ruchu narodowego. I tak reforma wychowawcza Wielopolskiego przywróciła na jakiś czas wpływ stronnictwu białych. Rzeź z dnia 8. Kwietnia znowu ich tej przewagi pozbawiła, zwracając opinję publiczną ku rewolucjonistom. I w ogóle widzimy, że aż do wybuchu zbrojnego powstania stronnictwo białych i czerwonych w ustawicznej były walce ze sobą. Starano się, szkodzić sobie wzajemnie różnymi sposobami, lecz walka ta odbywała się tylko wewnętrznie i tajemnie. Zewnętrzne wypadki wpływające kolejno na zwycięztwo jednego lub drugiego stronnictwa, mogły być przez jedno z nich wywołane, lecz działo się to sposobem tajemnym bez użycia broni zdradzieckiej. Szkodzono sobie wzajemnie tylko tem, że się siebie w korzystnem starano przedstawić świetle. Nie było w tej walce nigdy denuncjacji, nie było nigdy zdrady. Walczono wprawdzie, ale walczono bronią szlachetną. Nienawidzono się, lecz nie podawano sobie trucizny. Oto dowód umoralnienia się narodu. Ucisk i niewola wytworzyły to umoralnienie i wzniosły do niesłychanych wyżyn. Wrogowie zdań stawali się braćmi w czynie w obliczu jednego wspólnego nieprzyjaciela. Czy to nie rękojmia na przyszłość? Knut i ciemięztwo zamiast uniżenia i serwilizmu popycha ten naród do coraz większej potęgi moralnej. Naród zamiast upadać i podleć, podnosi się i mnoży się siłą ducha. I czegóż to dowodzi? Oto, że ten naród ciągle gnębiony i poniżany w opinii innych narodów, moralnie potężnieje coraz bardziej. Im większa niewola, tem szybszy wzrost siły moralnej.

Po długiej walce stronnictw zdarzył się wreszcie wypadek, który przyspieszył wybuch powstania. Skutkiem nacisku strony rewolucyjnej wysłano do Paryża Godlewskiego, członka komitetu centralnego z pieniędzmi po zakupno broni. Tam aresztowano go wraz z innymi, lecz po zrewidowaniu papierów, jakie ze sobą mieli, odesłano ich z powrotem. Odpis tychże papierów wręczono jednakże ambasadorowi rosyjskiemu Budbergowi, który je wysłał do Wielo-

polskiego. Ten, poznawszy rozległe działanie komitetu centralnego i wynikające ztąd dla cesarstwa niebezpieczeństwo, postanowił wybuch przyspieszyć ogłaszając brankę na piętnastego Stycznia zamiast na Marzec. Poczęły się liczne aresztowania, a młodzież uciekając przed zaciągiem w szeregi moskiewskie, poczęła wędrować do lasów Serocka i do Kampinowskiej puszczy. Partja rewolucyjna wzięła teraz stanowczo górę nad umiarkowanymi i komitet centralny zmuszony parciem z zewnątrz, wydał hasło do walki, oznaczając rozpoczęcie jej na 22. Stycznia. Komitet centralny ogłosił się tymczasowym rządem narodowym i teraz w odezwie z dnia 22. Stycznią nastąpiło radykalne rozwiązanie kwestji włościańskiej. Ustęp ten brzmi w sposób następujący:

„Komitet Centralny Narodowy ogłasza wszystkich synów Polski bez różnicy wiary i rodu, pochodzenia i stanu, wolnymi i równymi obywatelami kraju. Ziemia, którą lud rolniczy posiadał na prawach czynszu lub pańszczyzny, staje się od tej chwili bezwarunkową jego własnością, dziedzictwem wieczności i t. d. Do broni więc, narodzie Polski, Litwy i Rusi! do broni! bo godzina wspólnego wyzwolenia już wybiła, stary miecz nasz wydobyty, święty sztandar Orła, Pogoni i Archanioła rozwinięty!“

Walka się rozpoczęła jak widzimy pod najświętszemi hasłami, i czemuż lud nie poszedł od razu torem powstańców? Oto błąd leży w tem, że nie wtajemniczono tego ludu w istotę organizacji i całego w ogóle ruchu. Nie wiedzieli włościanie po pierwszych ruchach, czego się mają po powstaniu spodziewać, nic więc dziwnego, że mu w pierwszej chwili nie ufali. Przez cały przeciąg powstania mamy dużo dowodów, że lud dowiedziawszy się, o co rzecz idzie, sympatyzował z powstaniem. Nawet tam, gdzie ludność wiejska z początku nieprzyjaźnie przeciw powstaniu występowała, powoli coraz więcej się do powstańców zbliżała, a pod koniec licznie wstępywała w szeregi powstańcze. Z tego widzimy, że lud nie był należycie przygotowany na wypadki nastąpić mające. Trzeba mu było dać poznać, że konieczność powstania wynika z ogólno-ludzkiej, ze społecznej

idei. Interes materjalny należało tu z tą ideą połączyć i przez dłuższe obcowanie lud ten do pojęcia tej idei przysposobić. Był to błąd pełen doniosłości w swoich skutkach, bo pozostawił bezczynnemi masy, które jedynie przewrót w stosunkach zdolne były uczynić. Potrzeba było zatem pierwej pracować nad ludem, uświadomić go do możności pojęcia sprawy społeczno-narodowej. Widzimy, że klasa mieszczańska i rzemieślnicza jako więcej ukształcona dała się porwać prądem dążeń rewolucyjnych i stanowiła w powstaniu z r. 1863-64 główny ich żywioł. Tak by się stać powinno i z ludem a wówczas sprawa narodowa stanęłaby na wysokości odwiecznych swych pragnień. To także dowód, że ścisła organiczna praca, jaką powinniśmy rozwinąć, zapewni nam kiedyś wygranie sprawy narodowej.

Przypatrzmy się teraz okresowi zbrojnego powstania. Kilkanaście tysięcy powstańców źle uzbrojonych i niewyćwiczonych w rzemiośle wojennem zdołało przez ośmnaście miesięcy stawiać opór karnej i licznej armii moskiewskiej. To dowód wytrwałości, jaki pierwszy raz spotykamy u Polaków. To rękojmia, że Polacy potrafią zwyciężać przeszkody, że nie zrażają się lada przeciwnością, ale wpatrzeni w jasne światło idei narodowej zdobędą jej panowanie i siłę. Energja rządu narodowego i sumienność jego funkcjonarjuszów dowodzi, że Polacy zdolni są do samoistnego bytu politycznego. Organizacja posiadająca własne wojsko, własne podatki, poczty i policję a mimoto tajna dla rządu moskiewskiego, zdolną była podkopać siły cesarstwa, gdyby się jej istnienie przez czas dłuższy utrzymało. Przedwczesny jednakże wybuch a w następstwie upadek powstania zbrojnego wyczerpał jej siły i uniemożebnił dalszą jej egzystencję. Co do charakteru powstania, to nie można powiedzieć, by on był czysto rewolucyjnym. Idea narodowości napełniała wówczas wszystkie umysły w cywilizowanej Europie. Kilka wybuchów przeciwko reakcji i obskurantyzmowi świętego przymierza, udanie się odzyskania niepodległości u Włochów poruszyło całą ówczesną Europę. To wszystko nie pozostało bez skutku i na Polskę. Barbaryzm i tyranja Aleksandra

drugiego wywołały ruch narodowy z roku 1863-64, który miał być charakteru czysto rewolucyjnego. Postanowiono własnym tylko zaufać siłom. To założenie właśnie wzbudziło sympatje dla powstania u innych ludów. Rządy zagraniczne, parte naciskiem opinji publicznej do powstania w obronie sprawy polskiej, miały niejednokrotnie zamiar dyplomatycznego wystąpienia. Z drugiej znowu strony stosunki polityczne państw były tego rodzaju, że nie można było nic zrobić bez narażenia się na wojnę. W sprawie polskiej były trzy mocarstwa interesowane, których ustąpienie zagrażało utratą prowincji. Już nawet Austrja, która miała Galicję z W. Ks. Krakowskiem, przychylała się przynajmniej pozornie do idei odbudowania Polski. Był to moralny tryumf Polaków. W sprawie polskiej powstała opinja całej cywilizowanej Europy, domagając się energicznego poparcia. Lecz wzajemna obrona nie dopuściła rządów do niczego stanowczego, zawiła droga dyplomacji nic nie pomogła Polakom, owszem zaszkodziła im nawet. Te kroki dyplomatyczne, poczynione przez zagraniczne dwory, obudziły w Polakach nadzieję, że obca interwencja przyjdzie w pomoc usiłowaniom narodu. I z tego właśnie powodu słabła coraz bardziej ufność w siły własne, coraz więcej oglądano się na zagranicę. W ten sposób zacierał się coraz więcej charakter rewolucyjny powstania, i do agitacji dyplomatycznej wybrano ks. Władysława Czartoryskiego. Nimbus książęcego pochodzenia, wpływowa osobistość dawały może złudną jaką rękojmię uzyskania interwencji u dworów zagranicznych, lecz podkopywały opinję Polaków u mas ludów zachodnich. Ci, którzy dotychczas w sprawie polskiej widzieli sprawę ogólnospołeczną, stracili o niej to mniemanie. Czartoryszczyzna domagała się pomocy u dworów a nie u ludów. Ludy zaś widząc, że charakter rewolucyjny znika z dniem każdym, przestały przez opinję publiczną naciskać na rządy a te pozbawione tego nacisku, nie siliły się na dalszą interwencję dyplomatyczną. I tak kiedy się Polacy najwięcej po dyplomacji spodziewali, zostali wszelkiej pozbawieni pomocy. Należało za-

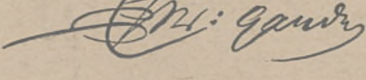
chować pierwotny charakter powstania, należało sobie tylko zaufać a nie łudzić się obietnicami, jakie otrzymywała z zagranicy Czartoryszczyzna. Idea narodowo-społeczna, będąca dziecięciem Zachodu a walcząca o wolność i uznanie z barbaryzmem Północy byłaby sympatje podniosła do najwyższego szczytu. Opinja publiczna Zachodu widząc w usiłowaniach Polaków sprawę własnej wolności, popchnęłaby swą presją rządy do czynnej interwencji a wówczas sprawa polska otrzymałaby była zwycięztwo. Stało się jednak inaczej; przyszły czasy straszliwej reakcji, czasy Bergów i Murawiewów i powstanie zostało stłumione teroryzmem rządowym w najdzikszych jego objawach. Po stłumieniu powstania wyrugowano ze szkół język polski, system wynarodowiania zaczęto przeprowadzać z całą barbarzyńską ścisłością. Bezpośrednie zatem skutki powstania były nieszczęsnemi, ale nie jest to bezpośrednią winą Polaków. Idea powstania, jego dążenia i widoki obudzą w każdem sercu i umyśle poszanowanie. Barbaryzm nie mógł tego uznać i musiał się mścić za kilka lat niepokoju, za kilkadziesiąt zamachów na jego egystencję. Lecz pośród tych ciosów stoi naród niepokonany i nieugięty a powstanie styczniowe to jedna olbrzymia rana, jaką odniósł w walce o wolność, o ideę wspólną wszystkim ucywilizowanym narodom.

I tak, choć ból nas ogarnia na widok tych pomników sławy, lecz zarazem daremnych wysiłków, tej nieszczęśliwej choć tytanicznej pracy, to ból nasz nie przemieni się w rozpacz. Bo z pośród tych mogił, z pośród tego lasu krzyżów, przyświeca nam nietylko światło idei, ale i mnóstwo tych świateł, co zapłonąwszy wówczas przyświecać nam będą i na naszej drodze. Krew za Ojczyznę wylana albo wegetacja pośród jakiego śnieżnego grobu Syberji za to, że się czuło po polsku i że się tę Polskę kochało, to wszystko szczeble prowadzące do celu najwyższych pragnień. Im więcej tych szczebli przebytych, tem bliższą jest meta do drogi. I tak groby tych szermierzy wolności, co są dla nas pomnikami boleści, są zarazem i zakładnikami wygrania dobrej sprawy. Te

jęki odzywające się do dzisiaj z dalekiej Północy a wydzierane batogami oprawców, to rękojmia lepszej a upragnionej przyszłości. To wszystko ofiary niesione z serca, ofiary składane na ołtarzu Ojczyzny z tem przekonaniem, że wielka sprawa wielkich wymaga ofiar. Tak więc jak ich rzeczą była ofiara, naszą niech będzie praca; jak oni nie ustawali w niesieniu ofiar, my nie ustańmy w pracy. Dlatego poznawszy dzieje tej szarpaniny z olbrzymią przemocą, ocenimy dokładniej całą doniosłość zdarzeń i uczcimy należycie tych, co nam drogę do wolności o tyle krótszą uczynili. Ich spuścizną jest ogólna równość, a my korzystając z tego pomnóżmy ją pracą nad oświeceniem. Jak oni byli pionierami równości, my bądźmy pionierami oświaty. Z ich korzyści uczmy się wstępować w ich ślady, z ich niepowodzeń uczmy się inne wybierać drogi, wolność zaś będzie wspólnym owocem ich ofiar i naszego znoju, a potomność uwieńczy ich aureolą męczeństwa a czas laurami zasługi.

Lwów, 7. Lutego 1890.





(Według rysunku E. Hadera a fotografji, wydanej nakładem Williama Sophusa w Berlinie.)

Z PIOSNEK

Franciszka barona Gaudy

(z portretem autora*).

1. Berliński Maj.

Słowik i czyżyk na katar
  Chorują dzisiaj aż strach,
Kryjąc się w liścia gęstwini,
Jak pod ochronny swój dach.
    Drży liść zielony dębiny,
    Drży, bo tak dżdżysto dziś tu;
    Chętnie się skryłby pod korę
    Biedny, by strzedz się od dżdżu.
Marznie kasztanu kwiat w wietrze,
Wiosen pozbywszy się złud,
Śnieg ten nie w porę i szron ten
Działa jak satyry chłód.
    Ale niech ptaszki umilkną,
    Liście niech zważy nam szron —
    Wszakże chrabąszczów ród żyje,
    W znany odzywa się ton.

---

*) Franciszek baron Gaudy urodził się w Frankfurcie nad Odrą 1800, 19. Kwietnia, † w Berlinie 1840, 5. Lutego. Pełen niewyczerpanego, prawdziwie francuzkiego dowcipu i humoru, znany jest także jako niepospolitych zdolności podróżnik i nowellista, oraz jako autor „Podróży do Włoch,“ „Nowell weneckich“ i „Humoresek.“ Obszerniejszą biografję zasłużonego tego pisarza znajdzie czytelnik w mojem dziele: „Polska w świetle niemieckiej poezji“. Wybrałem zaś do tłumaczenia dla „Roczników Samborskich“ cztery poezje Gaudy'ego, które reprezentując najrozmaitsze kierunki, najlepsze dadzą wyobrażenie o rodzaju jego twórczości poetyckiej. (Przyp. red.)

Wszak trzy tuziny policja
Wolno puściła nam w kraj,
By nie myśleli w Berlinie,
Że zakazany już Maj.

Sambor, 27. Grudnia 1890.

G. Kohn.

---

2. Pozory łudzą.

Patrz! burza bluszczu listek w gniewie swym
Porwała z gałązeczki, miota nim
W około,
I gubi się w powietrzu listka ślad;
Lecz umierając patrzy jeszcze w świat
Wesoło.
W niejednem sercu strzała śmierci tkwi,
Choć barwą życia jeszcze twarz się lśni
Jedyną.
Liść więdnie, serce truje wspomnień wąż,
Lecz ból swój kryją męczennicy wciąż
I giną.

Sambor, 27.Grudnia 1890.

G. Kohn.

3. Bez śladu.

Śniegu się krople spuszczają
Cicho, bezdźwięcznie tam w dół,
Gwiazdki skrzydlate migają
Z lodem mieszając się wspól;
Jedna się spuszcza na drugą,
Jakiż to ścisk, jakiż tłok!
Ścieżkę tworzyły tak długą,
Że nie ogarnie jej wzrok!
    Zdroje się z wiosną rozwiną,
    Budząc się z powicia snów.
    Falki mrugają doliną,
    Skacząc i srebrem lśniąc znów;
    To podskakują wysoko,
    To znów uchodzą nam w dal —
    Śladu nie dojrzy ich oko,
    Któżby obliczył bieg fal!
Z leśnych mchów gęstej obsłony
Budzi się do życia kwiat,
Słońca wzrok rozpromieniony
Już na kwiateczki te padł,
I rozwijając kielichy
Barwi je blaskiem swym już,
A jeśli znajdą grób cichy,
Któż łzę uroni, o któż?
    Tak też i w sercu poety
    Wonne się kwiateczki lśnią,
    Częściej skąpane niestety!
    Bolem, niż radości łzą;
    Kwitną te życia pierwiosnki
    I zapadają się w toń.
    Na co też kwiatki i piosnki?
    By się rozwiała ich woń.

Sambor, 29. Grudnia 1890.

G. Kohn.

4. Łzy króla.

Kwieciste opuściwszy swe zagony
Pnie się pod górę tłum nieobliczony,
Pierwsi Maurowie na Padula szczycie,
U wrót Grenady zaś ostatni w świcie.
Solenny pochód znamionują stroje,
Żałobę łez niepowstrzymane zdroje,
Broń znamionuje bitność wojownika,
Żałobę stal, co z ziemią się spotyka.
Na twardych grzbietach wory pełne mienia
Unoszą muły w miejsce przeznaczenia;
Tam się znów starzec w towarzystwie syna
Pod ciężarami — wlokąc je — ugina.
„To Boża dłoń, wskazówka oczywista!“ —
Tak mąż się żali, wzdycha fatalista;
Niemowlę tylko, które ssie pierś matki,
Nie wie, co żal, tęsknota, niedostatki.
Za wygnańcami już Ojczyzny wrota!
Do niej to rwie się żal ich i tęsknota,
Do niej to myśl, gdy oblewają łzami
Grobowce przodków popod cyprysami.
Ostatni wzrok śle z góry ku północy
Pochodu wódz, pozbawion dawnej mocy,
Boabdil, książę, co nie z zwycięztw słynie,
Sułtanka Aixa stoi przy swym synie.
Wzrok jego żegna szczyt Sierry-Newady,
I popękane mury swej Grenady,
I wał ochronny, który w walce twardej
Zdobył na Maurach syn Kastilji hardy.
Alhambry szczyty, lśniące się zdaleka,
Wtorują żalom króla i człowieka,
Co niegdyś przewodnikiem dzielnej młodzi,
A teraz tłumom wygnańców przewodzi.

U stóp namiotu Izabelli struga
Xenilu srebrna na wygnańcow mruga,
Co się puszczają trwożnie na bezdroże,
Wskazując przyszłą im Ojczyznę — morze:
To morze, co uległych bożym sądom
Uniesie, Afryki zbliżając lądom
I księcia zmusi, by kraj Maurów jasny
Za pokład na dnie statku zmieniał ciasny.
Puszcza Grenady niech zastąpi gaje,
Garstka wygnańców kwietne niegdyś kraje,
Wzrok wzgardy niech zastąpi hołdy szumne,
A poniżenie berło niegdyś dumne.
I ból się wzmaga w Boabdila łonie,
Rumieńcem wstydu twarz królewska płonie,
I łzy się cisną w oczy z siłą wstrętną,
Jak gdyby gasić chciały sromu piętno.
Wtem Aixy wzrok go karci oburzony:
„Płacz, płacz, o królu! królu bez korony.
Gdy miecza dłoń twa ująć nie umiała,
Niech leje łzy twarz twoja zniewieściała.
„Płacz, płacz niewiasto! kraju żałuj zguby,
Któregoś nie chciał bronić pełen chluby,
Patrz na twój naród, patrz na tłumy one:
Łzy twoje w oczach ich odźwierciedlone.
„Męztwo podwładnych budzi męztwo króla,
Łza przewodnika mężnych tłum rozczula.
I króla nieraz szczęścia uśmiech minie;
Lecz miasto płakać, niech król w bitwie ginie.“ —
„Grenado!“ — woła tłum wygnańców głośno,
Z Padula szczytów skargę śląc żałośną,
I ku dolinie pchają się gromady —
I Maurów wzrok nie ujrzał już Grenady.

Sambor, 30. Grudnia 1890.

G. Kohn.

NARZECZONA.

(Obrazek jakich wiele.)

Spotkali się przypadkiem na ulicy, spojrzeli na siebie obojętnie, minęli się, każde poszło w swoją stronę nie wiele myśląc o drugiem. Za parę dni znów się powtórzyło to samo, lecz on dłuższem powlókł po niej spojrzeniem, przystanął chwilkę — wtem na ratuszowym zegarze wybiła godzina, westchnął i podążył śpiesznie dalej na lekcję, nie było czasu na wałęsanie się po ulicy — praca wołała do siebie. I jeszcze kilka razy powtórzyło się spotkanie: ona przechodziła się spokojnie, choć miła twarzyczka zabarwiała się lekkim rumieńcem, nie zdradzała się z tem, że ją nieznajomy zajmuje, że go w ogóle spostrzega. Szła sama, a stroiła się w taki majestat niewieściej godności, iż żaden śmiałek się nie poważył, zbliżyć się do niej, tem mniej ten spędzający życie przy ciężkiej pracy, nie znający kodeksu światowych rozrywek, lekkich, niewinnych na pozór a zabójczych tak często.

Snać przeznaczonem było dla nich, by się poznali i co za tem idzie.

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Razu pewnego schmurzyło się nagle, deszcz lunął gwałtowny a piękna nieznajoma schroniła się do sieni i wyczekiwała, czy rychło dalej pójść będzie można. Zniecierpliwiona wychyliła się na próg, a w tej chwili właśnie nadszedł bohater nasz z parasolem w ręce. Zatrzymał się, zawahał nieco i uchylając kapelusza ofiarował parasol na jej usługi. Przy-

jęła, poszli razem — i choć nieśmieli i skłopotani, z początku ani wiedzieli, kiedy i jak powiedzieli sobie wszystko o sobie. On był słuchaczem filozofii, własną pracą utrymywał siebie, matkę i siostrę młodszą, a ona była sierotą, mieszkającą przy bracie żonatym. Dla przyniesienia ulgi braterstwu dawała lekcje muzyki i dlatego to spotykali się tak często o jednej porze. Ani spostrzegli, kiedy stanęli u celu, pożegnał ją wyrazem „do widzenia,“ dziewczyna skraśniała rzuciła mu podziękowanie za ochronę przed deszczem i znikła w sieni, a on odszedł rozmarzony, upojony, dziwnie jakoś usposobiony i znacznie weselszy.

I tak rozpoczął się romans, jakich miljony było już, jest i będzie, cichy, spokojny, bez nadzwyczajnych walk i uniesień. Lecz uczucie to, które się rozbudziło w nich obojgu, tak czyste było i ciche a tak głęboko wrosło w ich serca młode, że gdyby im rozłączyć się kazano, gdyby musieli wyrzec się siebie, potrafiliby znieść to może, lecz żadne z nich nie mogłoby zapomnieć nigdy.

Różne bo serca bywają po świecie. Jedne zimno jak głazy wszystko — śmierć matki nawet zniosą obojętnie, inni rozpalają się łatwo, wybuchają słomianym ogniem i jak on łatwo się spala, tak gasną ich uczucia, inni uczuciem się bawią jak dzieci zabawką, a innym uczucie gdy raz w serce się wpije, to wrośnie że chcąc je wyrwać, część życia się wyrywa. Takiemu sercu gdy raz przeboleć, raz zrzec się szczęścia wypadnie, to już nie ma miejsca na inne uczucie, nie ma nadziei na inne szczęście.

Zaręczyny ich odbyły się w gronie rodziny i kilku przyjaciół, i szczęśliwi pogodnie w przyszłość patrzyli i tak się im ona różową wydawała, tak strojną w złociste barwy złudzeń młodocianych, że nieraz gdyby kto ich marzeń, ich szeptów podsłuchał, litowałby się nad nimi, lecz obudzić ich ze snu, tego żalby przecież było. Wieczorami on przychodził do białego domku na przedmieściu, witany serdecznie spędzał błogie chwile na wypoczynku wśród tych, których jak własną pokochał rodzinę. Narzeczona mu

grywała a on wsłuchiwał się godzinami całemi w te boskie melodje, jakie płynęły z pod tych smukłych paluszków białych, strojnych w turkusowy pierścionek, pamiątkę zaręczyn. A grać też umiała i odczuć myśl twórcy i tonami grać na ludzkich sercach i pieśnią wypowiedzieć to, na co w mowie ludzkiej słów możeby brakło.

Dlaczego przy takim talencie nikt jej nie znał, dlaczego imię jej nie czerniło się po rogach ulic na olbrzymich plakatach, dlaczego w miejsce wyniosłej estrady skromny kątek ubogiego saloniku bratowej był areną jej popisów, dlaczego słuchaczem najczęściej jedynym był tylko narzeczony? Odpowiedź na to łatwa: była ubogą. Przed laty rodzicom lepiej trochę się wiodło, ojciec był muzykiem, z tego się utrzymywał, lecz artysta całą duszą żyjąc tylko muzyką, jako jedyną spuściznę córce swojej pozostawił to gorące uwielbienie dla muzyki i talent niezwykły, olbrzymi. Synów dwóch było, ci w świat się rozbiegli, jeden przeszedł za ocean daleki i tam szczęścia próbował, nie zgłaszając się do rodziny, a drugi ożenił się młodo i jako urzędnik niskiej kategorji pchał przed sobą te taczki żywota pracując i walcząc z losem, który go to chorobą żony, to dziatek prześladował. Więc też i niezwykłe zdolności i piękność młodej Antosi ukrytą była i nieznaną szerszemu światu. Antosia przecież szczęśliwa była, zatopiona cała w marzeniach o przyszłości, kochająca rodzinę, wychowana religijnie nie pragnęła nic nad to, co było — i była szczęśliwą.

Lecz szczęście, o jakże często okrutną sobie z ludzi igraszkę czyni!

Minął rok prawie, do kresu było niedaleko. Władysław już miał się poddać ostatniemu egzaminowi, miał wkrótce już zostać doktorem i uzyskać posadę docenta przy uniwersytecie, tymczasem praca wytężająca nad sobą samym i troski o byt matki i siostry poczęły podkopywać siły i zdrowie. Ile razy zasłuchał się wieczorem dłużej przy pieśniach Mendelssohna, tyle razy musiał noce poświęcać na odrobienie godzin spędzonych na słodkim wypoczynku. Jawiły mu się plamy ceglaste na twarzy, oddech krótszym się stawał, cera przezroczystszą, pokaszliwał tając

się z tem, ile można było. Matka, siostra, Antosia błagały go, by pracy zaniechał, by wypoczął, lecz on znając swe materjalne stosunki, wiedział, iż pracy porzucić nie można, a czuł równocześnie, iż mu życie umyka. Męczył się, szamotał myśląc, iż kilka miesięcy jeszcze przetrwa i lepiej mu będzie a później mając już stałą płacę, wypocznie, wróci do zdrowia i będzie szczęśliwym, będzie u celu.

Niestety przeliczył się ze swemi siłami. Niemoc fizyczna wzięła górę nad moralnem sił wytężeniem, musiał dnia pewnego pozostać w domu, bo pójść już nie mógł.

Wezwany lekarz przepisał środki wzmacniające, lecz zalecił równocześnie bezwarunkowy wypoczynek i konieczny wyjazd do kąpiel. Wyjazd ten miał być decydującym, bo choroba piersiowa rozwijała się groźnie, zmiana powietrza wraz z innemi środkami leczniczemi miała być jedynie pomocą.

Cóż się działo w sercu tych kobiet, które tak go kochały, — ktoby opisał! Matka i Antosia otaczały go najtkliwszemi staraniami, najserdeczniejszą pieczołowitością, lecz to co najważniejszem w kuracji być miało, rozbijało się o brak środków materjalnych. Zrozpaczonej matce myśl przyszła, by udać się do adwokata, u którego Władysław pracował w biórze. Zebrała więc biedna kobieta sił ostatek i poszła do adwokata. Mieszkanie było wytworne, wschody dywanami wysłane — zadzwoniła, weszła, kilku młodzików zmierzyło ją zimnym wzrokiem i nie wstając z krzeseł zapytało, czegoby żądała. Gdy oświadczyła, że chce się widzieć z adwokatem, wskazano jej dość niegrzecznie drzwi dalsze: poszła do drugiej i trzeciej sali, tu podobna scena się powtórzyła ze starszymi jegomościami, siedzącymi wśród obłoków dymu cygarowego. Dostała się wreszcie do biura samego pryncypała, zapukała, weszła cała drżąca — w fotelu rozparty siedział pan mecenas, przeglądając świeżą gazetkę. Zmierzył ją od stóp do głowy i zmysłem adwokackim od razu poznał, iż nie bogata klientka, lecz biedna jakaś kobieta przychodzi do niego i z poza gazety patrzył na nią chłodno tym wzrokiem,

od którego to słowa zamierają na ustach a tem bardziej prośby.

Po kilku sekundach takiej niemej tortury zdobyła się nieszczęśliwa matka na odwagę i gorącemi słowy wynurzyła mu prośbę swą i powód, dla którego do niego się udaje.

— Więc jeśli syn pani chory na suchoty, — odrzekł mecenas — to może umrzeć, któż mi zwróci w takim razie tę zaliczkę, której pani żądasz — zresztą na jego miejsce przyjąłem już innego.

Jak grom raziły ją te słowa, zaszumiało jej w głowie, pierwszy raz dopiero powiedziano jej, że syn jej umrzeć może; i to jeszcze musiano jej powiedzieć, bo nikt jeszcze takiej strasznej myśli nie miał a ona widziała może najmniej niebezpieczeństwa.

Jak wyszła, kiedy do domu się dostała, nie wiedziała prawie i dopiero kiedy Antosia ją spytała, dlaczego tak zmieniona, czy nie dostała żądanej zaliczki, — przypomniała sobie o celu swojej bytności u adwokata.

Późno wieczór wróciła Antosia do domu i tu czekała ją wielka niespodzianka, brat jej zaginiony z Ameryki przesłał dla całej rodziny dość znaczne upominki a dla Antosi kosztowny złoty naszyjnik. Z naszyjnikiem tym zjawiło się zbawienie dla Władysława. Ze łzami radości udała się jego narzeczona na spoczynek ledwie ranka doczekać mogąc, — skoro tylko sklepy otworzono, pobiegła zaraz do złotnika.

— Ile wart być może ten naszyjnik? — zapytała.

Złotnik zachwycony widocznie artystyczną robotą, przypatrywał mu się długo, ważył i wyrzekł:

— 1500 złr.

— Daj mi pan te pieniądze, chcę go sprzedać.

Spojrzał na nią zdziwiony trochę, ochłódł z pierwotnego zajęcia się naszyjnikiem i rzekł:

— 1000 mogę dać pani, więcej nie.

Po dłuższem chodzeniu tu i owdzie dostała nareszcie 1100 złr. i pobiegła do matki Władysława, upojona radością. Głośniej niż zwykle i weselej wbiegła do mieszkania, tu uderzyła ją cisza i pomięszanie jakieś na twarzy służącej. Nie pytając weszła

do pokoju chorego, lecz w progu już skrzepła jej krew w żyłach na widok, jaki jej oczom się przedstawił. Władysław leżał na poduszkach wysoko a twarz jego bledszą była niż one, uśmiechnął się do niej, lecz ledwie mógł rękę wyciągnąć. Matka siedziała jak automat i na usta zbladłe i zaciśnięte fałszywe jakieś wydobywała uśmiechy, by synowi oszczędzać widoku łez lub strasznej rozpaczy. W kątku mała siostrzyczka cichutko płakała. Później dopiero dowiedziała się Antosia, że Władysław miał silny wybuch krwi, który go tak bardzo osłabił. Przestraszyła się i zmartwiła niesłychanie, lecz jeszcze z tą nadzieją, że ona go uratuje, rozstać się nie chciała, wyczekiwała więc przybycia doktora.

Zjawił się wreszcie około południa, obejrzał, opukał chorego, zalecił spokój i odszedł. Antosia wysunęła się za nim do przedpokoju i zapytała, czy możnaby teraz wywieźć Władysława, lekarz twierdził, że trudno, że trzeba zaczekać, aż się wzmocni i sił nabierze, wykręcał się jak mógł, przecierał okulary, bo coś mu niby łzy oczy zasłaniało a chciał to złożyć na okulary — w końcu po długich zaklęciach i prośbach szorstko wyrzekł: „zapóźno,“ a poczciwy był widać, bo łza mu spłynęła po twarzy i chustką otrzeć ją musiał.

Teraz w chwili tej Antosia cios otrzymała śmiertelny, twarz jej zmieniła się strasznie, coś dzikiego, gwałtownego odbiło się w oczach, przegięła się niby kurczowo, ręce wyciągnęła jakby schwycić coś chciała i runęła na ziemię. Lekarz otrzeźwił ją, w godzinę lepiej jej było, podniosła się i powiedziała sobie w duszy:

— Teraz już nie wiem, tygodnie czy dnie tylko może z nim będę, więc chwili każdej szkoda.

Udała się do pokoju Władysława uśmiechnięta, wesoła prawie, tylko blada bardzo z sinemi obwódkami przy oczach, i od tej chwili nie odstępowała od łoża narzeczonego. Sprowadzała wszystko, co można było, by mu życia przedłużyć, zwalczyła boleść swą zupełnie, rozrywała Władysława, dodawała sił matce, była jakby w gorączce, aż rumieńcem jej nieraz twarz rozkwitała. A biedny Władysław ciągle się łudził nadzieją powrotu zdrowia, układał plany

na przyszłość, bawił się tem, rozrywał i jeśli cierpienia jego chwilowo ustawały, zdawało mu się ciągle, że to już owo zdrowie upragnione powraca.

Aż noc ostatnia nadeszła.

Skończyło się wszystko. Antosia towarzyszyła aż do mogiły ukochanemu i suchemi pożegnała oczyma ten cmentarz cichy, spokojny, który teraz w łonie swem utulił najwyższe jej szczęście. Wróciła spokojna, milcząca, aż później dopiero sił znikł ostatek, omdlała a omdleniem tem rozpoczęła się długa, uporczywa choroba. Młodość i silna budowa ciała zwyciężyły ostatecznie i Antosia przyszła do siebie i była znów jak dawniej pracowitą, dobrą, kochającą rodzinę swoją, tylko smutniejszą daleko i wcześnie bardzo wplątały się srebrzyste nitki do czarnego jej warkocza.

Janina Antonowiczówna.

DRUCIARZ,

obrazek ludowy.

Hucznie i wesoło spędza się zimowe miesiące w mieście. Bale, koncerty, szlichtady, kuligi następują dzień po dniu, zabawa za zabawą bez przestanku, bez chwili wytchnienia, a każdy rzuca się gorączkowo w wir uciech, by w nim utopić wszystkie myśli, wszystkie troski codziennego życia i pogrążyć się bodaj na chwilę w bezmyślnym szale upojenia. Nie dziw, wszakże to karnawał!

To też, począwszy od rozpartego w karecie magnata a skończywszy na biednym rzemieślniku, co sprawiwszy sobie „zapust“, hasa w szyneczku ze swą bogdanką, — wszystko śmiejące się, wesołe, szczęśli-

we, a mimo skrzypiącego mrozu ulice i place roją się wystrojonymi panami, pańmi i dziećmi.

W gwarnym i strojnym tym tłumie gubi się mizerna postać druciarczyka, co z wiązką drutu na ramieniu i torbą przez plecy przewieszoną wlecze się, nieśmiało powtarzając od czasu do czasu monotonne swoje: „Dru-to-wać!“ Lecz kto tam zwraca uwagę na takiego biedaka! Co najwięcej, że mu kto powie łaskawie: „Przyjacielu, nie krzycz mi nad uchem!“ lub spocznie na nim chwilowo jakby zdziwiony wzrok przechodnia pytającego, zkąd temu człowiekowi, zamiast użyć darów karnawału, przychodzi gust wlec się po ulicach i psuć sobie gardło przeraźliwym krzykiem.

„Drutować! drutować!“ . . . rozlega się ustawicznie, lecz turkot dorożek i gwar przechodniów głuszą tę prośbę, to kołatanie do ludzkości o pracę, o byt.

— „Drutować!“ ochrypłym już głosem powtarza biedak, a na jego twarzy głód, zimno i zwątpienie wybiły ponure swe piętna. Wszak to już cały dzień prosi o pracę, jak o łaskę i wyżebrać jej nie może; bez posiłku, spoczynku, co więcej bez nadziei zarobku nawet, przebiega może po raz dziesiąty te same ulice, zagląda do kamienic, lecz wszystko napróżno!

Tymczsem noc zapadła. Okna i wystawy sklepowe zabłysły światłem, pozapalane latarnie, ulice opróżniały się zwolna, a spóźnieni przechodnie spieszyli do domu, do ciepłego kąta lub do kasyna na „partyjkę“ i gazety. Tylko nasz druciarczyk szedł, a raczej wlókł się powoli, ze spuszczoną głową, z opuszczonemi rękoma.

Nie próbował już nawet nawoływać i wstępować do kamienic — posuwał się naprzód bezmyślnie, machinalnie, sam nie wiedząc dokąd i po co. W końcu ciężkie westchnienie wydobyło się z jego piersi:

— Boże mój, Boże! tyle tu ludu, że się w głowie mąci, a roboty ani rusz się doprosić. Chyba tu garnków nie mają? — Hej! hej! żebyto w swojej chatynce! Lecz cóż, w chacie — macierz chora, opuchła z głodu, cały ratunek dla niej, jeśli Janek przyniesie grosza, — a Janek co? Sam chyba zginie

marnie na obczyznie w mieście cudzem, wśród ludzi zimniejszych od tych ścian kamiennych! — —

Rzeczywiście też nie wiele brakowało Jankowi, by nie upadł ze znużenia i głodu. Zimno przenikało go do kości, wiatr mroźny smagał po wychudłych policzkach a nogi odmawiały posłuszeństwa. Szczęściem, że przyszedł do ławeczki, na którą osunąwszy się bezwładnie, głęboko się zadumał. O czem dumał? Nie wiem — ale dumania te nie musiały być przyjemne, kiedy po twarzy jego spłynęła gorżka, chłopska łza.

*
*   *

Jak przebył noc tę druciarczyk? Nieświetnie pewnie! Patrzcie tylko na niego. Siny, drżący, zgarbiony, stoi oparty o róg kamienicy. Nie myśli już szukać zarobku, — bo czuje — że jużby zarobić nie potrafił.

I znowu mnóstwo ludzi snuje się po placach i znowu pędzą karety, a nasz biedak patrzy bezmyślnym wzrokiem na ten ruch wielkomiejski. I dziś tak jak wczoraj, nikt nań nie zwraca uwagi, chyba jaki przechodzień ze wstrętem odsunie się na widok brudnych łachmanów. Wtem rozległ się opodal donośny, harmonijny głos dzwonów na pobliskiej wieży kościelnej i wyrwał biedaka z odrętwienia. Przytomniej rozglądnął się wokoło, spostrzegł świątynię i długi rząd pobożnych, spieszących na mszę.

— Niedziela, niedziela! — szepnął. Ludzie się cieszą, a ja drugi już dzień kawałka chleba nie widziałem. Zemrę z głodu! Aby choć jak najprędzej!

Lecz znowu stanęła mu przed oczyma chora matka.

— Umrzeć chcesz, głupi chłopcze?! a co matuś bez ciebie poczną? Ratuj się. Patrz, co tu ludu, a jaki bogaty! A ot idzie pani z książką w ręce i śliczną koronką a za nią lokaj. Bogata musi być pani i pobożna, kiedy się modli. Ot, wyciągnij rękę — szeptał mu głos jakiś wewnętrzny. — Żebrać — mruknął chłopak, i coś jakby rumieniec, przemknęło się po zsiniałej jego twarzy. - A matka zemrze z głodu — szepnął znowu głos tajemniczy.

Bogata pani była już przed druciarczykiem. Nie ma się czego tu namyślać! Janek wyciągnął rękę i jęknął coś niezrozumiale.

— Co? — pisnęła bogobojna niewiasta — w niedzielę żebrać? Zamiast się pomodlić, to ty żebrzesz? Wstydź się! Toś ty chyba nie katolik, a ja tylko katolikom daję. —

Jankowi wszystka krew buchnęła do głowy; radby się był pod ziemię zapaść ze wstydu. Skulił się i zamknął oczy, a gdy je otworzył, wtedy dobra pani już zniknęła w drzwiach kościelnych.

I znowu stał Janek i znowu patrzył na snujących się ludzi. Wtem wyszedł kapłan z kościoła. Duchowna osoba! A jaki tu naród nieużyty! nikt nie uchyli czapki, nikt go nie pozdrowi. Ale Janek wie, co się księdzu należy. Zdjął kapelusz i pocałował sługę bożego w rękę. „O! ten mnie nie odepchnął, jak się mile uśmiechnął!“ . . . Błogie uczucie ogarnęło nędzarza. A gdyby? . . . i niedokończył.

— Ojcze! — rzekł wreszcie trwożliwie. Umieram z głodu! . . .

— Synu mój! — odrzekł kapłan z powagą, grzeszysz pamiętając nazbyt o ciele; pamiętaj, co mówi Zbawiciel: nie samym chlebem żyje człowiek, ale i słowem bożem. W kościele kazanie, idź, wysłuchaj bożej nauki a Bóg ci dopomoże!

I oddalił się miłosierny pasterz.

Stłumione łkanie wyrwało się na te słowa z piersi biedaka. Kiedy kołace o chleb — dają mu naukę. Lecz grzech nie posłuchać duchownej osoby, chwiejnym więc krokiem posunął się do świątyni i z pokorą stanął u progu. Właśnie rozlegały się natchnione słowa kaznodziei: „A o jadło przecz się trwożycie? Patrzcie na wróble, które nie sieją, nie orzą, ani zbierają do gumien, a ojciec niebieski żywi je,“ — gdy to usłyszawszy Janek, obrócił się i nie przeżegnawszy się nawet, wyszedł z kościoła.

— Uciekaj ztąd, uciekaj — szeptał sam do siebie i zebrawszy wszystkie swe siły, podążył wzdłuż ulicy. A świat był tak piękny, tak rojny, tak wesoły, — cóż tam komu do tego, że jemu gorączka

głodu paliła trzewia, — cóż, że jałmużny, ni pracy wymodlić nie mógł u tego śmiejącego się, szczęśliwego świata! Cóż tam komu do tego, że cierpią miljony podobnych mu, kiedy kosztem ich nędzy i poniżenia leją się dla wybrańców strugi rozkoszy, falują powabne łona nałożnic i szumią puhary, — cóż tam komu do tego, że na dnie odmętów pieniącego się szampana osiadła krew ludu, wyzysk pracy, kał i zbrodnia!

Stanął na szerokim placu, by odetchnąć chwilę. Osłabienie wzmogło się, a ciało skostniało jak kawał drewna, a szalony głód wprawił nieszczęsną swą ofiarę w pewien rodzaj gorączki.

— Niech się dzieje, co chce, jeszcze raz spróbuję! — szepnął i wyciągnął rękę do gromadki panów, którzy dopiero co wyszli z wspaniałego gmachu, na którym błyszczał złocisty napis: „Towarzystwo oświaty ludowej.“ Na widok nędzarza wystąpił jeden z panów, sięgnął do kieszeni i podał Jankowi — najświeższy numer pisemka dla ludu . . .

Szkoda, wielka szkoda, że Janek czytać nie umiał, — byłby wiele skorzystał i pewno głód zaspokoił, gdyby odczytał wybornie skreślony wstępny artykuł: „O pracy.“ Co się dalej stało z druciarzem, nie wiemy dokładnie, po dwóch dniach jednak doniosły dzienniki, że w polu za miastem znaleziono jakiegoś nędzarza, obwieszonego na drzewie. Każdy dziennik kończył tę wzmiankę jeremiadą na manję samobójstwa, która już do najniższych warstw się wciska. —

Stryj, w Lutym 1890.

Świerszcz.

FRAGMENT.

Zabierz, o Boże! wszystko z mej ziemi
Ojczystej,
I srebrną tkankę ze mgły porannej
Przejrzystej,
I z naszych gajów tych wonne kwiatów
Tysiące,
I perły rosy wśród łez tęsknoty
Świecące,
I białej brzozy warkocz zielony
Powiewny,
Dębowych lasów rozhowor cichy,
Czar rzewny,
I fali kłosów na polskim łanie
Szept cichy —
Leśnych powojów, białych konwalij
Kielichy,
I falę rzeki, która doliną
Przepływa,
I złote słonko, którem szczyt Karpat
Się zmywa,
I niechaj wioska pieśni fujarki
Odwyknie,
I cała krasa niw naszych zielnych
Niech zniknie,
Niech odgłos dzwonka pieśnią serdeczną
Nie spływa,
A wicher groźny przędzę zajęczą
Pozrywa.
Niechaj jaskółka do nas nie wraca
Na wiosnę,
I niech skowronek pieśni nie śpiewa
Radosnej . . .

Niech wszystkc zniknie, co zdobi ziemię,
O Panie!
Tylko niech szczęście i wolność dawna
Zostanie!!

W Marcu 1889.

Błękitna.

BA-BA,
SZKIC Z ŻYCIA.

I.

Słońce zachodziło właśnie, oblewając krwawą łuną lazurowe niebo. Ostatnie jeszcze błyski różnobarwnych promieni słało na ziemię, jak gdyby zdało się mówić: „dobranoc spracowanym!“

Z pól wracało znużone bydło popędzane przez pastuszków, rycząc wesoło. Ostatnie trele swych pieśni wywodziły ptaszęta żegnając słonko. Zdala słychać było smętne tony dumki ukraińskiej przygrywającego na ligawce pastuszka. Wszystko co żyło, wracało na spoczynek po ciężkiej i żmudnej pracy.

Młode i smukłe jak sarneczka dziewczę wybiegło z chaty z konewką w ręce, by zaczerpnąć wodę, nim bydełko się napoi. Zachodzące słońce zastało ją już u krynicy, wspartą na konwi, ozłacając jej blond włosy, a siwe rozmarzone oczęta patrzyły błędnie przed siebie w dal ku lasowi, czy nie ujrzą ukochanego?

Wkrótce nadjechał też młody chłopak na siwym koniku.

— Dobry wieczór! — zawołał, zeskakując z konia.

— Dobry i tobie — odrzekło płonące się dziewczę, podając mu obie ręce, a on przyciągnął je do siebie, kradnąc jej z ust całusa. Broniła mu się, nareszcie wyrwała się z objęć namiętnego chłopaka i znikła mu z przed oczu jak gdyby senne marzenie, zostawiając go w miłosnem złudzeniu. Nie było bogatszego i zwinniejszego chłopaka nad Wawrzka, mołodyce przepadały za nim, bo nikt z chłopków tak śpiewać i hulać w karczmisku nie umiał, jak Wawrzek. Niejedna matka przeznaczała go już dla swej córki, a on? on kochał tylko ubogą Wiktę, córkę biednej komornicy. Kochał ją pierwszą miłością nie zważając na inne, chociaż mu same się narzucały. Nie było jarmarku, żeby nie przywiózł jej jakiego podarunku, to paciorki, korale, to znowu chustkę lub inne jakieś błyskotki, prosząc by je przyjęła i odpłacała się wzajemnością.

Późnym wieczorem, kiedy miesiąc rogaty świecił z góry, siadywali oboje nad brzegiem ruczaju. Szerokolistna kalina zasłaniała ich przed ciekawym wzrokiem księżyca, który co chwila wychylał się z pod chmur, spoglądając ciekawie na nich, jak gdyby chciał podsłuchać mowę zakochanych. Liście szemrały cichutko pokazywając sobie nawzajem tych, których kryjąc przed wzrokiem innych cieniem swym zasłaniały. Cisza dokoła, tylko czasami wiaterek figlarz wlatywał między nie, jak gdyby chciał przysłuchiwać się rozmowie kochanków, poigrał włosami dziewczęcia, poruszył falkami rzeczułki, musnął kalinę i uleciał obok nich, unosząc ciche szepty ukrytych istot.

O! gdyby on mówić mógł, ileżby nam wtedy opowiedział!

II.

W kościółku parafialnym głosił z ambony ksiądz trzecią zapowiedź Wawrzka i Wikty. Szczęśliwi dopięli swego, za godzin kilka ksiądz połączy ich węzłem nierozerwalnym i nikt już nie będzie im na przeszkodzie. Mołodyce wiły wianek z rozmarynu przeplatając go wstążkami dla oblubienicy, inne zaś ubierały w kwiaty spodnicę i gorset.

Panna młoda już całkiem była ubraną... drżąc wyglądała kochanka. Czekała długo zasępiona i zadumana, niecierpliwość przebijała się z twarzy, zdawało się, że chwile pełzną żółwim krokiem, ale dla zakochanych minuty są wiekami. Nakoniec przybyli weselni goście z narzeczonym do domu swachy i poczęto zabierać się do pochodu weselnego. Wtem naraz jak gdyby za dotknięciem czarodzieja zbladł Wawrzek; upadł na ziemię, wijąc się w boleściach. Posłano po księdza, który w ubraniu kościelnem przybył na miejsce katastrofy, na którem Wawrzek dogorywał. Złamane niespodzianym ciosem dziewczę zamknęło usta konającemu ostatnim pocałunkiem. I tak nieubłagana śmierć rozłączyła ich oboje.

W kilka miesięcy później Wikta została matką chłopaka. O jakże był podobny do zmarłego Wawrzka — mawiała często, gładząc mu włosy u czoła dziecięcego — te oczęta, te usta koralowe były takie same jak zmarłego w oczach matki. Dziecię rok trzeci zaczęło, kiedy matka Wikty, jedyna jej podpora w rozpaczy, której często poddawała się po śmierci ukochanego, opuściła ten padół płaczu. Przerażenie Wikty trwało krótko, zrezygnowała na wszystko, oddając się wyłącznie wychowaniu małego Michasia, którego kochała niezmiernie, darząc go wszystkiem, czem mogła, odejmując sobie nieraz od ust, byle tylko pacholę głodne nie było.

Lata mijały szybko, z dziecięcia zrobił się chłopak dorosły, który pasał bydełko na pastwisku a w święta służył do mszy świętej plebanowi.

— Potulny i cichy chłopak — mawiał proboszcz do Wikty — będzie z niego kiedyś dobre dziecko i syn.

Lecz Bóg nie dozwolił cieszyć się błogiemi marzeniami kobiecie, grasująca podówczas ospa wydarła bowiem syna z objęć matki, nowę przysparzając mogiłę na cmentarzysku wiejskiem, Z rozpaczą nieszczęśliwa kobieta pochowała swoje dziecię, oddając ziemi to, co miała najdroższego w życiu. I nic już nie pozostawało jej na tym świecie.

III.

Trzy dnie i trzy noce jęcząc siedziała na świeżo co usypanej mogile jedynaka, a splótłszy ręce o krzyż dumała o swej przeszłości. Nikt nie pocieszał, nikt nie dodawał otuchy, rozgrzewając ciepłemi słowy skrzepłą z bolu duszę nieszczęsnej kobiety, każdy bowiem sobą tylko był zajęty, gdyż epidemia szerząc się dokoła coraz nowe zabierała ofiary.

— Och! i czemuż ja za nimi nie pójdę, nie złączę się z nimi — biadała kobieta — i czemuż zostałam się sama jedna opuszczona na tem pośmiecisku.

A los zdawał urągać się a blada śmierć omijała ją zdaleka, kiedy tak gorąco pragnęła jej. Głód upamiętał ją na chwilę, zerwała się wodząc błędnemi oczyma dokoła, biegnąc jak gdyby ją kto ścigał. Drzewa migały się po drodze. Włosy rozpuszczone, krew z nóg się lejąca, oddech przyspieszony czyniły ją podobną do upioru. Kilka mil biegła tak bez wytchnienia, siły opuszczać ją poczęły, upadła mdlejąc z wysilenia opodal płotu okalającego dworek wiejski. Jak długo tak leżała — nie pamięta, lecz kiedy przyszła do siebie, ujrzała się w izdebce schludnej na łożu, a obok niej siedziała druga kobieta z przygotowanemi lekami, które zażyła chora. Długo wodziła mdławem okiem po izbie aż znużona zasnęła snem głębokim. Pokrzepiona orzeźwiającym snem, odzyskała wreszcie utracone siły. Wstawszy z łoża podziękowała też dobremu państwu za opiekę i starania około niej łożone i opowiedziała przeszłość swoją. Wzruszona tem opowiadaniem właścicielka dworku, porozumiawszy się poprzód z mężem, poruczyła Wikcie maluchne niemowlę do bawienia. Nieszczęśliwa kobieta przyjęła z wdzięcznością propozycję dobrej pani i zajęła się zaraz małą dziecinką, której było na imię Herminka. Nadzwyczajną łagodnością i pieczołowitością swoją bawiła maluchne to niewiniątko, przywiązała je tak do siebie, że Herminka nie widząc jej przez dni kilka, nic do ust wziąć nie chciała, a gdy napowrót przywracano jej wychowankę,

obejmowała rączkami jej szyję i całowała pomrukując wesoło.

Pewnego razu podczas zabawy małej Herminki, która podawała do ucałowania swe rączki niańce, zawołało dziecię wesoło: „Ba-ba!“ Były to pierwsze słowa małej istotki, wołającej swoją przewodniczkę: „Baba“. Dziecię rosło szybko pod troskliwem okiem baby, a z małej Herminki wyrosła z czasem przystojna panna Hermina, która miała już konkurenta a babulka staruszka cieszyła się szczęściem swojej wychowanki.

IV.

W lat kilka później bawiła Baba najmłodsze dziecię wychowanki, która starowinkę Babę trzymała przy sobie nie chcąc jej dać poniewierać się gdzieś po kątach. Nieraz wieczorem Baba siadywała na stołeczku, otoczona dziećmi, domagającemi się bajki. Maleńki Manio także ponawiał prośbę siostrzyczek miluchnym głosikiem: „Um, um, Ba-ba“, obejmując ją rączkami za szyję. Wówczas zniewolona prośbami swoich wychowanek, (gdyż było ich czworo: Stasia, Nusia, Micia i Manio) zaczęła opowiadać, zalecając poprzód spokój i nieprzerywanie opowiadania. Przy końcu tegoż zwykle mały Mancio zasypiał snem słodkim na ręku piastunki, a ta zawołała na dziatwę swoją:

— Spać już czas dzieciaki, jutro opowiem wam dalej, bo muszę teraz Mania do snu ułożyć.

Wtedy zrywały się dziatki ze siedzeń swoich dziękując czule bawicielce za opowiadanie, a mówiąc zarazem: „Dobranoc do jutra.“ . . .

Jak zawsze było zwyczajem, tak i nazajutrz wieczorem każde zajmowało napowrót miejsce swoje około Baby z jakąś robótką dziecięcą, Stasia haczkowała, Nusia robiła drutami pończochę, Micia usypiała lalkę na ręku, a nawet mały Manio obejmował rączętami za szyję Babę, rozmawiając z nią swoim głosikiem dziecinnym. Przywiązanie dzieci do staruszki było niezwykłe, gdy były niegrzeczne, dość było powiedzieć: „Bądźcie grzeczne, bo Baba nie dostanie śniadania,“ a uciszały się zaraz, by Baba dostała

jeść. Co dzień bywało tak. Baba opowiadała losy Genowefy, cytując im nieraz, jak mały Bohuś kochał swą mamę i przedstawiając im go za wzór.

Gdy raz opowiadała im po raz już setny może ową historję, przestała mówić, trzymając kurczowo małego, wówczas zdziwione tem nagłem milczeniem dzieci dopominały się o dalszy ciąg tej rzewnej historyjki, zauważały jednak, że Baba dziwnie się patrzy i nic im nie odpowiada. Starsza wiekiem Stasia pobiegła do matki, mówiąc, że Babie się coś pewnie stało, bo nic nie mówi. Przerażona pani pobiegła ku starej kobiecie i ujrzała z trwogą, że taż już nie żyje, trzymała zmarła kobieta w ręku dzieciaka, jak gdyby na dowód, że i po śmierci czuwa jeszcze nad nim, a tenże całował zimne już usta swej bawicielki i nie wiedział, że oddaje jej ostatni pożegnalny pocałunek. Kobieta bowiem, której życie stargała miłość, dodając owoc goryczy, wychowała drugie pokolenie, wszczepiając w nie zasady cnót chrześciańskich: wdzięczność dla Boga, miłość rodziców i pobłażanie dla przyszłego pokolenia.

Lwów, dnia 15. Czerwca 1889.

Stanisław Kostro.

HEJ SOKOLE!

Hej sokole! rozwiń skrzydła,
  Ku błękitom bliżej krąż . . .
Zrzuć kajdany, stargaj sidła,
Myśli swoje z słońcem wiąż!
Hej sokole! tobie szkoda
W klatce ciasnej ginąć tak . . .

Wszak ci droga w Wiśle woda,
Wszak ci znany orłów szlak . . .
Wszak ci serce żywo bije
Do swobody — czynów dni!
W dumce kwiat wolności żyje,
Serce Polki wierne ci . . .
Tobie trzeba siły — cnoty,
Życia w kraju wielkich dusz . .
Ciebie wzmacnia sen tęsknoty,
Czas wypłynąć tobie już!
Hej sokole! wyżej! wyżej!
Niech twe oko ogniem gra . . .
Nie tkwij skrzydłem nigdy niżej . . .
Tam cię czeka Polska twa!
Tam na drodze jasnej, trudnej,
Tam wśród ofiar krwi i łez! . . .
Ona czeka w walce żmudnej,
Szepce cicho . . . przyjdzie kres.
I ty spoczniesz po mozołach,
I ty spoczniesz w gniazdku twem . . .
Lecz gdy wicher mknie po dołach,
Gdy wróg truje żądłem swem,
Gdy tak wiele łez w modlitwie,
Tyle chwastu mnoży się . . .
Gdy masz spłacić dług w gonitwie,
Czy ci wolno tonąć w mgle? . . .
Hej sokole! W górę! śmiało!
Na swobodę wypłyń raz . . .
Czas, by słonko z za chmur wstało,
Tobie wolnym być już czas!

1888.

Błękitna.

„Z tematu ludowego.“

Płynie słonko po obłoku,
Czarną chmurkę goni —
Łza się błyszczy w Zosi oku
I kwiatek drży w dłoni . . .
Jak lilija w rannej rosie
Zosia była krasna —
Kwiatek na niej w czarnej kosie
I sukienka jasna . . .
Dziś Janka biorą w szeregi,
Zosia łzawo wzdycha,
Białe liczko gdyby śniegi
Łezką rosi z cicha . . .
I w rozstaniu Janka rękę
Uściskiem z swą sprzęgła;
Łza jej spadła na sukienkę, —
I miłość przysięgła. —
Wzięli Janka i pognali
I czas szybko płynie —
Inni w dom już powracali,
O Janku wieść ginie . . .
Coś niespełna w trzy niedziele
Wiązał Zosi rękę
Świętą stułą ksiądz w kościele —
Stefek brał Zosienkę.
I już z innym zapłoniona
Serduszko swe sprzęgła —
Cisnąc pierścionek do łona
Miłość poprzysięgła . . .
Przytem była jako w rosie
Rannej lilja krasna —
Kwiatek na niej w czarnej kosie
I sukienka jasna.

Łomna, 14. Listopada 1889.

Antoni Stanisław Chołoniewski.

BIBLIOGRAFIA.

a) Gazety i czasopisma.

[Gazeta Polska, wychodząca w Czerniowcach pod redakcją Klemensa Kołakowskiego, 1890, 1891. Dokończenie roku ósmego i początek dziewiątego.]

Rozwija się z roku na rok życie polityczne na Bukowinie. I polska kolonja w Czerniowcach w ostatnich czasach liczne dawała znaki życia. Obok Czytelni polskiej, obok Towarzystwa bratniej pomocy powstało także świeżo zawiązane „Koło polskie“ dla Bukowiny, stworzone celem ubezpieczenia politycznych i socjalnych interesów polskich na Bukowinie. I „Gazeta Polska“ pod tymi samymi jak dotąd warunkami wychodzi i nadal. Myliłby się jednak, ktoby twierdził, że jej się świetnie wiedzie. My Polacy mamy to do siebie, że lubimy zawsze entuzjazmować się i szafować hojnie słowem, któremu czyn nieustannie kłam zadaje. Wiedzą o tem prawie wszystkie literackie wydawnictwa polskie w Galicji, z których większa część skutkiem braku wsparcia albo upadła, albo też ostatkami goniąc, prowadzi żywot prawdziwie męczeński. Wie o tem także „Gazeta Polska“, zmuszona ostatnimi czasy zniżyć prenumeratę kwartalną dla mniej zamożnych na 1 złr. 80 ct. Ale wychodzi przecież, a kieruje nią ta sama umiejętna ręka, która dotąd nią kierowała.

Widzimy też w fejletonie czasopisma, począwszy od numeru 15-go a zakończywszy na ostatnim, wiele cennych artykułów, o których obszerniej się rozpisy-

wać tylko brak miejsca nam zabrania. Przedewszystkiem zwraca na siebie uwagę Zygmunta Ludomira artykuł: „Więźniowie Szpilbergu ze sprawy narajowskiej.“ Omówiona w tym artykule chybiona wyprawa Celestyna Domaina i towarzyszów na Brzeżany, zakończona uwięzieniem powstańców polskich i osadzeniem ich na Szpilbergu. Autor w tym artykule historycznym podaje także ciekawe szczegóły co do sprytu powstańców w przebieraniu się. I tak Dębowski nieraz przebierał się za żyda, naśladując z łudzącem podobieństwem żydowskie zwyczaje, Wiśniewski zaś ukrywał się pod rewerendą księdza, w którem to przebraniu zaledwie wprawne oko kolegi szkolnego Szałacha odkryć i rozpoznać go mogło. Pod względem etnograficznym ciekawy także artykuł: „Spreewald i Wendowie,“ opowiadający stare zwyczaje tego szczepu słowiańskiego, skazanego na powolne wymarcie wśród nowomodnej kultury pruskiej. Artykuł historyczny Zygmunta Ludomira: „Z historji Berna i Morawy“ stanowi niejako uzupełnienie do poprzednich jego artykułów o „Wycieczce na Szpilberg“ i o „Więźniach na Szpilbergu.“ Autor powołuje się częściowo na obce źródła, częściowo zaś opisuje na podstawie własnych doświadczeń i spostrzeżeń, które, zamieszkawszy przed laty w Bernie, sam na miejscu porobił. W artykule tym wzmianki godny jest opis obrony Berna przez walecznego pułkownika De Souches, oraz krótki szkic o działalności wolnomularzy w Morawii.

Jeszcze o trzech pracach literackich, w fejletonie „Gazety Polskiej“ zawartych, musimy bodaj krótką uczynić wzmiankę, zanim to sprawozdanie zamkniemy.

Są to Zygmunta Ludomira szkic z Szewczenki: „Iwan Podkowa,“ „Pierwszy krok,“ wspomnienie przez Esem i „Wojtek Węcior,“ obrazek ludowy, skreślony przez Klemensa Junoszę. Szkic czy raczej rozbiór treści: „Iwana Podkowy,“ poprzedzony krótkim życiorysem Tarasa Szewczenki. Pan Ludomir, opisawszy nam organizację kozaków jako granicznej milicji i wojenne wyprawy atamanów czyli dowódców kozackich przeciwko Turkom i Tatarom, przytacza ustępy z „Iwa-

na Podkowy“ w własnem tłumaczeniu i kończy swoją pracę wykazaniem anachronizmu, czyli niedokładności historycznej, zawartej w poemacie Szewczenki. „Pierwszy krok,“ wspomnienie z ostatniego powstania przez Esem, odźwierciedla nam w naczelniku Skowrońskim typ niestety jeszcze często-gęsto się pojawiający blagiera, tchórza i frazesowicza, który w osobistych widokach łatwowierny lud tumani, aby go tem łatwiej gubić i oddać w ręce Moskala. „Wojtek Węcior“, obrazek ludowy krótki ale rzewny, opisuje szaleństwo chłopa Wojciecha Węciora, który zdradzony przez żonę tęże zamordował, a potem odsiedziawszy czas jakiś w areszcie śledczym a następnie w domu obłąkanych, puszczony na wolność jako nieuleczalny, ale spokojny warjat, w przystępie szaleństwa życie sobie odebrał.

Nie wspomniemy już o innych artykułach, zawartych w tym roczniku „Gazety Polskiej“, bo brak nam miejsca, a kronika lokalna pisma nie zasługuje przecież na to, aby ją z osobna omawiano.

Nowego (dziewiątego) rocznika wyszło dotąd zbyt mało, aby o jego treści szeroko się rozpisywać; bo cóż można z dziesięciu numerów wyczytać? Z fejletonów zwracają na siebie uwagę niezmordowanego pisarza Zygmunta Ludomira „Zagadkowe egzystencje,“ oraz innego autora nieskończone jeszcze „Wspomnienia starego kawalera.“ Nikogo nie zdziwi to też, że w obec powtarzających się ciągle gwałtów moskiewskich stereotypowe „Z pod rządów carskich“ stało się prawie codziennym artykułem „Gazety Polskiej.“

[Im Buchwald, dwutygodnik belletrystyczny, wychodzący w Czerniowcach pod redakcją O. I. Nussbauma. 1890.]

Pismo to założone zostało celem reprezentowania interesów literackich Niemców, zamieszkałych na Bukowinie. Tworzy ono niejako ognisko niemieckiej produkcji literackiej w Czerniowcach, ześrodkowując w sobie także prace z innych części Bukowiny a czasem i z Rumunji albo z Galicji. Zbyt krótki czas istnienia tego pisma nie pozwala już teraz kategorycznie orzec o jego treści lub wartości. Każdy początek trudny i nie od razu Kraków został

zbudowany. Chęci z pewnością są najszczersze; ale czasami radzilibyśmy przecież młodziutkiemu redaktorowi do większej cokolwiek surowości i zastanowienia się w wyborze wierszów a nieraz i artykułów prozaicznych, pochodzących od miejscowych autorów a przeznaczonych dla pisma.

Z treści prozaicznej pisma oprócz znanego już przekładu nowelli Chorośnickiego „Piotr Cygan,“ wymieniamy jeszcze niektóre inne jako najgodniejsze uwagi. Do tej kategorji należy „Makowejka“, przekład z małoruskiej nowelli Daniła Młaki: jest to rzecz na oko dość pojedyncza, ale charakteryzująca wybornie usposobienie Rusinów.

Makowejka, czyli „królowa kwiatu makowego“ (przydomek Wasyliny), jest to sierota po biednym chałupniku, uwiedziona a opuszczona przez bogatego gazdę Onufrego. Wasylina w przystępie szału chwilowego zabija sierpem podczas żniw nieślubne swoje dziecię i odpokutowuje zbrodnię swoją w więzieniu. Ale i uwodziciel Onufry, który Wasylinę porzucił, aby się ożenić z bogatą i brzydką Oksaną, nie doznaje szczęścia upragnionego i kończy dnie swoje jako nałogowy pijak, pozostawiwszy rodzinę w zupełnem ubóstwie.

„Siostry z Szipotu,“ nowella huculska Ernesta Neupauera, opisuje zdarzenie z ośmnastego stulecia, a mianowicie miłość dwóch sióstr Bukowinek Aleksandry i Marycy dla bandyty Gindy Jordaki, rzecz kończącą się tragiczną grozą otruciem wzajemnem obydwóch sióstr.

Siemiginowicza powieść: „Czyja to żona?“ opowiada jeden z tych wcale nie odosobnionych faktów wzbogacenia się ubogiego żyda Jakuba Wittingera, który za Oceanem znalazł pieniądze ale nie szczęście, a po długoletniej niebytności wróciwszy w domowe progi, żonę swoją zaślubioną widzi obcemu.

„Im Buchwald“ w pierwszym swoim roczniku jako jubileuszowym lub pośmiertnym kilku wybitniejszych literatów i poetów, umieszcza także biografie tychże i tak np. figurują w piśmie życiorysy Bauernfelda, Ferdynanda Raimunda i innych. Zapewne skutkiem odkryć Szliemanna i wywołanego

przez nie zainteresowania się Grecją, profesorowie i pedagodzy St. Wolf i A. Polaszek umieścili pierwszy artykuł o Penelopie i nieproszonych jej konkurentach, drugi o życiu kobiety starogreckiej, profesor Romstorfferjako rzeczoznawca odmalowuje nam wnętrze chaty włościańskiej na Bukowinie, znany także z kierownictwa niegdyś lwowskiej sceny pan Władysław Barącz podaje ciekawe szczegóły z swojej mapy podróżnej a lekarze Dr. Bdrf (pseudonim) i Dr. Norbert Nussbaum piszą pierwszy o influencji, drugi o kochinie i jej zastosowaniu.

Pismo „Im Buchwald“ dosyć przyzwoicie wydane i zaopatrzone licznemi nutami i illustracjami, przedstawia się bardzo korzystnie i ma przyszłość przed sobą. Powinno się jednak chociaż stopniowo, ale stale wyemancypować od wszelkich szkodliwych wpływów, przedewszystkiem zaś nie powinno ograniczyć się z lokalnego patrjotyzmu głównie na bukowińskich współpracowników pomocy, ale przypuścić do literackiego uczestnictwa bez stronniczości i bez jakichkolwiekbądź decydujących względów i względzików każdego, który potrafi piórem władać, a wtedy nie wątpimy, że pismo to, na wschodnich kresach w języku niemieckim wychodzące, wkrótce stanie na tej wyżynie, którą by sobie zdobyło, z serca mu życzymy.

[Ojczyzna, dwutygodnik wychodzący pod redakcją Hermana Feldsteina, organ Towarzystwa „Przymierza braci.“ Lwów, 1890. Rok X.]

Fale życia publicznego coraz żywszem uderzają tempem. Żyjemy i chcemy żyć. To też i „Ojczyzna“ w dziesiątym roku istnienia swego znalazła przed sobą niejedno zadanie nierozwiązane jeszcze, niejedną kwestję żywotną, którą omówić trzeba. I tak wywołały antisemityczne artykuły Bolesława Prusa, skierowane głównie przeciwko fundacji barona Hirscha, odpowiedź w artykule: „Z fali publicystycznej.“ Śmierć tak zasłużonych mężów, jakimi byli śp. Dr. Ludwik Filipsohn albo bł. p. nauczyciel Michał Wolf, poważany i lubiany tak przez żydów, jak i chrześcian, spowodowała dwa wspomnienia pośmiertne,

umiejętnie i ciepło streszczone, a działanie korzystne Augusta Abrahamsohna, żyda i wynalazcy „slöjdu“, znalazło wyraz uznania w artykule fejletonowym o nim. Uroczystość Mickiewiczowska spowodowała szereg artykułów, omawiających jego stosunek do żydów. Broszura Klemensa Junoszy: „Żydzi w miasteczkach i po wsiach“ wywołała replikę ze strony Wilhelma Feldmana, niesłychane zaś wzmaganie i rozszerzanie się literatury żargonowej spowodowało tegoż samego autora do napisania całego szeregu artykułów pod tytułem ogólnikowym: „Żargon żydowski“ (nr. 19 do 24 „Ojczyzny“).

Feldman, wychodząc ze stanowiska utylitarnego, uważa żargon żydowski za złe, które jednak nie jest koniecznem złem. Dla tego też — akceptując jego zdania — powinniśmy się starać, zwalczyć go wszystkiemi możliwemi środkami. Rozprawę autora, znanego nam z niejednej pracy literackiej, czytać można z wielkiem zajęciem; wygląda ona, szczególnie w zakończeniu swojem, więcej na historyczny zarys żargonu żydowskiego, aniżeli na pracę polemiczną. I my wcale nie jesteśmy zwolennikami żargonu żydowskiego, i zgadzamy się pod tym względem jak najzupełniej z autorem, że prawdziwie cennych dzieł żargon żydowski dotąd żadnych nie wydał. Istnieje przecież literatura żargonowa żydowska. Nie istniałaby, nie niosłaby żadnych korzyści materjalnych autorom, gdyby nie tysiące czytelników. Zkąd ich liczba, wzrastająca raczej niż upadająca? Uderzmy się w piersi. Żydzi dla tego tak chętnie konwersują łamanym i szpetnym tym językiem, odgraniczają się językiem, strojem i obyczajami od swych katolickich współobywateli, bo obawiają się nie bez przyczyny intolerancji tychże, bo pragną asymilacji tylko pod względem językowym, nie zaś pod względem swobody myśli i religji. Dowód najlepszy w tem, że w Francji, Anglji, Włoszech, gdzie każdy obywatel państwa poważany jest według swoich zasług i charakteru, a nie tylko według swojej religji, żyd jest Francuzem, Anglikiem, Włochem, jednem słowem synem i wyznawcą wspólnej Ojczyzny, a nie żargonowcem.

Z fejletonu czasopisma Towarzystwa „Przymierza Braci“ godne jeszcze wzmianki humoreska: „Mądry rabin“, Sedlaczkównej „Żydzi w wojnie o niepodległość roku 1830—31,“ „Obrazek z ulic Petersburga“, wzruszający do głębi wyjątek z dziejów martyrologji żydowskiej i inne, których jednak z braku miejsca już nie wymieniamy.

b) Książki pamiątkowe i roczniki.

[Der erste allgemeine Beamtenverein der österreichisch-ungarischen Monarchie. Geschichte seiner Gründung, Entwicklung und Thätigkeit während der ersten 25 Jahre seines Bestehens (1865 - 1890.) Im Auftrage des Verwaltungsrathes verfasst von Dr. Rudolf Schwingenschlögl. Wielka ósemka. Stronic 534. Wiedeń, 1890. Nakładem Karola Gerolda junior. Czcionkami cesarskiej drukarni we Wiedniu.]

W roku ubiegłym Towarzystwo urzędników monarchii austro-węgierskiej obchodziło dwudziestą i piątą rocznicę istnienia swego; aby zaś jubileusz ten godnie uczcić i dać ogółowi jakie takie wyobrażenie o działalności korporacji urzędników, począwszy od zawiązania jej—, postanowiono wydać historję Towarzystwa. Zadania tego podjął się z polecenia Rady nadzorczej Dr. Rudolf Schwingenschlögl, jeden z najstarszych i najczynniejszych członków Towarzystwa. Owoc jego pracy leży przed nami w księdze pamiątkowej, okazale wydanej.

Towarzystwo urzędników monarchii austro-węgierskiej, w początku założone li tylko dla ubezpieczenia swoich członków i walczące z niezliczonemi przeszkodami, w krótkim stosunkowo czasie zdobyło teren dla swojej czynności bardzo rozległy. Dziś liczy już tysiące członków, ma filje rozprószone po całej monarchii i rozporządza bardzo znacznemi kapitałami a posiada także własny gmach w Wiedniu.

Do Towarzystwa należą nietylko urzędnicy państwowi, ale i prywatni: nie brak też w niem adwokatów, notarjuszów, nauczycieli, profesorów gimna-

zjalnych i uniwersyteckich. Concordia res parvæ crescunt, maximæ delabuntur! Tej zasady trzyma się wiernie Towarzystwo urzędników i w niej leży też tajemnica jego powodzenia.

Ukonstytuowawszy się i nabrawszy sił, uczuła ta korporacja niebawem potrzebę organu, reprezentującego jej interesa i w tym celu powstała w roku 1870, 3. Kwietnia „Gazeta urzędnicza“ (Beamtenzeitung) a na wniosek obecnego prezesa Towarzystwa, c. k. szefa sekcyjnego i Radcy nadwornego przy c. k. Ministerjum spraw zewnętrznych, Barona Falke de Lilienstein — zaczął także w r. 1872 wychodzić rocznik literacki „Dioskuren“, z którego dochód przeznaczono na cel dobroczynny. O tym roczniku pomówimy obszerniej na innem miejscu; tu dodajemy od siebie tylko tę uwagę, że wydawnictwo to coraz szersze zdobywa sobie koła zwolenników, że niejeden młody talent tą drogą jedynie doszedł do znaczenia i że „Dioskuren“ także za granicą są znane i poszukiwane.

Autor na samym czele zajmującej swojej pracy zestawia dla porównania stosunki stowarzyszeń urzędniczych w obcych krajach, opisuje dział asekuracyjny Towarzystwa wysoko rozwinięty, stosunki z zagranicą, udziały w rozmaitych wystawach, wyszczególnienia i medale, zdobyte w Wiedniu, Filadelfji i Brukseli i nie omija też milczeniem wyrazów uznania, szafowanych hojną ręką Towarzystwu przez kompetentnych.

Podziwiać należy cierpliwość autora, który nietylko tam, gdzie się rozchodziło o zestawienie faktów, ale i tam, gdzie się o stokroć żmudniejszą i niewdzięczniejszą pracę zestawienia cyfr rozchodziło, nie tracił kontenansu, i w niezliczonych tabelach i cyfrach wykazuje całą zewnętrzną i wewnętrzną ekonomję Towarzystwa.

[Die Dioskuren. Rocznik literacki Towarzystwa urzędników monarchii austro-węgierskiej. Wielka ósemka. XX. Rocznik. Stronic 575. Wiedeń, 1891. Nakładem Towarzystwa. Czcionkami cesarskiej drukarni we Wiedniu. Cena 2 złr. 50 ct.]

I tego roku nieodzowny jak zawsze, w swoim czasie okazał się tom pięknego tego wydawnictwa, odznaczającego się jak zwykle nie mniej starannością druku, jak i doborem artykułów.

Z powieści, upiększających cenne to wydawnictwo podnosimy na pierwszem miejscu Vincentego: „Świat zakazany“ i Wahlheima: „Na ciemnych drogach.“

„Świat zakazany“ wtajemnicza nas w życie mnichów, zamieszkujących olbrzymie klasztory na górze Athos, gdzie zakonnicy moskiewscy, serbscy i greccy walkę zaciętą o zwierzchnictwo z sobą staczają. „Światem zakazanym“ dla mnichów, żyjących tylko i oddychających praktyką religijną, jest według zapewnienia furtjana Arystida — kobieta. A mimo to kobieta, przebrana za mnicha — Wjera Iwanówna — dostaje się w obręb świętych murów, w których wnętrzu kryje się nieubłagany prześladowca jej i jej rodziny, były naczelnik policji Dymitr Sergijewicz, obecnie nibyto pokutujący w szacie zakonnej na górze Athos a w rzeczywistości snujący plany ambitne.

Wjera, która celem zatajenia płci swojej, kryjąc się pod mniszem odzieniem, dla zamydlenia oczu współtowarzyszów swoich imię Zenona przybrała i bytność swoją w klasztorze służbą religijną tłumaczy, robi studja malarskie, wykonuje obrazy religijne, nie tracąc z oczu celu jedynego: zemstę na Dymitrze. Rozgościwszy się w klasztorze, rozmaite nawiązuje tam znajomości: poznaje starego lekarza Nikifora, który ją wtajemnicza w intrygi rudowłosego Dymitra, korzystającego z fizycznej ułomności przeszło stuletniego igumena, aby sam zagarnąć najwyższą władzę, zapanować nad innymi zakonnikami i podszczuwać do ogólnej walki jednych przeciw drugim; Wjera w klasztorze zaznajamia się także z młodym a urodziwym, lecz cokolwiek ograniczonym zakonnikiem Dyonizem, przedstawiającym ją świętemu zakonnikowi, stuletniemu starcowi Atanazemu.

I miłość dla Dyonizego, nieznany dotąd gość, budzi się w sercu dziewczyny. Tymczasem śmierć niespodziana igumena podnieca uspione chwilowo intrygi. Występują do walki zaciętej na śmierć i życie dwie partje greckich i moskiewskich zakonników.

Grek Aleksy, aby znienawidzonego Moskala Dymitra gubić, wnosi na niego skargę do archimandryty, iż kobietę pod przebraniem zakonnika się ukrywającą wprowadził do klasztoru. Dymitr, posiadający nieograniczoną władzę nad umysłem słabym oddanego mu całkowicie archimandryty, odpiera tę skargę i za przyzwoleniem archimandryty zamyka rywala Aleksego w więzieniu klasztornem, z Wjerą zaś również za wiedzą i przyzwoleniem przełożonego zamierza udać się w drogę do Karjäs nibyto pod pozorem, aby się tam niemiłego pozbyć intruza i oczyścić sławę klasztoru.

Wjera błąkając się tymczasem samopas, widzi u nóg zmarłego igumena młodego zakonnika Dyonizego, czyniącego pokutę a odpychającego od siebie z odrazą „świat zakazany," Wjerę kobietę. Wraca Wjera do swojej celi: wszystko się dla niej skończyło. Pierwsze uczucie jej miłości odepchnięto ze wzgardą, czemże teraz dla niej życie? W tym stanie znajduje ją znienawidzony Dymitr, chcący ją uwieźć w dalekie strony. Na pozór uległa daje mu się dziewczyna uprowadzić. Ale droga wiedzie wązką kładką nad rwącym strumieniem. Wjera trąca Dymitra i oboje wpadają w przepaść niezgłębioną . . . . Jeszcze żyje nieskalany duch ojców w klasztorze na górze Athos . . .

Wahlheima powieść: „Na ciemnych drogach" opisuje wewnętrzne walki, jakie stacza z sobą żona doktora medycyny Bernda, zdradzona przez niego dla kochanki, aktorki Salsteinównej; walki zakończone wspaniałomyślnem przebaczeniem nad łożem śmiertelnem umarłej aktorki i przyjęciem synka doktora z nieprawego łoża w opiekę matczynną. Wahlheim w wszystkich swoich powieściach, jakie dotąd czytałem, głównymi bohaterami robi lekarzy, czy to w dodatniem, czy ujemnem znaczeniu. Powiedziałbym prawie, że to specjalność autora zresztą bardzo uzdolnionego, pod którego męzkim pseudonimem, jak to później sprawdziłem, kryje się — kobieta.

Grasbergera nowella artystyczna: „Każdemu, co się mu należy," odmalowuje nam z uroczą lekkością stylu grzeszki młodociane, ale też niezepsute i złote serce artystów wiedeńskich, przedstawionych w osobach artysty-malarza Henryka Grala i artysty-

kompozytora Józefa Jochnera, z których pierwszy częściowo idąc za namową przyjaciela, częściowo zaś za popędem serca córkę nieślubną za własne dziecię uznaje i przyjmuje, dając jej wychowanie stosowne; drugi kochankę ubogą, tracącą nadzieję zaślubienia go, zaślubia, aby odwdzięczyć się za dobrodziejstwa, wyświadczone mu przed laty przez rodziców dziewczęcia, zegarmistrza Hollera, nieżyjącego już i pozostałą po nim wdowę Teresę. Trafnie i dosadnio odmalowane w tej nowelli pseudomecenasowstwo wiedeńskich baronów giełdowych, wspierających sztukę kosztem artystów i dla podniesienia własnego splendoru, głównie zaś dla interesu.

Wzruszającą do głębi serca jest powieść wigilijna Sary Hutzler: „Krawca Elżusia.“ Elżusia, uboga, opuszczona wnuczka starego krawca Gerhardta, zimową porą wśród nocy błąka się po ulicach miasta za jałmużną, nie dla siebie, ale dla opuszczonego, ubogiego dziadka, dla chorej babci, nie mających czem zaspokoić najgwałtowniejszych potrzeb życia. Przechodnie odpychają biedną dziecinę ze wzgardą. Jeden tylko zatrzymuje się przy dziecięciu, badając uważnie jego rysów. Jest to ojciec Elżusi, uwodziciel jej matki, która przez niego przedwczesną śmierć znalazła. Rysy dziecka przypominają mu żywcem rysy kochanki. Bierze ją więc z sobą do domu, aby porównać jej rysy z rysami jej matki, której portret u siebie ma przechowany i obdarowaną sowicie puszcza Elżusię na powrót do jej rodziny. W dwa tygodnie później, w samą wigilję Bożego Narodzenia zjawia się dziewczątko znowu u niego, aby dla swoich jako prezent świąteczny wyprosić portret matki. I co się dotąd nikomu nie udało, to uskutecznia niewinny aniołek. Starzy bowiem przebaczają skruszonemu uwodzicielowi nie żyjącej już jedynaczki i w gronie familijnem wigilja Bożego Narodzenia bywa obchodzoną jako święto pojednania.

Oprócz działu powieści, któregośmy powyższem sprawozdaniem bynajmniej jeszcze nie wyczerpali, dział dramatyczny również nie po macoszemu traktowany w książce. Dwudziesty rocznik wydawnictwa zawiera oprócz trzeciego aktu historycznego dramatu

Ludwika Doczy: „Marja Széchy," jeszcze Alfreda Formeya trzyaktowy dramatyczny poemat: „Herophile" i Dra. Florjana Meissnera utwór sceniczny wigilijny (Weihnachtsspiel): „Adept."

W „Adepcie" widzimy uwidocznioną ideę, że szczęście, zdobyte w łonie familji — jedynie jest ową grudą złotą, za którą dotąd bezskutecznie rozbijają się alchymiści. Idea nie zła; ale dla przeprowadzenia jej nie trzeba było się uciekać aż do szesnastego stulecia. Razi też w tym utworze scenicznym dziwna i niestosowna poniekąd mięszanina pojęć szesnastego i dziewiętnastego wieku, objawiająca się szczególnie w rozmowie mistrza Henryka vom Gewerch z jego uczniem Luitpoldem.

„Herophile" Formeya, odznaczająca się nadzwyczajną muzykalnością i wdziękiem poetycznym, opiewa miłość idealną pasterki Herophili ku Apollinowi i zwycięztwo światła nad ciemnością piekieł, uwidocznioną w jędzach prześladujących Neoptolema i w pasterzu Kallinosie, wyzywającego zuchwale potęgę Apollina, który się mści nad nim pozbawiając go wzroku i miażdżąc w prochu opór bakchantów i bakchantek.

Dramat Doczy'ego: „Marja Széchy" — mimoto iż tylko w trzecim, końcowym akcie streszczony — pełen siły i życia, odmalowuje walki stronnictw: cesarza Ferdynanda i księcia siedmiogrodzkiego Rakoczego. Forteca Murany oblężona przez wojsko cesarskie, dostaje się w ręce Wesseleny'ego a piękna wdowa Marja Széchy, traktowana niegodziwie przez szwagrów swoich i przez księcia, dla którego się poświęciła, przechodzi z jego obozu w obóz przeciwny cesarskich, zaślubiając zwycięzcę Wesseleny'ego.

Dział opisowo-pamiątkowy książki uwydatniony w dwóch biografiach a raczej pośmiertnych wspomnieniach, z których jedno 80cioletni poeta Dr. Ludwik August Frankl poświęca pamięci zawcześnie zgasłej poetki serbskiej Milicy Stojadinowiczównej, a drugi znowu Karol Gawałowski z Gracu pamięci sędziwego poety Gotfryda Leitnera, który się rozstał z tym światem 20. Czerwca r. 1890, licząc 90 lat.

Barwnie odmalowuje nam Frankl żywot Stojadinowiczówney, którą znał osobiście, z którą korespondował i z którą się zaznajomił w domu przyjaciela Stefana Wuka Karadżycza. Śp. Milica urodziła się w r. 1830 w Bukowaczu, umarła zaś jako obłąkana w Belgradzie w 40m roku życia swego. Niepomierna ambicja przy zupełnym braku uznania ze strony współziomków i przy rozmaitych nieszczęściach rodzinnych omroczyły jej zmysły, zapędziły ją do grobu. Jest to koniec, który grozi wszystkim egzaltowanym głowom, żyjącym więcej dla siebie i w sobie, niż dla ogółu. I w takiem świetle niestety! mimo wszelkich pochwał autora przedstawia nam się postać Milicy. Była Milica patrjotką, ale tylko aby błyszczeć. Ręki oddać nie chciała cudzoziemcowi, ale tylko swemu; a gdy się jej oświadczył dostojny młodzieniec serbski, odepchnęła go ze wzgardą mimo wszelkiego swego patrjotyzmu i pozwoliła na to, że zginął marnie. Nam się to wydaje jako wstrętny egoizm.

Gawałowski w swojem wspomnieniu pośmiertnem o Leitnerze opisuje według szczupłych swoich wiadomości, żywot tego cichego pracownika na polu literatury ojczystej, nie pracującego dla rozgłosu, ani nie słynącego mnogością dzieł, ale wyszczególniającego się doborem tychże. Leitner dla styryjskiej swojej ojczyzny jest tem, czem Karol Egon Ebert dla Czech a Szwab i Uhland dla południowych Niemiec. Myli się jednak Gawałowski, jeśli twierdzi, że w leksykonach i historjach literatur dotąd tylko kiedy niekiedy uczyniono wzmiankę o Leitnerze. Niechby tylko zajrzał do „Leksykonu poetów“ Franciszka Brümmera, lub do „Historji literatury“ Pawła Strzemchy.

Podnosimy jeszcze z rzeczy o zakroju więcej naukowym, zawartych w księdze zbiorowej: „Listy polityczne o Irlandji“ Gustawa Kühne, które szczególnie teraz ogół zainteresować powinne, gdy wszyscy politycy tak zajęci są walką partyjną Parnellitów i Antiparnellitów. Pogadanka Brunona Waldena (pseudonim kobiecy) „o dobrocie rozumu“ uwydatnia stanowisko, jakie w walce serca czyli uczucia a rozumu, czyli myśli i wiedzy, rozum zajmować powi-

nien. Nieraz bowiem idąc za ślepym popędem serca, mimo najlepszej woli stajemy się okrutnymi i niesprawiedliwymi, podczas gdy rozum, połączony z rozwagą, chociaż na pozór ranić się zdaje, zawsze jednak dobro ogólne, dobro bliźnich ma na oku a tem samem działa w dobrym kierunku, powodując się właśnie tem, co my nazywamy „dobrocią rozumu.“

„Biały wąż i sposób zaklinania go“, artykuł naukowo-literacki Teodora Elze, ma za podstawę zabobon dosyć rozpowszechniony pomiędzy ludem, a mianowicie, że zwyciężyć można nad szkodliwymi wężami i wytępić je, byleby się tylko starannie unikało zetknięcia się z „białym wężem“, królem ukoronowanym wężów, który każdemu niechybną śmierć zadaje, przeskakując ognie i wciągając śmiałków w przepaść. Autor stara się na podstawie badań z historji naturalnej, wykazać powstanie i znaczenie tego zabobonu.

A. Johanny w szkicu swoim „o małżeństwie“ omawia starą kwestję, czemu tyle pań się starzeje i niewychodzi za mąż, i czemu tyle istnieje starych kawalerów, i dochodzi do wniosku, że wina w tem główna wychowania, które z kobiety zrobiło emancypantkę i sawantkę, wiedzącą o wszystkiem (rozumie się płytko i niedostatecznie), a nie o tem, o czem głównie wiedzieć powinna, podczas gdy mężczyzna, którego autor pod tym względem także nie usprawiedliwia, zamiast żony dobrej, szuka jedynie — żony posażnej.

Z poezyj, których i tego roku nie brak w księdze, przedstawiającej się okazale, wymieniam jako główniejsze wiersze następnych autorów i autorek: Jana Falke: „Szalona Gretel“, Gustawa Kaczkowskiego z Jasła rzewny wiersz: „Zimno mi!“, Frydryka Pichlera: „Izaak Barrow,“ oraz drobne wiersze Kajetana Cerri, Szczepana Miłowa, Gwidona Kübecka, Dra Franciszka Brentano, W. Constanta, Anny hrabiny Huyn, wiersze innych z braku miejsca pomijając. Tłumaczeń poetycznych w porównaniu do poprzednich tomów — dwudziesty zawiera nader mało, gdyż z wyjątkiem nielicznych tłumaczeń z węgierskiego, z rugijskiego oraz przekładu z anakreontyku Giovanniego

Prati, którego się Kzjetan Cerri podjął — nie ma zresztą w dwudziestym tomie wydawnictwa literackiego urzędników monarchii austro-węgierskiej, żadnych tłumaczeń.

[1870-1890. Pamiątka zjazdu koleżeńskiego. Przez Walentego Ćwika. Lwów, 1890. Nakładem zjazdu koleżeńskiego. Mała ósemka. Stronic 44.]

Uczniowie gimnazjum Franciszka Józefa z przed dwudziestu laty postanowili obchodzić solennie dwudziestolecie egzaminu dojrzałości. Aby jednak i szersza publiczność bodaj w duchu współuczestniczyć mogła w tej uroczystości, wydali solenizanci wspólnym nakładem książeczkę niniejszą, zredagowanie jej poruczywszy chlubnie znanemu w dziejach literatury polskiej Walentemu Ćwikowi. Nie mogli też redakcji książeczki pamiątkowej w lepsze złożyć ręce. Pominąwszy szczegół, że dziełko już na pierwszy rzut oka nęci czytelnika gustowną swoją powierzchownością, to i treść niemniej jest zajmującą.

Autor po krótkim historycznym wstępie, określającym powstanie i dalszy rozwój gimnazjum Franciszka Józefa, pierwszego „polskiego“ we Lwowie, które się tak potężnie przyczyniło do budzenia ducha patrjotycznego w młodzieży, opisuje uroczystość zjazdu, toasty i przemowy, telegramy i listy gratulacyjne kolegów wstrzymanych od wzięcia udziału w uroczystości.

Jako dodatek do dziełka figuruje „Spis imienny profesorów naszych w roku szkolnym 1869—1870 i obecne ich stanowisko“, jakoteż „Spis imienny kolegów naszych w roku szkolnym 1869-1870 i wzmianka o późniejszych wypadkach ich życia“, zawierający ciekawe w krótkości streszczone biografie 56-ciu ówczesnych uczniów gimnazjalnych a następnie maturzystów, z których już 10-ciu żyć przestało. Niektórzy z tych byłych uczniów gimnazjalnych doczekali się bardzo wysokich stanowisk w społeczeństwie, niektórzy z ówczesnych egzaminatorów i profesorów są obecnie już inspektorami krajowymi, radcami szkolnymi, ale niektórzy z uczniów gimnazjalnych, który spis wymienia, umarli prawie bezpośrednio po zdaniu matury, jak np. Michał Serbeński i Jan Zawirski.

c) Wydawnictwa dla ludu i młodzieży, oraz książki naukowe.

Wydawnictwa Zukerkandla w Złoczowie. Biblioteka dla dzieci i młodzieży.

[Książeczka XIX. Wśród Indjan. Napisał Szczęsny Zahajkiewicz. Z 3 rycinami. Stronic numerowanych 74. Cena 25 ct. 1889.]

„Wśród Indjan“ maluje nam przygody rodziny europejskich osadników, która się dostała w ręce plemienia nieprzyjacielskich Indjan, ale z niewoli grożącej śmiercią, wydobytą została dzięki poświęceniu Europejczyka, przezwanego „Białym kaftanem“ i przyjaciela jego Indjanina „Orlego dzióba.“ Rzecz dosyć popularnie i przystępnie streszczona, jednak wydaje nam się być obcą. Nie jest to według naszego zdania właściwa strawa dla polskich dzieci. Rażą także niektóre drobne usterki językowe. I tak na str. 30, w 6, 7 zamiast: „objaśnił ją,“ powinno raczej być: „wytłumaczył jej;“ str. 32, w. 15, 16: „zawiodła się w swej ufności“ i str. 53, w. 2, 3: „ale Indjanie byli innego zdania“ — germanizmy to jeden i drugi. W pierwszem bowiem miejscu według Małeckiego: „zawiodła się“ wystarcza jak najzupełniej a dodatek: „w swej ufności“ zbędny; w drugiem: „ale Indjanie byli innego zdania“ (aber die Indianer waren einer anderen Meinung) byłby raczej na miejscu zwrot: „ale Indjanie myśleli inaczej.“

[Książeczka XX. O Janie Karolu Chodkiewiczu. Napisał Szczęsny Zahajkiewicz. Z ryciną tytułową. Stronic numerowanych 92. Cena 25 ct. 1890.]

Któż w najmłodszych latach życia swego nie słyszał już o dzielnych, bohaterskich czynach Karola Chodkiewicza; któż za młodu nie zagrzewał już umysłu, chciwego wrażeń, przykładem jego ofiarności, jego męztwa? Szczęsny Zahajkiewicz roztacza przed nami barwny obraz życia tego bohatera „bez bojaźni i skazy,“ tego najznakomitszego paladyna, upadającej pod brzemieniem własnego niedołęztwa monarchii

Wazów w Polsce. Widzimy Chodkiewicza zaprawiającego się już za młodu w bitkach z kolegami studentami do przyszłych walk i zwycięztw; pod Kircholmem zwycięzcą nad Szwedami; pod Smoleńskiem ucierającego się z Moskalami; pod Chocimem zdumiewającego siłą polskiego oręża dziesięciokrotną przemoc Turków, choć wówczas wiek i choroby łamać już zaczęły sprężystość Chodkiewicza. Niezgoda i intrygi dworskie stawały też bohaterowi nieraz w drodze, gdzie się rozchodziło o spieszne a skuteczne działanie. To wszystko nie ziębiło jednak zapału bohatera. Żył i umierał jako przystało na wiernego syna Ojczyzny, na prawego Polaka. Wymownemi wyrazy kończy Zahajkiewicz biografię Chodkiewicza, którą jak najgoręcej uwadze naszej młodzieży polecamy: . . . . .

„Ucz się młodzieży, że pracować dla dobra drugich i służyć Ojczyznie, to cel życia. A niekoniecznie trzeba być hetmanem aby dobrze drugim czynić, niekoniecznie walczyć z Turkami, aby służyć krajowi. Ktokolwiek jakie stanowisko zajmuje, niechaj spełnia swe obowiązki sumiennie, niech wspomaga biednych ile w jego mocy, niech żyje uczciwie i nie zapomina o tem, że jest Polakiem — a wtedy Ojczyzna nazwie go swym dobrym synem a Bóg błogosławić będzie.“

[Książeczka XXI. Wianuszek złożony z wierszyków dla dzieci. Napisał Franciszek Marzec. Wydanie ozdobowe w obwódkach. Stronic numerowanych 79. Cena 25 ct. 1890.]

Znany nam autor, który już tyle prac poświęcał i poświęca bezustannie wiekowi młodocianemu, znając go i jako nauczyciel i jako ojciec rodziny licznej, występuje w tym „Wianuszku“ z nową wiązanką wierszyków dla grzecznych dzieci. Nie możemy od tych wierszyków wymagać polotu, cechującego arcydzieła na pozór nawet najdrobniejsze naszych mistrzów. Ale są wiersze te gładkie i czyta się je z przyjemnością. Pewną melodyjność i śpiewność czuje się nawet w wierszach: „Wyście szczęśliwe,“ „Nie płacz — dziecię!“, „Z Bożem Narodzeniem“

i „Hej, do pracy!“, szczególnie zaś w ostatnim tym wierszu. Bajki i zdania moralne dopełniają bardzo korzystnie całości, którą pod każdym względem dziatwie naszej polecać możemy.

Ale praca pana Marca zawiera obok dodatnich stron w niejednem miejscu także wadliwości, choć nie co do treści, ale co do formy. I tak na stronicy 26 wiersz:

„Powiedz mi ojcze luby, uroczy“ —

li tylko dla końcówki wyszukany, razi niepospolicie niestosownością swoją.

Na stronicy 43 wiersz końcowy:

„I dziecię tak jak kwiatek
W niebieską patrzy toń,
Bo ztamtąd oko Boże
Spogląda zawsze doń“ —

kłóci się jak najwyraźniej z nauką Małeckiego. Powinno raczej być:

„I chłopczyk tak jak kwiatek
W niebieską patrzy toń,
Bo ztamtąd oko Boże
Spogląda zawsze doń.“

Skrócenia bowiem jak doń, nań, poń i t. d. nigdy, czy to w rymie czy w prozie nie mogą i nie powinne być zastosowywane do rzeczowników rodzaju żeńskiego i niejakiego, ale tylko do rzeczowników rodzaju męzkiego.

Na stronicach 61 i 62 końcówki:

„Mrówki znowu przeciwnie,
Ile miały sił,
Pracowały usilnie, (czemu nie raczej: „prze-
[dziwnie?“)
Aby zapas był“ —

albo:

„A wtem zawiał w jesieni
Strasznie mroźny wiatr,
Wyginęły motylki,
Przepadł po nich ślad. . . .“

szarpią i kaleczą ucho wadliwością swoją.

Na stronicy 79 końcówka:

„Na to mu koń: „Miły bracie,
Choćbyś drogie wdział ubranie,

To osieł osłem zostanie . . .
Każdy po uszach pozna cię!“ —
naciągana, razi wadliwością swoją. Lepiej brzmiałoby już zakończenie:

„Na to koń: Niech los twój dozna
Zmiany w jakimkolwiek względzie,
To osieł osłem wciąż będzie . . .
Każdy cię po uszach pozna!“

[Das Judenthum und die exacte Wissenschaft, ein Essay von Dr. Philipp Mansch. Lemberg. Selbstverlag. Buchdruckerei von Ch. Rohatyn. 1889. Mała ósemka. Stronic 22.]

W broszurze tej stanowiącej ostatnią literacką spuściznę, którą nam zostawił nieodżałowanej pamięci Dr. Filip Mansz, widzimy streszczone wyznanie wiary tego ponad swój stan wykształconego i filozoficznie usposobionego badacza. Na podstawie orzeczeń całej szkoły filozofów żydowskich i katolickich, stara się szanowny autor, wydedukować przyczyny chaosu, wkradającego się coraz bardziej w nasze pojęcia filozoficzne i religijne i streszcza stanowisko żydów do badań nowożytnych. Cytuje zaś jako źródła, z których czerpał Kanta, wielkiego mędrca królewieckiego, „króla filozofów,“ który nam nasze obowiązki społeczne tak jasno streścił słowami, że „obowiązek idzie przed miłosierdziem,“ cytuje filozofa katolickiego Augusta Wünsche'go i żydowskiego filozofa Abrahama Krochnala, a miejscami także ustępy starego zakonu. Pyta się autor, zkąd to pochodzi, że reprezentanci religji nieraz w sprzeczności pozostają z reprezentantami ścisłej wiedzy i dochodzi do konkluzji, że sprzeczność ta powstaje z tego powodu, iż obaj przekraczają nieraz właściwe sobie granice działania. Uczony niechaj więc religijne przedstawienia nie uważa jako ścisłą wiedzę, lecz jako symbolikę poetyczną, której zbadanie wiedzy nie może być wzbronionem; ale i ścisła wiedza niechaj badaniom swoim na polu religji nie narzuca charakteru prawodawczego. Czem jest Bóg wedle wyobrażeń starego zakonu? Nie jest on ani wyrazem osobistym, ani nieosobistym cielesnym; ale jest wyrazem wszechdobra (Gott ist identisch mit gut.) A

więc tworząc człowieka w podobieństwie swojem, nie tworzył go w podobieństwie cielesnem, ale w podobieństwie wszechdobra, w podobieństwie doskonałości, do której też dążyć powinniśmy wszelkiemi środkami.

Bez przestanku i aż do uprzykrzenia zarzucają antisemici nam wyrachowanie i egoizm. Ale nie słuchajmy li tylko na głosy takich Rohlingów, Eisenmengerów i tutti quanti, fałszujących bezczelnie historję i religję, aby zdobyć broń zatrutą z arsenału przedpotopowych zabobonów. Najlepszy dowód egoizmu żydowskiego stanowi odpowiedź rabi Hillela zagadniętego szyderczo przez poganina o treść pisma świętego, której się ów poganin chciał wyuczyć na pamięć, stojąc na jednej nodze: „Kochaj bliźniego jak siebie samego, to nasze prawo, a cała reszta, to tylko dodatek ludzki.“ W tym też sensie mówił i działał wielki filozof Mendelsohn, w tym też sensie postępuje sobie wielkiego poety, przyrodnika i filozofa katolickiego Chamissa „Abba Glosk Leczejka“, jedna z najsympatyczniejszych figur sławnego autora, w tym też sensie działają niepokaźny żyd Ben Dawid i córka jego Estera w nieocenionej powieści historycznej chrześcianina Karola Spindlera: „Żyd.“ „Winieneś kochać Twego Boga całem sercem, całą duszą i całem mieniem twojem,“ to znaczy, że „winieneś całe życie twoje poświęcić kultowi dobra, któremu świat zawdzięcza swoje istnienie.“ Żydowska religja jest religją rozumu, udowadnia to autor rozmaitemi ustępami z pisma świętego i z filozofów, zarzuty uczynione jej ogólnikowo za brak idealizmu, są więc częściowo nieuzasadnione, częściowo zaś polegają na niedokładnych i fałszywych pojęciach, tłumaczących tekst pisma świętego dosłownie a tem samem nieodpowiednio.

Rozprawa niniejsza, świetnym stylem, jasno i przekonywująco streszczona, kwalifikuje się znakomicie nietylko do specjalnie żydowskich pism, ale niepoślednie miejsce zajęłaby niewątpliwie w pismach filozoficznych, wychodzących w Niemczech, i żal prawie człowiekowi patrzyć na to, że taka cenna praca „nakładem autora“ okazać się musiała.

d) Książki mieszanej treści.

[Szymon Konarski (Szkic biograficzny.) Skreśliła Janina Sedlaczkówna. Lwów, 1890. Drukiem i nakładem drukarni ludowej. 12stka. Stronic 28. Cena 15 centów.]

Z wielkim zapałem i przekonywująco skreśliła nam autorka dzieje męczeńskie żywota „spiskowca“ Szymona Konarskiego. Jeśli cokolwiek tej pracy zarzucić musimy, to chyba to, że nieco pobieżnie streszczona, więcej zajmuje się może bohaterem samym, niż dokładnym opisem powstania. Ale nie zapomnijmy i o tem, że szersza publiczność nieraz znużoną się czuje zbyt treściwym opisem rzeczy nawet najpoważniejszych, aby więc spopularyzować rzecz, trzeba ją skrócić. Pozostało się jednak w tym rozbiorze życia męczennika sprawy narodowej wiele szczegółów dodatnich, wiele rysów ujmujących i charakteryzujących żywo i dosadnie zaparcie się Szymona Konarskiego, jego bezinteresowność i ofiarność. Nie dzielimy także zdania pewnego organu wsteczników, że ofiara Szymona Konarskiego była bezużyteczną i że nie trzeba było — jak to autorka czyni — wychwalać ją i entuzjazmować się dla niej. Gdyby każdy gwałt, dla tego, że go przemoc wykonuje, uważany był za święty i każdy opór przeciwko despotyzmowi uchodzić miał za zbrodnię, nie mielibyśmy wtedy zasłużonych mężów, nie mielibyśmy może męczenników idei, ale nie mielibyśmy także wolności myśli, a wrócilibyśmy do stanu pierwotnego służalstwa, niedołęztwa i głupoty umysłowej, od której śmierć jest milszą. Nie zapomnijmy przecież, że zawsze i wszędzie wielcy mężowie, bohaterowie i męczennicy myśli krwią i śmiercią swoją siali ziarno przyszłości. Oni — wyszydzeni i prześladowani, katowani nieraz — nie korzystali wprawdzie z swojej pracy; ale korzystała i korzysta potomność. Mamyż ich przeto potępiać? mamyż napiętnować ich usiłowania

nazwą bezużytecznych, pożałowania godnych szaleństw? Podobne konkluzje zrobić, zdolny tylko — podlec.

[Dumy historyczne Aleksandra Morgenbessera. Wydanie trzecie poprawne. Czerniowce. Drukiem H. Czoppa, 1889. Dwunastka. Stronic numerowanych 150. — Spiewy historyczne tegoż samego. Tamże, 1890. Format ten sam. Stronic numerowanych 53.]

W wymienionych przezemnie dwóch książeczkach opisuje nam znany autor „Obrony Sokołowa“ i „Myślącego burmistrza“, znawca doskonały nietylko dziejów Polski, ale skojarzonych z nią przez pewien czas Multan i Wołoszy, dzieje ubiegłe obydwóch, o ile obydwa państwa się łączą w idei polskiej. Ale podczas gdy autor w pierwszej książeczce więcej dziejami byłych księztw naddunajskich się zajmuje, to natomiast druga książeczka „jako ciąg dalszy śpiewów historycznych Juliana Ursyna Niemcewicza“ wyłącznie Polsce poświęcona. I być może, że właśnie z tego powodu pierwsza książeczka jako zawierająca szczegóły mniej znane publiczności, więcej zajmie czytelnika.

Co go zaś spowodowało do onych dum, objawia nam autor w samymże wstępie do nich:

„Zamilkły dźwięki w rodzinnej ziemi,
Wszystko tak ciche, zimne, jak głaz,
Człowiek ponury z dłońmi chciwemi,
Za zyskiem pełza, jak lichy płaz.
Uciekaj myśli, odgrzeb co było,
O starych czasach dumać tak miło!“

Wzmianki godne w tej książeczce są: „Klęska bukowińska,“ „Duma o Tomszy,“ „Zgon Tymoszka.“

W drugiej książeczce, która się zapowiada jako ciąg dalszy śpiewów historycznych Niemcewicza, na szczególniejszą zasługują uwagę: „August II.,“ „Stanisław Ledochowski“ i „August III.“

O formie poetycznej obydwóch zbiorów wolę już milczeć.

[Nowa biblioteka rodzinna. Kraków, 1890. Trzeci tomik. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna. Wydawca A. Kaczurba. Czcionkami drukarni „Czasu.“ Juliusz Turczyński. Nowelle huculskie. Treść: I. Trofym Ołenin. II. Taras z Wo-

rochty. Cena 50 centów za tom oprawny. Stronic numerowanych 184 w małej ósemce.]

Znakomicie przyczynia się ruchliwy wydawca Adam Kaczurba do budzenia ruchu literackiego w kraju. Najnowszem jego przedsiębiorstwem literackiem jest „Nowa biblioteka rodzinna,“ mająca w odpowiedną a tanią strawę umysłową zaopatrzyć szerszy ogół czytelników i wyrugować obliczone na spekulację literacką wydawnictwa wiedeńskie Bondego. O ile z wyszłych dotąd tomów wydawnictwa wnioskować można, to redakcja wzorowo wywiązała się z zadania swego.

Trzeci tom użytecznego wydawnictwa tego mieści w sobie nowelle huculskie Juliusza Turczyńskiego. Są to: „Trofym Ołenin,“ który się już w r. 1887 w druku okazał w „Gazecie lwowskiej“ i „Taras z Worochty,“ umieszczony w r. 1888 równocześnie w „Ateneum“ warszawskiem i w krakowskiej „Nowej Reformie.“ Dalszym dowodem nowellistycznych zdolności p. Turczyńskiego jest i to, że Niemcy niektóre z jego prac powieściowych w tłumaczeniach przystępnych sobie przyswoili. I tak okazała się w przekładzie na język niemiecki powieść: „Po grudach“ w piśmie wiedeńskiem: „Die Neuzeit“ pod tytułem: „Auf holprigem Wege“ a przygotowują obecnie tłumaczenie na język niemiecki „Tarasa z Worochty.“

W „Trofymie“ i w „Tarasie“ witamy zapowiedź dalszego szeregu „nowell huculskich,“ które umiejętnem swojem piórem obiecuje nam skreślić autor „Kiejstuta“ i „Niepoprawnych.“ Oby ta zapowiedź nie okazała się mylną!

W „Trofymie Ołeninie“ opisuje nam autor w rzewnych słowach losy znajdy, opuszczonego od społeczeństwa, od krewnych. Znajda ten już za młodu zahartował swe siły do następnych walk życia w walce z niedźwiedźmi. Wdowie z płonącej chaty ratuje ostatnie, jedyne jej mienie: krowę; następnie dostawszy się do wojska, z wojska przenosi się do żandarmerji; sprytem żandarmskim odkrywa szajkę rabusiów i oddaje ją w ręce sprawiedliwości, nie dając się przebłagać ani obietnicami żyda, ani prośbami wuja

Kuryła, przydybanego w bandzie opryszków. Wynadgrodzony przez zwierzchników swoich dekoracją i dożywotnią pensją, nie korzysta z niej, zraniony śmiertelnie z zasadzki przez wspólnika opryszków. Ale „przecież życie jego nie zeszło daremnie. Czuł, że spełnił obowiązek człowieka.

Kiedy się rodził, krzywiono się, że przyszedł na świat jeden więcej zjadacz chleba, który do tego mniej miał od innych prawa — ale on za ten kawał rzuconego mu chleba, stokrotnie ludziom odsłużył.“

Na równi z „Trofymem Ołeninem“ i „Taras z Worochty“ jest znajdą, dzieckiem, pochodzącem z nieprawego łoża. W siódmym roku życia swego straciwszy matkę, chłopkę mikuliczyńską, błąka się od chaty do chaty za kawałkiem chleba, poszturkiwany, napędzany wszędzie. W końcu zostaje pastuchem, pasącym gęsi i otrzymuje w walce z nieprzychylnymi mu kolegami guzy i rany tak silne, „że musiał przeleżeć całe dwie niedziele, skwiercząc z bolu i zaciskając zęby.“ Natura silna i młodociana zwycięża nad chorobą, i otóż Taras nasz powstaje z łoża boleści, aby z niezamąconym umysłem do dawnych wrócić zajęć. Awansując po szczeblach hierarchii służbowej, z pastucha gęsi przerzuca się na pastucha wołów, wreszcie na łegina czyli parobka. I tu po raz pierwszy poznaje Ołenę, córkę bogacza nieprzychylnego mu, prześladującego go na każdym kroku, bogacza, który żonie nie pozwolił, aby znajdę przytulała u siebie, aby się z nim dzieliła ciepłą strawą, aby mu pasać dała gęsi. Miłość niespostrzeżenie budzi się w sercach obojga młodych i wzrasta jeszcze, gdy Taras z niebezpieczeństwem życia Ołenę tonącą w nurtach Prutu ratuje. Ojciec dziewki, wstrętny mu bogacz, obraża jego dumę podarunkiem, składającym się z pasa z „kilciami“ i „porosznyci“ — za ratunek dziecka. Chcąc starego upokorzyć, Taras rozkochuje na gwałt dziewczynę, buntując ją przeciwko ojcu, który parę młodą znienacka podchodzi i z wstrętnym mu Tarasem bójkę rozpoczyna, w której obaj zapaśnicy z kładki wązkiej w potok Paradżyn się staczają. Rozzłoszczony Taras zmierza się już na starego, chcąc go jednem pchnięciem obalić, gdy wtem

stary ramię mściwe wstrzymuje odkryciem, iż ten, którego Taras zabić pragnął, jest jego ojcem, kochankiem owej mikuliczyńskiej żebraczki, która Tarasa na świat wydała. Taras po tem odkryciu, które całe szczęście jego życia na zawsze zniweczyło, przystaje do opryszków. Tymczasem ojciec Ołeny skutkiem owego nieszczęsnego upadku z połamanem żebrem jęcząc z bolu dostaje się do chaty. Doglądany tamże przez znachora, pielęgnowany przez żonę i córkę, przypomina sobie dawne lata, przypomina, jak opuścił pierwszą kochankę w nędzy, jak syna z nieprawego łoża Tarasa wygnał z swego domu, niechcąc mu nawet pozwolić, aby gęsi u niego pasał. Dręczą go wyrzuty sumienia: czyż taki ojciec od takiego syna lepszej mógł się spodziewać podzięki? Wieść o przystaniu Tarasa do bandy opryszkow, połączona z obawą, aby nie napadł znienacka na chatę ojca, nie zniszczył jego dobytku, nie zabił ojca a córki nie porwał — to wszystko przyczynia się niepospolicie do pogorszenia jego zdrowia, i stary umiera, nie odzyskawszy już przytomności.

Do bandy opryszków dostały się tymczasem wieści o pogrzebie starego bohacza, ojca Ołeny, w Worochcie. Jeszcze bardziej spochmurniał Taras, i chociaż dzielnym jest mołojcem, ani wyciągnąć go, ani namówić do napadów na Worochtę, gdzie tyle pogrzebał pamiątek młodości, gdzie ten umarł, który był jego ojcem, a ta żyje, dla której zapłonął ogniem zbrodniczej miłości. Nie odciąga się jednak Taras od napadów w okolicach Kut i Kosowa, „gdzie nocą napadano na samotne chaty, odległe od miasta.“

I do dworu wdowy po umarłym bogaczu a matki Ołeny spokój nie zawitał. Dobytek się marnuje, praca starego gazdy idzie na marne; uchwalają zatem, Ołenę choć przeciw jej woli wydać za młodego i barczystego chłopa. Ale smutek Ołeny jątrzy jej męża. Od swarów i kłótni przychodzi do kija. Wmięsza się i stara do sprawy, a wtedy zięć i na nią się porywa. „Była to wojna jakoby we troje.“

Tymczasem Taras, dręczony ustawicznie wyrzutami sumienia, szuka pociechy u świaszczennyka

mieszkającego w Jasieniu węgierskim a uchodzącego za znachora. Przed nim to spowiada się częściowo; ale stary odmawia mu rozgrzeszenia, dopóki niecnych swoich towarzyszów-opryszków nie odda w ręce sprawiedliwości. Taras wzbrania się tego uczynić; bo choć dzielny do boju, do rabunków i napadów, ale zdrajcą i donosicielem nigdy nie był. Wraca więc do towarzyszów, dzieląc z nimi wspólną dolę, gdy wtem wśród utarczki ze strażnikami, w której zasłania odwrót watażki i mołodców, sam „dostał tak silnie po plecach, że mu pękła łopatka.“ Wlecze się za swoimi jako kaleka niezdarny do dalszej służby. Poszturkiwany, pogardzany przez opryszków opuszcza ich dobrowolnie, a oni też puszczają go z lekkiem sercem, bo wiedzą, że zdradzić nie umie.

Próbuje więc Taras pod koniec życia swego, czyby mu się nie udało, pracą uczciwą zdobyć sobie na powrót szacunek ludzki i zapewnić przyszłość? Wynajmuje się więc jako najmita w służbę chłopską; ale służba uciążliwa przechodzi siły jego, a rany odnawiają się stare. Gospodarz podejrzywa go, że nie w obronie bydła zagrożonego, nie w walce z niedźwiedziem zdobył kresy na twarzy i łopatkę złamaną. Przyciśnięty do muru, Taras przyznaje się do wszystkiego i zostaje oddalony.

I dalej wlecze się Taras o kiju pielgrzymim; zmęczony przystanął w drodze i tu spotyka się z Ołeną, owdowiałą już obecnie. Ołena opisuje mu zajścia dni ostatnich i śmierć ojca, uspokajając go zapewnieniem, iż nie on go zabił, a „po słuchającym rozeszło się niby jasne słońce; był wzruszony. Krew uderzyła jeszcze raz żywiej na lice jego; czuł, że mu dziś jakby lepiej na sercu.“

Ale Taras sam czuje, że i dla niego ostatnia wkrótce uderzy chwila.

„Oddychał coraz ciężej, i coraz widoczniej ściągało mu się oblicze, a oczy mgłą zdawały się zachodzić. Nareszcie jęknał i zaczął charczeć, bo go chwycił ból w boku kurczowy... Ona się przestraszyła... Chciała ratować... Lecz daremnie!

„Bił jeszcze rękami, jakby chwytał powietrze,

ale sił już nie miał — i padł jak długi z rozwartemi usty, ze szklannemi oczyma...

„A gdy słońce wyjrzało z za chmury, jego już nie było.

„Tylko słychać było szept pacierzy. Ona sama jedna dziś pozostała, by przebłagać Boga za winy ojca i brata.“

Trudno nam w przybliżeniu nawet streścić wszystkie piękności mowy, na które się składają treść, język i styl w tych nowellach sielskich i swojskich p. Turczyńskiego, szczególnie w „Tarasie.“ Więc tylko jedno radzić możemy czytelnikom: czytajcie i zachwycajcie się!

Podziwiamy cierpliwość, towarzyszącą autorowi w żmudnych jego a na pozór ale tylko na pozór bezcelowych wycieczkach po szczytach Czarnohory. Jak Ebers w podróży po Egipcie zdobył materjał archeologiczny i historyczny dla swoich powieści egipskich, jak Szliemann wykopał skarby dotąd nieznane nam Mykeny i Troi, tak Turczyński jako polski Szliemann wydobywa i roztacza przed oczami zdumionemi czytelnika skarb nieznany mu: poezję gór, poezję życia hucułów!

Pragniemy, aby na tem polu literatury polskiej, leżącem dotąd odłogiem, zdobył laurów jak najwięcej; pragniemy, aby „Trofym Ołenin“ i „Taras z Worochty“ mieli licznych następców, których nam nie poskąpi umysł twórczy i pracowity autora; pragniemy, aby tego rodzaju powieści wyrugowały raz na zawsze szereg bezmyślnych i bezwartościowych romansideł i powieści, polegających li tylko na efekcie powierzchownym, i w tej błogiej myśli podajemy autorowi rękę i zasyłamy wyraz prawdziwej czci i uznania za jego niezrównane „Nowelle huculskie.“

[Henryk Merzbach. Joachim Lelewel w Brukseli (z ryciną dodatkową). Poznań, 1889. Nakładem i czcionkami drukarni „Dziennika Poznańskiego.“ Mała ósemka. Stronic 49.]

W zajmującem streszczeniu przedstawia nam Henryk Merzbach niektóre chwile z życia wielkiego naszego historyka Lelewela, spędzone na emigracji w Brukseli. Lelewel, jak wielu innych patrjotów

polskich, jak Henryk Schmitt, Wincenty Pol i inni, pochodził z rodziny niemieckiej. W pracy ustawicznej, niezmordowanej upłynęło życie tego niepospolitego człowieka i uczonego, który najwyższymi chlubiąc się zaszczytami naukowymi, prowadził mimoto życie skromne prawdziwego anachorety. Choć, jak opowiada Merzbach, „mówił dwunastu językami a w pięćdziesięciu innych nowo- i starożytnych umiał wyczytywać zdania i napisy,“ choć korespondował z najznakomitszymi uczonymi w kraju i zagranicą jak n. p. z Humboldtem i Ritterem, — to przecież to w niczem nie zmieniło trybu jego życia prostego i niewykwintnego. Jako historyk, w wszystkich z historją powszechną spokrewnionych dziedzinach był obznajomiony, celując na polu chronologji, genealogji, geografji, lingwistyki, prawoznawstwa, archeologji, numizmatyki. Józef Straszewski wylicza szczegółowo 80 dzieł, wydanych przez Lelewela od roku 1815-1833. W Brukseli, gdzie prawie 30 lat bez przestanku przebywał, niemniejszą odznaczał się gorliwością czy to w służbie publicznej, czy to na polu nauki. Z jego dzieł historycznych korzystali nietylko rodacy, ale i obcy. Bardzo stosownie do treści dziełka przedstawia nam Lelewela szkic malarza Aleksandra Lessera: „Joachim Lelewel w pracowni,“ gdzie uczonego widzimy pogrążonego w głębokiej zadumie, zapewne nad ważną jakąś kwestją naukową. Sędziwy historyk umarł w Paryżu, dokąd go prawie przeciw jego woli zawlekli przyjaciele. Dzień jego śmierci dniem żałobnym był dla całego narodu.

[Elegije i sonety Stefana z Opatówka. Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1890. Z drukarni Anczyca i Spółki. Mała ósemka. Stronic 124.]

Wielki spokój i prawdziwie rzymska powaga cechują najnowsze te utwory poetyczne brata śp. Agatona Gillera. Co do pierwszych dwóch elegij, powiedzielibyśmy prawie, że to nie elegje, ale jakieś rapsody rycerskie lub heroidy, szczególnie zaś wywołuje takie wrażenie „Testament Żółkiewskiego,“ streszczony podług autografu wielkiego hetmana. Następne znowu elegje zwracają się ku działaniom natury, za-

trzymując się przy nich i opiewając uroczą piękność przyrody polskiej, działania boże w naturze i człowieku. Forma miła i łagodna dla ucha, po większej części jambiczna bardzo szczęśliwie nadaje się do tego rodzaju wierszów. Wszystkie czyta się z wielkiem zadowoleniem i przyjemnością, tak nowe, nieznane nam, jakoteż i stare: „W dolinie i szałasie Roztoki,“ albo: „U Sikławy,“ umieszczone przed laty w „Sobótce.“ Kiedy autor w elegji, zatytułowanej: „W dolinie i szałasie Roztoki“ gościnność górali wychwala, to zdaje nam się, że się w tem miejscu elegja w idyllę przeistacza, a złudzenie to potęguje się jeszcze wykrzyknikiem w elegji: „U Sikławy“:...

„Ach, czarów kraj! po setne wołam razy,
Wybucham sercem całem,
A echem wnet lodowce mi i głazy
Wtórują i z zapałem...
Lecz góral mój zachwytu krzyk rozprasza...
„Nie żaden czarów kraj, toć przecie Polska nasza.“

Elegja „o kątku poddaszowym“ miejscami również przechodzi w idyllę. Jak barwnie i malowniczo przedstawia nam tu autor skromny i zaciszny swój kątek!

„Tronie olśnion słońc zenitem!
Kątku, kątku mój pod szczytem!
Ach! jak jesteś sercu drogi,
Ty, tak nagi i ubogi!
Ty, co cztery twoje kąty
Jeden piec ozdabia piąty,
Jeden stolik, stołek, łóżko,
Krzyż na ścianie i Kościuszko!
U stóp wodza — strzęp z kołnierza
Ojca kmiecia i żołnierza.
A—! i jeszcze dzbanek wody...
I świat ciszy, świat swobody!“

Ale myliłby się, ktoby twierdził, że lutnia Stefana z Opatówka na same tylko ciche, sielankowe, spokojne tony zdobyć się zdolna. Jak namiętnie brzmi boleść ludzka w „Zgonie królowej Barbary“, jak dziko rozszalała się miłość w obrazku z natury, zatytułowanym: „Pod skałą,“ w którym martwa skała podnosi moc miłości, wielbiąc potęgę swego kochanka, pioruna!

„Gdy on, mój mocarz, płynie, ogarnia w płaszcz
[przestwory,
A wam się słońce chmurzy i kopcą mgłami
[bory . . .
Gdy idzie — grzmotem z pod stóp wstrząsa
[wszechświatów rzesze.
Na ziemi — wszystko w strachu, a ja się jedna
[cieszę!
Gdy drga powieki rzęsą — rwą błysków się
[strumienie,
Świat blednie od błyskawic, ja jedna się ru-
[mienię!
Gromami słów gdy trzaska, zapala, lub krew
[ścina,
Zastyga serce świata, a we mnie bić poczyna!“

A „Pogrobowiec“ jak rzewnie maluje żale dziecka-sieroty, które na świat przyszło, nie oglądając matki! Oburzenie patrjotyczne na zepsucie świata, na moralne charłactwo współziomków maluje się znowu w żywych barwach w elegji, zatytułowanej: „W cichy dzień.“ Tu autor sprawiedliwemu swemu oburzeniu tak silnych i dosadnych użycza barw, że zdaje nam się prawie, iż ton elegji stopniowo w ton satyry przechodzi:

„Gdy w przeszłość plwa ta tłuszcza,
Drwiąc z śliny własnej plam,
Z bolu mnie duch opuszcza,
Czuję się strasznie sam . . .
A serce smutkiem dumne,
Gdzieś rwie się w po za świat,
Chciałoby żywcem w trumnę,
Do mogił z wielkich lat!“

Ale wnet uspakaja się umysł wzburzony, bo

„ . . . . drodzy moi bliscy,
Co legli w grobu cień,
Stawają przy mnie wszyscy
W mój rzadki, cichy dzień,
Widząc, żem bez pociechy,
Że zwisła na pierś skroń,
Wzrokiem wabią uśmiechy,
Krzepią, ściskając dłoń,

Koją jak dziecko chore,
Tęczowym blaskiem snów . . .
Ja blask ten w serce biorę
I wstaję silny, zdrów.“

Wszystkie te poezje, może niewłaściwie przezwane „elegjami,“ tak co do formy, jak i co do treści bardzo korzystne wywołują wrażenie; jeśli się zaś rozważy, że przy elegji nie wystarcza sama tylko forma elegiczna, której zresztą nawet nie wszystkie przytoczone tu wiersze wiernie przechowują, a są między niemi i takie, jak: „Droga bieda“ o zakroju i treści wprost dydaktycznej a nie elegicznej, to sądzimy, że tytuł ogólnikowy: „Elegije“ zanadto jest ogólnikowym, i musimy to stanowczo za błąd uważać.

Druga część książki zawiera „Sonety.“ Co do tych ostatnich uważamy za błąd zasadniczy, że pierwsze dwa czterowiersze (z włoskiego przezwane quattrinami) czterokrotnie między sobą nie rymują. Jeśli naśladujemy obce formy wierszowania — a sonet jako produkt włoskiej muzy jest właśnie taką obcą formą — to naśladujmy wiernie. Żaden niemiecki poeta (o włoskich nie ma tu nawet czego wspominać) a z polskich ani Mickiewicz, ani Brodziński nie pozwalali sobie nigdy na podobne dowolności. Nowsi dopiero autorowie nie trzymają się ściśle tej reguły, co jednak uważam za błąd poetyczny.

Sonety Stefana z Opatówka, bezwarunkowo poważnej, po większej części nawet smętnej treści, tworzą duchowe uzupełnienie elegij. Niektóre z tych sonetów przyjaciołom i krewnym poświęcone: nauczycielom, matce, cieniom brata Agatona. Nadzwyczajne a powiemy otwarcie, także nadzwyczajnie dodatnie wrażenie wywołuje drugi sonet „do matki:“

„Dziś gdy od serca twego idę w świat — daleko,
Żem syn twój, znów bolejesz, jak w chwili po-[wicia.
Ale czujesz i rozkosz, drugą rozkosz życia,
Iż poszło na pożytek piersi twojej mleko.
„Czyliż mam cię pokrzywdzić? i we łzie, co spada,
Widzieć tylko żal straty, miękki płacz sieroty?

Że bolejesz niegodnie, iż syn twój przekłada
Walkę o światło świata nad matki pieszczoty?
„Czyliż mam cię pokrzywdzić? i przypuścić smutnie,
Że nad głowę, co w pocie świętej pracy kona,
Wolisz mumję zawiędłą w powijaków płótnie?
„Że mogłabyś tę nędzną przytulić do łona?
Z owocu płonki zaschłej być dumną i hardą?
Żebyś jej nie odepchła ze zgrozą i wzgardą?“

Zdaje się nam, że się w prześlicznym tym wierszu odmalowuje cała osobista duma, całe poczucie własnej godności autora jako człowieka, które mu każe pracować w pocie czoła, aby godnie odpowiadać mógł swemu przeznaczeniu, aby nie był nieużytecznym trutniem w społeczeństwie i nie żył choć w wygodach, z łaski innych, ale dźwigał się o własnej sile.

Nie mogę jednak tej krytyki zamknąć, aby nie zawadzać mimochodem także o niektóre ujemne strony tego, zresztą pod każdym innym względem polecenia godnego dziełka.

Autor widocznie lubuje się w archaizmach, co nieraz wcale niekorzystne wywołuje wrażenie. Zaznaczył niektóre prawidłowo wydrukowane słowa jako błędne; inne znowu z ujmą dla wartości dziełka kazał błędnie wydrukować. I tak razi niepospolicie wyraz: „elegije“ zamiast „elegje;“ nie możemy się też żadną miarą zgadzać na zmianę słowa „chusta“ na „husta,“ „chaos“ na „haos,“ albo „ptactwo“ na „ptastwo.“

Razi też na stronicy szóstej wiersz:

„Nie! nie dla pompy tam marnej przed światem,“

zamiast:

„Nie dla przepychu marnego przed światem.“

Na stronicy dziewięćdziesiątej i dziewiątej w wierszu:

„Zbaczając w strony — cel wam przepadnie“ — widzimy składnię polską skaleczoną. Powinno raczej być:

„Skoro zboczycie — cel wam przepadnie.“

Książka choć na pozór pojedynczo, ale z wielką starannością wydana, na oko bardzo przyjemne wywołuje wrażenie i kwalifikuje się szczególnie dla biórków i biblioteczek naszych pań.

[Mieczysław Romanowski junior. Poezje, wydane nakładem autora. Kołomyja, 1890. Z drukarni M. Biłousa. Mała ósemka. Stronic numerowanych 92. Cena 60 centów.)

Młody autor, który już przed laty pod pseudonimem Zdzisława Lesły pierwszych poetycznych próbował lotów, — występuje teraz znowu na widownię publiczną z zbiorem poezyj. Są to po części znane nam już z „Ogniska Domowego“ i z „Roczników Samborskich“ poezje, po części zaś całkiem nowe. Jak wszyscy młodzi, Mieczysław Romanowski junior wielbi miłość w swoich pieniach. Nie jest to jednak monotonne, bezdźwięczne gruchanie nowomodnych naszych bajronistów. Bo Romanowski — to poeta obdarzony z uczuciem i fantazją, to człowiek z krwią i kośćmi. W wielu miejscach wielbi on kraj ojczysty, podnosi męczeństwo narodowe, a te ustępy — według zdania naszego — najudatniejsze.

Książka w Kołomyi wydana, a więc i naczelny wiersz poświęcony temu miastu. Zgadzamy się z tem jak najzupełniej. Nie zgadzamy się jednak z pierwszą zwrotką, brzmiącą w sposób następujący:

„Nie wiesz dlaczego, — miasto kochane!
Zawsze — tak chętnie — przebywam w Tobie; —
Tyś mi najbliższe, bo zdawna znane, —
A dnie w twych białych murach spędzone, —
Do najszczęśliwszych liczę ja sobie;
Więc bądź mi pozdrowione!“

Lepiej bowiem i poetyczniej przedstawiłby się początek taki:

„Nie wiesz dlaczego — miasto kochane!
Zawsze—tak chętnie—w twych murach bawię; —
Tyś mi najbliższe, bo zdawna znane, —
A dnie, w twych białych murach spędzone, —
Do najszczęśliwszych liczę ja prawie;
Więc — bądź mi pozdrowione!“

Ponieważ młody autor w osobnym wierszu, „pani krytyce“ poświęconym, tejże wymówki nie ze wszystkiem uzasadnione czyni, więc musiałem mu koniecznie uwagę zwrócić na ten szczegół, że nikt nie jest nieomylnym i że gardzić wolno tylko stronniczą i niesprawiedliwą krytyką, ale nie krytyką w ogóle,

której zadanie właśnie na tem polega, by kształciła autorów i wyrabiała w nich sąd samoistny, przyczyniając się tem samem do poprawienia ich błędów.

Błędów tych na szczęście nie wiele dopatrzyliśmy się w książeczce Romanowskiego, a natomiast znajdujemy w niej znaczną ilość pełnych ognia i siły ustępów, jakoto: „Witaj mi lutni!“ „Kwiat i łza,“ „Liść dębowy“ i liczne inne. „Dwa śluby“ jest to gorżka, ale uzasadniona satyra na nasze stosunki społeczne, „Ukarany“ toż samo, śpiewnością i melodyjnością odznaczają się „Zachcenia“ a głębokim smutkiem, nacechowanym myślą o niepewnej przyszłości „Domek drewniany“. Prawdziwą perełką liryczną tchnącą tonami Ujejskiego, jest „Zdradzony“, a „Koń kozaczy“ w myślach przenosi nas w krwawe dzieje Ukrainy, w walki z Turkami i Tatarami.

Ale wyższą wartość od wszystkich tu przytoczonych mają patrjotyczne wiersze młodego Romanowskiego, jakoto: „Odpowiedź,“ „Dziaduś,“ „Na dzień pogrzebu zwłok Adama Mickiewicza w Krakowie“ i pieśń: „Do Boga,“ szczególnie ta ostatnia, którą też w dosłownem brzmieniu według oryginału przytaczamy:

DO BOGA,

(*podczas wydaleń Polaków z Poznańskiego.*)

„Boże litościwy!
Usłysz ludu jęk, —
Wśród którego wkoło
Słychać kajdan brzęk.
    Ręką Twą wszechmocną
    Zerwij pęta z nóg;
    Niech wie lud Twój, Panie!
    Żeś Ty jego Bóg!
W piersi jego rany —
W oku cicha łza,
Gnębią nas Tytany . . .
Boże! wola twa! . . .

O! wróć pokój ludom,
Białym orłom lot,
A na gwałt przemocy
Daj nam w rękę grot!
Niech wie lud Twój, Panie!
Wśród tych krwawych dróg,
Że Ty czuwasz nad nim; —
Żeś Ty jego Bóg!“

Nie ma — zdaje się — w ogóle struny patrjotycznej, którejby w zbiorze swoim nie poruszał z wielką siłą, wprawą i uczuciem młody Romanowski, czy to w „Pobudce,“ gdzie broniąc nietykalności ziemi ojczystej, woła:

„Nie daj jej sobie z pod stóp wydzierać, —
Bo to krew twoja; — to ciało; — siły!
Bo w niej twych przodków sławne mogiły;
Bo w niej i tobie umierać!...
Strzeż się nią kupczyć; — dzielić na sztuki,—
Boć to — na Boga! — straszną jest zbrodnią!...
Garń się do pracy i do nauki; —
Ona ci będzie pochodnią!.....“

czy też gdy aureolą sławy otacza walki przodków albo pokolenie młode nawołuje do ofiar dla Ojczyzny. I takie uczucia podnoszą ducha i wywołują nader urocze wrażenie zwłaszcza teraz, kiedy młodzież zapomniawszy o zasadach dawnych Filaretów, żyje z dnia na dzień, w dobrobycie i rozpuście widząc jedyny cel żywota a w przyszłej karjerze szczyt swoich marzeń.

To też życzymy z całego serca dziełku Romanowskiego powodzenia i kończymy niniejszy rozbiór słowami autora, któremi tenże ostatnią swoją piosnkę: „Finale“ rozpoczyna:

„O piosnki moje! oto pora w drogę;
Niechajże szczęsna gwiazda wam przoduje!
Dałem wam wszystko — co na dziś dać mogę,
W co duch mój wierzy i co serce czuje,
Wszystko, co pierś ma kocha i kochała,
Wszystko; — bo w was się ma dusza przelała!
Idźcież do ludzi z słowem pozdrowienia,
Z słowem miłości pełnem i pokoju!

Podnoście serca z otchłani zwątpienia,
Wzmacniajcie duchy słabniejące w boju,
Mówiąc im słodko, że Ona . . . nie zmarła,
Że przyszłość wróci, co przeszłość wydarła! . . .
Hasła wydane, sztandar rozwinięty! . . .
Niechajże wszyscy dzielnie pod nim stają; —
Wszyscy, dla których obowiązek święty; —
Którzy do pracy silne dłonie mają
I wiarę w siebie i przekonań stałość
A przy niej wolę silną i wytrwałość!“

[Wiązanka pamiętników z nieśmiertelnych dni, w rymy ujęta przez Stanisława Jarka. Nakładem autora. Rzeszów 1890. Drukiem E. F. Arvaya. Mała ósemka. Stronic numerowanych 176.]

Autor niniejszego zbioru, obecnie jako urzędnik kolejowy zamieszkały w zachodniej Galicji a niegdyś jeden z uczestników powstania styczniowego, dzieli swoją książkę na trzy części, a mianowicie na I. pamiętniki, II. sonety a III. nowelle. O ile tytuły powyższe uzasadnione, to poznamy wkrótce z samej treści omówionych przez nas utworów poetycznych. Rozpoczyna autor gdyby jakąś przygrywką pierwszą część swego zbioru opowiadaniami z czasów dawnych, przedrozbiorowych. Szlachetna myśl przebija się w nich wszędzie; ale niech nam wybaczy p. Stanisław Jarek, jeśli twierdzić musimy, że to jeszcze nie wystarcza. Zanadto czuć w tych próbach rymotwórczych usiłowaną rywalizację z piewcami, jakimi byli Niemcewicz, Zaborowski, Morgenbesser i liczni inni, którym p. Jarek jeszcze nie dorósł. Wyraźniejsze kształty przybiera już jego poezja tam, gdzie występuje jako samoistny twórca i własne miewa natchnienia. Takiem wieszczem natchnieniem nacechowana też poezja: „W rocznicę wykreślenia Polski z mocarstw europejskich,“ z której to poezji bodaj wstęp koniecznie przytaczać musimy, aby dać jakie takie wyobrażenie o ideach autora:

„Rok za rokiem płynie marno,
Czasem smutno, częściej gwarno,
Byle tylko żyć,
I używać uciech świata,
Póki tylko służą lata,

Póki można śnić.
I my śnimy wiek już cały;
Ręce nasze pokarlały;
Nie masz siły już;
Nie masz męża do obrony,
Nie masz Polki, matki, żony
Wśród miljonów dusz!“

Gorżko, że tak jest: ale czy tak być musi, czy tak być powinno? Autor twierdzi stanowczo, że nie i wskazuje na Bułgarów jako na przykład jaśniejszy, co mały stosunkowo naród przy wielkiej a silnej woli zdziałać potrafi. Bułgarów i na innem miejscu wielbi p. Jarek, podając w tłumaczeniu ich hymn narodowy: „Szumi Marica.“ Polityczna sytuacja w ogóle nastręcza mu często wątku do poezyj, czy to gdzie parodjując Mickiewiczowskiego Almanzora — obleka go w szaty Bismarka, czy też gdy w chorale Ujejskiego napomina wielkorządcę Rosji do zmiany dotychczasowej polityki wytępienią Polaków. To znów lutnia poety brzmi na cześć Kraszewskiego, w powitanie kolegom z powstania, na „Trzeci Maja,“ raz z większą siłą, raz znowu słabiej i niedołężniej.

Za jeden z lepszych uważamy wiersz: „Polska dziewica“:

„Jakaś ty piękna, młoda i hoża —
Polska dziewico!
Świecisz Ojczyznie jak jasna zorza —
Pierś twa się wznosi jak bałwan morza,
Zanim go wichry rozchwycą!
Wśród gromów stoisz mężna i śmiała —
Z blademi licy!
Pieścisz lilijkę — bo taka biała;
Patrzysz z miłością — boś ukochała —
Ojczyznę sercem dziewicy!
A czy wiesz dziewczę — że teraz chwila
Ojczyznie służyć?
Że gdy od pracy syn się uchyla —
Kiedy mu w głowie myśli motyla —
Ty usty Twemi masz wróżyć:
Że gdy Ojczyzna żąda od synów
Walk odrodzenia, —
Ty ich naprzeciw armii Kainów

Miłością Polki zagrzej do czynów
Dla wspólnej matki zbawienia!“

Podanie o „Samusze, hetmanie Zaporoża“ (Samuelu Zborowskim) odświeża w nas pamięć rycerską dawnych Polski synów, jak również „Ballada“ im przeciwstawia nowsze pokolenie, trwoniące skarby Ojczyzny w Paryżu a marnujące życia i honoru resztki w Monaco. Bardzo stosownie zaś zamyka pierwszą część zbioru „Modlitwa w rocznicę powstania styczniowego 1863 r.“

Druga część zawiera „Sonety.“ I tym musimy nieprawidłowość zarzucać, którą wytknęliśmy sonetom Stefana z Opatówka. Stanisław Jarek dopuszcza się większych nawet jeszcze dowolności, gdyż wbrew wszelkim regułom każdy jego sonet (a jest ich 16) zawiera tylko 13 wierszów zamiast 14. Ponieważ więc o formie, zresztą i na inny sposób srodze zaniedbanej, mówić tu nie możemy, to pomówimy tylko o treści tych poezyj. Na równi z pierwszą i druga część bogata polityczną lub socjalną treścią. To żali się autor na upadek Ojczyzny, to na umizgi kurji dla Moskwy, to maluje wstręt Bułgarów do poddaństwa moskiewskiego, to znowu niektóre kwestje społeczne rozbiera ze swego stanowiska, na które się zresztą nie pod każdym względem zgadzamy.

Trzecia część zbioru zatytułowana: „Nowelle.“ Czemu zaś autor taki dziwaczny nadał jej tytuł, nie wiemy, gdyż żywiołu nowellistycznego bardzo mało a w niektórych utworach i nic dopatrywać się nie mogliśmy. Autor — jak już poprzednio nadmieniłem— jest urzędnikiem kolejowym, czyli jakto się wyrażają w gminnem narzeczu: kolejarzem. To też nie dziw, że część tych „nowell“ poświęcona wynalazkowi kolei. Do tej serji należą: „Antychryst i szlagon,“ „Noc w służbie,“ „Biali murzyni,“ „Obrazek dla dzieci kolejowych,“ „Walc kolejowy.“ Co w ogóle i z wszelką słusznością zarzucać można trzeciej części zbioru tych pieśni, to wielki chaos w układzie, chaos pojęć, którego nie napotykamy w dwóch poprzedzających częściach. Widzimy tu wszystko, mieszane w dzikim nieładzie, a więc: pieśń, satyrę, gawędę, — ale gdzie „nowella,“ od której ta część zbioru przyjęła tytuł?

tej chyba że nie widać. Czytałem już nowelle i w wiązanej mowie, nie tylko prozą i wiem, jak powinne wyglądać.

A co już najbardziej razi, to ohydny wiersz: „Rebbe! Rebbe! kimże sugen bruche!“ Czy się autor dobrze zastanawiał nad doniosłymi skutkami swego kroku, kiedy nierozważnie nowem zarzewiem podsycając antisemityzm, ową klątwę naszego wieku, ową zakałę zdrowego rozumu, — prostacki, prostaczy swój wiersz kreślił? A wszakże jak sam pisze, był uczestnikiem powstania styczniowego, w którem walczyli także żydzi, których tak niesłusznie i niegodnie poniża! Czy nie zna Dra Bernarda Goldmana, uczestnika powstania, żyda i patrjotę, czystego jak bursztyn, a który nawet sam jako skarbnik należy do komitetu opieki narodowej? Czy nie wie o tem, że właśnie inteligencja żydowska, żywiąca sympatje polskie a nie niemieckie jak on sądzi, najbardziej obstaje za fundacją Hirsza, mającą oświecić umysły ciemne i oduczyć ich religijnego fanatyzmu, do którego autor swoim wierszem mógłby pobudzić już nie ciemne żydowskie, ale raczej ciemne katolickie tłumy; bo katolik z prawdziwie chrześciańskiem wykształceniem i inteligencją na równi z żydem w polsko-narodowym kierunku wykształconym, wiersz ten uważać będzie za to, czem jest: za plewę. Czy autor nie wie o tem, że dopiero obywatel żydowski, wychowany w takiej szkole, jaką jest prawdziwie humanitarna i dobroczynna szkoła Hirszowska, wolna od wszelkiego antisemityzmu i fanatyzmu, — stanie się prawdziwym obywatelem kraju, pracującym uczciwie i poważającym pracę a wstydzącym się „pożyczać sto za sto?“ A jeśli o tem wszystkiem nie wie, to niech raczej milczy, aniżeli pisać podobne brednie, które oburzać muszą każdego bezstronnego i sumiennego człowieka. Na to słowo „bezstronnego“ kładę ja osobliwszy nacisk, gdyż jak najmocniej jestem o tem przekonany, że nietylko żydzi postępowi oburzą się jego „Rebbe'm,“ ale to samo uczyni każdy bezstronny i prawy chrześcianin, pamiętający o przysłowiu, że „będziesz kochał swego bliźniego, jak siebie samego!“ Czy już tak dalece w zapomnienie poszły słowa natchnione

przyjaciół żydów i Polski, słowa piewców i uczonych, jakimi byli Kraszewski, Lelewel i Mickiewicz, aby w zbiorze wierszów poważnych, mających tak doniosłe znaczenie, pojawić się mogło coś podobnego!

[Galicyjskie wydawnictwa głodowe.]

Rok 1889 był jak wiadomo, rokiem głodu i klęski gospodarskiej, tak we wschodniej, jak i zachodniej Galicji. Aby ulżyć powszechnej nędzy, powstały rozmaite komitety dobroczynne w kraju, a dalszym wynikiem ich czynności były rozmaite wydawnictwa głodowe. Nie do nas należy, rozwodzić się nad wynikiem materjalnym rzeczonych wydawnictw, choć taić tego nie możemy, że prawie wszystkie pojawiły się zapóźno i że zbyt wielkim kosztem były wydane, aby dochód z ich rozsprzedaży osiągnięty, bodaj częściowo mógł odpowiadać celowi. Prawie wszystkie, szczególnie zaś wydawnictwo kobiet, wyglądają raczej na księgi pamiątkowe, zwiastujące szumnie urbi et orbi próżność ludzką, niż na wydawnictwa dobroczynne, które w skromnej okazując się sukience, tem więcej powinne przynieść materjalnych i moralnych korzyści. Pomówimy więc o tych wydawnictwach li tylko jako o literackich, porządkując je według czasu wyjścia i zaopatrując w tym celu liczbami porządkowemi.

I. Dla głodnego ludu. Jednodniówka akademicka, wydana przez akademicki komitet głodowy. Format in quarto. Stronic 20. Kraków, w Kwietniu 1890. Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Spółki. Cena 50 ct.

Z rzeczy, składających się na treść tej broszurki, wzmianki godne są: „Konrad Wallenrod w świetle najnowszej krytyki“ Henryka Biegeleisena, w którym to rozbiorze autor, objaśniając charakter Wallenroda i przyczyniając się cokolwiek do wzbogacenia literatury Mickiewiczowskiej, równocześnie z otwartą przyłbicą występuje przeciwko wywodom profesora Spasowicza; „Legenda“ Romana Zawilińskiego jako wytwór fantazji ludu ma jakie takie znaczenie, sama zaś nie wabi ani treścią, ani formą; „Za grzech matki,“ opowiadanie Stanisława Polaczka opisuje w prostych ale rzewnych słowach niedolę nieszczęsnych, pokutujących bez winy za obcą winę; z pro-

zaicznych prac, zawartych w broszurze krakowskiej godne jeszcze wzmianki wyjątki z dramatu pod tytułem: „Dramat wodza,“ a szczególnie Dra Ferdynanda Edwarda Polzeniusza szkic: „Ostatnie chwile Kraszewskiego,“ opisujący z historyczną wiernością naocznego świadka zgon Kraszewskiego w Genewie. Z wierszów, zawartych w „Jednodniówce“ zasługują na wzmiankę Asnyka wiersz wstępny, wiersz Marji Konopnickiej, „Paradoks“ Franciszka Konarskiego, „O niej“ Artura Górskiego. Natomiast nie straciłaby nic a nic na wartości „Jednodniówka,“ gdyby w niej nie było wierszów, jak: „Wiek XIX“ Stefana Komornickiego, „Mucha i Pająk“ Franciszka Rawity, o której to wierszowanej bajce sam autor pisze:

„Jakiż ztąd sens moralny? Miły Boże z nieba!
Nie było sensu w życiu i w bajce nie trzeba;“

oraz „Znikomość rzeczy“ Salamona Spitzera. I nie czułby może czytelnik ubytku, gdyby nie napotykał na utwory prozą, jak Artura Górskiego: „ Z pamiętników sceptyka.“

II. Jednodniówka, wydana na raucie w Tarnowie dnia 20. Kwietnia 1890 staraniem komitetu na dochód włościan dotkniętych klęską głodową. Format in quarto. Cena 30 ct. Nakładem Tadeusza Pilarskiego. W drukarni Józefa Styrny w Tarnowie. Stronic 8.

Jednodniówka ta, skromniej i mniej pretensjonalnie wydana od krakowskiej siostrzycy swojej, mniej nawet zawierająca treści, niźli tamta—niewątpliwie jednak lepsze musiała odnieść rezultaty. Co przedewszystkiem tarnowską „Jednodniówkę“ zaleca, to większa jednolitość treści, wiersze powiedziałbym nawet lepiej dobrane, aniżeli w krakowskiej. Widzimy bowiem reprezentowane imiona Konopnickiej, Asnyka, Rodocia. Widzimy nawet dla kontrastu jakiegoś Nie-Rodocia, rywalizującego szczęśliwie ze swoim protoplastą na polu dowcipów. Rzewny i piękny bardzo wiersz pod tytułem: „Ukochaj!“ umieścił znany poeta ludowy Franciszek Marzec a nieznany „Adorator“ palnął komplementa pieknym „Tarnowiankom.“ Ale rymowanych aforyzmów pod tytułem: „Z teki Mefista“ wolelibyśmy nie widzieć w broszurze, tak niekorzystny pod każdym względem kontrast tworzą

one z niedoścignionemi aforyzmami prozaicznemi Bełcikowskiego. „Wielki Piątek, obrazek z wielkiego tygodnia“, tak co do treści, jak i tendencji swojej bardzo to cenny nabytek dla „Jednodniówki“ a brukowe wiadomości „z miejsca,“ uzbierane starannie przez „płotkarza,“ choć może nie zachwycą dewotek starających się więcej o zbawienie murzynów, niż o pomoc, daną głodnym w kraju — to jednak głoszą prawdę. Jeśli jeszcze wzmiankę uczynimy o nutach i litografjach, zdobiących ten numer, tośmy już wszystko omówili i podnieśli, co omówienia godne.

III. Ziarno. Na dochód głodem dotkniętych włościan. Nakładem Józefa Baczyńskiego. Lwów, 1890. Z I. związkowej drukarni. Format in quarto. Cena 15 centów. Stronic 8 z tytułową illustracją.

Grono młodych ludzi, akademików lwowskich, postanowiło wspólnym kosztem wydać jednodniówkę tanią dla głodem dotkniętych, którąby wyprzedzić mogła wydawnictwa droższe na ten cel zapowiedziane koła literackiego i kobiet. Owocem tych usiłowań jest właśnie „Ziarno“, które o tyle ziściło nadzieje wydawców, że prawie zaraz po wyjściu całkowicie zostało wyczerpane. W jednodniówce tej jest wiele nieuchwytnej młodzieńczej fantazji i illuzji i nie wszystko zrozumiałe dla czytelnika; ale od razu zrozumie każdy historję o chorej Jagnie i jej mężu Bartku, który wziąwszy na zakupno ostatnią szóstkę z domu, za powrotem już żonę zastał nieżywą i krowę Krasulę leżącą martwo w obórce bez słomki na gołej ziemi. Nie mniej też przemawia do serca obrazek z powstania pod tytułem: „Na własnej grzędzie“, opisujący zgon włościanina Wańka, który aby pomścić śmierć swoich, zastrzelił zdrajcę Iwana Sokołowskiego i porwany przez kozaków, powieszony został na własnej gruszy przed spaloną swoją zagrodą.

„Zdala dolatywał odgłos bitwy. Zaalarmowani wystrzałem Wańka powstańcy, napierali na kozaków. A Wańko kołysał się na sznurze uwieszony na swej starej gruszy i nie słyszał już walki, tylko martwemi oczyma spozierał na dwa węgle, przypominające swym kształtem dwa ludzkie ciała. On zabił Iwana i poszedł do swej Hanki i swego synka Józiaka.“

IV. Dla włościan. Wydawnictwo zbiorowe Koła literacko-artystycznego we Lwowie. Nakładem Koła literacko-artystycznego. Lwów, 1890. Czcionkami drukarni „Dziennika Polskiego.“ Format in quarto. Cena 1 złr. Stronic 80 z dodatkiem 7miu strón nut i 6 illustracyj dodatkowych.

Wspaniale na oko przedstawia się to wydawnictwo, illustrowane piórem i pędzlem ręką największych naszych mistrzów na polu poezji i malarstwa. Wystarczają tych sztukmistrzów imiona, a kto by ich nawet nie znał, temu wystarczy rzut oka na przepyszne ich ryciny, aby długo jeszcze wzrok i duszę poił tworami takich artystów i artystek, jakimi są Młodnicka, Kossak, Tepa, Köhler, Pawłowicz. Ślicznie przedstawia się także rycina w tekscie do wiersza Asnyka: „Ty czekaj mnie“, illustrowanego ponadto jeszcze nutą znanego kompozytora Władysława Wszelaczyńskiego.

Co do treści wewnętrznej książki, to ta przedstawia nam w bardzo zdrobniałych rozmiarach to wszystko, cośmy zkądinąd przyzwyczajeni widzieć w większych wydawnictwach zbiorowych i w rocznikach literackich, a więc: lekki szkic, nowellę, studjum naukowe czyli rozprawę, wreszcie poezję. Takim to lekkim szkicem jest — nowelką nazwać go nie możemy — Krechowieckiego pogadanka literacka: „Dla głodnych,“ opisująca sprzeczkę miłośną dwojga kochanków, zakończoną napisaniem artykułu dla głodnych włościan. Natomiast Wilczyńskiego nowelka: „Bez odwagi“ posiada już rzeczywiście wszelkie cechy nowellistyczne. Autor dowcipnie i zajmująco opisuje w tej nowelce cierpienia miłośne mazgaja, który trzy lata gruchając u nóg swojej ubóstwionej, jednak nigdy nie miał odwagi, oświadczyć się o jej rękę, a kiedy się już wreszcie zdobył na tyle śmiałości, wtedy dla niego było zapóźno, bo „audaces fortuna adjuvat.“ Przenikająca zgrozą jest powieść Dra Archemorosa: „Salvata,“ opisująca cierpienia moralne dziewczyny, uratowanej przez młodego kapitana okrętu a która w chwili, gdy go ma zaślubić, — dowiaduje się o tem, że to jej brat i staje się mimowolnym powodem samobójstwa narzeczonego. Z dni

ubiegłych kreślą obrazy Dr. Fryderyk Papée, Ludwik Finkel, Stanisław Schnürr-Pepłowski; na polu naukowem z rozprawkami rozmaitego rodzaju występują Dr. Stanisław Głąbiński w artykule: „O walucie w Austrji,“ Dr. Teodor Jendl z pogadanką lekarską: „Towarzystwo i lektura,“ Bronisław Rajchman z artykułem: „Czy możliwym jest rozwój przemysłu w Galicji?“; wierszów mniej lub więcej udatnych i gładkich dostarczyli Dr. Archemoros, Karol Brzozowski, El . . . y, Kasprowicz, Kiczman, Rodoć, Wszelaczyński i inni. Pełen dowcipu gryzącego jest także wiersz Leona Gustawa Dziubińskiego: „Zanim słońce zejdzie — rosa oczy wyjé“ . . , ale z bardzo wielu względów redakcja lepiejby zrobiła, gdyby go wcale nie umieściła; bo wiersz ten właśnie jest najsilniejszą illustracją tego, co na czele artykułu „o wydawnictwach głodowych“ wypowiedziałem.

V. Dla głodnych. Pismo zbiorowe z utworów kobiecego pióra, wydane staraniem Towarzystwa oszczędności kobiet. Lwów, 1890, w Maju. Z drukarni stauropigjańskiego instytutu. Format in quarto. Cena 1 zł. Stronic numerowanych 90.

Wytworne to wydawnictwo, w którem współuczestniczyło 107 uczestniczek, a które zaopatrzone ogromną ilością illustracyj i winiet, pod względem powierzchowności gustownej i eleganckiej, nadzwyczajnie korzystnie się przedstawia, wygląda prawie więcej na księgę pamiątkową, w której kobiety po raz pierwszy występują in gremio, niż na wydawnictwo na cele dobroczynne. To też wszystkim kierunkom kobiecego smaku, kobiecej estetyki, starano się zadość uczynić w tem dziele. Wszystkim... przepraszam za ten zbyt śmiały wyraz... muzyka zdaje się być excypowaną z tej reguły, ponieważ nut nie widzimy żadnych w tym zbiorze. Zresztą jest wszystko, jest czasem nawet za wiele, a jeśli się komitet redakcyjny użalała, że „nie mogąc zbytecznie przekraczać granicy objętości, dla podobnych wydawnictw nakreślonej, zmuszony do ściślejszego wyboru, do skracania nawet niekiedy prac nadesłanych, nie mógł skorzystać z całej objętości zbiorów, jakie mu niwa zacnych serc przyniosła“ — to dodamy od siebie,

iżby nie zaszkodziło, żeby i to, co przyjęto już do druku, staranniejszemu poddano sądowi. Ale o tem . . . . potem.

Jak wiadomo, to nasze panie prawie wszystkie rodziły się na powieściopisarki i nowellistki. Nie brak też prac nowellistycznych w albumie kobiet. Przytoczymy tylko najwybitniejsze, gdyż i opowiadania historyczne, reminiscencje rozmaite, wreszcie prace naukowe i poezje wymagają także bodaj pobieżnej oceny. Z pomiędzy nowellek nadałbym raczej miano szkiców nowellistycznych artykulikom: „Przed gmachem teatralnym“ Eweliny Badowskiej z Warszawy i drugiemu pod tytułem: „Zimową porą“ Czeli. I jeden i drugi spokrewniony treścią ogólną: miłosierdziem dla nieszczęśliwych, odznaczają się wielką prostotą i rzewnością. Nowella Elizy Orzeszkowej: „Co szczęście?“, jedna z najlepszych w książce, odmalowuje nam mistrzowskiem piórem próżnię w sercach pieszczoszek losu, przeciwstawiając rozkapryszonej i znudzonej arystokratce Cecylji Metelli, córce konsularnej, biedną i wzgardzoną piekarkę Annę Perennę, która się poświęciła dla ludu i wiecznie żyć będzie w jego pamięci. „Panna Berta“, nowella Ostoi, niemniej doniosły ma cel, wykazując, że i stara panna, wzgardzona i ścigana przesądami towarzystwa, szczerą pracą może się stać użyteczną dla społeczeństwa. Esteji „Pantofelki mamy“ jest coś nibyto pośredniczącego między nowellą a reminiscencją; odmalowuje nam wiernie uczucia dziecięce. Bardzo zajmujący jest Melanii Parczewskiej urywek z życia Łużyczan, opisujący działalność obywatelską małżonków Smolerów, szczególnie zaś Smolerowej. „Pobratymka“ Marji Wysłouchowej, wkraczająca w dziedzinę biografii, opisuje żywot bułgarskiej patrjotki Tonki Obretjenowej, która poświęciwszy wszystko dla kraju ojczystego, wreszcie na starość doczekała się jego wyswobodzenia. „Pamiątka po Lelewelu“ opowiada nam nieznane szczegóły z życia historyka, definjuje jego stosunek do rodziny Machczyńskich i podaje jedyny wiersz, jaki autor ten w życiu swojem napisał a dedykował młodziutkiej

podówczas jeszcze Antoninie Machczyńskiej, obecnie współredaktorce pisma kobiet, której niezmiernie jesteśmy obowiązani za przysługę, wyświadczoną literaturze współczesnej, przez uratowanie od zapomnienia i od zaguby relikwii literackiej po największym naszym historyku. Belejowskiej rozprawka, którą bez przesady nazwaćby można pedagogiczną, gdyż poucza o stanowisku, które kobieta w społeczeństwie zajmować powinna, jeśli pragnie odpowiadać rzetelnie zadaniu swemu — należy już do kategorji czystonaukowej, o której poprzednio uczyniłem wzmiankę. Gdzie tyle kobiet wspólnemi siłami wydaje książkę zbiorową, niemożebna, aby mimochodem nie zawadzały o kwestję kobiecą. To czyni też pani Marja Obrębska w swoim acz pobieżnie, lecz z prawdziwem ciepłem traktowanym artykule: „O kwestji kobiecej.“ Reguły życia, jakie autorka ustanawia dla młodszych i mniej doświadczonych siostrzyczek, to prawdziwe reguły zbawienia, a życzymy tylko, żeby płeć piękna wzięła sobie do serca złote słowa Obrębskiej. Amalji Kobryńskiej rozbiór ruski powieści: „Na przebój“ wkracza zupełnie w dziedzinę bibliografii i stanowi niejako unicum w tego rodzaju wydawnictwach. Przyznamy, że dla nas bardzo miłe. Szczupłe miejsce, na które się nasze wydawnictwo z konieczności ograniczyć musi, nie pozwala nam szeroko się rozwodzić o innych pracach prozaicznych wydawnictwa kobiet, choć między niemi wiele jest cennych.

Dział poezji reprezentowany umiejętnie pracami Arioli, Broniki, Bartusównej, której wiersze zawsze z równem zajęciem się czyta; dział ten reprezentowany niezgorsza także przez utwory poetyczne Zofji Grynbergowej, Izy, Ilnickiej, Kondrackiej, Konopnickiej, Szembekowej, Szczęsnej, Jadwigi Z. (Błękitnej,) Zygmuntowskiej i wielu innych.

Ale nic bez ale... to też i wydawnictwo kobiet ma także swoje ale, swoje złe strony. Wiersze Kici są prawdziwą profanacją dla podniosłej treści dzieła, wiersze takie, które się chyba jedynie do łamów inseratowych „Kurjera Lwowskiego“ podczas karnawału kwalifikują; Ćwierczakiewiczowej i Przewóskiej aforyzmy nie przyczyniają się bynajmniej do uświetnienia dzieła; Marjana Sixtusa „Memento“, to

komunał oklepany; wiersz z angielska się podpisującej panny czy pani Mary: „Dla głodnych!“ nie zachwyca nas wcale częstochowskiemi końcówkami:

„Być Jej wiernym
Synem dzielnym.“

Rym w tem miejscu kuleje srodze; bo nie możemy przecież rymować ani: „wiernym“ i „dziernym“ ani też: „wielnym“ i „dzielnym.“

Brak natomiast w wydawnictwie, przez nas omówionem, kilku głośnych i zasłużonych imion, które niezgorsza mogły i powinne były zastąpić wszystkie owe Kicie, Mary, Marjany Sixtuse, Ćwierczakiewiczowe, Przewóskie et tutti quanti, bez których by się snadnie obeszło. Mamy na myśli Teresę Radońską, Stefanję Wekslerową, Almę Kovàcs, których nie widać w wydawnictwie.

Z tem wszystkiem jednak i mimo usterek przez nas wytkniętych, pozostaje album kobiet dla głodnych jako zbiorowe dzieło niewiast polskich i ruskich nadzwyczajnie zajmującem wydawnictwem, i radzimy każdemu prawdziwemu amatorowi literatury pięknej, któremu ruch kobiecy obojętnym nie jest, aby — zakim się nakład wyczerpie — na czas zaopatrzył się w wydawnictwo zbiorowe niewiast naszych.

Sambor, 10. Lutego 1891,

G. Kohn.

Sprawozdanie z czynności moich.

Oddając w ręce publiczności 14ty tom wydawnictwa mego, jako dochód zdobyty z prenumeraty składam równocześnie na cele dobroczynne samborskie 25 złr. na rzecz Towarzystwa Bursy w Samborze a 25 złr. na rzecz dam dobroczynnych pod wezwaniem św. Wincentego à Paulo, również w Samborze działających.

Współpracownikom, którzy wydawnictwo moje zupełnie bezinteresownie swojemi pracami a niektórzy z nich i prenumeratą zasilili, na tem miejscu wypowiadam najgorętsze moje dzięki, na przyszłość licząc na łaskawy i uprzejmy ich współudział.

Co się tyczy wsparcia publiczności miejscowej i zamiejscowej, to mało jeszcze powiedziane wyrazem, że „zostawiło ono cokolwiek do życzenia,“ gdyż zostawiło wszystko do życzenia, a gdyby nie sposób oszczędny, z którym administrację objąłem i takową prowadzę przez przeszło 14 lat, wydawnictwo zamiast rocznych dochodów na cele dobroczynne miejscowe, wykazałoby niedobory, rosnące z roku na rok.

Mimoto mam zamiar i nadal jeszcze wydawnictwo to prowadzić. Jak długo mi stanie na to czasu i cierpliwości, nie wiem, gdyż aniołem nie jestem, ale człowiekiem z krwią i kośćmi.

Równocześnie zawiadamiam publiczność, że dzieło: „Polska w świetle niemieckiej poezji,“ stanowiące literacki dodatek do „Roczników Samborskich,“ a z którego dotąd 6 arkuszów wydrukowano, najprawdopodobniej w przeciągu r. 1891 opuści prasę. Abonenci „wydawnictwa na cele dobroczynne samborskie“ jako współwłaściciele i współnakładcy „Polski,“ i po wyjściu tejże dzieło to otrzymać będą mogli za pierwotną cenę 1 złr. Ci, którzy na tę kwotę w ostatniem pięcioleciu jakiekolwiek wkłady uczynili, oczywiście, że jeszcze mniej zapłacą. Wszyscy zaś inni nabywcy po wyjściu dzieła z druku zapłacą 2 złr.

Sambor, 18. Lutego 1891.

G. Kohn,

redaktor i wydawca „Roczników Samborskich.“

Spis przedpłacicieli.

Biała i powiat: Czytelnia polska, Dr. Bernard Ichheiser, Krysta, Malinowski, Dr. Peterek, Dr. E. Stiasny i Stowarzyszenie wzajemnej pomocy, w Białej, Dr. Gąsiorowski, Jan Majkowski, Dr. Nowak i Antoni Polaszek, w Oświęcimiu.

Bóbrka: Zenon Rawicz Rojek i Józef Stawski, w Bóbrce.

Bochnia: Zygmunt Fertig, Dr. Juliusz Kleeberg, c. k. Starosta, Dr. A. Serafiński, burmistrz, Antoni Strzelbicki, ks. Wnękowicz i B. Żurowski, w Bochni.

Bohorodczany: Pańciewicz, w Bohorodczanach.

Borszczów i powiat: Dr. M. Komeriner, Michniewski, Dr. Maksymilian Mosler i Teofil Witosławski, w Borszczowie, Kozaniewicz i Stokłosa, w Skale.

Brody: Franciszek Adlof, Bursztyn, ks. Zygmunt Świstelnicki i Antoni Witosławski, burmistrz w Brodach.

Brzesko i powiat: Dr. Ludwik Parvi i Edmund Romer, c. k. Starosta w Brzesku, ks. Lacroix, w Radłowie.

Brzeżany: Dr. Andrzej Czajkowski, Dzbański, Glazarewicz, Kurowski i Franciszek Wolski, w Brzeżanach.

Buczacz i powiat: Dr. J. Ausschnitt, Mieczysław Burzyński, Witalis Chamiec, Dr. Edward Krzyżanowski, Marcinkiewicz, Miłaszewski, Dr. Fabius Nacht, Dr. Ferdynand Obtułowicz, Dr. Emanuel Reis, Emil Schutt, c. k. Starosta, Sokal, Stojowski, Konstanty Stupnicki i Wydział powiatowy, w Buczaczu, Jan Ferrari, Emil Safrin, Leonard Smolik i ks. Józef Turkiewicz, w Monasterzyskach, Dr. Jan Bołoz Antoniewicz, w Skomorochach.

Chrzanów i powiat: Dr. Gaszyński, Dr. Pawlas, Zygmunt Brochwicz-Rogoyski, c. k. Starosta i Kamila Sporyszowa, w Chrzanowie, Etgens i Lipowski, w Krzeszowicach.

Cieszanów i powiat: Michał Gilewicz, Dr. Jacek Jabłoński i Jan Strzelecki, w Cieszanowie, J. O. ks. Ludwik Łodzia Poniński, c. k. emerytowany Starosta i Radca Namiestnictwa, w Horyńcu, J. Fryser, ks. Jabłonowski i Moszyński, w Lubaczowie.

Czerniowce (na Bukowinie): Jan Kamiński, Frydryk Kuhnen, Władysław Sołtyński i Ferdynand Syrzistie, c. k. Radca Namiestnictwa, w Czerniowcach.

Czortków i powiat: Bieńkowski, Cieślikowski, Hołubowski, Juliusz Niewiadomski, c. k. Starosta i Dr. Stöckl, w Czortkowie, Januszowski w Jagielnicy.

Dąbrowa: Trzecieski, w Dąbrowie.

Dobromil: Dr. Abdon Bieńczewski i Czytelnia kasynowa, w Dobromilu.

Dolina: Dr. Józef Dobrowolski, Andrzej Horodecki i Jan Sobolewski, w Dolinie.

Drohobycz i powiat: S. A. Apfel, Dr. Natan Apfel, Stanisław Chołodecki, Dr. Jakub Fruchtman, ks. Roman Hańczakowski, Godzisław Kobuzowski, Ignacy Wierzbicki, Dr. Władysław Wolski i Franciszek Zych, w Drohobyczu, Hordyński w Podbużu.

Gorlice i powiat: Wilhelm Kahl, Dr. Neuman i Dr. Śleczkowski, w Gorlicach; Ludwik Klemensiewicz i Aleksander Semeniuk, w Bieczu.

Gródek i powiat: Baron Brunicki, burmistrz, Dmuchowski, Adolf Henze i Świszczowski, w Gródku, Dr. Henryk Koliszer, w Czerlanach.

Grybów: Alojzy Muszyński, w Grybowie.

Horodenka i powiat: ks. Kosiński, Norbert Lorsch, c. k. Starosta, Juljan Neuberg, Dr. Kazimierz Przetocki, Robacki, Hieronim Zahradnik i Tytus Zulauf, w Horodence, Albert Nahlik, w Obertynie.

Husiatyn: ks. Bojarski i ks. Szamocki, w Husiatynie.

Jarosław: Dr. Emil Blumenfeld, Damask, Emanuel Dworski, Dr. Władysław Grabowski, H. Kaufmann, Dr. Zygmunt Meisels, Dr. Julian Ruczka i D. Waśniewski w Jarosławiu.

Jasło: Dr. Adamski, Dr. Feliks Gaszyński, Jakub Pollak i Klemens Sieńkiewicz, w Jaśle.

Jaworów: Dr. Zygmunt Bendel, Ferdynand Krischke i Ferdynand Paar, burmistrz w Jaworowie.

Kałusz i powiat: Baczyński, Klemens Drozdowski, c. k. Starosta, Przestalski, Leon Skrowaczewski, Dr. Wittlin i Dr. Wurst, w Kałuszu, Stanisław Komornicki, w Zawadce.

Kamionka Strumiłowa i powiat: Edward Czermak, Ludwik Lis, Jan Szawłowski i Józef Trojan, w Kamionce Strumiłowej, Marceli Tustanowski, w Busku.

Kołomyja: Józef Funkenstein, Dr. Głaczyński, Józef Haber, Howorka, Juljan Jakiel, ks. Koblański, Leon Kruszyński, Makarewicz, Dr. Maramarosz, Bohdan Mardyrosiewicz, Dr. Milgrom, Dr. Piaskiewicz, Dr. Jakub Rittigstein, Rybczyński, Dr. Ezechiel Schuster, Edmund hr. Starzeński, Dr. Walerjan Stauber, Dr. Gabriel Sysak, Salamon Wieselberg, Bronisław Witosławski, Dr. Łazarz Zipser i Juljan Zulauf, emerytowany c. k. Starosta i burmistrz, w Kołomyi.

Kosów: Grzegorz Beckman, Bursa, Włodzimierz Łuszpiński, Hipolit Sabat, c. k. Starosta, Dr. Tarnawski i Tyszkowski, w Kosowie.

Kraków: Abderman, Dr. Adamkiewicz, Bociański, Emil Borkowski, redaktor i wydawca „Djabła", Estreicher, Goldlust, Naftali Herzig, Dr. Horowitz, Dr. Michał Ichheiser, Jan Lipka, Dr. Łepkowski, W. Niwicki, Dr. F. Piekosiński, Resch, Bernard Thieberg, Dr. Maurycy Wechsler, Dr. Bronisław Wolff i Dr. Zoll, w Krakowie.

Krosno i powiat: Jaciewicz, Kadyi, Karol Kozłowski, August Lewakowski, burmistrz miasta Krosna, Dr. Mazurkiewicz, Dr. Najedło i Aleksander Żurowski, w Krośnie, Florjan Minkusiewicz, w Dukli.

Limanowa: Władysław Hajdukiewicz, Zygmunt Mars, Wincenty Potocki i Józef Sikora, w Limanowej.

Lisko i powiat: Karol Franz, c. k. Starosta, *Dr.* Freysinger i Antoni Kościński, w Lisku, Morwitz i Walter, w Ustrzykach dolnych, Edward Frippel, burmistrz w Lutowiskach.

Lwów i powiat: Bank kredytowy, *Dr.* Blumenfeld, *Dr.* Salamon Bund, *Dr.* Emil Byk, Józef Chołodecki, *Dr.* Czeszer, *D*iamand, *Dr.* Goldman, *Dr.* Gottlieb, Grabiński, *Dr.* Gross, *Dr.* Hefern, *Dr.* Herschman, *Dr.* Holzer, *Dr.* Józef Korczak Horodyski, Samuel Horowitz, *Dr.* Horvath, Józef Howorka, *Dr.* Jekeles, Klipunowski, *Dr.* Józef Koliszer († 1890, 13/5), Karol Kostikow, Wł. Kostro, *Dr.* Edward Lilien, ks. Jakub Mardyrosiewicz, Jerzy Mayer, Karol Mühlner, c. k. Sekretarz Namiestnictwa, *Dr.* Niementowski, Mikołaj Pańkowski, Jakub Piepes, *D.* Posner, Zygmunt Richtman, Wł. Rieger, *Dr.* Schaff, *Dr.* Skałkowski, Karol Sklepiński, *Dr.* Ernest Till, *Dr*, Weiss, Jan Welichowski, Wewiórski, *Dr.* Franciszek Wolski, Liberat Zajączkowski i Franciszek Zima, we Lwowie, Bolesław Andruszewicz, w Barszczowicach, Zygmunt Groblewski, w Winnikach.

Łańcut i powiat: Jan Cetnarski, burmistrz miasta Łańcuta, Alina Kahane i *Dr.* Walenty Szpunar, w Łańcucie, Aleksander Czepielewski, Stanisław i Zygmunt Głęboccy, J. Mazepa i Jan Świętecki, w Przeworsku.

Mielec: *Dr.* Brandt, *D*roba, Fibich, Pawlikowski, Szabbus, Władysław Szymański i Mieczysław Szymberski, w Mielcu.

Pow. mościski: Józef Bund, w Sądowej Wiszni.

Nowy Sącz i powiat: *Dr.* Mieczysław Chlebowski, Józef Pisz, Tadeusz Ritter, *Dr.* Schornstein, Alojzy Szklarski, c. k. Prezydent Sądu i *Dr.* Wąsikiewicz, w Nowym Sączu, Ambroziewicz i *Dr.* Leopold Gawełkiewicz, w Starym Sączu.

Nowy Targ: *Dr.* Geissler i Magistrat, w Nowym Targu.

Podhajce: Michał Borowski, burmistrz miasta, *Dr.* Maurycy Lidechower, Władysław Łoś, Izydor *R*athner i Towarzystwo kasynowe, w Podhajcach.

Przemyśl: *Dr.* Baumfeld, *Dr.* Alfons Bieńczewski, *Dr.* Oswald Blumenfeld, Czaderski, *Dr.* *D*oliński, Michał *D*ornwald, *D*udek, *Dr.* Aleksander *D*worski, burmistrz miasta Przemyśla, ks. Józef Fałat, Fried, *Fr.* Gamski, Edward Gorecki, c. k. Starosta i Radca Namiestnictwa, *Dr* Hillel, A. R. Janeczek, Celestyn Jaworski, Fr. Kwaśniewski, F. Majerski, P. S., *Dr.* Rosenbach, Andrzej Skala, *Dr.* Skórski, *Dr.* Smutny i *Dr.* Tarnawski, w Przemyślu.

Rawa ruska i powiat: Grzesikiewicz, Natan Kibitz, Mayer, Szumlański, c. k. Starosta i Hipolit Zawzięty, w Rawie ruskiej, Rudolf *D*üll, *D*zikowski, Michał Janicki, B. Kibitz i Piotr Salawa, w Uhnowie.

Rohatyn: Julius Łempicki i Władysław Manasterski, w Rohatynie.

Ropczyce i powiat: Chrząszczewski, w Ropczycach, Efraim Turnheim, w *D*ębicy i Mayerberg, w Sędziszowie.

Rudki i powiat: Czytelnia rudeńska, Kazimierz Kurek i Albin Świtalski, c. k. Starosta w Rudkach, *Dr.* Jakliński i Wąsowski, w Komarnie.

Rzeszów: Dr. Als, Dr. Barzycki, Dr. Fechtdegen, Kalinowski, Dr. Reich, ks. Szaflarski i Dr. Zbyszewski, w Rzeszowie.

Sambor i powiat: Dr. Biegelmayer, ks. Jan Dornwald, Juliusz Drak, Maurycy hr. Dzieduszycki, Adam Głogowski, Karol Hanik, Dr. Irzyczek-Maciejowski, Wilhelm Kasparek, G. Kohn, Konwent OO. Bernardynów, Wilhelm Kuhnen, Nuzikowski, Dr. Ignacy Petelenz, Józef Petz, Przetocki, Józef Przybylski, Dr. Władysław Skalski, Władysław Skulicz, Slezanowski, Dr. Michał Stefko, Dr. Leon Witz i Eustachy Zajączkowski, w Samborze, Dr. Ludwik Dolański, w Rakowej i Ludwik Balicki, w Wykotach.

Sanok i powiat: Dr. Goldhamer, Dr. Iskrzycki, Ludwika Kahanówna, Marcelina Lisówna, Naganowski, Alojzy Schneider, Staruszkiewicz, Leon Studziński, c. k. Starosta i Radca Namiestnictwa i Ludwik Świerczyński, w Sanoku, Dr. Krzyszkowski, Anna hr. Potocka i Ludwik Rzewuski, w Rymanowie.

Skałat i powiat: Dr. Biliński, Stanisław Lang, Pisarczuk, S. A. Telichowski i Towarzystwo zaliczkowe, w Skałacie, St. Kądzielski, A. Kruh, Emil May, Dr. Isaak Metall, Herman Ostersetzer i Schwager, w Podwołoczyskach.

Śniatyn i powiat: Bruno Eitelberg, Dr. Filipowski, Rauch, Jan Semetkowski, Bronisław Sokalski, Franciszek Szymusik, Dr. Wejda, burmistrz miasta Sokala, E. Wysoczański i Zaczkowski, w Sokalu, Karol Chudzik, Adolf Gross, Mieczysław Musiał i Teodozy Pelewicz, w Bełzie.

Stanisławów i powiat: Kajetan Kopacz kupiec, (†) Kajetan Kopacz radca, Piotr Sedelmayer, Teodor Stachiewicz, dr. Walery Szydłowski, burmistrz miasta Stanisławowa, Juliusz Turczyński, Edmund Wohlfeld, dr. Wurzel i Ignacy Zdrassil, w Stanisławowie, Honorat Sendzimir, w Haliczu.

Staremiasto: Andrzej Aleksiewicz i Jerzy Koudelka, w Staremmieście.

Stryj: Dzundza, dr. Filip Fruchtman, Leon Gaertner, Józef Kosterkiewicz, Konstanty Lechicki, ks. Malarski, Manasterski, c. k. Starosta, Opolski, Wilhelm Schayer i ks. Zoeller, w Stryju.

Tarnobrzeg: Michał Bartoszewski, Franciszek Riess i dr. J. Tumidajowicz, w Tarnobrzegu.

Tarnopol: dr. Delinowski, Derdacki, Teofil Dujanowicz, Friedman, Jakub Gall, dr. Gładyszewski, Ingwer, Emil Michałowski, Antym Nikorowicz, Ludwik Piątkiewicz, Bernard Schütz, Alfred Silkiewicz, dr. Trzcieniecki i J. Winiarz, w Tarnopolu.

Tarnów: Maurycy Adler, Michał Dujanowicz, dr. Mieczysław Gałecki, dr. E. Goldhamer, dr. Lerner, dr. Merz, Leopold Płaziński, c. k. Starosta i Radca Namiestnictwa, dr. Ringelheim, Karol Rudolf, dr. Wiktor Schancer, ks. Ścisłowicz, dr. Stanisław Stojałowski, Adam Strusiński i Veyhinger, w Tarnowie.

Tłumacz i powiat: Emil Jahn i Kasyno w Tłumaczu, Władysław Łobos, Franciszek Szelewski i Wichański, w Tyśmienicy.

Trembowla: Berchard, dr. Grünhaut, ks. Kaliniewicz, Jan Leśniański, dr. Juljan Olpiński, burmistrz miasta i Alfred Welles, w Trembowli.

Turka i powiat: Hieronim Morawski, c. k. Starosta, Pietsch Teliszewski i Żurakowski, w Turce, Antoni Stanisław Chołoniewski, w Łomnie.

Wadowice: dr. Iwański, burmistrz miasta Wadowic, dr. Stanisław Łazarski i Wilczyński, w Wadowicach.

Wiedeń: Bernard Kohn, we Wiedniu.

Wyżnica (na Bukowinie): Józef Rudkowski, Antoni Sworakowski i Mieczysław Węgrzynowicz, w Wyżnicy.

Zaleszczyki: Frank, Geringer, Antoni Gross, S. S. Gross, księgarz, Szymon Kajetanowicz, Antoni Mohr, dr. B. Schrenzel, († 1891 6/1), dr. Franciszek Sobolewski, C. H. Sternlieb i dr. Emilian Stoklasa, w Zaleszczykach.

Zbaraż: Franciszek Dudziński, Zygmunt Dzierzanowski, burmistrz miasta Zbaraża, ks. Marcin Krupiński, Leopold Kukawski i Antoni Petter, w Zbarażu.

Złoczów i powiat: dr. Billet, burmistrz miasta Złoczowa, Garfein, dr. Misky, Wilhelma Niedźwiedzka, dr. Edwin Płażek, c. k. Starosta i dr. Józef Wesołowski († 1891, 5/2), w Złoczowie, Antoni Kofler, I. Münz, dr. Leon Reiss i Stanisław Zaruski, w Olesku, Leon Kahane, w Juśkowicach, Franciszek Szyjkowski i Leon Willner, w Zborowie.

Żółkiew i powiat: Ignacy Cukier, Józef Hejda, ks. Karol Kasel i Tadeusz Ponikło, w Żółkwi, Stanisław Kruszelnicki, w Kulikowie.

Powiat żydaczowski: Antoni Beer i Antoni Stecher, w Mikołajowie, Brzozowski i Stroński, w Drohowyżu, Bałaban, dr. Chomicki i Piotr Tyszkiewicz, w Żurawnie.

Treść:

Spis rycin.

Sprostowanie pomyłek:

Str.	wiersz:	zamiast:	czytaj:
26	13	unurzone	unużone
129	2	na nią	na nie
134	16	duchownych	duchowych
136	13	że jest	jest
136	14	z losu	losu
136	39	znamy	znany
137	6	za tem	zatem
140	13	zachowania	wychowania
141	2	że faktycznie	faktycznie
141	24	pomnożoną	pomnożona
142	7	moralność	maluczkość
142	14	zaczęli	zaczerpnęli
142	15	by	też
143	20	uczucia etyczne	uczucia estetyczne
143	21, 22	smak etyczny	smak estetyczny
143	w ost.	Über den moralischen Nutzen ästhetischer Sitten, opuszczono:	„moralischen,“
148	22	z kośćmi	z kośćmi zwierząt
150	6	dawna	dziwna
152	28	zbiory	glony
152	29	pary	pasy
161	w ost.	od dany	oddany
171	7	pagnie	pragnie
291	z dołu 9	zapomniano w spisie abonentów dra Ludwika Glazera w Tarnowie.	

Dla publicznej wiadomości.

Zawiadamiam niniejszem moich P. T. abonentów, że zamówione przez nich dodatkowe dzieło do „Roczników Samborskich:“

„Polska w świetle niemieckiej poezji“

obecnie jest w druku. Ponieważ prace niemieckich autorów w tłumaczeniu w abecadłowym porządku się mieszczą, doprowadzono druk aż do litery: „Anastazy Grün.“ Nastąpiła jednak przerwa w druku z powodu braku niektórych uzupełnień, po których nadejściu druk prawidłowo do końca doprowadzonym zostanie. O czasie wyjścia zawiadomią pisma krajowe.

Sambor, 27. Lutego 1890.

G. Kohn,
Redaktor i wydawca „Roczników Samborskich.“
